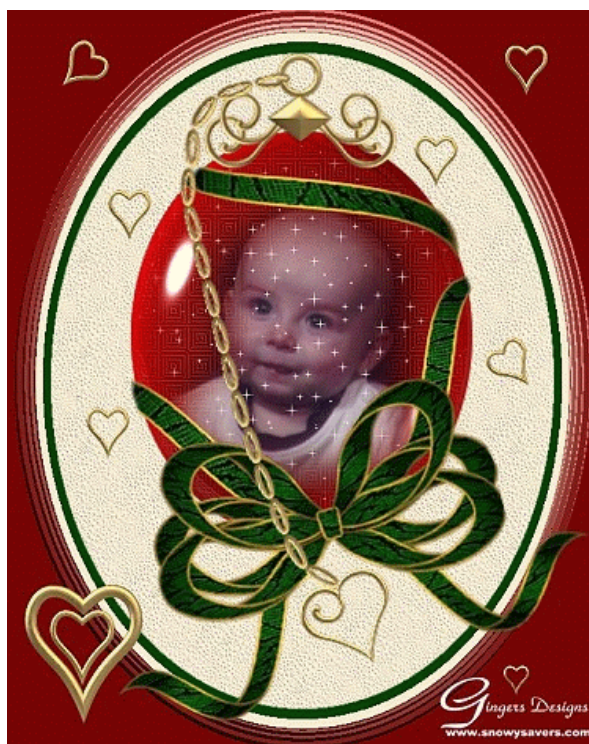




ABBIE TAYLOR



Dziecko Emmy

Rozdział 1

Niedziela, 17 września

Dzień pierwszy

U szczytu schodów rozwalali się pod ścianami nastoletni chłopcy; z wyciągniętymi nogami zajmowali prawie całe przejście. Ubrani byli w czarne puchowe kurtki, a na ich twarzach malowały się obojętność i nuda. Emma już z za rogu usłyszała ich głosy, odbijające się echem od kafelków. Gdy tylko ją zobaczyli, przestali rozmawiać.

- Przepraszam - powiedziała grzecznie Emma.

Bardzo powoli zabrali nogi. Zostało ledwie tyle miejsca, by mogła się precyzyjnie przesuwać. Musiała iść prosto przez środek grupki, czując na sobie ich wzrok. Patrzyli w milczeniu, jak z trudem schodzi po schodach z wózkiem, Ritchiem i torbami.

Odetchnęła z ulgą, gdy stanęła na dole za rogiem. Peron metra był pusty, jasno oświetlony. Zerknęła za siebie. Chłopcy nie poszli za nią.

- Wszystko okej, Ritch? - Kucnęła koło wózka. Właściwie nie była nerwowa, ale teraz, gdy był z nią Ritchie, wolałaby jednak, aby pociąg przyjechał jak najszybciej.

Ritchie - duży, pizyaty trzynastomiesięczny chłopczyk - zaczął marudzić, wypinać brzuszek i trzeć oczy piąstką.

- Zmęczony, co? - Emma zaczęła kołysać wózkiem. - Niedługo będziemy w domu.

Ona też czuła się zmęczona. To był długi dzień: podróż przez cały Londyn aż na East End. Emma nie mogła się doczekać wyjścia z mieszkania, a niedobrze jej się robiło na myśl o kolejnym spacerze po Hammersmith Broadway czy North End Road. Wybrała się więc z synkiem na całodzienną wycieczkę. Wędrowała między straganami na targu Spitalfields, kupiła kilka par spodni i kilka podkoszulków dla Ritchiego i weszła do małej, gwarnej kawiarni na babeczki i kawę, i wielki puchar lodów bananowych. Potem pojechała autobusem do Mile End i spacerowała brzegiem Regent's Canal. Pokazywała Ritchiemu łabędzie i długie barki z malowanymi doniczkami na kwiaty. Ale kiedy zrobiło się chłodno, trzeba było wracać do domu. O zmroku kanał uległ dziwnej przemianie - nagle pojawiła się warstwa jakiegoś zielonego paskudztwa, a z wody wystawał rdzewiejący wózek z supermarketu. Dość długo trwało, zanim Emma znalazła stację metra. Torby stały się podwójnie ciężkie i zaczęły obijać się Emmie o nogi przy każdym kroku. Odetchnęła, gdy na chodniku przed sobą zobaczyła wreszcie znajomy niebiesko-czerwony znak londyńskiego metra.

- Ma. - Ritchie wychylił się z wózka i dźgnął ją pomarańczowym lizakiem. Po jego rękawie ciekł lepki syrop.

- Och, na litość boską! - Emmę zaczynała boleć głowa. - To po co o niego prosiłeś?

Bez ceregieli zabrała mu lizaka i wytarła buzię i ręce. Rozejrzała się za koszem. Oczywiście nigdzie ani jednego. Była za piętnaście ósma, niedzielny wieczór. Najwyraźniej wszyscy dość się już najeździli i poszli do domów. Wokół żywej duszy. Mogła po prostu wyrzucić lizaka na tory. Ale w końcu owinęła go w chusteczkę i wrzuciła do torby. Na ścianie naprzeciw peronu nalepiono reklamę wody mineralnej, z wiejskim krajobrazem. Drzewa, woda, spokój.

Ritchie znów jęknął, szarpiąc się w szelkach.

- No dobrze, chodź. - Co się stanie, jeśli go wyjmie na chwilę z wózka?

Gdy uklękła, by rozpiąć uprząż, z głębi tunelu dobiegł odległy zgrzyt metalu o metal.

Emma zawsze uważała, że w odgłosie pociągu nadjeżdżającego tunelem jest coś złowieszczonego. To, że go słyhać, ale nie widać; tylko wibracja torów wyprzedzająca jakieś monstrum, które zaraz wychynie z ciemności. Szybko wyjęła Ritchiego z wózka na peron. On też usłyszał hałas i odwrócił się, żeby popatrzeć; podmuch rozwiał mu jasny puszek na głowie. Trzymając go za szelki, Emma schyliła się, by wolną ręką złożyć spacerówkę. Hałas narastał. Ritchie przywarł do jej nogi, chwytając dzinsy. Choć Emma była zajęta czym innym, pamiętała później doskonale, jak wtedy wyglądał, gdy gapił się w tunel i czekał na potwora: okrągła buzia, szeroko otwarte oczy, usta ułożone w O.

- Tam - powiedział podekscytowany, gdy światła rozjaśniły tunel. Puścił dzinsy Emmy, by wskazać palcem. Brudne czerwono-biało-niebieskie wagony wpadły z hukiem na stację. Peron wypełnił pisk i zgrzyt; pociąg zwolnił i stanął. Pomruk silnika urwał się nagle, jakby ktoś wyłączył wentylator.

Cisza.

Sekundę później drzwi otworzyły się z głośnym umpff.

- No, wsiadaj - powiedziała Emma.

Ritchiemu nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Emma podeszła do pustego wagonu, trzymając go mocno za szelki i lekko podciągając, by pomóc mu się wdrapać. Gdy gramolił się do środka, ze spodni wystawał mu brzeg pieluchy. W końcu stanął w drzwiach, bardzo z siebie zadowolony.

- Ma - powiedział, odwracając się i poganiając Emmę gestem pulchnej rączki.

Właśnie tak widziała go najczęściej w następnych tygodniach - stojący w drzwiach wagonu, uśmiechnięty, z rozczochraną grzywką, w niebieskim polarze z wesołym słonikiem.

Nie było w nim nic niezwykłego, nic, czego nie widziałyby przedtem tysiąc razy. Nic nie szepnęło jej ostrzegawczo w głowie, żeby zabrać go z wagonu i nie wypuszczać z objęć. Wciąż do niej machał, kiedy wsunęła wózek i odwróciła się po torby. Sięgając w dół, poczuła lekkie szarpnięcie w bok. Niby drobiazg, ale musiało być w tym coś, co ją zaniepokoiło, bo pamiętała, że zmarszczyła brwi. Jeszcze zanim zdążyła wyprostować się i obejrzeć, wiedziała, że coś jest nie tak. Umpff.

Obróciła się na pięcie. Przez sekundę nie mogła pojąć, co właściwie widzi. Goniłwa myśli. Czego brakuje na tym obrazku?

Wciąż trzymała w dłoni szelki Ritchiego, ale drzwi wagonu były zamknięte. Zamknięte tuż przed jej nosem, a Ritchie - po drugiej stronie.

- Jezu!

Emma rzuciła torby, skoczyła do drzwi i spróbowała wbić palce w szparę. Przez szybę widziała czubek głowy Ritchiego.

- Trzymaj się! - zawołała. - Już idę.

Boże, jak się otwiera te drzwi? Przez sekundę wszystko było jak za mgłą. W końcu znalazła guzik „otwieranie drzwi” i wcisnęła go. Nic. Wcisnęła ponownie, tym razem mocniej. I znowu nic. Zaczęła łomotać w drzwi pięściami.

- Pomocy! - Przerazona rozejrzała się po peronie. - Moje dziecko zostało w środku!

Jej głos wzniósł się do pisku i zamarł. Peron był pusty. Tylko ciemne betonowe płyty, metalowe ławki pod ścianami, ciche tunele na każdym jego końcu.

- Cholera. - Serce Emmy waliło jak szalone.

Działała na wysokich obrotach, skupiona. Rozejrzała się jeszcze raz i wtedy zauważyła na ścianie czerwoną skrzynkę z szybą. Alarm przeciwpożarowy. Instynktownie skoczyła ku niemu.

Ale zatrzymała się w pół kroku. By dosięgnąć alarmu, musiałaby puścić szelki Ritchiego. Była w rozterce - nie potrafiła się przemóc, by choćby na sekundę stracić kontakt z synem.

- Pomocy! - krzyknęła głośniej. - Niech mi ktoś pomoże! Przecież ktoś musiał usłyszeć. Na litość boską, to miejsce publiczne. Jest w samym środku Londynu.

Nagle coś do niej dotarło. Pociąg nie ruszył. Drzwi były zamknięte, zdawałoby się, że od wieków, ale pociąg wciąż stał.

- Wiedzą, co się dzieje. - Aż przygarbiła się z ulgi. Oczywiście. Pociąg nie mógł ruszyć, dopóki szelki były przytrzaśnięte w drzwiach. Motorniczy widział ją w lusterku, w kamerze. Za moment ktoś przyjdzie z pomocą. Więc stała tak, czekała, nie wiedząc, co mogłaby zrobić. - Wszystko w porządku - powtarzała sobie. - Wszystko jest w porządku.

Zajrzała do środka, by sprawdzić, jak tam Ritchie. I podskoczyła. Co to? Ten ruch, tam, na końcu wagonu?

Ktoś tam był. Ktoś był w środku, z Ritchiem.

Emma poczuła ukłucie niepokoju. Przecież wcześniej wagon był pusty? Wyteżyła wzrok, by dostrzec tego kogoś, zasłoniętego przez poręcz. Postać znowu się poruszyła i przesunęła bliżej okna. To kobieta.

Kobieta pochyliła się w stronę przejścia, by móc wyjrzeć przez oszklone drzwi. Starsza od Emmy, może w wieku jej matki, zadbana blondynka. Wyglądała na zrównoważoną. I zaniepokojoną.

Wyglądała... normalnie.

Emma znów zaczęła równo oddychać.

- Moje dziecko! - zawołała, próbując się uśmiechnąć. Wskazała Ritchiego. - Moje dziecko zostało w środku.

Kobieta przycisnęła dłoń do ust, przerażona, jakby chciała powiedzieć: „Co mam zrobić?”

- Proszę otworzyć drzwi. Niech pani poszuka przycisku alarmu i go wciśnie.

Kobieta skinęła głową. Zrobiła krok do tyłu i potoczyła wzrokiem wokół drzwi.

Chryste! Co za dzień! Emma, wyczerpana, oparła czoło o szybę w drzwiach i spojrzała w dół, na Ritchiego. Siedział na podłodze, tyłem do niej, i ciągnął suwak w polarze. Widziała tylko czubek jego głowy. Co za bezsens. Bycie matką bywa takie męczące. Nie można się odprężyć, nic nie powinno odwrócić uwagi nawet na sekundę. Emma była pewna, że kiedy w końcu drzwi się otworzą i Ritchie znów znajdzie się bezpieczny w jej ramionach, ona i ta blondynka będą się z tego śmiać.

- Mało brakowało - powie kobieta i pomyśli sobie może, jak nieostrożna była Emma, ale postara się tego nie okazać.

- Wiem. Chciałoby się mieć oczy z tyłu głowy. - Emma się uśmiechnie, przytuli Ritchiego i się odwróci. Znów będą tylko we dwoje. Tak jak zawsze.

Już czuła Ritchiego na kolanie; ciężar jego nabitego ciała, zapach jabłkowego szamponu na włosach. W jej wyobraźni wszystko znów było w porządku. Minęło więc kilka sekund, nim zdała sobie sprawę, że drzwi wagonu ciągle są zamknięte.

Zmarszczyła brwi i uniosła głowę.

W tej samej chwili pociąg głośno zasyczał.

Straciła panowanie nad sobą.

- Pomocy. - Załomotała w szybę. - Proszę. Pociąg zaraz odjedzie.

Kobieta znowu była przy oknie i coś mówiła. Jej usta poruszały się:

- Natepataja. Natepataja.

- Co?

- Natepataja.

Energicznie gestykulowała, wskazując na Emmę, a potem na tunel przed pociągiem.

- Co? - Emma patrzyła zdezorientowana. Kręciła gwałtownie głową, dając znać kobiecie, że nie rozumie.

Pociąg zasyczał po raz drugi. A potem szarpnął.

- Nie! - Emma wydała z siebie piskliwy okrzyk przerażenia i mocniej chwyciła szelki Ritchiego. - Błagam! Stać!

Pociąg ruszył; Emma razem z nim. Powoli, potem truchtem.

- Stop! Stop! Stop!

Sekundę później już biegła. To działo się tak szybko. Chwilę wcześniej pociąg stał, a teraz pędził prosto w tunel. Emma biegła ile sił w nogach, by nadążyć za uciekającymi szelkami. Jej uszy wypełniał hałas. Przed sobą widziała barierkę najeżoną napisami: „Niebezpieczeństwo!” „Stop!” Napisy pędziły ku niej, ale ona nie mogła się zatrzymać. Sama nie wiedziała, czy rękę ma zaplątaną w szelki, czy po prostu tak mocno je trzyma, ale wiedziała, że ich nie puści. Barierka była tuż. O Jezu! O Jezu! O Jezu!

Coś złapało ją za ramię i szarpnęło z taką siłą, że poderwało ją z ziemi i zakręciło w miejscu. Poczowała pieczenie, gdy szelki przejechały po jej dłoni, i ból brutalnie wykręconego palca, który zahaczył się o pasek. Jej dłoń była pusta. Emma potknęła się, okręciła jeszcze raz i upadła na kolana. Hałas wzmógł się, gdy pociąg wjechał w tunel; w jej uszy uderzył głuchy ryk i własny zwierzęcy krzyk bólu, rozpaczy i wściekłości.

I wszystko umilkło.

Cisza.

Ritchie, myślała Emma, otumaniona przerażeniem. Klęczała, podparta rękami, na końcu peronu, głową niemal dotykając barierki oblepionej znakami. Ritchie zniknął. Nie mam go. Zniknął.

Zrobiło jej się niedobrze. Czowała, że zaraz zemdleje. Drętwiejące usta i dłonie mrowiły.

Co powiedziała ta kobieta? „Natepataja”. Następna stacja.

Emma z trudem wstała, ignorując ból w dłoni i kolanach. Dziwne, na peronie za nią klęczał mężczyzna. Emma nawet się nie zatrzymała, żeby się nad tym zastanowić. Pognała wzdłuż peronu, gorączkowo szukając wyświetlacza z czasem odjazdu następnego pociągu.

Mężczyzna, który klęczał, nagle zjawił się obok niej. Biegł i patrzył jej w twarz.

- Hej! - krzyczał. - Co to miało być, kobieto? Dlaczego nie puściłaś?

Emma nie zwracała na niego uwagi. Wyświetlacz. Boże, gdzie jest wyświetlacz?

- Nie słyszy mnie pani? - Mężczyzna zastąpił jej drogę, musiała się zatrzymać.

- Proszę mnie... - Spróbowała go ominąć.

- Mogła pani zginąć. - Mężczyzna, wyższy od niej, pochylał się nad nią, zagradzając jej drogę. Jego twarz była jak rozmazana plama. Emma zauważyła tylko, że ma ciemne włosy i jest ubrany w coś niebieskiego. - Gdyby nie ja, wpadłaby pani pod pociąg. I to wszystko przez jakąś pieprzoną... co to było? Markowa torebka?

- Żadna torebka! - wrzasnęła Emma. - To było moje dziecko!

- Co?

- Moje dziecko! - krzyczała mu w twarz. - Mojedziecko, mojedzieckomojedzieckomojedziecko! - Głos jej się załamał. Przyłożyła dłonie do ust.

- Jasna cholera! - Mężczyzna zbladł.

Emma zaszlochała rozpaczliwie, ominęła go i pobiegła do wyświetlacza. Mimo czarnych plam przed oczami dostrzegła go. Następny pociąg: jedna minuta. Oddech świszczął jej w uszach. Jedna minuta. Jedna minuta.

- Jasna cholera! - Mężczyzna znów był przy niej. - Wcisnę alarm.

- Nie! - Odwróciła się, by spojrzeć mu w twarz. - Proszę nie wciskać!

- Co?

- Muszę jechać na następną stację. - Emma usiłowała mówić wyraźnie. Żeby ją zrozumiał. - W pociągu była kobieta. Wsiądzie tam z Ritchiem.

- Kobieta? Jest pani pewna?

Emma poczuła napięcie w skroniach. Wyobraziła sobie usta kobiety wymawiające: „Natepataja”.
Następna stacja. Na pewno o to jej chodziło. Prawda?

Stukot na torach. Powiew zdmuchnął jej włosy na twarz. Zawróciła w stronę tunelu.

- Czemu nie wcisnęła alarmu? - spytał mężczyzna.

Emma przygryzła wargę. O mój Boże, pociągu, przyjeźdź!

Proszę. Proszę. Przyjeźdź.

- Niech pani posłucha, naprawdę myślę, że... - zaczął mężczyzna.

- Nie, to pan niech posłucha. - Emma napadła na niego, niemal warcząc. - Wiem, że chce pan pomóc, ale proszę nie wciskać żadnych alarmów. Zatrzyma pan pociągi, a ja tylko chcę odebrać Ritchiego na następnej stacji. Więc proszę, niech pan sobie idzie i da mi spokój!

Pociąg stał już przy peronie. Gdy tylko otworzyły się drzwi, Emma wskoczyła do środka. Zdecydowanym krokiem ruszyła przejściem na początek wagonu, jakby dzięki temu mogła szybciej znaleźć się bliżej Ritchiego.

Mężczyzna zawołał jeszcze raz:

- Hej! - Wymachiwał czymś. - Czy to pani...

Drzwi się zamknęły.

Emma stała w wagonie, kołysząc się przy oknie; prawie dotykała nosem szkła. Czerń tunelu zmieniła szybko w lustro. Widziała swoją bladą twarz - rozmazaną plamę, zniekształconą przez szkło. W wagonie byli inni ludzie, ale w ogóle na nich nie popatrzyła.

- Szybciej, szybciej - szeptała. Co za koszmar tak stać i czekać. Odczuwała fizyczny ból, jakby Ritchie był oderwaną częścią jej własnego ciała; dziwną panikę, jakby brakowało jej tlenu, dopóki znów nie zacznie oddychać zapachem Ritchiego. Wyobrażała sobie siebie na następnej stacji - jak chwytą go w ramiona, wtula twarz w aksamitne zagłębienie jego szyi.

Głos tego mężczyzny.

„Dlaczego ta kobieta nie wcisnęła alarmu?”

Coś wyszło powietrze z płuc Emmy. Próbowwała oddychać, ale wokół była próżnia.

A jeśli wysiądzie na następnej stacji i Ritchiego tam nie będzie?

Nie. Nie. Nie myśl tak. Oczywiście, że tam będzie. Kobieta wyglądała na miłą. Co innego miałyby zrobić, jeśli nie wysiąść z nim z pociągu? Tylko to było logiczne. Powiedziała: „Następna stacja”. Powiedziała to. Emma znów zaczęła wyobrazać sobie siebie z Ritchiem; jego małe, ciepłe ciało, jego zapach. Zapiekle ją oczy. Była dla niego taką okropną matką. Nie tylko dzisiaj, ale codziennie; od dnia, kiedy się urodził. Zasługiwał na kogoś lepszego niż ona. Zakryła usta dłonią, uciszając ból, przełykała łzy w poczuciu winy. Wynagrodzi mu to. Wynagrodzi. Już za minutę. Za mniej niż minutę. Jak długo może jechać ten pociąg? Kiedy skończy się tunel? Ile jeszcze sekund, zanim przestanie widzieć swoją twarz w oknie, a zamiast niej zobaczy peron i Ritchiego?

A jeśli go tam nie będzie?

Tunel został w tyle. Zamiast jej twarzy w oknie pojawiła się otwarta przestrzeń: granatowe niebo, ceglane ściany, krzyżujące się tory. I wreszcie byli na stacji; światła, perony i tablice. Szczęk wagonów. Pociąg zwolnił. Emma kręciła głową na wszystkie strony, przeszukując peron. Jej płuca były jak zalane ołowiem, z trudem wypełniały się ciężkim powietrzem. Na ławce siedziała kobieta z dzieckiem, i... To było jej dziecko, to był jej Ritchie, to była właśnie ta kobieta. O Boże, o Boże, o Boże! Czowała, że zaraz się przewróci. Zdołała utrzymać równowagę, aż pociąg się zatrzymał i drzwi się otworzyły. Wtedy wypadła na peron i pognęła do ławki. Ritchie siedział zupełnie nieprzejęty na kolanach kobiety, żując swój rękaw, a kobieta patrzyła na nią i się uśmiechała. Gdy Emma do nich dobiegła, kobieta wstała i podała jej Ritchiego jak prezent. Emma chwyciła malca i zasypała pocałunkami jego policzki, czoło i uszy, przycisnęła jego pokrytą puchem połówkę do swojej szyi. Tulila go tak mocno, że oboje nie mogli oddychać, i z płaczem powtarzała raz po raz imię synka w jego jedwabisty policzek.

TLR

Rozdział 2

Niii.

Ritchie zawodził, prężąc się i odpychając Emmę piąstkami. Za mocno go przyciskała. Jego oddech pachniał sucharkami i pomarańczowym lizakiem. Ramiona Emmy nagle zrobiły się za słabe, by go utrzymać. Musiała usiąść. Granice jej pola widzenia zaczęły ciemnieć.

- Dobrze się pani czuje? - zapytała kobieta. Jej głos dobiegał jakby z oddali. - Mam go wziąć?

Ritchie wysunął się z jej ramion, odebrany przez kobietę. Emma wyczuła łydkami ławkę za sobą i osunęła się na nią. W jej uszach narastał szum. Zamknęła oczy i pochyliła się do przodu.

Po chwili szum ucichł. Peron wokół znów wyglądał normalnie.

Emma usiadła prosto.

- Dziękuję - powiedziała i wybuchnęła płaczem.

Nie wiedziała, jak długo płakała. Pewnie kilka sekund, ale kiedy podniosła wzrok, Ritchie gapił się na nią z otwartą buzią, siedząc na kolanach kobiety. Długa nitka śliny wisiała z jego dolnej wargi, parę centymetrów od rękawa kobiety. Widząc to, Emma wzięła się w garść.

- Przepraszam. - Przycisnęła oczy dłońmi. - Jesteśmy tylko my dwoje, mój synek i ja. Czasami tak mi ciężko... przepraszam. Przepraszam. - Pokręciła głową. - Pani nie ma ochoty tego wysłuchiwać. Pewnie pani myśli, że jestem okropną matką.

- Nonsens - mruknęła kobieta. - Przeżyła pani straszny szok.

Miała rację. Emma bardzo chciała przytulić Ritchiego, ale ręce jej się trzęsły, a twarz miała zalaną łzami i ubrudzoną smarkami. Czowała też krew na wardze. Widocznie ją przygryzła. Rozejrzała się za czymś, czym mogłaby się wytrzeć. Na tej stacji był o wiele większy ruch niż na poprzedniej. Gdzie właściwie są? Spojrzała na tablicę nad ławkami. Whitechapel. Na peron wjeżdżał kolejny pociąg. Dwie dziewczyny wstały z ławki, by do niego wsiąść.

- Chusteczkę? - Kobieta przytrzymała Ritchiego jedną ręką, a drugą pogrzebała w torebce. Wyglądała na kogoś, kto zawsze ma przy sobie czystą chusteczkę. Rozsądna, zorganizowana jak dyrektorka szkoły. Na oko po czterdziestce, z jasnymi, cieniowanymi włosami sięgającymi tuż za ucho. Tweedowe spodnie. Krótki, jasnobezowy żakiet z futerkiem przy mankietach i kołnierzu.

- O! Proszę.

- Dziękuję. - Emma wzięła chusteczkę, wytarła oczy i twarz. Kobieta przyglądała jej się ze współczuciem. Z bliska było widać małe pajęczki popękanych naczynek na policzkach. Była to twarz charakterystyczna dla kogoś, kto dużo przebywa na powietrzu. Twarz amazonki albo ogrodniczki. W Bath Emma widziała mnóstwo takich kobiet. W czasie świąt były dosłownie wszędzie - jadły lunch w przytulnych kafejkach ze swoimi córkami, otoczone torbami na zakupy. Emma obsługiwała je, dorabiając w ferie jako kelnerka.

- Wezmę go. - Emma osuszyła oczy i wyciągnęła ręce po Ritchiego. Mały natychmiast pokręcił głową, odchylił się do tyłu, oparł o ramię kobiety i wsadził piąstkę do ust.

- Co się stało? - spytała niespokojnie Emma. - Dlaczego nie chcesz przyjść do mnie?

Kobieta się zaśmiała.

- Może się wystraszył, kiedy go pani tak ścisnęła.

- Pewnie go zabolalo - zmartwiła się Emma.

To niepodobne do Ritchiego. Zwykle nie chciał, by ktoś brał go na ręce, z wyjątkiem matki.

- Nie wiedział, co się dzieje. I oczywiście nie ma pojęcia, że o mało się nie zgubił, prawda, kolego?

- Kobieta pohuściła Ritchiego i pochyliła się, żeby zajrzeć mu w twarz. Popatrzył na nią, gryząc piąstkę. -

Napędziłaś mamusi stracha, co, ty niegrzeczny chłopczyku? - Spojrzała na Emmę. - Jest uroczy, prawda?

Takie jasne włoski. A pani ma takie ciemne. Jak mu na imię?

- Richard. Ritchie.

- Ritchie. Jak słodko. To po tatusiu?

- Nie. - Emma odwróciła oczy. Kobieta nie naciskała.

- Chce pani jeszcze jedną chusteczkę? - zapytała. Bardzo wyraźnie wymawiała „ę”. - Nie, proszę mi oddać tę starą. Tu nie ma koszy na śmieci.

Wzięła od Emmy mokrą chustkę i schowała do torebki.

- A skoro mówimy o imionach - wyciągnęła rękę - jestem Antonia.

- Emma. Emma Turner. - Emma uściśnęła jej dłoń.

- Gdzie pani mieszka, Emmo? Gdzieś blisko?

- Nic - odparła Emma. - Mieszkam w Fulham. A właściwie chyba w Hammersmith.

- No to daleko się wyprawiliście. Przejechać z wami kawałek metrem? Nie powinna pani jeździć sama w tym stanie.

- Już wszystko dobrze. Naprawdę. - Prawie dobrze. Emma wciąż się trochę trzęsła, ale zaczynała dochodzić do siebie. Chciała już tylko zostać sama; pozbierać się i wrócić z Ritchiem do domu. A nagle sobie przypomniała.

- Och! Moja torebka. Zostawiłam ją na tamtej stacji.

- Mój Boże - powiedziała Antonia. - No to niezły pasztet.

- Poradzę sobie. - Emma wstała. Coś wymyśli. Co tam stracona torebka! Jeszcze kilka minut temu myślała, że straciła syna. - Pójdziemy z Ritchiem do dyżurki i zapytamy, czy ktoś jej nie zwrócił.

- Hm... Moim zdaniem ma pani bardzo małe szanse znaleźć torebkę po takim czasie - zauważyła Antonia. - Może powinnam poczekać, dopóki się nie okaże, czy ma pani za co wrócić do domu?

- Och, nie. - Emma była przerażona. Nie chciała, żeby to zabrzmiało, jakby prosiła o pieniądze.

- Nalegam. Chcę się upewnić, że dotrzecie bezpiecznie do domu. Przeżyła pani szok. - Antonia położyła dłoń na ramieniu Emmy. - Pójdzie pani ze mną na kawę? Ja stawiam.

- Nie mogę się zgodzić. Już tyle pani zrobiła. - Emma czuła, że zaczyna się bronić. Wiedziała, że musi wyglądać okropnie, umazana łzami, rozczochrana jak strach na wróble. Rozdarła rękaw kurtki, gdy upadła na peronie, a nosek jednego z butów odłaził od podeszwy. Antonia wydawała się miła, ale Emma po prostu chciała już, żeby zostawiła ją w spokoju. Chciała znowu być sobą, może jeszcze sobie popłakać, gdyby przyszła jej ochota. Ostatnio w ogóle jakoś trudno było jej rozmawiać z ludźmi, a co dopiero z kimś takim jak Antonia, która owszem, była bardzo taktowna, ale na pewno się zastanawiała, jak ktoś mógł być tak głupi, żeby zostawić dziecko w pociągu.

- Tylko jedna kawa. - Antonia przyglądała się jej. - Wie pani co? Mam pomysł. Odwiedzałam znajomą i umówiłam się z mężem w centrum, ale może zadzwonię do niego, żeby po mnie przyjechał samochodem? Podwieziemy was do domu.

Emma chciała odmówić. Naprawdę chciała, ale była rozbita, zmęczona i dziwnie wzruszona, że ktoś jest dla niej taki miły. Ramiona miała ciężkie, jakby leżał na nich koc.

- Dobrze - wymamrotała. Oczy ją zapiekły. - Dziękuję.

Kiedy znów wycierała nos, Antonia wstała z Ritchiem na rękach.

- Posadzę tego młodego człowieka.

- Nie pozwoli pani... - zaczęła Emma, ale Antonia już sadzała Ritchiego w wózku. Nie protestował. Głowa mu się kiwnęła, powieki opadły. Antonia zapięła szelki. Wyglądało na to, że doskonale wie, co robi.

- No. - Pogłaskała chłopczyka po głowie. - Chce ci się spać, co? Małe biedactwo.

Emma podeszła, by popchnąć wózek, ale Antonia trzymała dłonie na rączkach. Ruszyła żwawym krokiem w stronę schodów. Emma nie miała innego wyjścia, jak ruszyć za nią. Peron był otwarty z obu końców; chłodny wiatr rozwiewał im włosy. Emmę szczypały kolana pod dżinsami. Dziwnie się czuła, kiedy tak nie musiała nic nieść czy pchać; ani torby, ani wózka. Straciła kontrolę nad sytuacją. Była bezbronna. Wolałaby nieść Ritchiego, wyjąć go z wózka i wziąć na ręce, ale Antonia była taka miła, a poza tym nie należało teraz go budzić, więc tylko patrzyła na syna z boku. Mój Boże. Mój Boże.

Pomogła Antonii wnieść wózek po schodach. Przy bramce Antonia odwróciła się i zagadnęła:

- Straciła pani bilet, zgadza się? Musi pani zgłosić strażnikowi, że zgubiła torebkę, i poprosić, żeby panią wypuścił.

Emma się zawahała.

- Proszę iść. - Antonia zachęciła ją uśmiechem. - Niech się pani nie martwi o Ritchiego i o mnie. Poczekamy przy wejściu.

Emma chciała to załatwić jak najszybciej, więc nie wspomniała sympatycznemu strażnikowi w pomarańczowej kamizelce o tym, że Ritchie został w pociągu. Powiedziała tylko, że zgubiła torebkę na poprzedniej stacji, Stepney Green, i zapytała, czy nikt jej nie zwrócił. Strażnik wszedł do budki, żeby zadzwonić. Emma zerknęła przez bramki w stronę wejścia na stację. Na dworze było już ciemno. Chyba padało. Chodniki błyszczały w świetle latarni. W wejściu stało kilka osób, chroniły się przed deszczem albo czekały w kolejce do małego kiosku z gazetami i słodyczami. Kilka innych osób przechodziło przez bram-

ki; mężczyzna w wełnianej czapce, kobieta w hidżabie trzymająca za rękę dziewczynkę. Po chwili zniknęły, słychać było tylko ich kroki na mokrej posadzce. Emma jeszcze raz spojrzała ku wejściu. I zdrewniała. Zrobiła niepewny krok w stronę barierki.

Gdzie się podziała Antonia?

Nagle zobaczyła ją, tuż obok kiosku. Klęczała przy wózku, zapinając Ritchiemu polar; pewnie dlatego Emma nie zauważyła jej od razu. Oddychała, drżąc - była roztrzęsiona. Ritchie spał. Przyglądała mu się chciwie. Głowa opadła mu na pierś i wyglądał, jakby miał trzy podbródki. Rozwichrzone włoski opadały mu na czoło. Uśmiechnięty niebieski słonik na polarze poruszał się w rytm jego oddechu. W tej chwili Antonia uniosła głowę i zobaczyła, że Emma na nich patrzy. Pomachała jej.

Strażnik wrócił.

- Przykro mi, nie ma żadnej torebki - powiedział. - Proszę, to numer do Biura Rzeczy Znalezionych, jeśli chce pani...

- Nie trzeba. - Emma chciała już być przy Ritchiem. Wskazała ręką barierkę. - Mogę przejść? Bilet miałam w torebce.

Strażnik był w dobrym humorze. Zasalutował jej i opuścił barierkę. Kiedy znalazła się po drugiej stronie, ruszyła prosto do Ritchiego. Chciała chwycić rączki wózka, ale Antonia wcisnęła jej w dłoń dwudziestofuntowy banknot.

- Musi pani to wziąć - nalegała, gdy Emma zaczęła protestować. - Tam jest otwarta kawiarnia, niech pani spojrzy. - Wskazała boczną uliczkę i napis w oświetlonej witrynie: U Pana Bapa. - Zaczekamy tam na mojego męża - ciągnęła Antonia. - Niech pani zapłaci za kawę. I pewnie zechce pani kupić coś dla Ritchiego, a ja nie wiedziałabym co.

- Ja... Och, no dobrze - poddała się Emma.

Antonia miała rację. Ritchie niedługo zgłodnieje. Kupi mu coś do jedzenia, ale kiedy tylko wróci do stolika, obudzi go, weźmie na kolana i znów będzie go miała dla siebie.

U Pana Bapa okazał się raczej barem szybkiej obsługi niż kawiarnią. W środku pachniało frytkami i octem. Rzędy brązowych plastikowych stolików i ławek zajmowały połowę lokalu. Przydałoby się je powycierać. Pod tylną ścianą była lada zastawiona wielkimi butlami sosu i musztardy. Jedyne klienty poza nimi, starszy, brodaty mężczyzna w beżowej wiatrówce zapiętej pod szyję, siedział przy stoliku w kącie i wpatrywał się w filiżankę w swojej dłoni.

- Nie za przyjemnie tu, co? - Antonia zmarszczyła nos. - Ale ciepło. I nie będziemy długo siedzieć.

Podjechała wózkiem do stolika przy oknie. Ritchie wciąż spał. Emma poszła złożyć zamówienie.

- Dwie kawy poproszę - powiedziała szybko do siwego, nieogolonego mężczyzny za ladą. - I drożdżówkę z czekoladą. I kartonik mleka.

- Duże czy małe kawy?

- Wszystko jedno.

Emma przestępowała z nogi na nogę i oglądała się za siebie, gdy mężczyzna grzebał w wysokiej stalowej lodówce. Ściana za ladą była usmarowana czymś czerwonym, co już brązowiało i pokryło skorupą farbę. Ketchup, miała nadzieję Emma. Zadrżała. Okropnie pracować w takim miejscu w niedzielny wieczór. Antonia siedziała pod oknem i rozmawiała ściszym głosem przez komórkę; pewnie nie chciała obudzić Ritchiego. Zakrywała usta dłonią.

- Jeszcze coś? - zapytał mężczyzna za barem.

- Och. - Emma spojrzała na tacę. - Nie. Dziękuję. Tylko to.

Barman nie radził sobie z kasą. Szuflada ciągle wyskakiwała w nieodpowiednim momencie. Za każdym razem kręcił głową i zatrząskiwiał ją z powrotem. Emma wolałby, żeby po prostu wydał jej resztę. Ritchie poruszył się we śnie. Teraz głowę miał odchyloną do tyłu, a buzię otwartą - było widać jego białe górne ząbki. Antonia wciąż rozmawiała przez telefon. Siedziała tyłem do Emmy, ale głowę miała odwróconą na bok, a dłoń odsłoniła usta. Emma widziała poruszenia jej warg.

- Będzie rak - powiedziała. A przynajmniej tak to wyglądało.

Nie wiedzieć czemu Emmie stanął przed oczami wyraźny obraz. Jej mama przed telewizorem w ich szeregowym domku w Bath. Emma przy stoliku w kącie odrabiała lekcje. Zasłony były zaciągnięte, a w kominku migotały płomienie. Emma widziała mamę siedzącą jak zwykle w brązowoczerwonym kwiecistym fotelu przy ogniu. Na stoliku obok niej stał kubek niedopitej herbaty. Z nieruchomą, niemal smutną twarzą oglądała w skupieniu program.

Emma zmarszczyła brwi. Ile razy w dzieciństwie widziała mamę w fotelu oglądającą telewizję? Co sprawiło, że nagle jej się to przypomniało? Znowu spojrzała na Ritchiego i pokręciła głową.

Mężczyzna wreszcie poradził sobie z szufladą i wydał Emmie resztę. Emma zaniósła tacę z kawami, mlekiem i drożdżówką do stolika. Antonia wciąż rozmawiała przez komórkę. Emma postawiła tacę na blacie.

- Przepraszam, że tak długo... - zaczęła.

Antonia podskoczyła, odwróciła się gwałtownie, po czym uniosła palec i się uśmiechnęła.

- Muszę kończyć - powiedziała do telefonu. - Widzimy się niedługo.

Pomogła Emmie zdjąć kawę z tacy.

- Rozmawiałam z mężem - wyjaśniła. - Już jedzie.

Emma usiadła z ulgą i przyciągnęła do siebie wózek z Ritchiem.

- Ten młodzieniec nie będzie nas raczej absorbował - stwierdziła Antonia.

- Zaraz się obudzi. - Emma rozpakowała czekoladową drożdżówkę. - To jego pora kolacji.

- Nie wygląda mi na to, żeby chciało mu się jeść.

- Zaraz mu się zachce - odparła Emma ostrzej, niż zamierzała.

Antonia nie odpowiedziała. Przysunęła sobie kawę, wzięła ze stolika stalowy dzbanuszek na mleko i zaczęła nalewać. Emma natychmiast pożałowała swojego tonu. Co w nią wstąpiło? Antonia tylko chciała być miła.

Grzeczniej już zapytała:

- A państwo macie dzieci?

Stalowy dzbanuszek znieruchomiał w powietrzu. Antonia pottrzymała go chwilę, nim odpowiedziała:

- Tak, mamy. Małego synka.

Znów przechyliła dzbanek i dołała mleka. Emma była zaskoczona. Zakładała, że dzieci Antonii powinny być już dorosłe. A przynajmniej nastoletnie. Antonia była za bardzo zadbana jak na matkę małego dziecka. Może miała nianię. Zanim Emma zdążyła zapytać, gdzie jest dziecko, Antonia odstawiła dzbanek i wskazała głową wózek Ritchiego.

- Mówiła pani, że jesteście tylko we dwoje. Rozumiem, że tata tego malca nie mieszka z wami?

- Nie - odparła Emma. - Rozstaliśmy się przed narodzinami Ritchiego.

- Ale rodzina pani pomaga?

- Nie mam żadnej rodziny. Moi rodzice nie żyją.

- Rozumiem. Sama na świecie.

Emma zamieszała kawę.

- Domyślam się, że się wam nie przelewa - oświadczyła Antonia, obrzucając wzrokiem sfilcowany wełniany sweter Emmy i jej sprane dzinsy. - Jak pani sobie radzi?

- Jakoś.

- Ale to nie jest idealna sytuacja dla dziecka, prawda? Bez pieniędzy, bez wsparcia rodziny. To trochę nie fair wobec niego.

Emma poczuła się nieswojo. Nie miała ochoty dłużej o tym rozmawiać. Schyliła się, by rozpiąć szelki Ritchiego. Chłopczyk natychmiast zeszytywniał i się skrzywił. Emma wiedziała, że budzi go na siłę i że będzie grymasił, ale chciała go obudzić, odzyskać dla siebie.

- Ćśś - uspokajała go, ciągnąc za paski. Wyprężył się w szelkach, zaciskając klamerkę.

- Ciągle zmęczony - stwierdziła Antonia. - Może powinna pani dać mu spokój.

- Ritch, popatrz. - Emma odwróciła się do stolika. - Chcesz drożdżówkę? - Opanowała drżenie rąk, odrywając kawałek bułki.

Gdy znów się odwróciła, Antonia trzymała Ritchiego na kolanach. Nie wiadomo kiedy wyjęła go z wózka. Emma nie wiedziała, co powiedzieć.

- Nie powinien jeść słodczy - oznajmiła Antonia. Ritchie na jej kolanach przecierał oczy. - Prawda, maluszku?

Emmie łomotało serce. Myślała: Nie chcę, żeby nas podwoziła. Po prostu sobie pójdziemy.

- Och! - zawołała Antonia. - Pani warga znowu krwawi.

Emma poczuła wilgoć na dolnej wardze. Uniosła dłoń do ust, po czym spojrzała na palce i zobaczyła krew na opuszkach.

- O Boże. - Antonia się zatroskała. - A mnie skończyły się chusteczki.

Emma zerwała się, żeby wziąć serwetkę z lady. Ale nie było ani jednej. Barman zniknął; prawdopodobnie wszedł do kuchni przez drzwi za lodówką, zasłonięte kolorowymi plastikowymi paskami.

- Halo! - zawołała Emma. - Halo!

Usłyszała głos Antonii:

- Może tam pani coś znajdzie.

Emma się odwróciła. Antonia wskazywała przejście między ladą a ścianą. Za nim widać było wąski korytarzyk i drzwi z napisem „Toaleta”.

Emma bez słowa weszła w korytarzyk. Chciała tylko wziąć parę papierowych ręczników, zmyć krew, zabrać Ritchiego i wynieść się stąd. Chwytnąjąc za klamkę, obejrzała się jeszcze. Widziała stolik, przy którym siedziała Antonia z Ritchiem na kolanach. Mały ciągle tarł oczy. Nagle zobaczył Emmę i buzia mu pojaśniała. Posłał jej promienny uśmiech i wyciągnął rękę.

- Ma! - zawołał.

Omal nie zawróciła po niego. Przystąpiła niepewnie z nogi na nogę. Ale twarz i ręce miała zakrwawione, a jeśli toaleta wyglądała tak jak reszta lokalu, to już sobie wyobrażała, w jakim jest stanie. Nie chciała wprowadzać tu Ritchiego, jeśli mogła tego uniknąć. W Antonii było coś dziwnego - jakaś wyniosłość, która nie podobała się Emmie - ale dobrze opiekowała się Ritchiem przez tych parę minut w pociągu i na stacji. Ritchiemu nic nie będzie, jeśli z nią zostanie. Jeszcze przez kilka sekund.

Emma uśmiechnęła się do niego.

- Za chwileczkę wracam - obiecała.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Kiedy wciągnęła powietrze, była zadowolona, że zostawiła Ritchiego w sali. Toaleta składała się z jednego pomieszczenia, bez okna, z maleńką umywalką pokrytą szarą siecią pęknięć. W wentylatorze nad umywalką dostrzegła grudki czarniawego brudu. To naprawdę było okropne miejsce. Emma pomyślała, że zabierze stąd Ritchiego jak najszybciej, nawet gdyby musiał przez to długo czekać na kolację. Spojrzała na siebie w lustrze nad umywalką, odrapanym i krzywym; jej twarz była szersza niż w rzeczywistości, ale Emma dostrzegła spuchniętą ranę na wardze, z której sączyła się krew. Policzek i podbródek też miała umazane krwią. Wyglądała koszmarnie.

W pojemniku na tylnej ścianie kabiny była wielka rolka papieru toaletowego. Emma sięgnęła po nią, starając się nie zaglądać do sedesu. Oderwała kilka kawałków, zapewne brudnych, ale nic sobie z tego nie robiła. Zmoczyła papier pod małym strumyczkiem wody z kranu i wytarła twarz. No. Najgorsze załatwienie. Wrzuciła papier do kosza pod umywalką, oddarła kolejny kawałek i przycisnęła do wargi na kilka sekund. Ale kiedy próbowała go odkleić, okazało się, że przyłgnął do ranki i zerwał strupek. Znowu pociekła krew. Emma westchnęła zniecierpliwiona. Musiała użyć jeszcze dwóch kawałków papieru, zanim raneczka wreszcie przyschła. Emma znów wytarła podbródek i umyła ręce. Nie szukała nawet niczego, czym mogłaby je wysuszyć.

Kiedy wyszła z toalety, odetchnęła i rozejrzała się. Patrzyła wzdłuż korytarzyka w stronę witryny baru; miała stąd dobry widok na większość stolików. Widziała szybę z łuszczącym się, odwróconym czerwonym napisem U Pana Bapa. Ale w miejscu, gdzie spodziewała się zobaczyć Ritchiego z zaróżowioną, zaspną buzią, i Antonię, nie było nikogo. Zniknął też wózek Ritchiego.

Emma nie od razu się zaniepokoiła. Muszą tu gdzieś być. Po prostu ich nie widzi. Weszła do sali barowej i znów się rozejrzała. Blaty stolików były lepkie i żółte w świetle jarzeniówek. Brodaty staruszek siedział z zamkniętymi oczami. Barman gdzieś się podział.

Emma stanęła niepewnie na środku kawiarni. Co tu się dzieje? Co jest grane? Nagle ją olśniło. Wyszli na dwór! Przyjechał mąż Antonii. Ubrali Ritchiego, wsadzili do wózka i wszyscy troje czekają na ulicy.

Podeszła do drzwi i otworzyła je szarpnięciem. Popatrzyła na uliczkę, w obie strony. Na głównej ulicy - samochody i autobusy. Niektóre sklepy jeszcze otwarte, ich jasne witryny odbijają się w chodniku. Z jednego z nich dobiega głośna muzyka - nieznany wschodni rytm. Grupki brodatych mężczyzn; kilku w okrągłych kolorowych czapkach. Ani śladu kobiety w zakiecie z futerkiem i dziecięcym wózkiem.

Parę metrów dalej od ulicy odchodziła kolejna przecznica. Emma podbiegła na róg i wyjrzała zza niego. Bariery wzdłuż chodników, trzy autobusy, jeden za drugim. Bloki mieszkalne, pub.

Żadnej kobiety z wózkiem.

Starając się nie panikować, Emma wróciła do kawiarni. To jakiś absurd. Oni muszą tu być! Antonia na pewno wzięła Ritchiego do innego stolika, do części lokalu, której Emma nie zauważyła wcześniej. Ale powinna była jej powiedzieć. Tego już za wiele. Emma postanowiła, że kiedy znajdzie Ritchiego, naprawdę go zabierze i pójdzie sobie.

Ale choć szybko obrzuciła wzrokiem całą kawiarnię i zajrzała nawet za ladę, potwierdziło się to, co wiedziała od chwili, kiedy tutaj weszła: było to tylko jedno kwadratowe pomieszczenie z witryną i drzwiami od frontu. Żadnych schodów, żadnych zakamarków. Żadnych stolików, których nie widziała wcześniej. Żadnej dodatkowej sali.

Rzuciła się korytarzykiem do toalety. Otworzyła drzwi, by sprawdzić, czy na pewno nie ma tu drugiego pomieszczenia. Ale było tylko to jedno śmierdzące WC.

Roztrzęsiona pobiegła do lady.

- Przepraszam! - zawołała piskliwym głosem. - Przepraszam.

Kolorowe, plastikowe paski poruszyły się. Nieogolony mężczyzna wyjrzał z kuchni.

- Widział ich pan? - spytała Emma.

- Kogo?

- Mojego syna. Są tam? Weszli do kuchni?

Mężczyzna rozłożył ręce, nic nie rozumiejąc. Emma podniosła klapę lady. Podbiegła do drzwi i rozsunała paski. Zobaczyła kuchnię ze stalową armaturą, pełną garnków i stert talerzy; pachniało fasolką. Ale nie było tu Ritchiego. Ani Antonii.

- Co pani wyprawia? - Mężczyzna przyskoczył do niej. Emma odwróciła się do niego.

- Była tu kobieta. - Z trudem zachowywała spokój. - Przy oknie, z moim synem. Zabrała go? Dokąd poszli?

- Ja nie wi...

- Zostawiła go samego?! - Emma już krzyczała. - Ona go zabrała czy ktoś inny? Musiał pan coś widzieć, ślepy pan jest?

Mężczyzna cofnął się zaniepokojony.

- Nie widziałem nikogo - powiedział. - Nie wiem, dokąd poszli.

Emma przepchnęła się obok niego z powrotem do sali. Staruszek pod ścianą patrzył na nią. Jego oczy przesłaniała błękitnawa błonka.

- Może pan ich widział? - spytała błagalnie Emma.

Staruszek ścisnął filiżankę. Był starszy, niż jej się z początku wydawało, trząśł się i chyba niewiele do niego docierało. Nie wiedziała, czy w ogóle rozumiał, co mówiła.

- Niech pan dzwoni po policję! - krzyknęła do barmana. - Ktoś zabrał moje dziecko.

Dwaj mężczyźni tylko gapili się na nią.

- Wezwijcie policję! - wrzasnęła Emma i wybiegła szybko na ulicę.

Ani śladu po Ritchiem. Nie mogła nawet biec, bo nie wiedziała, w którą stronę. Ulica rozmazała się jej przed oczami; zrobiło jej się słabo.

- Ritchie! - zawołała. - Ritchie!

Z gardłem ściśniętym ze strachu jeszcze raz się rozejrzała, stając na palcach. Wszędzie ludzie, w kurtkach, szalikach i płaszczach, ale żadnego dziecka. Ritchie wyparował jak kamfora. Emmą szarpały mdłości. Chciała przejść przez jezdnię na wysepkę pośrodku, żeby mieć lepszy widok na obie strony ulicy, ale barierki wzdłuż chodnika zamykały jej drogę.

- Ritchie! - krzyknęła. - Boże, błagam. Niech ktoś mi pomoże. Porwali mi dziecko.

Mężczyzna w czapce bejsbolowej i kurtce szedł długim krokiem prosto na nią.

- Proszę. - Emma spróbowała go zatrzymać. - Proszę. Potrzebuję pomocy.

Ominął ją i pomaszerował dalej.

- Błagam. Ludzie. - Emmie brakowało tchu z przerażenia. Siłą woli trzymała się na nogach, choć się pod nią uginały. Nie była w stanie jasno myśleć. Co robić? Ktoś musi jej pomóc, bo ona nie może, po prostu nie potrafi niczego wymyślić.

Tęga kobieta w średnim wieku, obładowana plastikowymi reklamówkami, przystanęła i spojrzała na nią.

- Co się dzieje? - zapytała. Emma prawie rzuciła się na nią.

- Błagam. Och, błagam. Ktoś mi zabrał dziecko.

- Kto pani zabrał dziecko?

- Ta kobieta była... Widziała ich pani? Kobietę z małym chłopczykiem? Mijała ich pani po drodze?

- Ja nie... - Kobieta wahała się.

Wokół Emmy zatrzymywali się kolejni ludzie. Mówili głównie w obcych językach, więc ich nie rozumiała. Usłyszała tylko dwa czy trzy angielskie zdania:

- Kto zabrał dziecko?

- Ta chuda dziewczyna w podartej kurtce.

- Ma krew na twarzy?

- Moje dziecko zostało por-wa-ne. - Dlaczego oni wszyscy tak tu stoją? Emmie nie mieściło się to w głowie. Złapała kobietę w średnim wieku za poły swetra.

- Niech pani dzwoni na policję! - wrzasnęła. - Co się z panią dzieje, do cholery?

Kobieta cofnęła się gwałtownie, jej mina mówiła: w co ja się wplątałam? Ktoś rzucił ostrym tonem do Emmy:

- Hej, spokojnie, paniusiu.

Emma puściła kobietę. Pognała ulicą w przeciwnym kierunku niż ten, z którego ona nadeszła, zakładając, że gdyby widziała po drodze Ritchiego, powiedziała by jej. Świszczący oddech wydobywał jej się z piersi. Za każdym wdechem do płuc dostawała się tylko odrobina powietrza. Boże, byle nie zemdleć. Nie mogła zemdleć, czas naglił, musiała znaleźć synka, zanim będzie za daleko. Pobiegła w ciemne zakamarki i boczne ulice, wypatrując pokrytej puszkami główki i niebieskiego polaru wśród tych wszystkich kolorów i w mroku. Czy mąż Antonii przyjechał i porwali Ritchiego we dwójkę? Czy Antonia w ogóle miała męża? Dziecko? Czy może była wariatką, która... O Jezu!

Lód w żyłach.

Może Ritchie w ogóle nie był z Antonią. Może ona się znudziła, wyszła z kawiarni i zostawiła go, a ktoś inny, ktoś, kogo Emma nawet nie potrafiła sobie wyobrazić, zobaczył chłopczyka samego, wszedł i zabrał go.

Ulica zniknęła. Wszystko dookoła pojawiała się i zniknęło jak oświetlone stroboskopem na dyskotekce. Emma czuła, że przeciska się między ludźmi, odpycha ich z drogi. Pędziła przed siebie, wbiegała w boczne uliczki i znów wracała na główną.

Nie wiedziała, w którą stronę biegnie, czy szuka ciągle w tych samych miejscach, czy w różnych - wszystkie wyglądały podobnie; ci sami ludzie, ulice, budynki. Czy ich nie zauważyła? Przebiegła tuż obok? Czy kręciła się w kółko, w ogóle się nie posuwając, gdy tymczasem on był coraz dalej i dalej?

Stroboskopowe błyski nabierały tempa. Krzyczała jego imię wciąż od nowa:

- Ritchie! Ritchie! Ritchie!

W końcu uklękła na jezdni i zaczęła niezrozumiale wrzeszczeć, po prostu wyła. Roztrąbiły się klaksony. Wśród rozjarzonych świateł słychać było głosy.

- Spójrzcie na nią. Coś jej jest.

- Naćpana?

Głowę Emmy wypełniał hałas, chaos kolorów i ruchu. Była oszołomiona, wszystko działo się za szybko. Nie potrafiła się skupić. Za wiele rzeczy do przemyślenia. Zbyt pilnych. Za dużo. Padła naprzód, na dłonie. Otarła się twarzą o asfalt.

- Dobrze się pani czuje? - spytał kobiecy głos.

- Niech ktoś wezwie karetkę. Zawierowali, rozmazali się i zniknęli.

Błękitne przyćmione światło. Łagodne dla oczu. Po drugiej stronie wzorzystej zasłonki przytłumiona muzyka głosów i kroków; tutaj - mała oaza ciszy, a ona w jej centrum. Leżała w łóżku, z obolałymi, sztywnymi kolanami. Miała zły sen, że Ritchie zmarł. Nie, że zostawiła go w metrze. Nie pamiętała. Ale teraz już wszystko dobrze. Obudziła się. Koszmar przysł.

Rozdział 3

Przy nogach łóżka dziewczyna w niebieskim mundurku pracownicy notowała coś w teczce. Emma patrzyła na nią półprzytomnie, senna. Było tu wygodnie i bezpiecznie; takiego komfortu, fizycznego i psychicznego, nie czuła już od bardzo dawna. Dziewczyna przerzuciła kartkę, sprawdziła coś, odwróciła z powrotem i znów zaczęła pisać. Ruchy jej palców były delikatne. Kojące. Hipnotyczne. Kiedyś, kiedy Emma była jeszcze mała i spała u babci, obudziła się w nocy i zobaczyła swoją mamę przy toalecie pod oknem: przeglądała jakieś stare listy. Lampa miała nisko pochylony klosz, światło padało tylko na papier. Emma długo tak leżała, czuła się błogo, bezpiecznie; słuchała szelestu papieru i patrzyła, jak palce mamy przesuwają się po stronach.

Po chwili szepnęła do dziewczyny w błękicie:

- Gdzie jestem?

Dziewczyna szybko uniosła wzrok.

- Och. Obudziła się pani.

Odłożyła teczkę i podeszła do Emmy.

- Jest pani w szpitalu, Emmo. W Royal London, na oddziale pomocy doraźnej. Pamięta pani, jak przywiozła panią karetka?

Karetka? Emma zmarszczyła czoło. Nagle coś zaskoczyło w jej głowie i usiadła. To nie było łóżko, tylko leżanka na kółkach. Rozejrzała się po cichym, niebieskim boksie.

- Gdzie Ritchie? - zapytała. - Gdzie jest mój synek?

- Przepraszam na chwilę. - Pielęgniarka wyjrzała za zasłonkę i przywołała kogoś. Na materiale pojawił się cień, zasłonka wybrzuszyła się i odsunęła na bok. Do boksu wszedł mężczyzna z ogoloną głową, ubrany w białą koszulę z krótkimi rękawami i czarną kamizelkę. Na jego lewym ramieniu sterczał mikrofon walkie-talkie.

Emmie ścisnęło się serce.

- Ritchie. - Usiadła prosto. - Co się stało z Ritchiem?

Policjant nie odpowiedział. Emma się rozszlochała.

- Ritchie - płakała. - Ritchie, gdzie jesteś? - Więc to jednak nie był sen. Ritchie zaginał. Ale co się działo z nią? Czuła się dziwnie otumaniona. Dlaczego nie pamiętała, co się stało?

- Znajdźcie go - błagała policjanta. - Proszę. Musicie go znaleźć.

- Staramy się - zapewnił policjant. - Problem w tym, że nie bardzo wiemy, co właściwie zaszło. Spała pani dwie godziny. O ile wiem, dostała pani coś... - spojrzał na pielęgniarkę - ...na uspokojenie?

Pielęgniarka odparła obronnym tonem:

- Krzyczała, kiedy przywiozła ją karetka. Próbowала wybiec na ulicę. Stanowiła zagrożenie dla siebie. Nie wiedzieliśmy.

Zupełnie jakby mówili o kimś innym. Emma pamiętała jak przez mgłę, że krzyczała coś do tłumu ludzi, ale to było takie nierzeczywiste. W tej chwili była tak otepiała, że ledwie do niej docierało to, co mówiła pielęgniarka. Uczyniła wysiłek, żeby oprzytomnieć, wydobyć się z tych kłębow waty, które otulały jej mózg.

Policjant wyjął notes.

- Czy będzie pani łatwiej - odezwał się, liżąc palec - jeśli powtórzę, co powiedziała pani sanitariuszom na miejscu zdarzenia? Przypomnę, co udało nam się do tej pory ustalić.

- Tak. Bardzo proszę.

Policjant odwracał kartki notesu, aż znalazł właściwą.

- Nazywa się pani Emma Turner i ma pani dwadzieścia pięć lat?

- Tak.

- A Richard... Ritchie, pani syn, ma rok?

- Tak. Skończył w zeszłym miesiącu.

- Uhm. Więc, spotkała pani kobietę... Antonię?

- Tak.

- I rozmawiała pani z nią w kawiarni, a potem poszła pani do łazienki i kiedy z niej wyszła, jej i dziecka już nie było?

- Tak. Tak. - Wata zniknęła. Emma znów była w kawiarni, a Ritchie wyciągał do niej ręce, śmiał się i mówił „ma”. To było tak realne, że omal nie krzyknęła i nie uniosła ręki, by go dotknąć.

- Dobrze. Czy mogłaby pani wyjaśnić dokładniej - policjant postukał w notes - bo tutaj sprawy trochę się komplikują. - Odchrząknął i spojrzał na Emmę. - Czyje dziecko zabrała ta kobieta?

Emma gapiła się na niego osłupiała.

- Moje.

- Jest pani tego absolutnie pewna? Jest pani pewna, że to nie było dziecko tej kobiety?

- Oczywiście, że jestem pewna. - Emma, oszołomiona, spojrzała na pielęgniarkę, szukając pomocy.

Dlaczego on mówi takie rzeczy? - Są świadkowie. Proszę ich zapytać.

- Już pytaliśmy, pani Turner. I to, co mówią, różni się od pani wersji. Świadkom, z którymi rozmawialiśmy U Pana... eee... Bapa, wydaje się, że to ta kobieta przyszła do kawiarni z dzieckiem i że to pani podeszła do nich.

- Nie. - Emma zaczęła szamotać się z kocem na leżance, by usiąść. - To nie tak. Spotkałyśmy się wcześniej. Na stacji metra.

- Tak, to się zgadza. Wcześniej podeszła pani do tej pani i jej dziecka na stacji Whitechapel. Widział to ktoś z personelu, strażnik przy bramce...

- Co?

- Podeszła pani do strażnika i zgłosiła, że zgubiła pani torebkę. Kiedy pani z nim rozmawiała, była pani sama, bez dziecka, bez wózka...

- Nie!

- ...po rozmowie z nim zaczęła pani kobietę z dzieckiem przy wejściu na stację. Wyglądało na to, że prosi ją pani o pieniądze i ona je pani dała... Proszę, pani Turner. Ja tylko streszczam to, co mi powiedziano. Dała pani pieniądze, a potem zostawiła panią i poszła do kawiarni. Kilka minut później znów widziano, jak ją pani zaczepia. Wywiązała się sprzeczka. Pani poszła do toalety, a ta pani wyszła z dzieckiem.

Spojrzał na Emmę.

- Czy tak było?

- Nie! - krzyknęła Emma. - To nie było tak. Ritchie to moje dziecko.

- W porządku, pani Turner. Proszę spróbować się uspokoić. Jestem tutaj, żeby wysłuchać pani wersji.

Oddech Emmy był ochrypły i przyspieszony. Nie mogła nad nim zapanować; zupełnie jakby dostała ataku astmy. Jej usta wypełniły się śliną. Nie mogła przełknąć, ślina wypływała na poduszkę. Pielęgniarka postawiła przed nią miskę.

- Proszę oddychać powoli - poradziła, głaszcząc ją po ramieniu.

Emma splunęła do miski; czuła zapach żółci i plastiku. Zmusiła się, by oddychać normalnie. Teraz wszystko wracało, kokon z waty wokół jej myśli pękał, rozrywał się na poszarpane strzępy.

- Niech pan posłucha - poprosiła, rozpaczliwie chcąc powiedzieć mu jak najwięcej, zanim wszystko znów zniknie. - Było tak.

Słowa płynęły z jej ust niczym rwąca rzeka. Zaczęła od tego, jak Ritchie wdrapał się do pociągu i był taki zachwycony swoim sukcesem. Nim opowiedziała całą historię i zrelacjonowała to, jak leżała na ulicy, wśród tłumu i klaksonów, gwałtownie się rozplakała. Policjant kiwał głową i wszystko zapisywał. Kiedy skończyła, milczał chwilę, stukając w notes końcem długopisu.

- To jest moje dziecko. - Głos Emmy drżał. - Moje.

- Ale przecież mówi pani - powiedział policjant - że poszła pani do łazienki i zostawiła je z kobietą, którą dopiero pani poznała.

Pielęgniarka ścisnęła jej dłoń. Policjant ciągnął dalej:

- Twierdzi pani, że dziecko zostało w pociągu, kiedy drzwi się zamknęły. Czy ktoś jeszcze to widział?

- Nie. - Nagle Emma przypomniała sobie. - Tak. Jakiś mężczyzna. Odciągnął mnie, zanim wpadłam do tunelu.

- Czy ten mężczyzna się pani przedstawił?

- Nie.

Policjant nic nie powiedział.

- Dlaczego miałabym kłamać?

- Ja nie twierdę, że pani kłamie, pani Turner. Ale dlaczego pani nikomu tego nie zgłosiła? Nie wcisnęła pani alarmu, żeby wezwać pomoc? Nie wspomniała pani o tym strażnikowi, z którym pani rozmawiała? Według niego zgłosiła pani tylko utratę torebki.

- Mam dziecko! - krzyknęła Emma. - Dlaczego miałabym tu siedzieć i opowiadać, że zostało porwane, zamiast się nim zajmować?

Teraz klęczała już na leżance, z twarzą tuż przy twarzy policjanta. Nie zareagował. Spokojnie zamknął notes i spojrzał w punkt między oczami Emmy.

- Czy potrafi pani udowodnić w jakiś sposób, że ma pani dziecko?

- O czym pan mówi?

- Z kim pani mieszka? Kto jeszcze zna Ritchiego?

- Z nikim nie mieszkam.

- Musi być ktoś, kto zna was oboje. Członkowie rodziny? Przyjaciele?

Emma zastanawiała się gorączkowo.

- Może pielęgniarka środowiskowa albo lekarz domowy?

- Moja lekarka. Doktor Stanford. W Hammersmith. Ona zna Ritchiego.

- Natychmiast się z nią skontaktujemy. Pamięta pani adres?

- Walker Square. Przychodnia. Ale co z Ritchiem? Co robicie w jego sprawie?

- Kiedy tylko porozmawiamy z doktor Stanford, podejmiemy dalsze działania. Załatwimy to tak szybko, jak się da.

- Ale...

- Wróć, gdy tylko będę mógł, pani Turner. - Policjant stanął przy zasłonce. - Kiedy tylko potwierdzimy informacje, które nam pani podała.

Odsunął zasłonkę i wyszedł.

- Szukajcie go! - zawołała za nim Emma. - Znajdźcie moje dziecko. Musicie mi uwierzyć. - Walila pięściami w poduszkę, płacząc z frustracji. Wata znów otuliła jej mózg. Emma rozgoniła ją. Musi być przytomna. Trzeba ich zmusić, żeby szukali Ritchiego. Boże, jak dawno temu zaginął? Z każdą minutą był coraz dalej od niej. Usiadła, serce łomotało jej z przerażenia. Gdzie on jest? Dlaczego ta kobieta go zabrała? A co będzie, jeśli ona już go nie zobaczy? Na tę myśl zebrało jej się na wymioty. To jakiś koszmar. To

się nie dzieje naprawdę. Lada moment się obudzi i znowu będzie w swoim mieszkaniu, z Ritchiem w łó-
żeczku przy jej łóżku. A przecież była pewna, że tak nie będzie. Miała przeogromne poczucie porażki. Za-
wiadła Ritchiego. Zawsze wiedziała, że tak się stanie, i stało się.

Przy leżance siedział mężczyzna w różowej koszuli i mówił coś do niej. Jego usta otwierały się i
zamykały. Emma patrzyła na niego zdezorientowana. Jego głos dotarł do jej mózgu.

- Czy pani mnie słucha?

- Powiedziałałam wam! - zawołała zrozpaczona. - Powiedziałałam wam wszystko, co wiem. Dlaczego
go nie szukacie?

- Niech się pani skupi, Emmo. Jeszcze tylko parę pytań. Czy Ritchie to pani jedyne dziecko?

- Tak. Tak, jedyne,

- Jak to się stało, że jest pani samotna? Taka młoda kobieta. Żadnej rodziny, nie ma kogo zawiado-
mić. Gdzie jest ojciec Ritchiego?

- Nie mam z nim kontaktu.

- A pani krewni? Rodzice?

- Nie żyją.

- Przykro mi. - Zapisywał wszystko. - Była pani z nimi zżyta?

- Nie... tak... z mamą. - Łzy w oczach. Otarła je ze złością.

- Czy miała pani jakieś problemy psychiczne?

- Słucham?

- Na przykład depresję. Czy leczy się pani?

- Dlaczego pan o to pyta? - Wpatrzyła się w niego. - Jest pan psychiatrą?

- Jestem doktor Canning, z psy...

- Myśli pan, że jestem chora psychicznie? To o to chodzi? Myślicie, że to wszystko to są moje uro-
jenia?

- Oczywiście, że nie.

- Jasne. - Chryste, miała tego dość. Odrzuciła pościel, wyplątała nogi spod koca i usiadła na brzegu
leżanki. - Wychodzę stąd.

- Emmo. Proszę. - Mężczyzna w różowej koszuli odchylił się na krześle, unosząc ręce. - Jest pani
bardzo zdenerwowana. Zastanówmy się nad tym. Jak dotrze pani do domu?

- Gdzie są moje buty?

- Jeśli chce pani wyjść wbrew zaleceniom, musi pani podpisać...

- Świetnie, co pan chce. Do cholery, moje dziecko zostało porwane i nikt nic nie robi w tej sprawie.
Muszę go sama poszukać.

Mamrotała pod nosem; schylona szukała adidasów. Pieprzeni doktorzy. Pieprzona policja. Pieprzeni
wszyscy. Czowała się dziwnie. Otumaniona, odrętwiała. Wiedziała tylko jedno: że musi stąd wyjść i znaleźć
Ritchiego. W tym mieście można liczyć tylko na siebie.

Zasłonka znów się odsunęła. Łysy policjant wrócił.

- Rozmawialiśmy z doktor Stanford - oznajmił.

Emma wbiła w niego oczy, trzymając się poręczy leżanki. Ostre białe światło padało zza pleców mężczyzny. Nie widziała jego twarzy.

Policjant powiedział:

- Doktor Stanford potwierdza, że ma pani syna, którego doskonale zna i widziała wiele razy. Na tej podstawie rozpoczynamy śledztwo w sprawie zniknięcia pani dziecka.

Rozdział 4

Pierwsze wspomnienie Emmy o Ritchiem. Tak, czegoś takiego się nie zapomina. Fioletowy, owinięty w szydełkowy kocyk, leżał jak mały w poprzek jej łóżka. Miała wrażenie, że to jakieś obce dziecko, które położna podrzuciła tylko na chwilę.

- Nie karmi pani piersią? - zapytała położna w granatowym stroju, zajęta zwijaniem mankietu ciśnieniomierza.

- Nie.

- Hm? Wie pani, że to najlepsze dla jego układu odpornościowego?

- Mnie matka nie karmiła piersią. - Emma wysunęła podbródek. - I jakoś sobie radzę.

Koszmarne bóle porodu były już za nią, ale czuła się tak, jakby jej ciało było porozrywane i posiniaczone od pępka aż do kolan. Słaba i ociężała rozplaszczyla się bezwładnie na poduszkach. Krew sączyła się z torebki podłączonej kroplówką powyżej nadgarstka. Dziecko pisnęło i nagle zaniosło się płaczem, śliniąc piąstki. Leżało na jej łóżku, nieumyte, głodne i bezradne - odpowiedzialność za nie ją przytłaczała. Położna ściągnęła usta.

- W takim razie proszę mu dać butelkę. Nie chcemy, żeby spadł mu poziom glukozy.

- Czy przyjdzie do mnie ktoś z opieki społecznej, zanim stąd wyjdę? - zapytała Emma, teraz już grzecznie, skoro wygrała tę pierwszą małą bitwę. - Bo należy mi się zasiłek macierzyński...

- Przyjdzie, przyjdzie. - Położna z klekotem wrzuciła ciśnieniomierz do pudełka. - Niech się pani nie martwi.

Wyszła z pokoju, pchając przed sobą wózek ze sprzętem.

Niesympatyczne krówsko, pomyślała Emma.

Zostawiona samej sobie, wzięła zawodzący tobolek w ramiona, ale trzymała go kilka centymetrów od siebie, bo bała się, że zrobi mu krzywdę. Wzięła butelkę z nocnej szafki i spojrzała na dziecko. Co teraz? Po prostu przyłożyć mu smoczek do ust? Skąd ma wiedzieć, co robić?

Kiedy się zastanawiała, smoczek przypadkiem dotknął ust noworodka, który natychmiast otworzył buzię i zaczął pić. Tak mocno ssał, że Emma przytrzymała zaniepokojona butelkę w obawie, że zniknie

ona w gardle małego żarłoka. Nic takiego się nie stało i po kilku sekundach Emma się rozluźniła. Mały najwyraźniej wiedział, co robi. Wystarczyło więc, że podtrzymała butelkę dłonią.

Przyglądała mu się uważnie, gdy pił, zaskoczona, jaki jest bystry. Myślała, że dzieci przez pierwszych kilka dni nic nie widzą, a on leżał sobie i patrzył na nią spokojnie, szeroko otwierając podobne do śliwek oczka. Miał niesamowitą buzię, pofałdowaną i miękką jak piłka z gąbki. Pomarszczona szyja wystawała z pajacyka. W sali panowała cisza, słychać było tylko rytmiczne cmok-cmok dziecka i pomruk rozmowy z radia. Mina chłopca wyrażała głębokie zrozumienie.

Bardzo przepraszam, zdawał się mówić. Muszę to wypić, ale załatwię to tak szybko, jak się da, i pozwolę ci zająć się sobą. Zamrugał powoli. Naprawdę jestem po twojej stronie.

Niepokój szarpiący wnętrze Emmy zaczął ustępować.

Spiker w radiu zapowiedział:

„A teraz klasyk, Keane”.

Pokój wypełniły pierwsze takty *Somewhere Only We Know*. Emma poczuła ucisk w gardle. Położyła głowę na poduszce. Była w Hampshire, z Oliverem, a piosenkę nadawało radio, gdy tam jechali. Potem spacerowali wzdłuż rzeki.

- Poczekaj, zaraz zobaczysz to miejsce - powiedział. - Jest jak zaklęty las. Niewielu ludzi o tym wie.

Przeszli pod starymi kamiennymi mostami - nie pamiętała, ile ich było - i zanurzyli się w zielone wilgotne światło. Ciężkie gałęzie muskały wodę. Szli jakieś trzy kilometry; nikogo żywego, prócz muszek. Oliver odgarnął z czoła ciemnoblonde włosy. W ciszy jego usta spoczęły na jej ustach.

Emmie zdreptały ręce. Rozluźniła je i dziecko przywarło do niej. Opuściła głowę, wciąż czując bolesny ucisk w gardle, i cienkie włoski małego musnęły jej usta.

Nie mogła dać mu na imię Oliver. Nie po tym, co się stało. Ale mogła... jak mieli na imię faceci z zespołu Keane? Jeden chyba Richard? Zawsze to imię lubiła.

- Chcesz być Richard? - zapytała synka.

Nie odpowiedział. Powieki zaczęły mu opadać, usta zwiotczały wokół smoczka.

- No dobrze. Więc tak cię nazwiemy.

Jedno zmartwienie mniej. Słońce padało ukośnie z okna na łóżko. Emma poczuła się zmęczona, ogarnął ją spokój, jakby i ona mogła wreszcie zasnąć.

- Pierwsze dwadzieścia cztery godziny są najważniejsze - powiedziała Lindsay, oficer do spraw kontaktów z rodzinami ofiar. - Musimy zebrać informacje tak szybko, jak się da. Niektóre pytania mogą się pani wydać wścibskie lub zbyt osobiste, ale tak wygląda procedura, więc proszę się nie obrażać.

Minęło pięć godzin od porwania Ritchiego. Lindsay była taka wysoka, błyskotliwa i rzeczowa. Emma przy niej czuła się mała, zimna i nijaka. Przeważnie była odrętwiała, ale od czasu do czasu w jej głowie eksplodowała panika, przesłaniając wszystko. Gdzie jest Ritchie? Co się z nim dzieje? Mniej więcej co godzinę dostawała dreszczy; wtedy wszystkie jej mięśnie, szczególnie szyi, drżały i z napięcia aż bolały.

- Myśli pani, że on żyje? - szepnęła.

- Ależ oczywiście - odparła Lindsay. Objęła Emmę. - Taki śliczny chłopczyk jak on? Nikt by go nie skrzywdził. Jestem pewna, że dobrze go traktują.

Lindsay była chyba ze dwa lata starsza od Emmy, ale wyglądała młodziej. Jędrna i gładka skóra. Włosy, równie długie i ciemne jak włosy Emmy, gęste i błyszczące. Miała wesolą, beztroską twarz; twarz, na której gościł lekki uśmiech, nawet gdy się nie uśmiechała. Każdy powiedziałby o niej: dziewczyna, nie kobieta.

Przyszła do Emmy do szpitala, kiedy policja wreszcie zdecydowała się szukać Ritchiego.

- Na czas trwania poszukiwań będę pani oficerem kontaktowym - wyjaśniła. - Proszę mnie uważać za łączniczkę między panią a policją. Jeśli tylko będzie pani chciała z kimś porozmawiać, może pani dzwonić do mnie; ja sama będę regularnie dzwonić i odwiedzać panią, dopóki Ritchie się nie znajdzie, żeby pani zawsze wiedziała, co się dzieje.

To Lindsay, razem z dwójką innych policjantów, odwiozła Emmę ze szpitala do jej mieszkania w Hammersmith. Klucze i karta wejściowa Emmy były w jej torebce, gdzieś na East Endzie, ale policja postarała się o zapasowy komplet w spółdzielni mieszkaniowej. Emma, wciąż otepiała, stanęła pod oświetlonym zadaszeniem klatki wieżowca i przeciągnęła nową kartę przez czytnik przy drzwiach. Tylko w niewielu oknach bloku świeciło się jeszcze światło. Ciężkie metalowe drzwi odtworzyły się z głośnym, dwukrotnym szczęknięciem.

Gdy weszła do swojego mieszkania na piątym piętrze, uderzył ją zapach zimnych tostów i płatków owsianych. Naczynia po śniadaniu piętrzyły się w kuchennym zlewie, wśród nich plastikowa miseczka Ritchiego z Bobem Budowniczym namalowanym na dnie, miejscami pokrytym zaschniętą owsianką. Jego zabawki wciąż leżały rozrzucone po mieszkaniu, tak jak je zostawił: czerwona ciężarówka, na której właśnie nauczył się jeździć, brawurowo szarżując na meble; lokomotywa, z której wydobywał się głos: „Wszyscy wsiadać, drzwi zamykać”, kiedy nacisnęło się komin; sucharek z okruchami pod stołem ponadgryzany maleńkimi zębami; żaba przytulanka o imieniu Żabulec. Każdy z tych przedmiotów sprawiał, że Emma czuła coraz większy ciężar w piersi, aż ból stał się nieznośny.

Policjanci poprosili Emmę, by pozwoliła im się tutaj rozejrzeć, po czym zaczęli przeszukiwać mieszkanie. Szukali wszędzie: w wąskiej, pomalowanej na żółto sypialni, gdzie stało łóżeczko Ritchiego i pojedyncze łóżko Emmy; w łazience, z jej oliwkową wanną i gumowym węzem od prysznica wiszącym na kurkach, i pod umywalką, gdzie stała żółta plastikowa wanienska Ritchiego. W szparze koło wanny leżał jego kubek z dziobkiem. Emma szukała go od tygodnia.

Policjanci przegrzebali dokładnie szafki kuchenne i sprawdzili kosz na brudną bieliznę. Na czworakach obejrzel podłogi - nakrapiane linoleum w kuchni, szorstkie, zielone wykładziny w sypialni oraz salonie.

- Czego oni szukają? - pytała w kółko Emma. - Ritchie nie został porwany stąd. Dlaczego nie robią tego w kawiarni?

- To rutynowe postępowanie - uspokajała ją Lindsay.

Policjanci zebrali pojedyncze włosy Ritchiego w jego łóżeczku, zabrali też jego szczoteczkę do zębów, kocyk i kilka ubranek.

- Dla psów tropiących - wyjaśniła Lindsay. - I do pobrania próbek DNA. To potrzebne przy poszukiwaniach.

- Ma pani jakieś ubranka podobne do tych, które miał na sobie? - zapytał jeden z policjantów.

Emma dała mu dokładnie takie same spodnie; sprzedawano je w Primark w dwupakach. Policjant dołączył do nich etykietkę i zabrał. Emma opisała polar chłopczyka.

- Może są jakieś jego zdjęcia w tym ubraniu?

Kiedy szukała fotografii, zdziwiła się, jak mało ma zdjęć ich dwojga. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że może powinna robić ich więcej. Na ostatnim zdjęciu Ritchie wydał jej się bardzo samotny. Siedział okrakiem na swojej czerwonej ciężarówce na tle pustej żółtej ściany; z przymkniętymi powiekami uśmiechał się wstydliwie do aparatu leniwym uśmiechem Olivera. Zdjęcie zrobiła w jego urodziny. W sierpniu. Miał na sobie dzinsowe szorty i niebieską koszulkę z napisem „Supersurfer”.

Policjant musiał niemal wyrwać jej zdjęcie z ręki.

- Ma pani kopię? - zapytał.

- Nie.

- Przykro mi. - W jego głosie brzmiała życzliwość. Sam wyglądał na ojca, był trochę rozczochrany i niechlujny, jakby dzieci po nim skakały. - Musimy je zabrać. Proszę na nim napisać nazwisko i adres. Postaramy się je zwrócić.

- A co ja mam robić? - spytała Emma. - Czuję, że powinnam coś zrobić. Szukać go. Nie tkwić tutaj jak kołek.

- Musi pani być przy telefonie - odparła Lindsay. - Gdyby ktoś próbował się dodzwonić. Wie pani, w sprawie okupu na przykład.

- Okupu? Wolne żarty.

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Ale oni nie wiedzą, gdzie mieszkam. Nie znają mojego numeru telefonu.

Lindsay powtórzyła tylko:

- Naprawdę nigdy nic nie wiadomo.

Zaparzyła gorącej słodkiej herbaty i próbowała nakłonić Emmę do jej wypicia.

- Nie mogę. - Emma przez moment trzymała łyk w ustach, po czym wypluła do zlewu. - Nie przełknę.

- Powinna pani coś zjeść, Emmo. Coś z cukrem. Jest pani blada jak ściana. Nie pomoże pani Ritchiemu, jeśli się pani rozchoruje.

Ale Emma za bardzo się trzęsła, a w gardle czuła kulę.

- Czy jest ktoś, do kogo możemy zadzwonić? - spytała Lindsay. - Jakaś przyjaciółka albo choćby sąsiadka? Ktoś, kto mógłby przyjść tu i zostać z panią na noc?

- Nikogo nie potrzebuję. - Emma pokręciła głową. - Jedyne, czego mi teraz potrzeba, to żebyście znaleźli Ritchiego.

Rosły mężczyzna z ciemnymi włosami i wąsem stanął przed kanapą.

- Komisarz Ian Hill - przedstawił się, wyciągając rękę. - Oficer wydziału dochodzeniowo-śledczego. Zajmuję się pani sprawą.

Wyglądał dokładnie tak, jak według Emmy powinien wyglądać prawdziwy policyjny detektyw: wysoki, z szerokimi barkami i w beżowym prochowcu z paskiem. Chwyciła jego dłoń i przytrzymała w mocnym uścisku, jakby chciała nie pozwolić mu odejść.

- Niech mi pan obieca, niech mi pan obieca, że go znajdziecie. Że przywieziecie mi go z powrotem.

Komisarz Hill podrapał się po wąsach i powiedział:

- Zrobimy, co w naszej mocy, pani Turner. - Bardzo delikatnie spróbował zabrać dłoń. - Ale na razie chciałbym zadać pani kilka pytań.

To wszystko było takie prozaiczne. Takie zwykłe. Rozmawiali o tym jak o kradzieży roweru. To ich opanowanie zdeorientowało Emmę, więc z początku odpowiadała na pytania komisarza spokojnie i racjonalnie. Nagle zapytał:

- Może nam pani opowiedzieć o tej chwili, kiedy zauważyła pani zniknięcie syna?

Nagle rzeczywistość znów uderzyła ją jak obuchem. Pomyślała: To ja, to przydarza się mnie. To mój syn zaginał! Jej gardło znów się zacisnęło. Płuca jakby spuchły. Klatka piersiowa stała się za mała, żeby je pomieścić. To nie mogło się dziać naprawdę. Nie mogła tu być. Z trudem powstrzymywała się, żeby się nie zerwać i nie wypaść jak burza z pokoju. Musieli przerwać przesłuchanie. Lindsay poprosiła ją, by usiadła głębiej na kanapie i opuściła głowę między nogi.

Komisarz Hill chciał wiedzieć wszystko o Ritchiem. Poprosił Emmę o pozwolenie na wgląd w jego dane medyczne u lekarza rodzinnego.

- Jest pani pewna, że nigdy przedtem nie widziała pani tej kobiety z metra? - zapytał. - Czy miała tu pani ostatnio jakieś dziwne wizyty albo telefony? Czy nikt nie zaczepiał pani i Ritchiego na ulicy? Nie śledził was na spacerach?

Emma odzyskała równowagę na tyle, że potrafiła konkretnie i pewnie odpowiedzieć na te pytania. Nikt ich nie śledził. Nikt nie przychodził i nie dzwonił do mieszkania. Nigdy wcześniej nie widziała Antonii.

- Czy ojciec Ritchiego ma z nim jakiś kontakt? - pytał komisarz Hill.

- Nie.

- Z jego czy z pani wyboru?

- Z jego.

- Myśli pani, że mógłby próbować go pani odebrać?

- Nie. - Emma pokręciła głową. Gdyby tylko mogła wierzyć, że to Oliver. Wtedy wiedziałyby przynajmniej, że Ritchiemu nic się nie stało. - Jestem pewna, że nie zrobiliby tego. To nie w jego stylu.

Komisarz Hill zmierzył ją chłodnym spojrzeniem; mówiło: „Dziękuję bardzo, ale to ja ocenię, co jest w czym stylu”. Z jakiegoś powodu uznał, że nie polubi Emmy. Zapisał coś w notesie i oświadczył:

- I tak będziemy musieli z nim porozmawiać.

Kiedyś Emma wstydziłaby się przyznać Oliverowi, że była tak złą matką, iż pozwoliła porwać swoje dziecko. Ich dziecko. Teraz miała to gdzieś. W mniej niż dwadzieścia cztery godziny wszelkie myśli o Oliverze wyparowały z jej głowy tak dokładnie, jakby w ogóle ich tam nie było. Podała komisarzowi Hillowi numer telefonu do jego siostry w Birmingham. Oliver nie utrzymywał bliskich kontaktów z rodziną, ale Sasha mogła mieć przynajmniej pojęcie, gdzie go szukać.

Pytania padały dalej:

- Ma pani chłopaka? Spotyka się pani z kimś?

- Nie byłam z nikim od czasu Olivera.

- Ma pani jeszcze jakichś znajomych w Londynie?

Emma się zastanowiła.

- Moją były współlokatorkę. Joanne. Ale nie jesteśmy teraz w najlepszych stosunkach.

- A pani sąsiedzi z bloku?

- Właściwie nikogo z nich nie znam.

Dwaj policjanci za plecami Lindsay wymienili spojrzenia. Emma zauważyła to i rzuciła z gniewem:

- Dlaczego wypytujecie mnie o ludzi, których znam? Powiedziałam, że Ritchiego porwała zupełnie obca kobieta. Nigdy wcześniej jej nie widziałam.

- Przepraszam, Emmo. - Lindsay dotknęła jej ramienia. - Wiem, że te pytania wytrącają panią z równowagi. Ale w tej chwili nie możemy niczego wykluczyć.

- A co robicie, żeby znaleźć Ritchiego? - Emma odsunęła się od niej. - Oprócz tego że mnie przesłuchujecie? Co tak naprawdę robicie?

Lindsay wyjaśniła cierpliwie:

- Całkiem sporo, Emmo. Rozmawialiśmy już ze świadkami na miejscu zdarzenia, w metrze i na ulicy przed kawiarnią, staramy się odnaleźć i przesłuchać jak najwięcej osób. Waszego stolika nie sprzątnięto po waszym wyjściu, więc zabraliśmy filiżanki, z których piłyście kawę. Antonia mogła zostawić na swojej DNA. Sprawdzamy też, czy na ulicy przed kawiarnią działały jakieś kamery. Jeśli tak, może udało by się nam uzyskać zdjęcia osoby lub osób, które zabrały Ritchiego, i ustalić, w którą stronę poszły. Na szczęście kamery są na stacjach metra, złożyliśmy więc pilny wniosek o udostępnienie nam taśm. I przekazaliśmy dane Ritchiego oraz jego rysopis do wszystkich gazet. Zobaczysz pani wieczorne wydanie.

Zobaczyła. Krótki akapit na piątej stronie: „Przypuszczalne porwanie dziecka z...” Ale dlaczego nie dali tego na pierwszej stronie? Dlaczego nie pokazali w telewizji? W tym wszystkim brakowało zaangażowania. Na filmach funkcjonariusze robili o wiele więcej, kiedy szukali zaginionych dzieci. Emma poczuła się zagubiona, nie wiedziała, o co jeszcze zapytać.

- A psy tropiące? Śmigłowce? Lindsay odparła:

- Prowadzimy wszelkie adekwatne działania.

Emma chciała się spierać, ale jej oddech znów był zbyt szybki, tak jak w szpitalu. Przycisnęła usta dłońmi, by nad nim zapanować. I znowu te znaczące spojrzenia policjantów.

- Mój syn istnieje - powiedziała i jej głos się załamał; rozszołała się.

- Wiem, że istnieje - odparła łagodnie Lindsay. - Wiem.

Musiała stąd wyjść. Ci ludzie pytający o Ritchiego, nikt z nich go nie znał. Zadawali pytania rutynowo, ot kolejny przypadek. Emma czuła się jak złota rybka gorączkowo pływająca w szklanej kuli, uwięziona i obijająca się o ścianki, gdy ci spokojni zawodowcy patrzyli na sprawę z zewnątrz i robili notatki.

Jedynym miejscem dającym trochę prywatności była jej sypialnia. Wzięła Żabulca z łóżeczka Ritchiego i położyła się, tuląc maskotkę w ramionach. Choć wykończona, wciąż nie umiała powstrzymać gonitwy myśli.

Co oni robią mojemu dziecku? Ta była jedna z najgorszych, zła, wstrętna - zagnieździła się w jej żołądku jak kłęb drutu kolczastego. Lindsay była pewna, że jest dobrze traktowany, ale przecież musiała tak mówić, no nie? Prawda jest taka, że nikt z nich nie wie, kto go zabrał i co się z nim dzieje. Emma wyobrażała sobie Ritchiego otumanionego narkotykami, oddychającego z trudem, z oczami w słup, czekającego w jakiejś furgonetce czy komórce na... na co? Albo jak drząc z zimna w kącie, zjada rzeczy z podłogi i płacze - bo nikt go nie przewinął, a ciało ma odparzone. Czy też że męczy go czkawka, kiedy zrozpaczony zastanawia się, czym zawinił, że tak go zostawiła. By trochę złagodzić strach, skupiła się i spróbowała psychicznie go uściskać. Skoncentrowała się na nim; świat odpłynął i był już tylko Ritchie; siedział w ciemnym pokoju i patrzył na nią, zdziwiony, z policzkami wciąż mokrymi od łez. Emmę zalała fala czułości i radości. Jej ramiona otoczyły pulchne ciało, a on pisnął, zadowolony, i wtulił się w nią. Uspokajała go, czuła, jak drży, jak lgnie do niej, jak chce, żeby zabrała go do domu. I nagle się ocknęła: rzeczywisty świat powrócił.

Nie trzymała w ramionach Ritchiego, tylko Żabulca, z jego wielkimi, wiecznie otwartymi pustymi oczami. Ból był tak nieznośny, że Emma zapłakała. Nie tuliła Ritchiego, on był nie wiadomo gdzie i całkiem sam płakał z tęsknoty za nią. Co oni z nim robili? Co mu robił jakiś chory, pokręcony zboczeniec?

Emma wiała się z bólu. Zbliżała się do granicy wytrzymałości. Dlaczego? Dlaczego poszła ze swoim dzieckiem na kawę z Antonią? Z kompletnie obcą babą! Tak rozpaczliwie chciała z kimś porozmawiać. Była taka naiwna, tak łatwowierna, że zostawiała swojego synka - malutkie dziecko - z kobietą, której nie widziała wcześniej na oczy. Co z niej za matka? Dlaczego dopuściła do tego, żeby Ritchie został w pociągu? Dlaczego nie pilnowała go jak należy? Wciąż od nowa widziała go tam, w drzwiach. Wciąż od nowa to przeżywała: owo dziwne szarpnięcie za szelki, świadomość, że coś jest nie tak. Ale jej torba była na peronie, więc zmarnowała ten ułamek sekundy, by ją pochwycić, zanim się odwróciła.

Już nigdy nikt jej nie wróci tamtego ułamka sekundy. To przeszłość. Wygląda na to, że w chwili, kiedy miało to największe znaczenie, torba z podkoszulkami i spodniami okazała się ważniejsza od jej syna.

Emma nie pamiętała, czy w ogóle spała. Godziny wlokły się niemiłosiernie, a ona leżała w głuchej ciszy, z tym kłębem drutu kolczastego w żołądku. O szóstej rano dała sobie spokój z udawaniem, że zaśnie, i wstała. Telefon nie zadzwonił ani razu. Podniosła słuchawkę, żeby sprawdzić, czy jest sygnał. Był. Lindsay zostawiła liścik napisany grubym mazakiem na karteczce przyklepionej do słuchawki: „Dla pewności jeszcze raz podaję mój numer. Przyjdę jutro. Albo wcześniej, jeśli czegoś się dowiemy”.

Emma wciąż miała na sobie te same dzinsy i bluzę, co poprzedniego wieczoru. Wyszła z sypialni, starając się nie patrzeć na łóżeczko pod oknem. Zaparzyła sobie herbaty i usiadła, nie pijąc jej, przy okrągłym stole w salonie. Zasłony na oknie balkonowym były rozsunięte. Przez szklane drzwi widziała czarny wieżowiec naprzeciwko; miękka szara poświata na niebie ledwie zarysowywała jego kształt. Ogrzewania w jej bloku jeszcze nie włączono. Zimno pogłębiało pustkę i ciszę w mieszkaniu.

Cała noc. Cała noc bez synka. Emma myślała, że wie, co to rozpacz, ale teraz przekonała się, że nie miała o tym pojęcia. Nic, ale to nic, co przeżyła, nie mogło się z tym równać. Żabulec siedział na jej kolanach, jego długie, puchate nogi muskały jej łydki dokładnie w miejscu, gdzie sięgałyby nogi dziecka. Emma głaskała go i głaskała, czując pod palcami wgniecenia na jego brzuszku, tam, gdzie wypełnienie się zbiło.

Jak długo tak siedziała? Bzyczenie domofonu, głośnie i ostre, przywróciło ją do przytomności. Drgnęła. Lindsay powiedziała, że przyjdzie, ale chyba nie o tej godzinie? Po co przychodziłaby, jeśli nie z wiadomościami? O Jezu! Emma poderwała się od stołu, zrzucając Żabulca z kolan i pobiegła do domofonu.

Niestety, to tylko doktor Stanford, jej lekarka. Co ona tu robi? Zwykle nie chodzi na wizyty domowe. Emma wcisnęła guzik otwierający główne drzwi na dole. Doktor Stanford wjechała windą kilka minut później. Był z nią jeszcze ktoś - młoda kobieta o kędzierzawych włosach, w zielonej bluzce.

- Emmo, jak się pani czuje? - Doktor Stanford weszła pewnym krokiem do małego przedpokoju. Była wysoka i chuda jak patyk; popielate włosy zaczesła w gładki kok. Miała na sobie swój zwykły strój do pracy: elegancką szarą garsonkę i jedwabną bluzkę z kołnierzykiem wiązany na kokardę. - To straszne, co się stało. Pewnie odchodzi pani od zmysłów. Zna pani Alison Regis, prawda? - Wskazała kobietę w zielonej bluzce. - Naszą pielęgniarkę środowiskową?

- Nie - odparła Emma apatycznie. Po urodzeniu Ritchiego poznała kilka pielęgniarek środowiskowych; za każdym razem przychodziła inna.

- Byłam na urlopie macierzyńskim - wyjaśniła Alison. - Dziś mój pierwszy dzień w pracy.

- Mnie też nie było - powiedziała doktor Stanford. - Cały zeszły tydzień. Wyjechałam do San Diego na konferencję.

- Do San Diego? - ucieszyła się Alison. - Piękne miasto. Spędziłam tam miesiąc miodowy.

Zapadła cisza.

- Policjanci przyszedli do mnie. - Doktor Stanford odchrząknęła. - Poprosili o wgląd w kartę Ritchiego. Mam nadzieję, że nie wbrew pani? Widziałam zgodę na to z pani podpisem.

- Tak, w porządku.

- Poprosili też, żebym do pani zajrzała - ciągnęła doktor Stanford. - Oczywiście i tak bym wpadła. Po pani ostatniej wizycie zostawiłam Alison pilną wiadomość, żeby panią odwiedziła. Wtedy niestety nie wiedziałam, że jest na urlopie.

Doktor Stanford wydawała się dziwnie zdenerwowana. Jej kościste palce drżały, gdy poprawiała luźny kosmyk włosów. Zazwyczaj była bardzo spokojna, zorganizowana, chłodna. Leczyła przeróżne dolegliwości Emmy i Ritchiego, szczepiła malca i dwa razy robiła mu zastrzyki z antybiotykiem na zapalenie ucha. Emma martwiła się, że infekcja nie ustępuje, ale doktor Stanford zawsze ją uspokajała, zdecydowanie, choć zdawkowo. Dziesięć minut na pacjenta - zbyt mało czasu na pogaduszki. Ostatni raz Emma była w przychodni jakoś przed tygodniem. Doktor Stanford zachowywała się wtedy jak zwykle.

- Wygląda pani na wykończoną - powiedziała teraz. - Udało się pani trochę pospać?

Emmę oczy piekły ze zmęczenia i od soli, bo ciągle płakała. Czowała się obolała. W szpitalu dali jej valium; zażyła jedną tabletkę - bez skutku. Niczego nie pragnęła bardziej niż snu, chciała uciec od tego desperackiego, nieustannego rozmyślania o Ritchiem, od bezradności i paniki, przestać wyobrażać sobie, co straszego może się z nim dzieć. Ale Lindsay kazała jej siedzieć przy telefonie. Tyle że skąd Antonia mogłaby mieć jej numer, ale jeśli istniał choć cień szansy, że zadzwoni, to Emma nie chciała być otepią lekami, kiedy odbierze telefon.

- Naprawdę powinna pani spróbować się przespać - radziła doktor Stanford.

- Prześpię się - odparła Emma. - Ale na razie muszę być przytomna.

I w końcu, tuż po piątej po południu, telefon zadzwonił.

Lindsay i komisarz Hill byli wtedy u Emmy - Lindsay od kilku godzin; parzyła herbatę za herbatą. Wskoczyła nawet do Sainsbury's po zupę, której Emma nie tknęła. Komisarz Hill zjawił się przed godziną - po oficjalne zeznanie od Emmy, jak twierdził. Lindsay wyjaśniła Emmie, jak to się odbywa.

- Po prostu proszę nam opowiedzieć to wszystko, co już pani mówiła, własnymi słowami. I wszystko, co mogła sobie pani przypomnieć od wczoraj. Proszę się nie martwić, jeśli się pani pogubi albo przedstawi rozwój wydarzeń niechronologicznie. Będziemy nagrywać wszystko, żeby potem móc spisać zeznanie z taśmy. Kiedy będzie gotowe, poprosimy, żeby je pani przeczytała, i jeśli je pani potwierdzi, podpisze je pani.

Emma powtórzyła do dyktafonu większość tego, co powiedziała policji poprzedniego wieczoru. Nie przypominała sobie nic nowego. Kiedy skończyła składać zeznanie, Lindsay wyszła do kuchni, by nastawić czajnik, a ona do łazienki. Właśnie rozpiniała dzinsy, kiedy w salonie rozległo się ciche drrr-drrr telefonu. Zamarła. Z lustra nad umywalką gapił się na nią blady strach na wróble, z czarnymi, zapadniętymi oczami, oświetlony z góry jaskrawym światłem. Emma nasłuchiwała, wstrzymując oddech, jak skamieniała.

Dzwonienie urwało się. Rozległ się głos Lindsay, umilkł, znów się odezwał.

I wtedy - o słodki Jezu - szybkie kroki i łomot do drzwi łazienki.

- Emmo. - Ton Lindsay był nagły. - Szybko. Szybko.

Emma wypadła za drzwi.

- To mężczyzna - syknęła Lindsay. - Nie podał nazwiska. Spodziewa się pani telefonu?

Emma pokręciła głową. Nie wiedziała, kto mógłby... Chyba że to Oliver dzwoni, by jej powiedzieć, że już wie? Chwyła słuchawkę. Nie miała czucia w palcach; musiała przytrzymać ją drugą ręką, by się nie wyslizgnęła.

- Halo?

Męski głos zapytał:

- Czy mówię z Emmą Turner?

To nie Oliver!

Emma zeszywniała. Źrenice Lindsay stojącej obok tak się rozszerzyły, że prawie nie było widać tęczy.

- Tak - odparła Emma.

- O, dobry wieczór. Nazywam się Rafe Townsend. Nigdy nie słyszała tego nazwiska.

- Tak?

- Spotkaliśmy się wczoraj. Na stacji metra, pamięta pani?

Pod Emmą ugięły się nogi. Lindsay chwyciła ją mocno za łokieć. Emma przytrzymała się stołu, by nie upaść.

- Halo? - mówił głos. - Halo? Jest tam pani?

- Jestem - odparła głucho Emma.

- Zostawiła pani swoje torby, kiedy wsiadała pani do pociągu. Pani numer był w portfelu - wyjaśnił Townsend. - Niech się pani nie gniewa, że dzwonię, ale chciałem się upewnić, czy znalazła pani dziecko.

Rozdział 5

Emma nie umiała wydobyć z siebie głosu. Minęła dobra chwila, zanim w ogóle zrozumiała, o czym mówi ten człowiek. Zalała ją fala emocji. Ulga, że ten mężczyzna na drugim końcu linii to nie porywacz. Zawód, że to nie porywacz. Nie wytrzymała napięcia. Cofnęła się, upuszczając słuchawkę na podłogę.

Lindsay i komisarz Hill doskoczyli do niej. Chcieli wiedzieć, kim jest ten człowiek. Gdzie go poznała? Co wtedy widział?

- Próbował mi pomóc na stacji. - Emma się trzęsła. - Złapał mnie, żebym nie wpadła pod pociąg.

Hill podniósł słuchawkę z wykładziny.

- Halo - powiedział głębokim głosem.

Mężczyzna najwyraźniej jeszcze się nie rozłączył, bo komisarz słuchał przez chwilę, po czym znów się odezwał. Emma, wciąż zbyt roztrzęsiona, nie rejestrowała nic z tej rozmowy, prócz zdawkowych „uhm” i „rozumieć”.

Wreszcie komisarz Hill odłożył słuchawkę i zwrócił się do Lindsay:

- Pan Townsend zamierzał podrzucić pani torby dziś wieczorem. Będzie tędy przejeżdżał rowerem w drodze z pracy. Powiedziałem mu, że wolelibyśmy, żeby przywiózł je na komisariat.

Lindsay kiwnęła głową. A mózg Emmy znów zaczął pracować. Co widział ten Rafe? Czy widział Antonię? Czy zauważył coś, co pomogłoby ją zidentyfikować?

- Nie - przerwała im. - Niech przywiezie je tutaj. Chcę z nim porozmawiać. Chcę go poznać osobiście.

- Chyba lepiej, żeby pozwoliła pani nam się tym zająć - poradziła Lindsay. - Możemy odebrać od niego zeznanie na komisariacie.

- Chcę go wysłuchać - nalegała Emma. - Był tam. Widział Ritchiego. Zapytajcie go. On widział, co się stało. Powie wam.

Lindsay się wahała. Spojrzała na komisarza Hilla - wydłubywał brud spod paznokcia. Wzruszył ramionami.

- Mnie tam wszystko jedno - rzucił. - Możemy odebrać zeznanie tutaj.

- Jest pani pewna? - spytała Lindsay Emmę. - Jest pani pewna, że chce, by przyjechał tutaj?

- Tak. Chcę go zobaczyć. Chcę usłyszeć, co powie.

Lindsay oddzwoniła do Townsenda. Umówili się, że wpadnie za dwadzieścia minut.

Czekając na Rafe'a Townsenda, Emma rozsunęła drzwi balkonowe i wyszła odetchnąć świeżym powietrzem. Chodziła niespokojnie, trzy kroki w jedną stronę, trzy z powrotem, bo tyle wynosiła długość

balkonu. Na balkonach bloku naprzeciwko suszyło się pranie, stały wózki, leżały proporczyki. Niektóre okna, wśród bardzo wielu, były zalepione papierem albo folią aluminiową, jak brakujące zęby w ustach.

A może - ta myśl nie dawała Emmie spokoju - może ten Rafe Townsend widział Antonię? Może nawet ją rozpoznał?

O tak, mógłby powiedzieć policji. Regularnie jeździmy tą linią, ta kobieta i ja. Widuję ją prawie codziennie. Co wieczór wysiada na Tower Hill.

I jeszcze jedna myśl tłukła jej się po głowie: teraz będą musieli mi uwierzyć. Nie mogła się pozbyć wrażenia, że są wobec niej podejrzliwi. Jakby nie wierzyli w jej wersję wydarzeń. Mówili, że próbują zdobyć nagrania z kamer, na których byłoby widać Ritchiego w pociągu - ale na razie ich nie zdobyli. „Czy jeszcze ktoś widział, co zaszło?” - pytał ciągle komisarz Hill. „Czy ktoś w ogóle widział panią z Ritchiem?” Doprowadzało ją to do szału. No a teraz miała świadka. Będą musieli odpuścić sobie te bezsensowne pytania i zacząć w końcu jak należy szukać Ritchiego.

Zabrzączał dzwonek domofonu. Emma podbiegła do przesuwanych drzwi balkonu. Z mieszkania dotarły do niej głosy:

- ...miło z pańskiej strony, że pan przyszedł...

- ...okropne, nie mogę uwierzyć...

Emma szybko weszła do salonu. Komisarz Hill stał na środku pokoju i rozmawiał z ciemnowłosym mężczyzną w czerwonej koszulce. Zapewne z Rafe'em Townsendem. Przyjrzała mu się uważnie, próbując ocenić, jakim będzie świadkiem. Czy wygląda na spostrzegawczego. Przede wszystkim uderzył ją jego młody wygląd. Na stacji odniosła wrażenie, że jest o wiele starszy. Był mniej więcej w jej wieku, szczupły, opalony. Niższy niż komisarz Hill, ale i tak dość wysoki. Miał przy sobie płócienny plecak z dziurami wytartymi w rogach, a jego dzinsy i koszulka były mocno sprane. Mokre plamy potu rysowały się pod jego pachami.

- Wygląda pan znajomo. Nie pracował pan przypadkiem w policji? - spytała zaciekawiona Lindsay.

- Krótko - odparł Rafe Townsend. - Skończyłem Hendon, ale przerwałem szkolenie po okresie próbnym.

- Tak? - Komisarz Hill uniósł brew. - A czemu to?

- Z powodów osobistych - odparł uprzejmie Rafe.

Miał londyński akcent, ale nie wyższych sfer.

Zapadło chłodne milczenie. Przerwał je komisarz Hill:

- A czym się pan zajmuje teraz?

- Pracuję w firmie projektującej zieleni. Kopię dołki. Wyburzam murki. Takie tam.

Szybciej, myślała Emma. Zapytajcie go, co widział. Hill głaskał wąsy kciukiem. Przyglądał się Rafe'owi równie intensywnie jak Emma.

- Słyszał pan, co się stało - powiedział po chwili.

- Tak. - Rafe po raz pierwszy spojrział na Emmę. - Bardzo mi przykro.

- Możemy panu zadać kilka pytań o to, co pan widział?

- Oczywiście, chętnie pomogę, jak tylko będę mógł.

Lindsay spojrzała na Emmę. Zanim Rafe przyszedł, spytała ją, czy mogłaby poczekać w drugim pokoju, kiedy on będzie składał zeznanie.

- Świadkowie zwykle opowiadają swoją wersję na osobności - wyjaśniła. - Ale porozmawia pani z nim później, jeśli pani zechce.

Emma wróciła na balkon. Zasuwała szklane drzwi i głosy z salonu dochodziły do niej tylko w postaci niezrozumiałych pomruków. Oparła łokcie na barierce, pozwalając, by wiatr chłodził jej twarz. Parking na dole rysował się niewyraźnie w półmroku. Nie zauważyła, że rozmowa w salonie ucichła, dopóki nie usłyszała, że drzwi balkonu otwierają się za jej plecami.

- Pan Townsend chciałby z panią porozmawiać - powiedziała Lindsay.

Emma się odwróciła. Drzwi otworzyły się szerzej. Usłyszała ciche szuranie i Rafe Townsend ze swoim plecakiem stanął obok niej na balkonie.

- Przywiozłem pani rzeczy - oznajmił.

Emma popatrzyła na niego. Z bliska wydawał się nie tyle opalony, ile śniady, jakby był z pochodzenia Włochem czy Hiszpanem. I miał bardzo bystre oczy.

- Co im pan powiedział? - spytała Emma.

- Cóż, chcieli wiedzieć, co robiłem na stacji Stepney Green. Wyjaśniłem, że pracowałem w ogrodzie koło Epping Forrest i szef podrzucił mnie do metra w drodze do domu. Kiedy wszedłem na peron, zobaczyłem, jak biegnie pani za pociągiem, i pomyślałem, że zaraz się pani zabije, więc pogoniłem za panią, żeby panią odciągnąć.

- Widział pan ją? Widział pan Antonię?

- Kobietę w pociągu? Nie. Przykro mi.

Emma się podłamała. Ale czego się spodziewała? Nawet gdyby widział Antonię, nie potrafiłby powiedzieć o niej więcej niż ona sama.

Bardziej żeby pocieszyć siebie niż jego, powiedziała:

- Ale przynajmniej widział pan Ritchiego. Policja rozmawia ze mną w taki sposób, jakbym go sobie wymyśliła. Takie odnoszę wrażenie.

Rafe zaszurał nogami po cementowej posadzce balkonu.

- No cóż, tak naprawdę, to nie widziałem pani synka. Emma wpatrzyła się w niego.

- Ależ musiał pan widzieć. Był pan tam.

- Tak jak zeznałem policji, widziałem, że trzymała pani jakiś pasek wystający z drzwi pociągu. Dopiero potem pani mi powiedziała, że w pociągu zostało pani dziecko.

- Ale pan...

„To wszystko przez pieprzoną markową torebkę”. Oczywiście. Teraz sobie przypomniała. Myślał, że Ritchie to torebka. Ten facet był ślepy. W niczym nie mógł jej pomóc. Odwróciła się. Czuła, jakby coś utkwilo jej w gardle, jakby miała się tym zadławić. Nie chciała słyszeć nic więcej.

- Przykro mi - powiedział Rafe zgaszonym tonem. - Naprawdę mi przykro.

Emma milczała.

- Jak się pani czuje?

A jak sądzisz, do cholery?

- Bo ja się czuję jak największa ofierma na świecie. - Uderzył plecak pięścią. - Nie powinienem był pani zostawiać. Powinienem był włączyć alarm.

Emma odparła głucho:

- Dlaczego miałby pan to zrobić? Nie pozwoliłam panu.

- Ale nie powinienem był pani posłuchać. Z nerwów nie wiedziała pani, co robi.

Emma zaczęła skubać płatek rdzy na barierce. Za jej plecami Rafe przestępował żałośnie z nogi na nogę. To taki niespokojny typek, z tych, co to cały czas muszą coś robić, pomyślała. Nie próbowała mu niczego ułatwić.

- No cóż. W takim razie sobie pójdę. Dam pani spokój.

Przestała widzieć go kątem oka. Znow szuranie, kiedy przepychał się z plecakiem przez drzwi. Wiedziona impulsem odwróciła się.

- Niech pan zaczeka.

- Tak? - Rafe znow podszedł do niej. W tym oświetleniu jego oczy miały dziwny kolor, tak jasno-brązowy, że niemal złoty.

Próbował jej pomóc, nie mogła zaprzeczyć. Może się nie udało, ale przynajmniej próbował. Nie tak jak ludzie przed kawiarnią.

- Pracował pan w policji. Czy wiedziałby pan, gdyby czegoś mi nie mówili? Gdyby z jakiegoś powodu nie szukali go jak należy?

- Dlaczego pani tak myśli?

- Coś jest nie tak. - Teraz, gdy to powiedziała, nabrała jeszcze większej pewności. - Nie wiem dlaczego, ale oni mi chyba nie wierzą. Gazety też nie są zainteresowane. Dziś rano nie było o nim nic na pierwszych stronach, a przecież to mały chłopiec, informacja o porwaniu powinna znaleźć się na pierwszej stronie. Powinna. Zupełnie jakby sądzili, że to wszystko zmyśliłam. Dlaczego, na litość boską, miałabym to robić? Jeśli Ritchie nie został porwany, to dlaczego miałabym... dlaczego myśla...

Jej głos wznosił się coraz bardziej i nagle się załamał. Nie mogła dokończyć zdania.

- Jestem pewien, że w sprawie zaginionego dziecka robią wszystko, co w ich mocy - odparł Rafe.

- Więc dlaczego go nie znaleźli?! - krzyknęła Emma. - Dlaczego wciąż siedzą tutaj, w moim mieszkaniu, zamiast go szukać?

Rafe wydawał się przygnębiony.

- Czasami potrzebny jest trop. Zakładam, że omawialiście wszystko ze sto razy. Nie pominęła pani niczego, choćby drobiazgu, który mógłby pomóc im zidentyfikować porywaczkę?

- Myśli pan, że nie powiedziałabym, gdybym coś wiedziała? Ciągle o tym myślę. W kółko. Nic, tylko myślę i myślę.

- Wiem. Wiem.

Emma się odwróciła. To beznadziejne. Beznadziejne. On na nic się jej nie przyda.

- Może powinnam zatrudnić prywatnego detektywa - szepnęła bardziej do siebie niż do niego.

- Tak? - Rafe był wyraźnie speszony. Nagle zawołał: - O co chodzi?! Co się dzieje?!

Emma kurczowo ścisnęła barierkę, patrząc nieprzytomnie w przestrzeń. Na siatkę ulic, na samochody, na rzędy kubłów na śmieci pięć pięter niżej.

- Dobrze się pani czuje? - dopytywał się Rafe.

- Coś...

Co to było? Cofnęła się myślą, analizując kilka ostatnich sekund.

Rozmawiali o policji i nagle... co? Co sprawiło, że Antonia ni stąd, ni zowąd stanęła jej wyraźnie przed oczami? Emma skupiła się, by na nowo przywołać ten obraz, ale umknął, stał się maleńki jak plamka.

- Nie. - Sfrustrowana pokręciła głową. - Nie. Uciekło mi.

- Wróci - zapewnił Rafe. - Jeśli to coś ważnego, to wróci, kiedy pani będzie gotowa.

Niewiele już mieli sobie do powiedzenia, więc Rafe wyszedł. Ból w żuchwie Emmy nasilił się, promieniując na całą głowę. Lindsay zauważyła, że Emma jest blada i słaba, i doradziła, by zażyła dwie tabletki przeciwbólowe. Emma poszła do sypialni i położyła się, ciągle w ubraniu, pod kołdrą. Tuliła Żabulca, wciąż od nowa zastanawiając się, co kazało jej wtedy pomyśleć o Antonii. Coś wywołało ten przebłysk wspomnienia, ale co? Stawała jej też przed oczami mama oglądająca telewizję w domu w Bath. Dlaczego tak to ją prześladowało? Futerko Żabulca pachniało kwaśnym mlekiem. Myśl, Emma. Myśl! Miała uczucie, że jej mózg rozpoznał coś ważnego i tak to nim wstrząsnęło, że wspomnienie odpłynęło. I choć bardzo się starała, nie chciało wrócić. Pukanie.

- Emma? - Ciemna głowa Lindsay w szparze drzwi. - Lepiej się pani czuje? Komisarz Hill chciałby zamienić z panią słowo, zanim wyjdzie.

Coś w głosie Lindsay zaniepokoiło Emmę.

- O co chodzi? Coś się stało?

- Nie, nie. - Lindsay nie patrzyła jej w oczy. - Nic się nie stało. Chcemy zapytać jeszcze o parę rzeczy. Gdyby pani mogła przyjść na chwilę do salonu.

Emma szamotała się, próbując wyplątać nogi spod kołdry. Co znowu? Uwolniła się wreszcie i połączyła za Lindsay.

- Proszę. - Lindsay przytrzymała jej drzwi do salonu. - Niech pani usiądzie.

Podprowadziła ją do kanapy i delikatnie naciskała jej ramię, aż Emma usiadła. Ona obok niej. Komisarz Hill ledwie mieścił się w krześle naprzeciwko. Wydawał się ogromny. Ritchie, którego fascynowali mężczyźni, gapiłby się na niego z nabożnym podziwem. Na olbrzymia, który zmieściłby dwóch małych chłopców w jednej kieszeni, i jeszcze byłoby im wygodnie.

Lindsay dotknęła dłoni Emmy.

- Proszę nie brać tego do siebie - powiedziała. - Prędzej czy później pytamy o to wszystkie rodziny w podobnej sytuacji.

- O co pytacie? Komisarz Hill odchrząknął.

- Zamierzałem poruszyć to z panią wcześniej, ale przeszkodził nam pan Townsend. Dziś rano długo rozmawiałem z panią lekarką. Kiedy przeglądaliśmy medyczne dane Ritchiego.

- Z moją lekarką? - Emma się spieszyła. Co doktor Stanford ma z tym wspólnego?

Komisarz Hill pochylił się do przodu. Splótł przed sobą wielkie dłonie.

- Pani Turner - zaczął. - Bardzo mi przykro, ale muszę o to zapytać. Czy jest możliwe, że pani zrobiła coś swojemu synowi?

Emma gapiła się na niego osłupiała.

- Nie rozumiem - wybełkotała. Policzki jej zapłonęły. - Ritchie został porwany. Wie pan, że tak. Dlaczego zadaje mi pan takie pytanie?

- Doktor Stanford powiedziała nam o kilku sprawach. Zrobiła to bardzo niechętnie, ale biorąc pod uwagę, że pozwoliła nam pani na wgląd w jego dane, czuła, że nie ma wyboru. Uważa, że pani może nie mówić nam prawdy o tej całej sprawie. - Umilkł na chwilę. - Przypomina sobie pani ostatnią wizytę i obawia się, że mogła pani skrzywdzić Ritchiego.

S-s-skrzywdzić. To „S” pulsowało jej w piersi. „Mogła pani skrzywdzić Ritchiego”.

- Emmo? - Przenikliwie niebieskie oczy komisarza Hilla były zimne. - Pamięta pani swoją ostatnią wizytę u doktor Stanford, jedenaście dni temu?

- Moją ostatnią...

Coś wezbrało z sykiem w brzuchu Emmy, jakby połknęła alka-seltzer. I już była w przychodni. Głośny kaszel w poczekalni. Stukot deszczu na szybie. Smród skarpet i środków dezynfekcyjnych.

Wyraz twarzy doktor Stanford. Kiedy siedziała, zszokowana i sztywna za biurkiem.

Emma pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach. Przyłożyła dłonie do twarzy.

- Pamięta pani? - nalegał komisarz Hill. - Pamięta pani, co powiedziała pani tamtego dnia doktor Stanford?

Emma odparła głuchym głosem:

- Tak. Pamiętam.

Więc teraz przynajmniej wiedziała. To dlatego nie brali jej poważnie. Od strony balkonu dobiegło coś jak krzyk mewy. Och, Ritchie, Ritchie! Co ja zrobiłam?

Lindsay pochyliła się ku niej, próbowała złapać ją za rękę. Jej twarz niczym maska wyrażała zawodową troskę. Ale jej myśli osaczyły Emmę, jakby wypowiedziała je na głos: A my ci współczuliśmy! Co z ciebie za matka?

Emma wciąż zakrywała twarz. Nie mogła spojrzeć na Lindsay. Odwróciła głowę.

Rozdział 6

Od pierwszych dni życia Ritchie miał uśmiech Olivera i za każdym razem na jego widok serce Emmy ścisnęło się boleśnie. Ritchie był poważnym dzieckiem; prawie każdy uśmiech musiała od niego wyprosić. Często zasłonięty piąstką, zabawką czy sucharkiem, a jednak był. Któregoś dnia jakaś kobieta straciła głowę na widok tego uśmiechu; Emma nie wiedziała, czy jej współczuć, czy zazdrościć.

Bo oczywiście to ten uśmiech sprawił, że stanęła jak wryta któregoś wieczoru pośrodku sali pubu Blue Grape w Clapham z drinkami w dłoniach. Ten, kto się tak uśmiechał, nawet nie patrzył wtedy w jej stronę, ale jej na sekundę zapało dech w piersi.

- Co to za gość, z którym rozmawia Barry? - szepnęła Emma przy stoliku, podsuwając Joanne i Claire ich szklanki z wódką i sokiem żurawinowym.

Joanne spojrzała za siebie.

- A, on - powiedziała. - Oliver Metcalfe. Pracuje w firmie Barry'ego.

- Ma dziewczynę, jeśli o to pytasz - dodała Claire Burns. Skończyła studia licencjackie z Emmą i Joanne i należała do tych osób, które zawsze wiedzą wszystko o wszystkich. - Widziałam go z jakąś Azjatką z włosami do tyłka.

- Aha - mruknęła Emma zawiedziona. Najlepsi zawsze są bardzo zajęci.

Ale i tak nie mogła się powstrzymać, żeby nie zerkać co chwila na Olivera Metcalfe'a. Co w nim takiego było? Od dawna nie ciągnęło jej tak do faceta. Obserwowała go nad ramionami Joanne i Claire, kiedy śmiał się i gadał z kumplami. Był wysoki, dobre pół głowy wyższy niż ludzie wokół niego. Stał pod oknem oświetlony latarnią z ulicy. Miał ciemnoblonde włosy, na tyle długie, że grzywka opadała mu na oczy. Należał do tłumku krawaciarzy, ale gdy inni nosili pod marynarkami koszule i krawaty, on - żółty T-shirt z Homerem Simpsonem. Na nogach miał zniszczone sportowe buty. Taki strój wyglądałby śmiesznie na zwykłym facecie - na przykład na chłopaku Joanne, Barrym, którego różowy brzuch napierał na guziki koszuli - na Oliverze jednak jakoś nie raził. Emma domyślała się, że ten gość doskonale wie, co na siebie wkłada. Te ciuchy po prostu do niego pasowały.

W końcu Emma się zdecydowała. Uderzyła szklanką w stół i wyszczerzyła zęby do Claire i Joanne.

- No dobra - powiedziała. - Ja tu dzisiaj nie widzę żadnych Azjatek. Może pójde się przywitać?

- Masz tupet, dziewczyno! - zawołała Joanne, kiedy Emma wstała od stołu. - Czy ten Brian od ciebie z pracy nie błaga cię od tygodni, żebyś poszła z nim na kolację? Nigdy nie uganiałaś się za facetami.

- Więc może pora zacząć - mruknęła Emma. Spojrzała krytycznie na swoje odbicie w lustrze za barem. Nowa zielona sukienka z Topshop prezentowała się nieźle, dekolt idealny: nie za głęboki, nie za płytki. Jej świeżo umyte włosy błyszczały. Tusz był na rzęsach - to jeszcze nie ten etap, kiedy zaczynał spływać po twarzy. No owszem, pewnie nikt nie wzięłyby jej za młodszą siostrę Kate Moss, ale też nie była brzydka. Wyglądała okej.

Barry zrobił zdumioną minę, kiedy Emma przywitała się z nim entuzjastycznie, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi. Zwykle nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia. Gdy burknął coś na powitanie, zwróciła się do Olivera:

- Cześć. - Uśmiechnęła się. - Jestem Emma.

- Oliver - odparł grzecznie, ściskając jej dłoń.

Trochę się speszyła, widząc, że z bliska jest jeszcze bardziej przystojny, niż sądziła. Nie dało się zaprzeczyć: bardzo, bardzo przystojny. Cekał, z uniesionymi brwiami, najwyraźniej zastanawiając się, czego od niego chce. Emma nie była już tak pewna siebie, jak przed chwilą, ale nie rezygnowała.

- Mamy wspólnych znajomych. Mieszkam z Joanne, dziewczyną Barry'ego - wyjaśniła.

- Naprawdę? - Oliver miał piękny głęboki głos i przyjemny akcent. - A skąd się znacie?

- Studiowaliśmy na tym samym kierunku w Bristolu. Zarządzanie i marketing. A po uniwerku pojechaliśmy razem na prawie rok do Sydney.

- Brzmi ciekawie. Bristol to dobra uczelnia.

- To prawda. Cisza.

- Co czytasz? - zapytała Emma, gdy dostrzegła książkę wystającą z kieszeni jego marynarki. Na okładce był obrazek karalucha.

- Kafkę - odparł Oliver. - *Metamorfozę*.

- Coś słyszałam. O czym to jest?

- Gość budzi się któregoś ranka i stwierdza, że zmienił się w wielkiego owada.

- A. - Typowy facet. - Science fiction. Roześmiał się, jakby powiedziała coś zabawnego.

- Muszę lecieć - powiedział, odstawiając szklankę na bar. - Jestem z kimś umówiony w mieście. Ale miło było cię poznać. Na pewno jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy.

- Jasne - odparła Emma. - Na pewno.

- Zero chemii - oświadczyła zniechęcona kilka minut później.

- On się umawia tylko z naprawdę atrakcyjnymi dziewczynami - oznajmiła Claire. - Nie twierdzę, że ty nie jesteś atrakcyjna - dodała szybko, kiedy Emma na nią spojrzała. - Ale wiesz, co mam na myśli.

Emma wiedziała doskonale. Claire zżerałaby zazdrość, gdyby Emme udało się z Oliverem i zaczęłyby z nim chodzić. Zawsze taka była, przez całe studia. Pokazywała ludziom, gdzie ich miejsce, na wypadek, gdyby mieli o sobie zbyt wysokie mniemanie. Emma często się zastanawiała, dlaczego jeszcze się z nią zadaje. Ale tak to się dzieje w Londynie. Jest taki wielki, a tak ciężko poznać nowych ludzi, że nawet

jeśli człowiek przeprowadził się tutaj właśnie po to, w końcu trzyma się ze starymi znajomymi, ot, dla bezpieczeństwa.

- Co tam. - Wzruszyła ramionami, nie pozwalając, żeby złośliwe uwagi Claire ją ubodły. - Dałam mu szansę, ale mam swoją dumę.

Gdy Joanne i Emma wróciły do swojego mieszkania dwie ulice dalej, na Emmę czekała wiadomość na sekretarce. „Cześć, Emmo. Tu mama. Nie dzwoniłaś od paru dni, więc chcę spytać, czy wszystko dobrze? Mam nadzieję, że niedługo się odezwiesz”.

Emma wcisnęła guzik „kasuj”.

- To już trzeci raz w tym tygodniu - pożaliła się. - Dopiero od niedawna tak robi. Dzwoni, kiedy popadnie.

- To dlaczego nigdy nie oddzwoniasz? - zawołała Joanne z kuchni.

- Telefonuję do niej w niedzielę. Wie o tym. Dlaczego wydzwania tu w piątek wieczorem? Myślisz, że nie mam życia towarzyskiego? - Emma coraz bardziej podnosiła głos, tak jakby dostawała napadu złości. Matka próbowała traktować ją jak dziewięciolatkę.

- Moja mama też jest jędzą - powiedziała Joanne. - Tak im się robi, kiedy zostają same.

Emma bawiła się wyłącznikiem sekretarki. Nie chciała sugerować, że jej mama jest jędzą. Ale to ją wkurzało. Dlaczego nagle ogarnęły ją wyrzuty sumienia? Nic nie była winna swojej matce. Nic. „Mama cię naprawdę kocha, kotku - zapewniała babcia pięcioletnią Emmę, ilekroć matka na nią nakrzyczała. I ośmioletnią Emmę, gdy matka zapominała odebrać ją ze szkoły. I jedenastoletnią, kiedy większość wieczorów i weekendów spędzała u babci, bo matka była zbyt zmęczona, żeby się nią zajmować. - Po prostu haruje jak wół. A to po to, żeby w banku były pieniądze na twoje studia”. Tak naprawdę jednak babcia nie rozumiała, czemu to takie ważne, żeby Emma poszła na studia. Emma też wtedy nie rozumiała. Ale kochała babcię i lubiły razem spędzać czas. Komu była potrzebna ta zimna, nieobecna matka?

Wmaszerowała do kuchni, żeby wytłumaczyć to Joanne.

- Dzwoniłabym do niej częściej, ale kiedyś, kiedy miałam cztery lata, próbowałam wejść jej na kolana, a ona mnie odepchnęła tak mocno, że upadłam i uderzyłam w kominek. Poraniłam sobie twarz. Popatrz. - Odgarnęła włosy na bok i przechyliła głowę, wysuwając podbródek. - Jeszcze widać bliznę. Jaka matka robi coś takiego dziecku?

- Przestań. Tak tylko mi się powiedziało. - Joanne widziała bliznę już wcześniej. Nie miała ochoty o tym gadać, wołała czytać magazyn o modzie. Siedziała, zwijając długie jasne włosy w kok na czubku głowy.

Potem Emma widywała Olivera jeszcze kilka razy, zwykle w piątek wieczorem, z Barrym i chłopakami z centrum. Pub Grape ściągał większość dwudziestoparolatków z okolicy. Miał wysokie sufity, podłogę z ciemnego drewna, mnóstwo stolików. Serwowano tu tanie i smaczne posiłki: stek i placek piwny, curry z kurczaka, kielbaski z purée ziemniaczanym. Żadnych stołów do bilardu, a to podobało się kobietom. Lecz faceci też lubili bar za duży wybór piw. Emma nie próbowała więcej startować do Olivera,

ale wciąż ją fascynował: rzadko rozmawiał z ludźmi, popijał spitfire'a i stał tylko, czasami zapatrzony w przestrzeń, a czasami z przymkniętymi sennie oczami. O czym myślał, kiedy wszyscy dookoła się przekrzykiwali, bo każdy chciał, żeby go usłyszano? A jednak, mimo swojej małomówności, zawsze jakimś cudem znajdował się w centrum najfajniejszej grupki. Jak on to robił? Właściwie nie czynił żadnych specjalnych wysiłków, żeby przyciągać ludzi; sami gromadzili się wokół niego. W te wieczory, kiedy go widziała, czuła w brzuchu igiełki podniecenia. Trzymała się bardziej prosto, rozmawiała z większym ożywieniem, starała się zawsze śmiać, dobrze bawić. I nie było to trudne, bo Grape, gdy był tu Oliver, nagle wydawał jej się samym centrum Londynu. Miejscem, w którym każdy chciał być.

- Wiesz, że to sierota? - powiedziała któregoś wieczoru Joanne. - Jego rodzice zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miał niecałe siedem lat.

- Nie! - Emma była wstrząśnięta. - To straszne.

- Zamieszkał u ciotki, gdzieś na wsi, ale chyba nie dogadywali się najlepiej. Wyrzuciła go, gdy miał jakieś piętnaście lat.

- Biedny Oliver. - Emma westchnęła. - Nic dziwnego, że jest taki zamknięty w sobie.

- Tak... Wygląda na dość refleksyjnego faceta, prawda? I chyba mu się to podoba.

- Myślałam, że to twój bliski znajomy.

- Oliver jest w porządku. Barry mówi, że sporo pracuje nad tym swoim luzackim image'em. Nasz kumpel kiedyś z nim mieszkał i opowiadał, że Oliver bez przerwy przegląda się w lustrze, obraca na prawo i lewo, kiedy myśli, że nikt go nie widzi. Stara się czytać tylko właściwe książki, mówić właściwe rzeczy. Szczerze? Nie wiem, ile naprawdę jest w nim tej refleksji.

- Hm - mruknęła Emma.

Problem z Joanne był taki, że od kiedy poznała Barry'ego, w zasadzie nie podobali jej się żadni inni faceci. Emma miała do Barry'ego raczej obojętny stosunek. Był trochę skapcianały jak na faceta ledwie dwudziestosześcioletniego. Urodził się i spędził całe życie w Wandsworth, wyhodował już sobie piwny brzuszek i wyrobił poglądy na temat imigrantów i samotnych matek. Ale dobrze sobie radził w pracy, powoli wspinając się na coraz wyższe szczeble informatycznej kariery. Kupił sobie mieszkanie. A Joanne zawsze chciała młodo wyjść za mąż.

Któregoś deszczowego wrześniowego wieczoru Emma zeszła po schodkach i włożyła klucz w drzwi ich mieszkania w suterenie. Koniec kolejnego cudownego dnia w telefonicznej infolinii i wysłuchiwanie wrzasków klientów, którzy nie mogli się dodzwonić do serwisu technicznego. Rozmowy były nagrywane, więc nie mogła mówić klientom, żeby się odpieprzyli, ani nawet zgodzić się z nimi, że owszem, PlanetLink to najgorszy dostawca szerokopasmowego Internetu w Wielkiej Brytanii i że najlepiej by zrobili, przenosząc się do innej firmy. Wszystko to razem było jeszcze bardziej trudne do zniesienia dlatego, że nie miała z kim ponarzekać w czasie wolnym od pracy. Większość koleżanek i kolegów była albo kilka lat młodsza od niej - zaczęli się w firmie tylko po to, żeby przetrwać przerwę w studiach - albo o wiele starsza, zmęczona życiem i zgorzkniała; ciułali pieniądze, by na przykład ratować domy obciążone bez ich

wiedzy hipoteką przez eksmężów czy eksżony. Jedyną osobą mniej więcej w tym samym wieku co ona był Brian Cobbold, jej niedoszły adorator, który pracował w infolinii już od sześciu lat i niemal zawsze nosił ten sam sweter z dekoltem w serek.

Sześć lat! Emmie zrobiło się słabo. Pracowała tam od dziesięciu miesięcy, a już czuła, że obrasta pleśnią. Naprawdę powinna się stamtąd wyrwać. I to szybko.

Humor jej się nie poprawił, kiedy weszła do mieszkania i znalazła list z działu kadr renomowanej sieci hoteli.

„Szanowna Pani Turner. Dziękujemy za Pani zgłoszenie na stanowisko asystentki dyrektora do spraw marketingu w Globe Rendez-vous Group. Z żalem informujemy Panią, że nie została Pani wytypowana do kolejnego etapu rekrutacji”.

- W Londynie jest taki wyścig szczurów - jęknęła Emma. - Na wszystkie naprawdę dobre posady, na które składałam podania, startują ludzie co najmniej z tytułem magistra. To beznadziejne próbować się gdzieś dostać.

- Za wysoko mierzysz. Powinnaś wziąć cokolwiek - doradziła jej Joanne. - Byle się dostać na pierwszy szczebel drabiny. Siedzisz w tej zegarynce już od roku.

- Nie chcę być uwiązana w pracy, która nie daje mi zadowolenia - odparła Emma. - W tej infolinii dobre jest przynajmniej to, że mam minimalny okres wypowiedzenia, jeśli coś mi się trafi.

Zmięta list, wrzuciła go do kosza i podeszła do zlewu, żeby nalać wody do czajnika. Chociaż nie było jeszcze nawet wpół do siódmej, musiała zapalić światło. Trzypokojowe mieszkanie Emmy i Joanne znajdowało się w suterenie czteropiętrowego szeregowca. Mieszkania na wyższych poziomach miały wysokie sufity i duże okna z widokiem na Błonie Clapham. W suterenie sufity były tak nisko, że siedząc, dało się niemal ich dotknąć, a z zakratowanego żelaznymi sztabami okna było widać tylko stopy przechodzących ludzi. W ten wieczór zrobiło się ciemno wcześniej niż zwykle z powodu deszczu. Po kuchennym oknie spływała woda. Przez kraty, patrząc w górę, Emma widziała szarą ulicę, zaśmieconą tablicami: „Do wynajęcia”.

- Może znowu wyjadę - powiedziała rozmarzonym tonem.

- Dokąd? - spytała Joanne.

- Nie wiem. Do Chin? Zawsze chciałam tam pojechać.

Zadzwonił telefon.

- Halo... Emma? - To mama. - Musiałam chyba nie usłyszeć wczoraj wieczorem twojego telefonu.

Niedzielny telefon! Cholera jasna! Emma zamknęła oczy.

- Byłam poza domem - skłamała. - Na... ee... kolacji. Wróciłam za późno, żeby dzwonić.

- Nie przejmuj się - odparła pogodnie mama. - Gdzie się wybrałaś? Do jakiejś miłej restauracji?

- Była okej - wymamrotała Emma. Pora na zmianę tematu.

- Myślę o przeprowadzce do Chin - oznajmiła.

- Co Chin? - zdziwiła się mama. - A dlaczego miałabyś jechać do Chin?

- Żeby tam trochę popracować. Poznać inną kulturę.
- Ale jaką znalazłabyś tam pracę? Nie znasz chińskiego.
- Mogę się nauczyć, prawda? Chwila ciszy w słuchawce.
- Czy to na pewno dobry pomysł? - zapytała matka.
- A dlaczego nie?
- No bo... dopiero wróciłaś z Sydney i byłaś tam kelnerką...
- Nie tylko kelnerką - wycedziła Emma przez zęby. - Zajmowałam się też całym działem PR.
- Wiem, kochanie. Wiem. Ale czy nie powinnaś zdobyć trochę doświadczenia albo lepsze kwalifi-

kacje tutaj, zanim znów wyjedziesz? Wyrobić sobie znajomości? Okaże się, że nie masz do czego wracać.

- A ty tak doskonale znasz świat biznesu, co? - zadrwiła Emma.
- Och, Emmo! - westchnęła matka. - Nie mogę ci nic powiedzieć. Dać żadnej rady.

Na to był czas dawno temu, pomyślała Emma.

- Kiedy przyjedziesz do Bath? - spytała matka.

- Wkrótce. Mamy teraz w pracy gorący okres.

- Już dawno nie byłaś w domu.

- Przyjadę, przyjadę - obiecała Emma. - Słuchaj, muszę kończyć. Wychodzę. Spotykam się z kimś o ósmej i muszę się jeszcze przygotować.

- Dobrze, kochanie. Miłego wieczoru. I odzywaj się do mnie.

Pożegnały się i rozłączyły. Ale minęła długa chwila, zanim Emma odłożyła słuchawkę.

Żałuję, że nie mogę odzyskać tamtego czasu, pomyślała, jak często po rozmowie z mamą.

Któregoś dnia załatwią to między sobą raz na zawsze. Emma wszystko sobie poukładała w głowie, wszystko zaplanowała. Kiedyś, kiedy już znajdzie prawdziwą pracę, pracę, z której matka będzie dumna, pojedzie do Bath i usiądą sobie, żeby porozmawiać. Naprawdę porozmawiać. Obie powiedzą sobie to, co zawsze chciały powiedzieć. Emma wyzna matce, jak nieszczęśliwa czuła się jako dziecko, nigdy nieprzytulana i niekołysana w ramionach, nigdy nigdzie niezabierana przez mamę, wiecznie podrzucana do babci. Matka wyjaśni, dlaczego była taka zimna. Przecież nie bez powodu. Poprosi Emmę o wybaczenie, a ponieważ Emma będzie wtedy szczęśliwa i spełniona, łaskawie zgodzi się zapomnieć wszelkie urazy. Uściskają się, cały żal wyparuje i wreszcie ona pozwoli sobie na tę bliskość z matką, za którą czasem tak tęskniła.

Bo nie będzie już na nią taka wściekła. Trzy dni później odebrała w pracy telefon.

- Czy to ty, Emmo? - zapytała jakaś starsza kobieta.

- Tak? - Emma nie wiedziała, z kim mówi. Głos wydawał jej się znajomy, brzmiał dziwnie w głośnym ruchliwym centrum telefonicznym.

- Tu Cornes. Wasza sąsiadka z Bath.

- Ach.

I nagle Emma poczuła zimne palce ściskające powoli jej gardło. Dlaczego pani Cornes dzwoni do niej do pracy w czwartek po południu?

- Emmo, kochanie. - Głos pani Cornes drżał. - Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć. Chodzi o twoją mamę.

Wylew podpajęczynówkowy, stwierdzono podczas autopsji. Pani Cornes zaniepokoiła się, nie widząc matki Emmy przez kilka dni. Wzięła zapasowy klucz i zajrzała do domu. W holu, u stóp schodów leżała pani Turner z ciemnymi włosami rozsypanymi wokół głowy. Nie żyła od ponad czterdziestu ośmiu godzin. W pociągu do Bath oszołomiona i odrętwiała Emma dotknęła maleńkiej blizny na podbródku.

Na pogrzeb przyszło więcej ludzi, niż się spodziewała. Widocznie pani Cornes skrzyknęła obywatele Bath. Sąsiedzi, Emma właściwie nikogo z nich nie знаła - wszyscy wyrażali się miło o jej mamie. Potem przez kilka dni przeglądała jej rzeczy, decydując, co chce zostawić, a co wyrzucić - pomagała jej pani Cornes; nie miały wiele czasu, bo nowi najemcy czekali już, by wprowadzić się do domu - były to głównie ubrania, stare listy, kilka sztuk biżuterii. I tyle. Mama zostawiła po sobie tak niewiele.

Na kominku Emma znalazła zdjęcie w ramce: ona, mama i babcia. Miała wtedy jakieś trzynaście lat. Pamiętała ten dzień. To były urodziny babci, a zdjęcie zrobił sąsiad. Mama i babcia siedziały obok siebie na kanapie. Emma stała za nimi, z dłońmi na ich ramionach. Wszystkie się uśmiechały - nawet mama. Po babci nie było widać choroby - rak zaczynał już pożerać jej prawe płuco. Mama Emmy wyglądała młodo i świeżo w różowej sukience, tak innej od szarego kitla, który nosiła w domu spokojnej starości, gdzie pracowała jako opiekunka. Jej rozpuszczone włosy były tego samego ciemnokasztanowego koloru, co włosy Emmy. Miała takie same niebieskie oczy.

Spędziły wtedy miły wieczór. Zabrały babcię na kolację do restauracji. We trzy wypiły butelkę wina. Emma wzięła zdjęcie w dłonie i długo na nie patrzyła. O co chodziło, mamó? Czy ty mnie w ogóle chciałaś? Kochałaś? Teraz już nigdy się nie dowie. Wsunęła zdjęcie w gazetę i włożyła do torby.

Pani Cornes odprowadziła ją na stację, na pociąg do Londynu.

- Kogo ty tam masz, Emmo? - zapytała ze smutkiem. Miała na sobie granatowy płaszcz, w którym była na pogrzebie, zapięty pod samą szyję, z wzorzystą jedwabną apaszką pod kołnierzem. W ostrym świetle poranka jej szminka, źle nałożona, zbyt różowa, nie pasowała do twarzy. Spojrzała na Emmę. - Mama martwiła się o ciebie - powiedziała. - Że tyle podróżujesz. Nie zapuszczasz korzeni. Nie chcę myśleć, że nie masz nikogo, na kim mogłabyś polegać.

- Joanne, dziewczyna, z którą mieszkam, jest dobrą przyjaciółką - zapewniła Emma tę życzliwą kobietę. - Nie zawiedzie mnie.

Podeszła, żeby podać dłoń pani Cornes, ale w końcu ją objęła. Pani Cornes pachniała wodą różaną i babeczkami. Przez chwilę ściskały się mocno. Konduktor dmuchnął w gwizdek. Emma odsunęła się i przeszła za barierkę.

Któregoś wieczoru, kiedy sączyła drinka z Joanne w Grape, przyszedł Oliver. Nie widziała go ani nie myślała o nim od jakiegoś czasu. Był ze znajomymi, ale zostawił ich i podszedł, żeby z nią porozmawiać.

- Słyszałem o twojej mamie - powiedział. Stał przed nią, patrząc w dół. - Utrata bliskiej osoby boli. Gdybyś chciała z kimś o tym pogadać, to jestem tutaj.

Nie wiedziała, co zobaczył w Emmie tego dnia, ale postanowił zostać z nią, zamiast wracać do znajomych. Siedział obok niej przez resztę wieczoru. Wypili butelkę wina i rozmawiali o śmierci, zastanawiając się, co w ogóle ma sens, jeśli ostatecznie sprowadza się do nicości.

- Jaki sens ma piękno, chociażby? - spytała cicho Emma. - Moja mama uwielbiała morze. Szczególnie wieczorami. Kochała zachód słońca w Kornwalii.

- Piękno to mit - powiedział Oliver. - Morze i słońce tak naprawdę nie są piękne. Jesteśmy tylko zaprogramowani, żeby tak myśleć, bo symbolizują wodę i ciepło. Paliwo, którego potrzebujemy do przetrwania.

Ponury ton tej rozmowy pasował do nastroju Emmy. Nie zauważyła, że Joanne się ulotniła. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy pomyślała o marności wszystkiego, o tym, jak daremne było krótkie życie jej matki.

Oliver wziął ją za rękę.

- Spotkaj się ze mną - poprosił. - W ten weekend. Mój znajomy ze swoim zespołem gra w Brixton.

Występ odbywał się na piętrze nad pubem gdzieś w labiryncie uliczek między Clapham a Brixton. Emma nie starała się jakoś specjalnie wystroić na ten wieczór. Włożyła džinsy i niezawodną czarną bluzkę, którą kupiła na wyprzedazy w LK Bennet, z błyszczącymi wstawkami wokół dekoltu. W ostatniej chwili, za namową Joanne, włożyła długie kolczyki z brylancikami. Ale tak naprawdę nie była w imprezowym nastroju. Właśnie umarła jej matka. Nie szła na randkę. Oliver tylko ją wspierał, jak przyjaciel.

Bardzo przystojny przyjaciel. Spotkał się z nią przed stacją metra Brixton; był taki wysoki; w niebieskiej koszuli i wiśniowych welwetowych spodniach prezentował się świetnie i Emma wiedziała, że przepadła. Pub znajdował się na rogu - przestronny ceglany budynek z wielkimi oknami i dużą zieloną markizą. Na drewnianych ławach na chodniku, pod tarasowymi grzejnikami siedziało mnóstwo rozgadanych, roześmianych ludzi. W środku Emma weszła za Oliverem po wąskich schodach. Na górze bardzo ładna blondynka z podkładką do pisania i fluorescencyjną pieczętką na nadgarstek serdecznie uściskała Olivera i zaprowadziła ich do stolika z dobrym widokiem na scenę. Niskie krzesła stały bardzo blisko siebie. Za każdym razem, kiedy Oliver pochylał się, żeby coś powiedzieć, jego kolana ocierały się o kolana Emmy.

Muzyka, blues i jazz, była czasem żywa i wesoła, czasem powolna i nastrojowa. Wokalistka, wysoka czarna dziewczyna z długimi, zaplecionymi w warkoczyki i ufarbowanymi na blond włosami, była tak dobra, że chwilami wszyscy milkli, żeby jej posłuchać.

Oliver mówił o swojej dziewczynie.

- Sharmila i ja rozstaliśmy się - powiedział nad zupą z owoców morza i guinnessem. - Musiała się przeprowadzić do Edynburga ze względu na pracę.

- Przykro mi - odparła Emma. - Pewnie ci jej brakuje.

- Trochę tak - przyznał Oliver. - Ale ona zawsze na pierwszym miejscu stawiała karierę. Nie mam jej tego za złe. Gdyby między nami było coś prawdziwego, może zdecydowałbym się na wyjazd do Edynburga, a może ona zostałaby tutaj. Ale żadne z nas nie chciało się poświęcić.

Koncert skończył się po pierwszej i metro przestało kursować. Oliver odprowadził Emmę do jej mieszkania w Clapham. Raz szli zaśmieconymi ulicami z szeregami drzwi i antywłamaniowych żaluzji na witrynach sklepów, a za chwilę, jak to często w Londynie, skręcali w znacznie bardziej eleganckie ulice, z wielkimi domami w otoczeniu drzew. Park wokół Błonia Clapham, oświetlony na obrzeżach przez uliczne latarnie i okna domów, w głębi był czarny, tajemniczy i romantyczny. Emma pewnie sama nie zapaściłaby się tam o tej godzinie, ale z Oliverem czuła się bezpieczna. Jej zakątek Londynu nigdy przedtem nie wydawał jej się tak piękny.

Szczególnie kiedy Oliver przystanął pod wielkim starym kasztanowcem, żeby ją pocałować.

Więc to było to, to był ten jedyny, wyjątkowy. Emma dała się oczarować. Czytała o tym w książkach, ale myślała, że to tylko wymysły pisarzy. Teraz zrozumiała, co to znaczy. Wszystko w Oliverze było magiczne - nie całkiem ludzkie. Miał nieskazitelnie gładką jedwabistą skórę. Nie pachniał potem - nawet po długim dniu - jak zwykli ludzie, tylko rozgrzaną bawełną.

Emma dowiedziała się wszystkiego o jego dzieciństwie: o wypadku samochodowym, o ciotce, która jasno dała mu do zrozumienia, że nigdy nie chciała mieć dzieci. W Birmingham mieszkała jego starsza siostra, lecz rzadko się z nią widywał. To zdumiewało Emmę. Jak brat i siostra mogą tak stracić kontakt? Troska o Olivera kazała jej zapomnieć o tym, że sama była bardzo nieszczęśliwa. Ona w dzieciństwie miała przynajmniej babcię, a jej mama... nie była sobą. Oliver nie miał nikogo. Wyobrażała go sobie jako siedmiolatka, samotnego i przerażonego, i na samą myśl o tym pękało jej serce.

Oliver zabierał ją do restauracji, na wystawy, festiwale muzyczne. Przez następnych parę tygodni kilka razy jeździli surfować do Kornwalii; spędzili też weekend nad Skye, zieloną rzeką w Hampshire. Poszli razem na imprezę w nieczynnym tunelu metra w Docklands, gdzie w ścianie tkwił niewybuch - lotnicza bomba z czasów II wojny światowej.

Emma była zachwycona, choć przez chwilę zastanawiała się dlaczego - skoro powszechnie wiadomo, że w takim miejscu jest bomba, która może wybuchnąć - władze nic z tym nie robią.

Oliver miewał zmienne nastroje, ale Emma nie pozwoliła, by ją to zniechęciło. Ciężko pracował, często spędzał weekendy i noce w pracy, nadzorując przelewy pieniędzy z kont bankowych i na konta na całym świecie. Emma zostawała z nim, kiedy bywał zmęczony i chciał tylko posiedzieć przed telewizorem. Poznawała jego słabości, ukryte przed innymi.

- Jesteś taka troskliwa, szczerza - powiedział kiedyś Emmie w jedną z takich gorszych chwil. - Sharmila była chłodniejsza, mniej otwarta. I ja chyba sam trochę taki jestem.

- Nie, nieprawda - zapewniła i zawahała się. Czy to dobry moment, by porozmawiać o czymś, co od jakiegoś czasu chodziło jej po głowie? - Wiesz co, może powinieneś częściej widywać się z siostrą.

- Z Sashą? A po co? Widzieliśmy się w Boże Narodzenie.

- Ale mógłbyś ją odwiedzać i przy innych okazjach. Zadzwoń do niej. Spędzić z nią trochę czasu.

Emma często fantazjowała, jak to poznaje siostrę Olivera. Byłaby trochę podobna do niego, może trochę mniej refleksyjna. Od razu by się polubiły. Zbliżały się święta; ona i Sasha poszłyby razem kupować prezent dla Olivera i Sasha zaprosiłaby ich oboje na obiad w Boże Narodzenie.

Oliver się zdziwił.

- Ona do mnie nie dzwoni. Jak często ty widzisz swoją siostrę?

- Ja nie mam siostry - odparła Emma.

- A... - Oliver wpatrzył się w telewizor. - Przepraszam. No tak, mówiłaś.

- Ale bardzo bym chciała mieć - ciągnęła Emma. - W razie kłopotów można polegać tylko na rodzinie.

Oliver ziewnął.

- Tyle że Sasha jest dziesięć lat starsza ode mnie. Ma męża i trójkę dzieci. Jest całkiem fajna, ale trochę... wiesz, nigdy nie zrobiła niczego ze swoim życiem. Nie wiedziałbym, o czym z nią rozmawiać.

- A gdybym ja do niej zadzwoniła? - zasugerowała Emma. - Może tak by było łatwiej. Rozumiesz: kobieta z kobietą. Mogłybyśmy zorganizować wspólną kolację.

- Nie trzeba, Emmo. - Oliver starał się jej nie zrazić. - Chodzi o to, że ty nie wiesz, jaka naprawdę jest moja rodzina.

Kiedy znów do niej zadzwonił, chciał ją o czymś powiadomić: ma nadzieję, że nie zrozumiała go źle, ale on nie chce, żeby sprawy z nimi zaszły zbyt daleko. Sharmila wraca do Londynu i chcą spróbować jeszcze raz.

Emma byłaby zdruzgotana, ale ten cios nic nie znaczył w porównaniu z szokiem, który odsunął w cień wszystko inne. Właśnie zdała sobie sprawę, że okres jej się spóźnia niemal o trzy tygodnie.

Rozdział 7

Piątek, 22 września

Dzień szósty

Co?...

Emma obudziła się, usiłując wydrzeć coś spod swojej twarzy. Poduszka kanapy, nierówna i szorstka, ugniatała niemiłosiernie jej policzek. Emma leżała na boku, a jej ciało drgało w rytmie uderzeń serca. Coś jej się śniło. Jak przez mgłę przypominała sobie jakiś obraz, jakąś scenę, która rozpadała się na plamki i umykała z jej mózgu.

Co ją tak nagle obudziło?

Leżąc nieruchomo, zaczęła nasłuchiwać, ale w mieszkaniu panowała cisza. Słysząc tylko pomruk lodówki w kuchni. Emma uniosła się na łokciu i rozejrzała wokół opuchniętymi oczami. Usta miała suche jak pieprz. Jak długo spała? Położyła się jeszcze za dnia. Teraz pokój rozjaśniała szara poświata, wysoko na ścianach. Wykładzina upstrzona była wdeptanymi okruciami. Pod krzesłem leżał przewrócony kubek.

W mieszkaniu - zimno i pusto. Nikogo prócz niej. Policjanci wynieśli się jakiś czas temu. Nie szukali już Ritchiego.

Oczywiście nie powiedzieli jej tego w oczy.

- To, co mówiła doktor Stanford, w najmniejszym stopniu nie wpłynie na przebieg śledztwa - próbowała jej wmawiać Lindsay. - Nie ma dowodów, że zrobiła pani coś złego.

Ale minęło już pięć dni od jego zniknięcia. Pięć dni i nic! Żadnego tropu. Policjanci może i wykonywali jakieś rutynowe czynności, ale jeśli się do tego nie przykładali, Ritchie się nie znajdzie. Lindsay traktowała ją protekcjonalnie, z tą swoją udawaną troską i beczelną pogodną twarzą, która mówiła, że kiedy tylko wraca do domu, do swojego chłopaka, nie myśli już o Emmie i Ritchiem. Emma przejrzała jej grę. Jeszcze chwila i aresztują ją za to, że zrobiła synkowi krzywdę. Przestała ufać Lindsay. Nie ufała nikomu.

- Chciałabym mieć trochę prywatności - oznajmiła zimno. - Jeśli skończyliście przeszukiwać moje mieszkanie, to chciałabym, żebyście sobie poszli.

- Emmo, nie sądzę...

- Powiedziałam, że macie stąd iść. Nie możecie zostać, jeśli ja tego nie chcę. Chyba mam prawo do odrobiny spokoju we własnym domu.

Ale kiedy Lindsay sobie poszła, cisza zaczęła gęstnieć, mruczała i wciskała się przemocą w jej uszy. Emma zwinęła się na kanapie i przykryła głowę poduszką. Leżała tak i, trzęsąc się, próbowała myśleć. Musi się skoncentrować. Nie może tak po prostu siedzieć lub leżeć; musi coś robić. Jeśli policja nie

chce jej pomóc, to powinna poszukać kogoś, kto zechce. Ale kto? Kto na świecie przejmował się Ritchiem tak jak ona?

Nikt, odpowiedziała sama sobie. Absolutnie nikt.

Oczywiście ludzie dzwoniли do niej, kiedy się dowiedzieli. Gazety zamieściły wreszcie zdjęcie Ritchiego siedzącego na czerwonej ciężarówce, choć wciąż nie na pierwszej stronie. Ilekroć dziennikarze wspominali o porwaniu, zawsze dodawali jakieś słowo, które zaciemniało sprawę. Na przykład: „...rzekomo został porwany...” albo: „Matka dziecka utrzymuje, że...” Bywało i gorzej. Lindsay ostrzegała Emmę, żeby nie brała sobie do serca wszystkiego, co przeczyta, ale i tak przeżywała szok, kiedy otwierała gazety i widziała okropne rzeczy wypisywane przez ludzi, którzy nie znali ani jej, ani Ritchiego.

„Samotna matka podobno z trudem radziła sobie...”

„Po przelotnym romansie z ojcem dziecka, którego nie widziała od tamtej pory...”

„Pani Turner, lat dwadzieścia pięć, twierdzi, że zostawiła swoje maleńkie dziecko pod opieką zupełnie obcej osoby w barze z frytkami...”

Emma nie mogła więcej tego czytać.

Zadzwoiły jej dawna szefowa zmiany z infolinii i kilka byłych współpracownic. Zadzwoiła też Claire Burns, która mieszkała teraz w Brighton. Wszystkie mówiły, jak im przykro i że zapewne Ritchie wkrótce się znajdzie. Ale żadna z nich nie знаła Ritchiego. Żadna nawet go nie widziała.

Pani Cornes, przejęta i roztrzęsiona, zatelefonowała z Bath. Jej głos brzmiał, jakby postarzała się o dwadzieścia lat, od kiedy Emma widziała ją ostatnio. Powtarzała:

- Biedny Robbie. Biedny mały Robbie.

Zaproponowała, że przyjedzie do Londynu, ale Emma wiedziała, że to nie jest dobry pomysł. Uspokoila staruszkę, mówiąc, że Joanne jest z nią cały czas.

Ale Joanne nie było. Zadzwoiła tylko raz:

- Tak mi przykro z powodu Ritchiego. Odezwij się, jeśli będziesz czegoś potrzebować. - I tyle. Najwidoczniej, choć to żalosne, nie wybaczyła jeszcze Emmie jej uwag pod adresem Barry'ego, kiedy ostatnio ze sobą rozmawiały.

Zadzwoiła za to Karen, dawna przyjaciółka Emmy z Bath, i to wiele znaczyło. Karen wyjechała z Emmą i Joanne, kiedy po studiach wyprawiły się do Australii. We trzy mieszkały w zaniedbanym słonecznym domu nad morzem, przy Bondi Beach. Emma bardzo za nią tęskniła. Karen okazała się dobrą przyjaciółką - ostatecznie o wiele lepszą niż Joanne. Na uniwerku Karen i Emma wspólnie stawiały czoło światu. Chodziły razem do podstawówki i były najlepszymi koleżankami od jedenastego roku życia. Joanne, świeżo po przyjeździe z Middlesborough, nieznająca w Bristolu żywej duszy, wylądowała w akademiku po sąsiedzku z Karen. Emma i Karen znalazły ją któregoś wieczoru wypłakującą sobie oczy; mówiła, że jest samotna, nie cierpi Bristolu, że rzuci studia i wróci do domu. Karen - ona zawsze miała miękkie serce - uparła się, żeby Joanne poszła z nimi na pizzę i przemyślała swoją decyzję. Kiedy Joanne jakoś się pozbierała, okazała się wesołą kumpelą, zawsze chętną na wieczorne wyjście, i została ich przyjaciółką.

Jednak, choć wyjechały we trzy do Sydney, żeby przez rok zabawić się i nałykać słońca, do domu wróciły tylko we dwie. Karen została i zamieszkała z Conorem, swoim nowym chłopakiem, w Melbourne. Na dobre zapuściła tam korzenie. Ona i Conor właśnie się zaręczyli. Karen napomknęła o tym niechcący podczas rozmowy z Emmą, po czym rozplakała się i przepraszała, przepraszała. Ostatecznie Emma nie mogła się doczekać końca tej rozmowy.

Ale najgorszy był telefon od Olivera. Policja namierzyła go w Malezji. Okazało się, że tam teraz mieszka. To był ich pierwszy kontakt od czasu jeszcze sprzed narodzin Ritchiego, oprócz jedyne go e-maila, którego Oliver przysłał z Tajlandii, kiedy Ritchie miał jakieś pół roku. Oliver napisał, że czuje się winny, że sprawy tak się potoczyły, i wyrażał nadzieję, że Emma i Ritchie dobrze sobie radzą. Na końcu dodał: „Nie dałaś mi żadnej możliwości wyboru, nie miałem nic do powiedzenia w tej kwestii”. Nigdy nie widział swojego syna.

- To musi być dla ciebie straszne - powiedział teraz przez telefon, chyba szczerze przejęty. - Straszne. Na pewno przeżywasz piekło.

- To może być nic w porównaniu z tym, co przeżywa Ritchie - przypomniała mu Emma.

- Nie mów tak. To też mój syn.

Emma zapłakała cicho, tłumiąc szloch rękawem. Ile znaczyłyby dla niej takie słowa, gdyby Oliver wypowiedział je w ciągu ostatnich trzynastu miesięcy.

- Policja mnie przesłuchiwała. - Mogli to zrobić przez telefon. Stwierdzili, że na razie nie muszę przyjeżdżać do Anglii - wyjaśnił Oliver.

Emma milczała.

- Co nie znaczy, że nie przyjadę, jeśli ty będziesz tego chciała - ciągnął Oliver. I po chwili: - Widziałem, co piszą w gazetach. O tym, że źle się nim opiekowałaś. To absurd. Znam cię i nie wierzę nawet w połowę tego, co wypisują ci ludzie. Jeśli chcesz, żebym przyjechał, to przyjadę. Oczywiście będę musiał się tu jakoś zorganizować, ale w tych okolicznościach...

Emma otarła nos rękawem.

- Nie musisz przyjeżdżać.

- Jesteś pewna? Bo jeśli mogę cokolwiek...

- Nie musisz przyjeżdżać.

Odłożyła słuchawkę. Dziwne - te wszystkie uczucia, które kiedyś żywiła do niego. Był czas, kiedy zrobiłaby dla niego dosłownie wszystko. Wszystko. Teraz nie czuła do niego nic. Marnował jej czas, blokował linię, kiedy ktoś ważniejszy mógł próbować się dodzwonić z wiadomościami o Ritchiem.

Ci ludzie, niby tacy przejęci. Ale nikt z nich nawet nie znał Ritchiego, nie troszczył się o niego, nie mógł się do niczego przydać w tej chwili. Jak do tego doszło? Jak mogła zawieść synka tak strasznie? Jakim cudem doprowadziła do tego, że znaleźli się w takiej sytuacji, bez przyjaciół, bez miłości?

Poruszyła się, wtulając twarz w siedzenie kanapy.

Tak łatwo, tak bardzo łatwo stracić kontakt z tymi, którzy kiedyś zdawali się tak ważni. I tak strasznie trudno ich zastąpić.

Leżała. Było jeszcze znacznie za wcześnie, by włączyć się centralne ogrzewanie. Miała na sobie koszulkę i spodnie od dresu. Ramiona zaczynały jej drętwieć. Nogi przykryła polarem, ale się z nich zsunął. Słońce schowało się za chmurą. Pokój, który nigdy nie był zbyt jasny, pociemniał jeszcze bardziej, tak jak pociemniało niebo. Cień zbliżał się do kanapy.

Jeszcze zanim go usłyszała, spodziewała się tego głosu.

- Zawiodłeś - powiedział.

Niski, suchy głos. Ani męski, ani kobiecy. Wymówił wyraźnie to słowo. Dobiegał z kąta, gdzieś zza telewizora. Emma słyszała go już wcześniej.

- Zgubiłeś go. Zawiodłeś.

- Wiem - zaszlochała Emma. - Wiem.

To bolało, tak bardzo bolało; wiedziała, że musi coś zrobić, ale była taka zmęczona, taka ociężała, jakby coś wciskało ją w kanapę, nie pozwalało jej wstać. Zimne dłonie i stopy, chłód rozlewający się na całe ciało. Lód w sercu. Zamknęła oczy. Błagam, myślała. Błagam.

A potem, przez kilka litościwych godzin, o niczym nie myślała.

A teraz.

Co wyrwało ją ze snu? Coś ważnego, była tego pewna. Coś w mieszkaniu? Nie. Coś we śnie? To traściło jakąś uporczywą, cichą strunę. Co to było? Coś w związku z... Antonią.

Jezu!

Emma odepchnęła poduszkę i usiadła.

Antonia! Teraz sobie przypomniała. To coś, co błysnęło w jej mózgu na balkonie, tamtego dnia, kiedy ten facet - Rafe? - przyniósł jej torbę. Wtedy coś kazało jej pomyśleć o Antonii i teraz wreszcie wskoczyło na swoje miejsce. Już wiedziała, co to było.

Jak na jawie, znów zobaczyła Antonię z Ritchiem w kawiarni. Zobaczyła jej poruszające się wargi, gdy mamrotała do telefonu.

„Będzie rak”, powiedziała wtedy Antonia, a przynajmniej tak zdawało się Emmie.

Ale ona wcale nie mówiła: „Będzie rak”. Mówiła: „Bergerac”.

Serce Emmy łomotało. Teraz wiedziała, dlaczego tamtego dnia pomyślała o Antonii. *Bergerac* to był tytuł serialu o detektywie, który oglądała jej matka, kiedy Emma była dzieckiem. A ona na balkonie mówiła temu mężczyźnie - temu Rafe'owi jakiemuś tam - że może zatrudni prywatnego detektywa. I dokładnie w tym momencie Antonia rozbłysła w jej mózgu.

Bergerac! Antonia wymawiała „g” jak Francuzka. I chociaż Emma nie słyszała prawie niczego z tej rozmowy, wyłapała to „g”. Rozpoznała akcent, nawet nie zdając sobie z tego sprawy w tamtej chwili. Ale uchwyciła go jej podświadomość. I odpowiedziała, podsuwając jej obraz sprzed tylu lat - mamy oglądającej telewizję przy kominku.

Emma wstała z kanapy. Otuliła się polarem i zaczęła krążyć po pokoju. Okej. Okej. Zastanów się nad tym. Przypuśćmy, że Antonia naprawdę powiedziała „Bergerac”. Co mogła mieć na myśli? Raczej nie dyskutowała z rozmówcą na temat serialu z lat osiemdziesiątych, siedząc w obskurnym barze w White-chapel z cudzym berbeciem. Emma skupiła się, próbowała przypomnieć sobie wyraz twarzy Antonii. To była ważna rozmowa. Im dłużej Emma o tym myślała, tym bardziej była pewna. Antonia podskoczyła jak oparzona, kiedy Emma podeszła do niej od tyłu z tacą. Nie chciała, żeby Emma słyszała, co ona mówi. A skoro coś knuła, czy nie znaczyło to, że to naprawdę ona zabrała Ritchiego? Czy może Emma przypominała sobie teraz rzeczy, które w ogóle się nie wydarzyły?

Bzzzt. Bzzzt.

Domofon! Emma o mało nie potknęła się o nogę krzesła. Zakręciło jej się w głowie. Pewnie za szybko zerwała się z kanapy. Nie zważała jednak na to; popędziła do drzwi, by wcisnąć guzik domofonu. Ktokolwiek to był, może miał wiadomości o Ritchiem. Ale zanim dotarło to do niej, przygotowała się na rozczarowanie. To pewnie kolejny pismak. Przestała ich wpuszczać do mieszkania od czasu, kiedy kobieta o szyderczym wyrazie twarzy, w czerwonej garsonce, zapytała ją, czy może udowodnić, że Oliver jest ojcem Ritchiego, a tymczasem jej kolega Żabulcem przeczyścił obiektyw aparatu.

Mogła to też być pani Alcares, pielęgniarka z Filipin, która mieszkała po sąsiedzku. Emma ledwie знаła tę kobietę, ale sąsiadka uparcie wypytywała policjantów w windzie, czy znaleźli już Ritchiego.

Ale to nie ona odezwała się w głośniku.

- Emma Turner? - zapytał męski głos.

- Tak?

- Przepraszam, że przeszkadzam. To ja, Rafe Townsend.

Rafe Townsend. Rafe Townsend! Facet, który rozmawiał z nią na balkonie. Emma była zbyt zdumiona, by odpowiedzieć. Myślała o nim ledwie kilka minut wcześniej.

- Przywiozłem pani torbę - przypomniał Rafe. - W zeszły poniedziałek.

- Wiem, kim pan jest.

Bezwiednie wcisnęła guzik zwalniający zamek. W następnej sekundzie syknęła, zirytowana. Dlaczego to zrobiła? Po co, do cholery, ten cały Rafe przyłazł tu drugi raz?

Kiedy po minucie czy dwóch usłyszała jego pukanie, kusilo ją, żeby je zignorować. Wciąż kręciło jej się w głowie. W końcu jednak westchnęła i otworzyła drzwi. W korytarzu stał ten sam wysoki ciemnowłosy mężczyzna, z tym samym dziurawym plecakiem na ramieniu. Twarz miał zaczerwienioną, z wysiłku czy z zimna, a włosy sterczały mu jak kolce, mokre od potu.

- Mam nadzieję, że nie gniewa się pani za to najście - powiedział Rafe, przyglądając jej się z troską.

- W czym mogę pomóc? - spytała. Jego twarz zaczęła się zamazywać. Było jej coraz bardziej słabo.

- Przejeżdżałem tędy i po prostu... Obrzucił ją wzrokiem. Głos utknął mu w gardle - ...Chciałem tylko zobaczyć, jak się pani miewa.

Emma też spojrzała po sobie i poczuła zapach potu. Ostatnio jakoś nie mogła się zebrać, żeby wziąć prysznic. Głowa ją swędziała, a włosy zwisały w tłustych strąkach.

- Nie ma glin? - zapytał Rafe.

- Już nie przychodzą.

- Co?

Emma przylgnęła do uchylonych drzwi. Światło przesunęło się, po wykładzinie przemknęły dziwne cienie.

- Chce pani usiąść?

Ostrożnie, wciąż ją obserwując, pchnął drzwi, otwierając je szerzej. Kiedy nie zaprotestowała, wszedł do przedpokoju i zamknął je za sobą. Wziął Emmę pod ramię i poprowadził do kanapy.

- Niech pani usiądzie.

Usłuchała go, otępiała. Czarne plamy przed oczami zaczęły się rozplýwać.

- Dobrze się pani czuje? - zapytał Rafe. Przykucnął na podłodze i patrzył na nią. Jego twarz, ściągnięta z niepokoju, była blisko jej twarzy i znów daleko. Blisko i daleko.

- Przypomniałam sobie - odparła słabym głosem.

- Co? - Rafe nie zrozumiał.

- To coś - próbowała wyjaśnić. - Pan wtedy tu był. To coś, co próbowałam sobie przypomnieć. Już wiem, co to było.

Wiedziała, że nie wyraża się zbyt jasno. Nie spodziewała się, że mężczyzna zrozumie, o czym ona mówi. Ale ku jej zaskoczeniu od razu załapał.

- Na balkonie - powiedział. Wstał z podłogi i usiadł obok Emmy na kanapie. - Pamiętam. Co to było? Co na to policja?

- Nie powiedziałałam im.

- O!

Czuła, że na nią patrzy.

- Więc może powie pani mnie? - zaproponował. - Posłucham i może zdołam pomóc.

Powiedział to w taki sposób, jakby naprawdę był zainteresowany. Jakby naprawdę uważał, że to może być istotne. Zanim się zastanowiła, zrelacjonowała mu dokładnie, co mówiła Antonia. Podkreśliła, że jej akcent, kiedy wymawiała słowo „Bergerac”, przypominał jej matkę oglądającą telewizję, że Antonia mamrotała cicho i zasłaniała usta dłonią, wyraźnie chcąc ukryć, co mówi. Że spłoszyła się, kiedy się zorientowała, że Emma stoi tuż za nią.

- To może nie być ważne - Emma, zdała sobie sprawę, jak nieprzekonująco to brzmiało, nawet dla niej samej. - Tylko że...

Tylko że teraz, kiedy jeszcze raz przeanalizowała całą sytuację, nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to jednak coś ważnego. Bo jeśli nie, dlaczego Antonia nie chciała, żeby Emma usłyszała jej słowa?

- Bergerac. - Rafe zmarszczył brwi. - Myśli pani, że to czyjeś nazwisko albo imię? Jej męża?

- Nie wiem - odparła bezradnie Emma. Znów ogarniały ją wątpliwości. - To może zupełnie nic nie znaczyć. Może się mylę i w ogóle tego nie powiedziała.

- Jeśli to nazwisko - Rafe podrapał się po podbródku - to może o kimś mówiła. Może policja mogłaby sprawdzić wszystkich... - Urwał. - Chwileczkę. Czy we Francji nie ma miasta o tej nazwie?

- A jest?

- Tak. Wszędzie go pełno w folderach biur podróży. Całe mnóstwo kobiet typu Antonii jeździ tam na wakacje. I mówi pani, że jej francuski akcent był niezły. - Rafe wstał z kanapy i zaczął chodzić po pokoju. - Wie pani co, to by miało ręce i nogi. Jeśli porwali dziecko, byłoby logiczne wywieźć je z kraju jak najszybciej. Jeżeli mają znajomości we Francji... Cholera. - Przystanął. - Warto by się temu przyjrzeć.

- Ale jak?

- Nie wiem. Sprawdzić listy pasażerów? Czy ktoś leciał do Bergerac z dzieckiem? Oczywiście mogli też popłynąć promem albo pojechać pociągiem. - Przygryzł kciuk. - Lub samochodem. Ale Bergerac ma lotnisko. Warto spróbować.

Przez sekundę Emma czuła dziki, szalony przypływ nadziei. Czyżby naprawdę na coś trafili? Nagle powiedziała:

- Ale Ritchie nie ma paszportu.

- Mogli zdobyć dla niego fałszywy. Albo użyć paszportu jakiegoś innego dziecka. Wszystkie dzieci w tym wieku wyglądają podobnie, prawda? - Rafe zeszywniał. - Przepraszam. Głupio gadam. - Rozejrzał się po pokoju. - Gdzie telefon? Musisz o tym powiedzieć policji.

- Nie będą chcieli...

- Właśnie że będą.

Rafe dostrzegł telefon na stoliku przy oknie. Podeszedł i podniósł słuchawkę. Numer Lindsay wciąż był do niej przyklejony.

- Dzwoń do niej - polecił Emmie. Nie zauważyła nawet, kiedy zaczął do niej mówić na „ty”.

Jego entuzjazm udzielił się Emmie. Palce jej zeszywniały, zdołała jednak wybrać numer Lindsay. Połączyła się z nią od razu.

- Bergerac? - powtórzyła Lindsay. - Może to pani przeliterować? I uważa pani, że mogła mieć na myśli miasto we Francji. Zrobimy, co w naszej mocy, Emmo. Natychmiast się tym zajmiemy.

Emma odłożyła słuchawkę. Rafe stał oparty o stół, z założonymi rękami i patrzył na nią.

- Sprawdź to - powiedziała.

- Oczywiście, że sprawdzę.

- Bez względu na to, czy to istotne - szepnęła Emma, nagle bardzo zmęczona, Podniecenie opadało. To śmieszne. „Bergerac” może znaczyć wszystko. Cokolwiek. Na przykład imię psa Antonii. Marka perfum. Jakie są szanse, że zasłyszane jedno przypadkowe słowo coś zmieni? Równie dobrze można by rzucić monetę z morskiego urwiska i spodziewać się, że znajdzie się ją na plaży. Zawroty głowy wróciły, świat zaczął się zamazywać. Miała nadzieję, że Rafe zaraz sobie pójdzie.

Ale on się nigdzie nie wybierał.

- Jadłaś dzisiaj coś? - zapytał.

Nie czekając na odpowiedź, odepchnął się od stołu i ruszył do kuchni.

- Zaraz, zaraz. - Emma poszła za nim. - Hej, co ty wyprawiasz?

Rafe otworzył lodówkę. Buchnął z niej dziwny zapach. Na niższych półkach stały stłoczone jogurty i słoiczki z jedzeniem dla dzieci. Na środkowej leżały dwa szerniałe banany obok spleśniałego chleba tostowego. Na górnej półce stał plastikowy pojemnik na mleko. Zawartość była żółta i grudkowata.

- Niewiele tu tego - stwierdził Rafe.

Zamknął lodówkę.

- Wiesz co? Pojadę na rowerze do sklepu i zrobię zakupy. A kiedy wrócę, zrobię ci coś do jedzenia.

- Nie trzeba. - Emma pokręciła głową. - Nie jestem głodna.

- To żaden kłopot - nalegał Rafe. - Lubię gotować. Gdzie masz klucze?

Emma nie odpowiedziała. Otuliła się szczelnie polarem i stanęła przed Rafe'em.

- Mogę ci najpierw zadać jedno pytanie? Czego ty właściwie chcesz?

- Zadbaj o to, żebyś coś zjadła - odparł zdziwiony Rafe. - Wyglądasz, jakbyś od wielu dni nie jadła porządnego posiłku.

- A dlaczego cię to tak martwi? Przecież jestem dla ciebie nikim. Kilka dni temu w ogóle się nie znaliśmy. Dlaczego ciągle tu przychodzisz? - Zmrużyła oczy. - Liczysz, że się z tobą prześpię? Darmowe bzykanko? O to chodzi?

- Że co pro...

- Pozwól, że coś ci powiem - przerwała mu Emma. - Jaka jestem. A potem zobaczymy, czy jeszcze będziesz chciał... ugotować mi kolację.

Ostatnie trzy słowa wypowiedziała szyderczym tonem. Domyślała się, o jaką kolację mu chodzi. Rafe zdębiał. I dobrze. Niech się dowie, jaka ona naprawdę jest. To go zniechęci raz na zawsze. Wyniesie się stąd tak samo szybko jak wszyscy inni.

- Dwa tygodnie temu, zanim Ritchie został porwany, poszłam do mojej lekarki i powiedziałam, że go nienawidzę.

- Co takiego?

- Słyszałaś. Powiedziałam swojej lekarce, że nienawidzę Ritchiego.

Rafe milczał.

- Powiedziałam jej, że żałuję, że się w ogóle urodził - ciągnęła gniewnie Emma. Nie zamierzał tego skomentować? - Że chciałam, żeby Ritchie umarł.

Ale to słowo, „umarł”, zabrzmiało chrypliwie, rozdrapując jej gardło jak papier ścierny. Mimo wojowniczego nastroju zadrzała. Znów była w gabinecie doktor Stanford. Syk gazowego bojlera. Zapach stóp. Ritchie obok niej na wózku, w swoim polarku ze słońcem. I jego płacz, płacz, płacz.

Emma przycisnęła dłoń do piersi. Nie mogła złapać tchu. Dławiła ją wielka kula. Dość, pomyślała, kurcząc się w sobie. Dość. Nie mów mu ani słowa więcej.

- Mój własny syn - powiedziała twardym, zimnym głosem, kiedy odzyskała mowę. - Więc taką jestem żalną, psychopatyczną suką. A ty najwyraźniej uznałeś, że jestem wystarczająco pokręcona, że możesz tu sobie przychodzić i gotować mi kolację, a ja padnę ci w ramiona, będę się z tobą bzykać i nikt się nigdy nie dowie. To dlatego tu jesteś, prawda? Bo dlaczego miałbyś robić to wszystko dla obcej kobiety?

Nareszcie sukces. Teraz Rafe był wściekły. Pierś mu się wznosiła i opadała, ramiona były prawie na wysokości uszu. Z uniesionymi brwiami popatrzył w górę, potem w prawo, i ze świstem wciągnął powietrze. Jego usta ułożyły się w „o”, jakby chciał coś powiedzieć. Było oczywiste, że zaraz wypali: „No właśnie, dlaczego, ty żalna psychopatyczna suko?”, i zwieje, aż się będzie kurzyło.

Ale nie powiedział tego. Wypuścił powietrze i odetchnął jeszcze raz, zanim się odezwał.

- Jestem tutaj, bo obchodzi mnie, co się stanie z Ritchiem. Dlatego, i z żadnego innego powodu. Nie znam Ritchiego, nigdy go nawet nie widziałem, ale byłem tam tego dnia, kiedy został porwany. I mogłem coś zrobić. Powinienem był coś zrobić. Byłem policjantem, na litość boską. Nie powinienem był cię zostawiać w takim stanie. Przez ostatnich kilka dni nie mogłem myśleć o niczym innym i nie potrafię sobie wybaczyć, że do tego dopuściłem.

Głos mu drżał. Twarz miał czerwoną, ręce ciasno splecione na piersi.

- A jeśli chodzi o to, co powiedziałaś swojej lekarce... Nie wiem, dlaczego to powiedziałaś, ale jestem pewien, że kiedy to mówiłaś, musiałaś być w ogromnym stresie. Ludzie często mówią różne rzeczy, choć tak nie myślą.

Emma nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

- Więc jeśli cię przytłaczam, jeśli chcesz, żebym cię zostawił w spokoju, to po prostu mi powiedz i więcej tu nie przyjdę.

Zawroty głowy wróciły ze zdwojoną siłą. Emma cofnęła się i poczuła, że uderzyła o coś biodrem. Rozległ się hurgot, kiedy stół walnął w ścianę. Telefon zsunął się z blatu i z hukiem spadł na podłogę. Emma opadła na kolana.

- Ciągle o nim myślę. - Ścisnęła głowę dłońmi. - Nie mogę uwolnić się od tych myśli. Czuję, że wariuję. Za każdym razem, dosłownie za każdym, kiedy coś robię, kładę się, piję wodę albo kawę, wyrzucam sobie, jak mogę to robić, jak mogę tak sobie dogadzać, kiedy być może Ritchie cierpi.

- Nie wolno ci myśleć w ten sposób. Nie wiesz...

- On cierpi przeze mnie! - krzyknęła Emma. - Nie opiekowałam się nim jak należy. To nie był zwykły przypadek. To by się nie przydarzyło komuś innemu. Słyszałeś, jak mówiłam o nim do doktor Stanford... słyszałeś...

Wcisnęła pięści do oczu, by oprzytomnieć. Poczowała ruch obok siebie. Rafe pochylił się tak, że jego twarz znalazła się obok jej twarzy.

- Posłuchaj - powiedział. - Znajdziesz go. Odzyskasz.

- Przestań to mówić - zawodziła Emma. - To nic nie znaczy. Nikt z was nie wie, gdzie on jest i co się z nim dzieje. Ty też nie wiesz. Nie wiesz.

- Powiedziałaś policji, że Antonia umie zajmować się dziećmi - ciągnął Rafe. - Powiedziałaś, że wiedziała, jak go trzymać na rękach. Jak go sadzać do wózka. Sądzę, że zabrała Ritchiego, bo chciała go dla siebie. Nie po to, żeby go skrzywdzić, tylko wychować jak własne dziecko.

- Nie możesz tak mówić. Nie wiesz nawet, czy to ona go zabrała.

- Trzeba tak mówić. Trzeba tak myśleć. Ritchiemu nie stanie się żadna krzywda.

Jego dziwne żółtawe oczy - bardzo szczerze, bardzo spokojne - spojrzały w jej oczy. Jeśli kłamał, to był w tym cholernie dobry.

Wstał. Wziął Emmę pod rękę i pomógł jej się podnieść. Poprowadził ją do łazienki.

- Zaraz wracam - powiedział.

Klucze były w zamku w drzwiach. Wziął je i wyszedł.

Emma rozebrała się i weszła do oliwkowozielonej wanny. Odkręciła kurki i przytrzymała prysznic nad głową. Ciepła woda popłynęła po jej twarzy, ale ona nie wiedziała nawet, czy to woda z kranu, czy jej własne łzy. Policjanci musieli mówić miłe rzeczy o Ritchiem. To należało do ich obowiązków. Nie chcieli, żeby wpadała w histerię, żeby jeszcze bardziej wszystko utrudniała. Ale Rafe nie musiał tego mówić, prawda? Dlaczego miałby to robić, jeśli naprawdę tak nie myślał? Desperacko pragnęła mu wierzyć. Od początku tej historii on jeden nie traktował jej jak przestępczyni czy mitomanki. Po tym, co mu powiedziała o doktor

Stanford, spodziewała się, że się wycofa albo przynajmniej zacznie zachowywać z większym chłodem czy dystansem, ale w jego oczach, kiedy patrzył na nią przed chwilą, widziała wyłącznie zrozumienie i współczucie. Usta jej zadrżały. Znowu łzy! Przystawiła prysznic do twarzy i czekała, aż spłyną i się uspokoi. Płacz na nic jej się teraz nie zda. Jedyne, co może jej pomóc, to pewność, że Ritchie jest cały i zdrowy.

Kiedy łzy przestały płynąć, zakręciła wodę. Wyszła z wanny, wytarła się, włożyła czyste dżinsy i bluzkę. I stwierdziła, zaskoczona, że czuje się odrobinę lepiej.

Była nawet głodna.

Kiedy wyszła z łazienki, Rafe już wrócił. Mieszkanie wypełniały kuchenne odgłosy. W kuchni kroił bagietkę. Na blatach leżały plastikowe torebki z Sainsbury's.

- Zapasy na kilka dni - powiedział zmieszany, śledząc jej spojrzenie. - Mam nadzieję, że lubisz makaron?

- Lubię.

- Dobre pożywne żarcie.

Odłożył nóż i zdjął parujący garnek z palnika, trzymając uszka przez ścierkę. Emma poczuła intensywny zapach pomidorów z bazylią. Zdziwiła się, kiedy żołądek zareagował burczeniem. Daj no tego trochę, mówił.

Jedli przy stole koło drzwi balkonowych. Blok naprzeciwko błyszczał w ostatnich promieniach słońca. Folia w oknach połyskiwała, zmieniając brakujące zęby w złote koronki. Emma jadła ostrożnie, małymi kęsami. Jej żołądek był skurczony i obolały. Nie wiedziała, jak poradzi sobie z jedzeniem.

- To Ritchiego? - zapytał Rafe z pełnymi ustami, wskazując czerwoną ciężarówkę wepchniętą za kanapę. Emma nie chciała, żeby zabawka rzucała jej się w oczy.

- Tak - odparła krótko.

- Niezła. - Kiwnął głową. - Też, jako dzieciak, taką miałem. Na pewno będzie ją pamiętał, kiedy podrośnie, zobaczysz. Nie zapomina się swojej pierwszej ciężarówki.

Emma odłożyła widelec. Rafe mówił o Ritchiem tak, jakby naprawdę był pewien, że niedługo do niej wróci. Jakby Ritchie wyjechał tylko na wakacje.

- Wygląda tak zabawnie, kiedy na niej jeździ - powiedziała drżącym głosem. - Skupiony, zaangażowany, jakby wypełniał jakąś ważną misję. Patrzy na mnie taki zmartwiony, jakby chciał powiedzieć, że za minutkę się mną zajmie, ale najpierw musi skończyć tę robotę.

Znów pochyliła się nad makaronem, próbując przełknąć kulę w gardle. Rafe nie zadawał więcej pytań. Pozwolił jej zjeść w spokoju prosty i smaczny posiłek. Zanim Emma się zorientowała, zjadła ponad połowę tego, co miała na talerzu. Poczula się silniejsza, bardziej przytomna.

Już od jakiegoś czasu chciała zapytać o coś Rafe'a.

- Wspominałeś, że odszedłeś z policji. Dlaczego? Rafe zacisnął wargi i pokręcił głową.

- To nieciekawa historia - odparł. - Mam niewyparzoną gębę. Już nieraz ściągnąłem na siebie przez nią kłopoty.

- Ale ja jestem ciekawa - powiedziała Emma. Ta nie była jej sprawa, co zrobił. Czy go wyrzucili. Po prostu chodziło o to, że skoro mówiła mu takie rzeczy o Ritchiem, to może powinna wiedzieć.

Wzruszył ramionami.

- Okej. To żadna tajemnica. Boże! - Znów pokręcił głową. - Ci goście. Nie próbuję cię nastawiać przeciwko nim, nic z tych rzeczy, ale często zachowują się tak, że... mówię ci. Odszedłem, kiedy stłumili jeden z protestów obrońców praw zwierząt przed kurzą fermą w Midlands. Biedne kurczaki. - Podniósł widelec i dźgnął nim spaghetti. - Te palanty wciskały je do klatek po dziesięć naraz. Nogi, skrzydła połamane, a oni upychali dalej. Protestujący chcieli, żeby ferma została zamknięta. Zebrali sporo ludzi, narobili hałasu, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Zjawili się mundurowi, banda zadufanych typków. Zachowywali się tak wrednie, że jeden z demonstrantów, sprowokowany, walnął któregoś pięścią w twarz. A wtedy, oczywiście, zjawili się bodajże wszyscy gliniarze z okolicy i aresztowali każdego, kto im wpadł w ręce.

Mówił coraz głośniej. Chyba zdał sobie z tego sprawę. Odłożył widelec.

- A potem słyszałem komentarze w komisariacie. Nazywali tych demonstrantów kryminalistami, szumowinami i wariatami. Za to, że próbowali pomóc paru kurczakom. No więc, miałem z tym problem, ale powiedzieli mi, że jestem nikim i że mogę albo się zamknąć, albo odejść.

- Więc odszedłeś - rzuciła Emma.

- Nie - odparł, siląc się na dowcip. - Zostałem i dali mi awans na szefa Kurzych Tortur.

- I teraz jesteś ogrodnikiem - odparła z bladym uśmiechem.

- No tak, wiesz, lubię pracę w ogrodzie, ale to tylko tymczasowa fucha. Próbuję odłożyć trochę gotówki. Niedługo odchodzę z firmy, w której teraz pracuję, a potem jadę na parę miesięcy do Ameryki Południowej. - Odchrząknął. - Prawdę mówiąc, mam już zabukowany lot. Wyjeżdżam za trzy tygodnie.

- Och! - Emma była zaskoczona. - No cóż. Powodzenia. Obyś się dobrze bawił.

- Właśnie. - Rafe spojrzał na resztki swojego makaronu z sosem. - Tak. Nie mogę się już doczekać.

Wstał po minucie i zaczął sprzątać talerze.

- Zaparzyć kawę?

Złote koronki w bloku naprzeciwko zgasły. Balkony pociemniały, a potem rozbłysły, jeden po drugim, i fasadą wyglądała teraz jak patchwork świateł we wszystkich odcieniach kremowej bieli, żółci i oranżu. Emma siedziała przy stole wyciszona i obserwowała rytuał parzenia kawy. Obecność kogoś drugiego w mieszkaniu, kto krzątał się po kuchni, brzęczał łyżkami i nalewał mleko, działała na nią kojąco. Rafe nie był absorbujący. Szczególnie, że nie oczekiwał, aby ona coś mówiła. Sam gadał, choć się nie narzucał, i nie o sobie. O różnych rzeczach. O beznadziejnych kolejkach w Sainsbury's. O tym, jak londyńskie ścieżki rowerowe zazwyczaj wyprowadzają człowieka na autostradę i tam się kończą. Miał ciekawy charakter. W jednej chwili zamyślony i poważny, z ponurą miną, w następnej podekscytowany tym czy innym tematem pochylał się do przodu i żywo gestykulował, podkreślając znaczenie słów rękami i wysuniętym podbródkiem; uderzał palcem w stół i używał wyrażen w rodzaju „ziom” i „mnie to nie robi”, jakby spędził dzieciństwo wśród ulicznych gangów. Jego śniada twarz była ekspresyjna, ruchy pełne wdzięku. Mógłby grać na bębnach w jakimś zespole, myślała Emma. Albo być raperem.

O dziesiątej wstał i oznajmił:

- Lepiej już pójdę. Mieszkam w Stockwell, a przyjechałem tu rowerem.

- To kawał drogi - powiedziała Emma skonsternowana. - Przepraszam. Nie chciałam zatrzymać cię tak długo.

- Jestem do tego przyzwyczajony - zapewnił Rafe. - Pracuję w ogrodach w całym Londynie. Czasami przejeżdżam trzydzieści kilometrów dziennie. W godzinach szczytu tak jest szybciej niż autobusem.

Emma wierzyła, że taka odległość to dla niego pestka. Jego zdrowie i kondycja rzucały się w oczy, wyglądał jak sportowiec. Włożył bluzę i podniósł plecak z podłogi. Poklepał się po kieszeniach, aż usłyszał brzęk kluczy.

- No dobra. - Wskazał ręką przedpokój. - To spadam. Ale stał w miejscu i podbijał plecak kolaniem.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - dodał - to będę w kontakcie, dobrze? Chciałbym się dowiedzieć, co z tą historią z Bergerac.

- Nie mam nic przeciwko temu - zapewniła Emma. Przytrzymała mu drzwi. Kiedy przestępował próg, powiedziała nagle:

- Cieszę się, że przyszedłeś.

- Ja też.

- Nie, mnie chodzi o to...

O co? Rafe spędził z nią wieczór nie dlatego, że mu za to płacono, ani nie dlatego, że oczekiwał czegoś w zamian - on chciał pomóc. Bo myślał o losie Ritchiego. Był jedynym człowiekiem na świecie oprócz niej, który o tym myślał. Emma zamrugnęła w jaskrawym świetle korytarza.

- Chodzi mi o to, że naprawdę się cieszę - dokończyła.

- Ja też - powtórzył Rafe. Uśmiechnął się do niej ciepło. - Dbaj o siebie, Emmo. I trzymaj się. Nie daj się zdołować.

Kiedy wyszedł, znów trochę popłakała, stojąc w korytarzu z twarzą ukrytą w dłoniach. Potem poszła do łazienki, żeby wydmuchać nos. Czuła się strasznie zmęczona. Tym razem prawdziwie zmęczona - to nie było męczące, bolesne znużenie ostatnich dni. Zdecydowała się umyć naczynia po kolacji, nie chciała jeszcze kłaść się do łóżka.

Wycierała właśnie rondel, kiedy zadzwonił telefon.

Lindsay.

- Dobry wieczór. - Jej głos zdradzał ekscytację. - Może pani ze mną chwilę porozmawiać?

Ścierka do naczyń spadła na podłogę. Bergerac! Boże święty, naprawdę coś znaleźli.

- Tak - wykrztusiła Emma.

- Mamy coś. Może nic z tego nie wyniknie, ale chciałam pani powiedzieć. W poniedziałek po południu, dzień po porwaniu Ritchiego, z Londynu do Bergerac leciało małżeństwo z szesnastomiesięcznym synkiem.

Emma zadrżała. Dopadła kanapy i osunęła się na nią.

- Ritchie? - szepnęła.

- Jeszcze nie wiemy. Ale coś jest na rzeczy. Tak się składa, że krótko przed pani telefonem dzisiaj wieczorem zadzwoniła do nas kobieta pracująca na stanowisku odprawy na lotnisku Stansted. Czytała o Ritchiem w gazetach i przypomniała sobie, że w poniedziałek odprawiała tę rodzinę. I wydało jej się dziwne, że rodzice mieli miejsca zabukowane z wyprzedzeniem, ale w ostatniej chwili zjawili się z dzieckiem bez rezerwacji i dokupili dla niego bilet. Chłopiec miał paszport, więc mógł lecieć.

- Jak miała na imię ta kobieta? - przerwała jej Emma. - Antonia?

- Nie. Nie Antonia.

Emma szarpnęła kabel telefonu.

- Nie chcę, żeby pani robiła sobie nadzieję, Emmo - ciągnęła Lindsay. - Dziecko miało paszport na to samo nazwisko, co rodzice. Bardzo możliwe, że to była najzwyczajniejsza rodzina. Ale wszystko sprawdzimy.

Zawahała się.

- Chciałam pani to powiedzieć. Żeby pani wiedziała, że traktujemy każdy trop poważnie. I robimy, co w naszej mocy. Jak tylko się czegoś dowiem, dam pani znać.

Emma nieruchomo leżała w łóżku. Hołubiła w głowie nadzieję jak kruchą skorupkę jajka. Wiedziała, że znów minie kilka godzin, nim zaśnie.

Wykorzystała ten czas, wymyślając nowy sposób na przekazanie wiadomości Ritchiemu. Przytulanie go było na nic, bo emocje okazały się tak silne, że oboje sobie z nimi nie radzili; więc po chwili wyobraziła sobie, że stoi przy furtce, drewnianej furtce z wąskimi szparami między deskami. Za furtką znajdował się niewielki pagórek, a na jego szczycie stało cienkie brązowe drzewo. Siedział pod nim Ritchie, i bawił się w trawie.

Emma obserwowała go przez furtkę.

- Jestem tutaj - szeptała. - Jestem tutaj.

Ritchie nie patrzył na nią. Ale jego uśmiech mówił Emmie: wiem, że tu jesteś. Tej nocy stała przy furtce i strzegła go tak długo, jak mogła.

Rozdział 8

Przez pierwszych kilka miesięcy Emma prawie nie odczuwała oznak ciąży. Nie miała porannych mdłości. Wszystkie ubrania wciąż układały się na niej idealnie. Zaczęła sobie mówić, że musiała się pomylić. Przecież nie była jeszcze u lekarza, nie zrobiła nawet testu ciążowego. Nie ma dyplomu z położnictwa, więc skąd może wiedzieć?

Któregoś wieczoru oglądała w telewizji film dokumentalny o konflikcie w Darfurze. Kamera pokazywała szeregi nędznych namiotów, płaczące kobiety, ulice zalane krwią, a w pewnej chwili - maleńkie dziecko, samo, chude jak patyczek, zagłodzone. Na widok jego przerażonej twarzy Emmą szarpnął smutek, tak ostry i bolesny, że zaskoczył ją i przestraszył. Tej nocy, leżąc w łóżku, czuła się dziwnie, jakby jej ciało albo spadało, albo się wznosiło, a ona nie miała się czego chwycić. Kilka dni później nagle zbrzydł jej szampon z guawą, którego używała od miesięcy, i teraz była już pewna, że jej ciało, czy to widać, czy nie, nie jest już takie samo. Nie mogła się dłużej oszukiwać.

Joanne niczego nie zauważyła, a Emma jej nie powiedziała. Nie mogła z nikim rozmawiać o ciąży, bo nie zdecydowała jeszcze, co z nią zrobi. Wciąż myślała o Oliverze i nie mogła podjąć żadnej decyzji, dopóki tego z nim nie przedyskutuje. A nie mogła z nim niczego przedyskutować, dopóki nie wiedziała, czy on do niej wróci.

- Jestem to winien Sharmili, chcę dać naszemu związkowi jeszcze jedną szansę - wyjaśnił jej Oliver przez telefon.

- Ale mnie też to jesteś winien - powiedziała Emma, tłumiąc łzy, by nie zdradzał ich jej głos. To nie był dobry moment na silne emocje. - Nie możemy się przynajmniej widywać?

- Nie chodzi o to, że ja nie chcę, Emmo, naprawdę. Ale Sharmilę znam od trzech lat. Ona musi czuć, że jesteśmy tylko we dwójkę, choć przez chwilę.

Kiedy przestał odbierać telefony od niej, napisała mu w liście, jak bardzo go kocha, i wrzuciła list do jego skrzynki. Zaskoczyło ją to. Nigdy przedtem nie zachowywała się tak żenująco z powodu jakiegoś faceta. Ale nie mogła nic na to poradzić. Co Oliver szeptał Sharmili, kiedy z nią był? Jaki miał wyraz twarzy, kiedy na nią patrzył? Czują? Opiekuńczy? A może to ona kochała go bardziej? Emma nie wiedziała, co gorsze. Myśl, że ktoś inny może tak bardzo jak ona pragnąć Olivera, sprawiała, że wydawał się jeszcze bardziej drogi i nieosiągalny. Rozpaczliwie chciała go dotknąć, odgarnąć mu włosy z twarzy. Widzieć, jak patrzy na jej usta z tym skupieniem w oczach, które sprawiało, że cała drżała. Przez tyle czasu wyobrażała go sobie i tęskniła za nim, że w ogóle nie myślała o ciąży.

I nagle, któregoś dnia, oprzytomniała i zrozumiała, co musi zrobić. Jedno wiedziała na pewno: związek Sharmili i Olivera nie przetrwa. Czy Oliver nie mówił, jak troskliwa i uczuciowa jest Emma? Jak zimną egoistką jest Sharmila, opętana własną karierą? Emma wiedziała z doświadczenia, że kiedy mężczyzna raz zniechęci się do kobiety, to koniec. Namiętność rzadko rozpala się na nowo. Nawet jeśli

Sharmila zdołała odzyskać go na chwilę, to on szybko zda sobie sprawę, jak niezwykła więź łączy go z Emmą. Ale na razie musiała się wycofać, dać mu trochę swobody. Oliver to nie człowiek, którego można naciskać. A to na pewno nieodpowiedni moment, by mówić mu o dziecku.

Przestała dzwonić, próbować się z nim skontaktować. Wiedziała, że wróci do niej, kiedy będzie gotów.

Ale przeżywała trudne chwile. Ostatnio mnóstwo czasu spędzała sama. Joanne wiecznie była z Barrym. Kiedy nie bawili się na imprezie, siedzieli przytuleni na kanapie przed telewizorem - Barry oglądał piłkę nożną, masując Joanne nogi przez rajstopy. Od czasu do czasu szeptał jej do ucha coś, na co piszcziała i chichotała, i przewracała oczami do Emmy, jakby chciała powiedzieć: „Faceci, co? Ale nic nie poradzisz”.

Niekiedy, z najzwyczajszej nudy i desperacji, Emma wychodziła z domu i wsiadała w autobus numer 56, który jechał ulicą Olivera. Siadała na piętrze i czuła, jak serce bije jej coraz szybciej, w miarę jak zbliżała się do jego mieszkania. Gdy autobus je mijał, odwracała głowę: gdyby Oliver był w domu i przypadkiem ją zobaczył, mogłaby to zauważyć. Już na sam widok jego domu czuła taki przypływ adrenaliny, jakby zaciągnęła się mocnym papierosem. Patrzyła, czy światła się palą, czy nie, i próbowała zgadnąć, co on robi. Czasami po pracy chodził na siłownię. Pocieszała się, kiedy okna były ciemne, że przynajmniej nie jest w domu z Sharmila. Podłamywała się, kiedy światła się paliły - oznaczały, że oni spędzają spokojny wieczór w domu.

- Oficjalnie nie wrócili do siebie - oznajmiła Joanne któregoś ranka po wieczornym spotkaniu z Barrym. - Oliver nie jest pewien, czy to dla niego dobry moment na związek. Odnoszę wrażenie, że nasza Sharms nie chce się od niego odzepić. Oliver czuje się pod presją. Pytał o ciebie, Ems. Przypuszczam, że ciągle cię lubi. Po prostu rozegraj to na chłodno.

No więc Emma czekała, ale kiedy mijały tygodnie, a on się nie odzywał, coraz częściej jeździła autobusem numer 56.

Któregoś kwietniowego wieczoru, po dziewiątej, przejeżdżając obok mieszkania Olivera, zauważyła, że wszystkie okna są ciemne, a zasłony rozsunięte.

Zastanowiła się chwilę: to czwartek, a w czwartki Oliver nie chodził raczej na siłownię. W czwartkowe wieczory szedł czasem z kolegami ze Stand na drinka. Skoro nie wrócił do tej pory, to właśnie dlatego. I nie będzie go przez parę godzin. Wiedziona impulsem przycisnęła czerwony guzik „stop” przy swoim siedzeniu. Za rogiem autobus podjechał do krawężnika.

- Dobranoc pani! - zawołał kierowca, kiedy wysiadała.

- Dobranoc - odparła zaskoczona. Przyjazny kierowca autobusu! Poczua się, jakby zaakceptowano ją w społeczności Olivera. Kierowca jego autobusu ją lubił. To dobry znak.

Odrobinę weselsza wróciła pieszo na Charmian Avenue. Prawdopodobieństwo, że natknie się na Olivera - jeśli był w centrum, wiele kilometrów stąd - wydawało się żadne, mimo to musiała zachować ostrożność. Co innego spotkać go na Lavender Hill czy na głównej ulicy; wtedy mogłaby po prostu powiedzieć, że kogoś odwiedzała albo wyszła na spacer. Nie mieszkała tak daleko, by zdziwiło go, że ona kręci się po tej okolicy. Ale gdyby przyłapał ją na swojej ulicy? Emma wstrzymała oddech i ostrożnie wyjrzała za róg. Nikogo. Pustki. Tylko drzewa i samochody zaparkowane zderzak przy zderzaku po obu stronach ulicy.

Ruszyła chodnikiem. Charmian Avenue - ładna ulica. Jak wszystko, co miało związek z Oliverem. Wyjątkowa. Inna. Bardziej zamożna niż sąsiednie. Więcej drzew - nawet liście były gęstsze - a domy lepiej utrzymane i elegantsze. Na początku alei stały szeregowce, ale w połowie ulicy, bliżej Olivera, domy stawały się większe, to były już kamienice-bliźniaki. Emma przystanęła po przeciwnej stronie ulicy, niż znajdowało się mieszkanie Olivera: dom z szarej cegły, z białymi wykończeniami wokół drzwi i okien. Pień potężnego drzewa niemal całkiem zasłaniał wielkie przestronne okno wykuszowe z daszkiem. To było okno Olivera. Mieszkał na parterze.

No więc była tutaj. Kilka razy przeszła chodnikiem w tę i z powrotem, mijając mieszkanie, jakby chciała wchłonąć trochę jego wyjątkowości. Ulica była mokra od wcześniejszego deszczu i bardzo cicha. Słyszeć było tylko kroki Emmy, od czasu do czasu szurnięcie podeszwy o wystający kamień. W innych domach w niektórych oknach paliło się światło. Emma spostrzegła kobietę z dzieckiem otoczoną ludźmi i nagle ogarnął ją smutek. Co ona tu robi? Czemu chodzi po nie swojej ulicy i zagląda w cudze okna? To nie w jej stylu. Tak nie zachowuje się ktoś normalny. Miała dziwne poczucie osamotnienia, izolacji. Zaglądała ludziom w życie, jakby ich prześladowała. Nagle zdała sobie sprawę, że wygląda to właśnie tak: ona prze-

śladuje Olivera. A gdyby ktoś ją zauważył, jak się tu kręci? Pomyślałby, że coś knuje. Może nawet zadzwoniłby na policję. To ją powstrzymało. Miała tego dość. Wróci na główną ulicę i wsiądzie do autobusu. I więcej tu nie przyjedzie.

I tak by było, gdyby nie wpadła jej do głowy jeszcze jedna myśl. A jeśli by szybciotko zajrzeć przez okno od tyłu? Tylko po to, żeby zobaczyć, jak wygląda teraz jego salon. Czy coś w nim zmienił przez te cztery miesiące, od kiedy go nie widziała? Czy Sharmila coś w nim zmieniła? Przyjechała aż tutaj; taka okazja mogła się więcej nie powtórzyć. Chciała wiedzieć.

W mieszkaniu piętro wyżej było ciemno. Ci, którzy tam mieszkali, najwyraźniej wyszli. Nikt nie zobaczy jej w ogródku za domem. Jedno szybkie spojrzenie i ucieknie. Sprawdziła, czy na pewno nikogo nie ma w pobliżu, i przemknęła bocznym chodnikiem na tyły domu. Ogródek był mały, wyłożony płytami, stały w nim wielkie kamienne donice z kwiatami. Emma i Oliver pili tu któregoś wieczoru pimmsa, słuchając Rufusa Wainwrighta z głośników w salonie.

Emma podeszła do okna i osłoniła twarz dłońmi. Zajrzała do środka. Wszystko wyglądało tak samo. Wielki telewizor w kącie, tkany chodnik na podłodze z ciemnego drewna, pomalowane na biało półki z upchniętymi byle jak książkami i oryginalnymi rzeźbami z metalu, w których gustował Oliver.

Wpatrywała się w jedną z półek, próbując rozpoznać twarze na zdjęciu, kiedy, ku jej przerażeniu, pokój nagle zalało światło. Wystraszona, cofnęła się. Dostrzegła przeblysk postaci - męskiej? kobiecej? - podchodzącej do okna. Skoczyła w bok, nie chciała, by ktoś ją zobaczył.

Jasna cholera! Stała roztrzęsiona przy narożniku domu. Dlaczego była tak nierozważna? Nie słyszała, jak otwierają się drzwi. Chwała Bogu, że na dworze było ciemno. Ktokolwiek wszedł do pokoju, nie mógł jej widzieć. Przynajmniej miała taką nadzieję. Wstrzymała oddech i nasłuchiwała kroków, głosów, krzyków od frontu. Nic. Nie widzieli jej. Postanowiła odczekać kilka minut, wymknąć się na ulicę i się zmyć. Boże. Zdmuchnęła włosy z czoła. Nigdy więcej nie zrobi czegoś takiego. Nigdy!

Liczyła bezgłośnie: jeden tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące. Po dwudziestu pięciu uznała, że jest bezpieczna. Zaczęła przekradać się bocznym chodnikiem, uważając, gdzie stawia nogi. Jeszcze tego by brakowało, żeby wypłoszyła jakiegoś kota albo przewróciła kubek na śmieci. I nagle światło z ulicy zasłonił wysoki, ciemny kształt.

- Hej! Ty! Co to za zagłądanie w okna?

Oliver! Emma omal nie umarła ze strachu. Zawrócić, pobiec i spróbować przeskoczyć przez mur od tyłu? Już miała to zrobić, ale na żwirze zachręściły szybkie kroki i ktoś złapał ją za ramię.

- Co jest, do...? - Oliver! Nagle wciągnął ze świstem powietrze i puścił ramię Emmy, jakby była trędowata. Odskoczył do tyłu i wydusił, osłupiały:

- Emma?

Boże, wyglądał wciąż tak samo - może trochę krótsze włosy - w białej koszuli rozpiętej pod szyją i przewieszanej przez ramię ciemnej marynarce. Gapił się na Emmę zdumiony. A ona gapiła się na niego, stojąc jak słup soli. Absolutnie nie wiedziała, co powiedzieć.

U wylotu chodnika pojawiła się szczupła sylwetka.

- OI? - Srebrzysty, kobiecy głos. - Wszystko w porządku?

Oliver gwałtownie odwrócił głowę.

- Tak, dzięki, Sharm. Daj mi minutkę. Znow spjrzał na Emmę.

- Co ty tu robisz? - zapytał.

- Muszę z tobą porozmawiać - oświadczyła.

- Jasne - odparł wciąż zdumiony Oliver. - Tutaj? - I, zanim zdążyła odpowiedzieć, pokręcił głową. - Nie. Chłodno dziś. Chodźmy do środka.

Gestem ręki, tej z przewieszoną marynarką, dał znak Emmie, by szła przodem. Sharmila poprowadziła ich do frontowych drzwi, stukając wysokimi obcasami. Miała na sobie coś czarnego, błyszczącego - krótką sukienkę. Ciężkie włosy zwinęła w wysoki kok na głowie.

Przedpokój Olivera pachniał dokładnie tak samo. Płynem po goleniu, proszkiem do prania, pastą do podłóg... Na ten znajomy zapach Emmie ścisnęło się serce. Oliver zamknął drzwi. Przez kolorowe szybki sączyło się światło latarni, zalewając przedpokój niesamowitą, zielono-czerwoną poświatą. Nim Emma zdążyła coś powiedzieć, Sharmila mruknęła:

- Zostawię was samych.

Ledwie zerknąwszy na Emmę, uściśnęła lekko ramię Olivera, po czym przemknęła obok nich do salonu i zamknęła białe drzwi.

Emma poczuła się jeszcze gorzej. Okej, nie chciała, żeby Sharmila im się narzucała. Ale miała nadzieję, że to Oliver każe jej sobie pójść. Nienaganne maniery rywalki - czy może całkowity brak dociekliwości - sprawiły, że Emma poczuła się nieswojo, niewychowana i nieprawdopodobnie natrętna.

- Wejdzmy do kuchni - zaproponował Oliver.

Zapalił światło. Zewsząd błysnęły babskie drobiazgi. Na oparciu krzesła wisiał złoty kardigan. Na stole stała błyszcząca torebka. Drzwi lodówki oblepiały nowe zdjęcia - głównie ciemnowłosej dziewczyny o lśniących zębach, z wielkimi, połyskliwymi kolczykami, śmiejącej się do obiektywu. Na parapecie stały kwiatki o ciemnych bujnych liściach. Oliver nigdy nie miał kwiatków w doniczkach, no bo zapominał je podlewać.

- Napijesz się czegoś? - zapytał. - Zrobić ci drinka?

- Nie, dzięki - odparła Emma. Kiedy zobaczyła go w pełnym świetle... znów poczuła ze zdwojoną, nie, z dziesięciokrotną siłą, jak bardzo go kocha i zawsze będzie kochać. Jego widok bolał. Ranił. Jego uwodzicielskie sennie spojrzenie. Słoneczne włosy. Zapach.

- Jestem w ciąży - wypaliła. I wstrzymała oddech.

Oczywiście - nie była przecież głupia - nie oczekiwała, że Oliver zacznie tańczyć zachwycony nowiną. Spodziewała się szoku - bo kto by go nie doznał? Może nawet gniewu. I nie miałyby mu tego za złe. Nawet w jej fantazjach zawsze byli tylko oni dwoje - wolni, leżeli razem w białej pościeli Olivera. Żadnego dziecka czy wielkiego brzucha w polu widzenia.

Była więc przygotowana na okrzyk, na krok do tyłu, na otwarte usta. I z początku wszystko przebiegało tak, jak przewidywała. Ale nagle to szybkie spojrzenie w stronę salonu, w którym siedziała Sharmila. Tego nie przewidziała i serce jej się ścisnęło. A potem zauważyła coś niemal tak nieuchwytnego, że gdyby nie obserwowała Olivera, mogłaby tego nie dostrzec.

Drobne, ledwie dostrzegalne wciągnięcie wargi.

Niesmak.

Szybko się opanował.

- Nie zadam oczywistego pytania, jak to się stało - spróbował żartować.

Emma nie pozbierała się tak łatwo jak on. Wciąż rozedrgana, łykała powietrze jak ryba rzucona o ścianę. Gdyby ją uderzył, nie poczułaby się chyba gorzej. Widziała swoje odbicie w szybie, swój dres i adidasy, włosy w strąkach i pogrubiałą talię. Oto kobieta przyłapana w ogrodzie za domem na podglądaniu ludzi. Szpiegująca mężczyznę, który rzucił ją dla innej. Emma porównała się z opanowaną smukłą dziewczyną, która tak dyskretnie wymknęła się do drugiego pokoju. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Wiedziałaś, powiedziała sobie. Wiedziałaś, że tak właśnie będzie. Po prostu stąd idź. Wynos się natychmiast. Nie stój tu ani chwili dłużej.

- Nie martw się - powiedziała. - Nie musisz się w to angażować. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

- Fatalnie się z tym czuję, Emmo. - Oliver obiema dłońmi odgarnął włosy z twarzy. - Uf! Powinienem zapytać, czy potrzebujesz pieniędzy?

- Niczego nie potrzebuję. - Emma odwróciła się i ruszyła do przedpokoju.

- Mogę cię gdzieś podwieźć?

- Nie. Dziękuję.

Emma szła do frontowych drzwi. Z salonu dobiegała cicha muzyka. Drzwi były zamknięte. Och, jaka doskonała była Sharmila. Jak absolutnie nie podsłuchiwała.

Oliver poszedł za nią i odprowadził ją do furtki.

- Co zrobisz? - Niemal szeptał. W chłodnym powietrzu wszystko zdawało się głośniejsze. - To znaczy z ciążą?

- Jeszcze nie zdecydowałam. - Zamyślona przystanąła na chodniku i skrzyżowała ramiona.

W końcu spojrzała na Olivera i powiedziała powoli, wyraźnie:

- Chyba najlepiej będzie się jej pozbyć.

To nim wstrząśnie. To go zmusi do kontaktu z nią. Może nie jest zachwycony tym dzieckiem, ale nikt nie może podjąć decyzji o aborcji tak po prostu. Cokolwiek sobie myślał, będzie musiał powiedzieć: „Poczekaj. Pozwól mi się nad tym zastanowić. Nie podejmuj żadnych pochopnych decyzji. Zadzwoń i pogadamy”.

Aborcja - cóż. To by było takie ostateczne. Oliver nie miałby już powodu, żeby jeszcze się z nią kontaktować.

- Masz rację - mruknął, nie patrząc na nią. - Tak chyba będzie najlepiej.

Emma złodowaciała. Czuła tylko odrętwienie. Więc to koniec. To naprawdę, naprawdę koniec. Odwróciła się.

- Bardzo mi przykro, że tak wyszło, Emmo. - Oliver zdawał się poruszony. - Chodzi o to, że Sharmila i ja... To paskudne rozstawać się w taki sposób. Dobrze się razem bawiliśmy.

- Tak - przyznała Emma.

Otworzyła furtkę, która zazgrzytała o płytkę chodnika.

- I poradzisz sobie jakoś z... no wiesz...

- Nic mi nie będzie - zapewniła. I dodała: - Więc żegnaj.

I ruszyła ulicą, zostawiając go bladego w świetle latarni.

Nie pamiętała, jak dotarła do domu. Pewnie przyjechała autobusem. Ale nie pamiętała.

Leżała w łóżku i czekała, aż przyjdzie ból.

- Koniec - powtarzała sobie. - Koniec.

Lecz, to dziwne, po pierwszym szoku ból wcale nie był silniejszy. Badała swój umysł, szukając kontuzji, jak sportowiec bada każdą kończynę po upadku. Czuła się jednak odrętwiała. Ból miał przyjść później, ten maraton był jeszcze przed nią. Musiała podjąć decyzję. Była w połowie piątego miesiąca ciąży.

- Co teraz? - szeptała w chłodną poduszkę. - Co powinnam zrobić? - Ale nikt nie odpowiadał.

Najbardziej oczywistym wyjściem byłoby zrobić to, co powiedziała Oliverowi: usunąć ciążę. No bo urodzić? Nie wiedziała, jak się zajmować niemowlakiem. Właściwie nigdy żadnego nie widziała. Nie miała pieniędzy. Nikogo do pomocy. Sam pomysł był żaloszny. Dni jednak mijały, a ona, za każdym razem, kiedy podnosiła słuchawkę, by umówić się z lekarzem, odkładała ją.

To nie było jakieś dziecko. To było dziecko Olivera. Jedyne, co jej po nim zostało. A przecież, niestety, wciąż go kochała. Nie przestaje się kochać człowieka tak po prostu, tylko dlatego że on tego chce.

I jeszcze coś. To dziecko było wnukiem jej matki. Jediną pamiątką również po niej.

Emma stała się bardzo drażliwa. Nie mogła nawet pogadać z Joanne, bo Barry wiecznie kręcił się przy niej, uczepiony jak rzep. Któregoś wieczoru Emma wróciła z pracy, obolała po jeździe zatłoczonym metrem, i zastała Barry'ego samego w salonie, rozwalonego na kanapie, z rozpiętym rozporkiem. Na podłodze leżały pudełko z pizzą i dwie puszki po piwie. W telewizji leciał mecz tak głośno, że szyby brzęczały.

- Gdzie jest Joanne? - zapytała Emma.

- Pracuje dzisiaj dłużej. - Barry wpatrywał się w ekran.

Z podpisu na dole wynikało, że Arsenal gra z Wigan.

- Jak tu wszedłeś?

- He? - Barry zmarszczył brwi, skupiając się na transmisji. Nagle zerwał się jak oparzony i zaczął grozić telewizorowi pięścią.

- No już! - ryknął. - Omiń go! Autobus by się tam zmieścił, jasna cholera!

- Pytałam - Emma podniosła głos - jak tu wszedłeś? Jej ostry ton wytrącił Barry'ego z futbolowego transu.

Spojrzał na nią, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w pokoju oprócz niego jest jeszcze ktoś.

- Mam klucz - odparł.

Klucz! On ma klucz! Za kogo on się, do cholery, uważa?

- Nie mógłbyś raz dla odmiany pooglądać meczu u siebie? Spędzasz tu każdy pieprzony wieczór. Czy za wiele wymagam, jeśli chcę wrócić po pracy do własnego mieszkania i mieć trochę spokoju?

Barry osłupiał, po czym wstał, minął ją bez słowa i wyszedł z pokoju. Emma słyszała, jak skrzypi podłoga, kiedy szedł korytarzem do sypialni Joanne. Trzasnęły drzwi.

Później, kiedy Joanne wróciła do domu, nawet nie zajrzała do salonu; i poszła prosto do siebie. Zza ściany dobiegły głosy. Emmie zdawało się, że słyszy swoje imię. Tego wieczoru żadne z nich nie wystawiło nosa z pokoju.

A potem, nim Emma się obejrzała, była w szóstym miesiącu ciąży. Nie dopinały jej się spodnie. Bardzo często siusiała. Któregoś dnia, kiedy stała, czekając, aż zagotuje się woda w czajniku, poczuła ostrego kuksańca tuż poniżej żeber. Zaskoczona i przestraszona upuściła torebkę z herbatą i cofnęła się o krok. I znów to poczuła. Szybkie uderzenie. Tak jakby kopała ją stopa.

Odstawiła kubek i powoli położyła dłoń tam, gdzie poczuła kopnięcie. I znowu; niecierpliwe uderzenie pod palcami.

Czy teraz mogła jeszcze w ogóle dokonać aborcji? Prawo chyba określa, do kiedy można ją przeprowadzić?

Tego wieczoru Emmę ogarnął ogromny spokój. No więc dobrze, dobrze, urodzi dziecko. Ta decyzja w dziwny sposób rozjaśniła jej umysł. Jeszcze cztery miesiące. Bardzo mało czasu na zorganizowanie wszystkiego. Pieniądze. Praca. Nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Skąd można się dowiedzieć takich rzeczy? Ale to były kwestie do rozwiązania, kwestie praktyczne, a Emma była bardzo praktyczna.

Już następnego dnia umówiła się na wizytę w przychodni w Clapham. Może warto by zacząć od zadania paru pytań lekarzowi.

Szła do przychodni bardzo spięta. Ostatni raz u lekarza była wiele lat temu, jeszcze w Bath. Denerwowała się zawsze na samą myśl o lekarzach i szpitalach. Miała nadzieję, że nie dostanie bury za to, że nie przyszła wcześniej. W czasopiśmie w poczekalni znalazła artykuł: *Mój poród: 45 godzin piekła*. Kobieta miała dwadzieścia dziewięć lat. Na zdjęciu, w zachlapanej krwią szpitalnej koszuli, ze zmęczonym uśmiechem, wyglądała przynajmniej na pięćdziesiąt. Emma gapiła się na fotografię. Przecież ona też będzie musiała przeżyć poród. Czy jej kompletnie odbiło, że zachciało jej się rodzić dziecko? Może nie było jeszcze za późno na zmianę zdania. Na następnej stronie przeczytała: *Jak zatrzymać przy sobie mężczyznę*.

Starsza kobieta spojrzała na brzuch Emmy i rozpromieniła się. Emma w odpowiedzi zdobyła się na mizerny uśmiech.

- Emma Turner! - zawołała recepcjonistka.

Pielęgniarka wprowadziła ją do gabinetu. Doktor Rigby, drobniutka, rudowłosa, wyglądała jak dziewczynka w wieku szkolnym. Pisała coś przy biurku i machnęła na Emmę, zapraszając na krzesło. W gabinecie pachniało cytryną. Na półce nad wagą siedziały Teletubisie.

Doktor Rigby skończyła pisać i zajęła się Emmą. Nie potrzebowała wiele czasu, by ustalić, o co chodzi.

- Ciężarna! - powiedziała.

Uśmiechnęła się ciepło.

- Gratulacje - dodała.

Słowem nie wspomniała, że Emma powinna przyjść wcześniej. Kazała jej się położyć na leżance przykrytej papierowym prześcieradłem i wyszła zza biurka, żeby ją zbadać. Jej małe, srebrne kolczyki kołysały się, kiedy delikatnymi dłońmi obmacywała brzuch Emmy. Osluchiwała miejsce tuż koło pępka za pomocą czarnego przyrządu w kształcie rogu.

- Słyszę serce dziecka - poinformowała.

Oczy Emmy napełniły się łzami.

Doktor Rigby znów usiadła za biurkiem i zapytała:

- A tatuś gdzie?

- Nie będzie się angażował - odparła krótko Emma.

- Och. - Doktor Rigby zrobiła współczującą minę. - Czy zorganizowała sobie pani jakoś życie na okres po porodzie?

- No cóż, oczywiście na jakiś czas będę musiała zrezygnować z pracy. Mam trochę oszczędności, ale... Chciałam panią zapytać...

- Zaczniemy od tego, że powinien się pani należeć urlop macierzyński - powiedziała doktor Rigby. - I zasiłek na dziecko. To pani pozwoli trochę odetchnąć. - Coś zanotowała. - Skontaktuję panią z opieką społeczną. Być może kwalifikuje się pani również do innej pomocy. Będzie pani miała gdzie mieszkać?

Emma wciąż nie powiedziała Joanne o dziecku. Ciężarna współlokatorka. I wrzeszczący niemowlak. Przygryzła wargę. Wiedziała, że to spore poświęcenie. Ale nie miała wyboru. Bo niby dokąd by poszła? Musi zostać w tym mieszkaniu, przynajmniej dopóki dziecko się nie urodzi.

Ale Joanne jej pomoże, Emma była tego pewna. Wiele razem przeszły. Chłopaki, egzaminy, wakacje... niby zwykłe sprawy, ale w ich przypadku znaczyły chyba odrobinę więcej. Joanne, podobnie jak Emma, nie była nigdy bardzo zżyta ze swoją rodziną. Niewiele o niej mówiła, ale zdaje się, że jej ojciec miał problem z alkoholem. Przyjaźń z Emmą i Karen mobilizowała ją przez całe studia. W Australii, kiedy Karen oznajmiła, że nie wraca do domu, Joanne, bardzo poruszona, po paru breezerach bacardi ścisnęła dłoń Emmy i kazała jej obiecać, że bez względu na to, co się stanie, przynajmniej one dwie zawsze będą się o siebie troszczyć.

- Tak - powiedziała Emma. - Wynajmuję mieszkanie z przyjaciółką.

- To już coś - odparła z uśmiechem doktor Rigby.

Schodząc po stopniach przychodni w ten słoneczny poranek, Emma czuła się szczęśliwsza niż kiedykolwiek od czasu, gdy stwierdziła, że jest w ciąży. Położyła dłonie na brzuchu. Doktor Rigby była naprawdę miła. Emma cieszyła się, że właśnie ona poprowadzi jej ciążę. Świadomość, że otrzyma jakieś pieniądze i nie będzie głodować, trochę ją uspokoiła. Najbardziej palący problem został rozwiązany. Czowała, jak pasek spodni wrzyna się jej w brzuch. Już od tygodnia używała agrafki, by je dopiąć. Postanowiła, że w ten weekend kupi sobie ciążowe ubrania z prawdziwego zdarzenia.

A dziś wieczór, Barry czy nie Barry, przekaże nowinę Joanne.

Kiedy wieczorem wróciła z pracy, Barry i Joanne siedzieli obok siebie na kanapie; wokół nich wałały się pudełka z jedzeniem na wynos.

- Cześć, Ems! - przywitała ją Joanne. - Jakoś dawno nie było okazji pogadać.

- Fakt. - Emma starała się odpowiadać wesołym tonem. - Prawie cię nie widywałam.

Barry schylił głowę i zajął się swoim *biryani*.

- Co u ciebie? - spytała Joanne. - Chcę nadrobić zaległości. Musimy sobie wreszcie urządzić jakiś babski wieczór w pubie. - Tryskała doskonałym humorem. - Winka? - zapytała, kiwając butelką.

- Nie, dzięki.

- Odmawiasz drinka? To do ciebie niepodobne - stwierdziła Joanne.

- Hm, no tak - zaczęła Emma. - Chciałam z tobą porozmawiać wcześniej...

- Słuchaj, Ems - przerwała jej Joanne. - Jest jedna sprawa. Wiesz, że kończy nam się umowa najmu?

- Tak?

- No więc zastanawiałaś się już, co zrobisz? Bo od Barry'ego wyprowadza się sublokator, a przydałaby mu się pomoc w spłacie kredytu.

Emmie zaczęły mięknąć kolana. Joanne przesunęła się na kanapie i wzięła Barry'ego za rękę.

- A co tam! - Rozpromieniła się. - Powiem ci i tyle. Będziemy z Barrym mieszkać razem.

Emma opadła na kanapę.

- Nie zastanawiałam się, co zrobię - wyznała. Jej dłonie były śliskie od potu. - Zakładałam, że przedłużymy umowę. Wygasa już za miesiąc, Joanne.

- No tak, przepraszam - powiedziała Joanne. - Ale możesz sobie znaleźć kogoś innego, prawda?

Mało prawdopodobne. Emma próbowała ignorować łaskotanie pod żebrami.

- Ile pokoi ma mieszkanie Barry'ego? - zapytała.

Barry poderwał głowę znad *biryani*. Joanne posłała mu szybkie spojrzenie. „Ja to załatwię”.

- Noo - mruknęła - zdaje się, że cztery, ale mieszkanie jest raczej małe... i chodzi o to, że nie zdecydowaliśmy jeszcze, jak je zagospodarujemy, prawda, Bar? Będziemy potrzebować gabinetu i schowka na rupiecie. Na twoim miejscu zorganizowałabym sobie coś innego, Ems, serio.

Barry, najwyraźniej wyczuwając, że sytuacja robi się nieprzyjemna, wysunął dłoń z dłoni Joanne i mruknął, że musi iść do toalety. To była szansa Emmy. Kiedy tylko Barry wyszedł z pokoju, powiedziała do Joanne:

- Jestem w ciąży.

W Joanne jakby piorun strzelił. Kawalek *bhuna* spadł jej z widelca. Usta jej się otworzyły, głowa zakołysała jak u marionetki.

- To dziecko Olivera - dodała Emma, by zaoszczędzić jej pytań.

- Ehm. - Joanne wyglądała, jakby dławiła się kawałkiem krewetki. - To... to... to cudownie.

- Noo.

- Kiedy rodzisz? - zdołała wykrztusić Joanne.

- W sierpniu. To już szósty miesiąc.

- Och.

- Więc widzisz sama - ciągnęła Emma - że to nie jest dobry moment na szukanie nowej współlokarki. Potrzebuję dachu nad głową, dopóki dziecko się nie urodzi. Potem będę mogła sobie szukać czegoś na stałe. Spakować się, nosić pudła. Zniknę, zanim zobaczycie choć jedną pieluchę.

Słyszała błaganie w swoim głosie. Joanne też je słyszała i poruszyła się niespokojnie. Odsunęła od siebie pudełko z *bhuna*.

- Posłuchaj, Ems - powiedziała. - Przykro mi, jeśli to komplikuje ci życie. Ale Barry i ja już to przedyskutowaliśmy i nie możemy tak po prostu zmienić planów.

Emma spojrzała na swój brzuch. Nie widziała własnych stóp.

- Okej. Okej.

- Mogłaś mi powiedzieć wcześniej. Miałaś pięć miesięcy, Ems.

- Wiem.

- Barry i ja właśnie zaczęliśmy planować coś na poważnie. A ty nigdy się z nim nie dogadywałaś, prawda? Któregoś wieczoru cię poniosło, mówił mi, nawrzeszczałaś na niego z powodu jakiejś bzdury, a on nawet nie wiedział, co zrobił. Ty lubisz mieć przestrzeń, Ems, wiem, że tak jest. Nie wyobrażam sobie, jak by to się miało udać, gdybyś zamieszkała z nami. A jeśli ja się teraz do niego nie wprowadzę, znajdzie sobie następnego sublokatora i pewnie miną lata, zanim znów będziemy mogli planować wspólne zamieszkanie. To moja jedyna szansa, Ems. Nie masz pojęcia, jak bardzo go kocham. Tak długo na to czekałam.

- Okej - powtórzyła Emma. - Naprawdę. Rozumiem.

Zapadła cisza. Nagle Joanne wstała z kanapy. Podeszła do Emmy, by ją uściskać.

- Jesteś świetną kumpelą, Ems. - Pociągnęła nosem. - I to cudowna wiadomość, naprawdę. To dziecko będzie śliczne. A moja wyprawka... to nie zmieni niczego między nami. Jeśli będziesz potrzebowała pomocy przy dziecku, no wiesz, niani czy coś, wystarczy poprosić.

Emma uśmiechnęła się. Ale w głębi siebie czuła zimną pustkę. Pozwoliła się uściskać, myślami była jednak zupełnie gdzie indziej. Wpatrywała się w ścianę nad ramieniem Joanne.

Boże, co ja teraz zrobię?

Rozdział 9

Sobota, 23 września

Dzień siódmy

W ciemnościach, na schodkach komisariatu przy Fulham Palace Road, czekała Lindsay w ładnym ciemnym płaszczu.

Emma przyspieszyła. Nim dotarła do wejścia, nieźle się zadyszała.

- Spóźniłam się? - zapytała niespokojnie.

- Ależ skąd. Sama dopiero przyszłam.

Na ramionach Lindsay wisiała płaska zielona torebka. Policjantka położyła dłoń na klamce, ale jej nie nacisnęła; odwróciła się i posłała Emmie zatroskany uśmiech.

- Na pewno jest pani na to gotowa? - zapytała.

Emma skinęła głową, choć krew dudniła jej w uszach.

Policjant w dyżurce wcisnął brzęczyk, by je przepuścić. Emma weszła za Lindsay w ciemny wąski korytarz. Ich buty stukały głucho po podłodze. Korytarz i znów korytarz, aż Emma zupełnie straciła orientację, gdzie są. W końcu jeszcze raz skręciły w prawo i weszły do sali z dużym okrągłym stołem pośrodku.

- Dobry wieczór, pani Turner. - Komisarz Hill wstał. Był ubrany w beżową marynarkę, a w dłoni trzymał zwinięty dziennik „Metro”.

- Dobry wieczór - odparła ze znużeniem Emma. Ilekroć komisarz Hill patrzył na nią, czego zdawał się unikać, miał taką minę, jakby nią gardził. Jakby marnowała jego czas. Przyłapała go nawet na tym, że unosi brwi, zerka na innego policjanta i zaciska usta, jakby chciał powiedzieć: „Widziałeś tę wariatkę?”

- Zakładam, że wszystko już pani wyjaśniono - stwierdził. Wskazał gazetą kobietę, która pracowała przy komputerze w kącie. - Nasza informatyczka, posterunkowa Gorman, ma nagranie z kamery nadzoru na lotnisku Stansted, zrobione dzień po porwaniu Ritchiego. Widać na nim parę z dzieckiem; miała bilety na lot do Bergerac. Za chwilę pokażemy pani nagranie, a pani powie nam, czy to dziecko to pani syn. Wszystko jasne?

- Tak.

Komisarz Hill przysunął jej szare plastikowe krzesło przed komputer. Emma usiadła. Za plecami słyszała szuranie i kroki, gdy jeszcze kilka osób weszło do sali. Nie obejrzała się, by zobaczyć, kto to. Obchodziło ją tylko, co zobaczy na monitorze.

- W porządku, moja droga? - zapytała kobieta przy klawiaturze. Miała krótkie, siwiejące włosy i miłą twarz. - No dobrze. Kiedy puszcze film, najpierw zobaczy pani drzwi. Po kilku sekundach przejdzie przez nie dwoje ludzi. Najpierw mężczyzna, potem kobieta z dzieckiem na rękach. Na razie zasłonimy

twarze mężczyzny i kobiety. Chcemy, żeby pani skupiła się na dziecku. Proszę dać znać, kiedy będzie pani gotowa.

- Jestem gotowa - odparła Emma. Jej lewa noga podskakiwała nerwowo. Przycisnęła kolano dłońmi, żeby ją unieruchomić.

- Proszę zgasić światło! - zawołała kobieta.

Zapadła ciemność. Teraz tylko ekran komputera rzucał błękitną poświatę na gładki kok Lindsay i wąsy komisarza Hilla.

Emma czuła dziwny niepokój w piersi.

A jeśli to będzie Ritchie?

Nie. Nawet tak nie myśl. Nie rób sobie nadziei, bo potem załamiesz się jeszcze bardziej. Ale jeśli to on?

Emma zacisnęła zęby. Przeżywała rozterkę przez cały wieczór: raz nadzieja, raz beznadzieja, aż sama już nie wiedziała, co przeważa. Na korytarzu przed salą zadudniły kroki.

- Ej! - krzyknął męski głos. - Jedziesz do Tesco? Kroki ucichły w oddali. Na monitorze zajaśniał obraz.

Biały korytarz z podwójnymi automatycznymi drzwiami na końcu. Biała stal i szkło.

- Teraz proszę się skupić - poleciała informatyczka. Za przeszkłonymi drzwiami zamajaczył jakiś kształt.

Nagle drzwi rozsunęły się i szybkim krokiem przeszedł przez nie mężczyzna. Wysoki, ubrany w dzinsy i granatową koszulę z krótkimi rękawami. Jego twarz zasłaniał rozmazany owal, rozbijający rysy na maleńkie różowe i żółte kwadraciki. Mężczyzna ciągnął walizkę na kółkach, poruszał się bardzo szybko. Nie minęło parę sekund i zniknął z ekranu.

- Zaraz...

Emma się wyprostowała. Film leciał o wiele za szybko. Jeśli tak dalej będzie, to ona niczemu nie zdąży się przyjrzeć.

Ale Lindsay obok niej wciąż wpatrywała się w monitor. Komisarz Hill, posterunkowa Gorman... wszyscy z uwagą oglądali nagranie. I jakoś nikt prócz niej nie miał problemu ze śledzeniem biegu wydarzeń.

- Teraz wchodzi kobieta z dzieckiem - oznajmiła posterunkowa Gorman.

Emma w panice znów spojrzała na ekran. Obraz jej się zamazał. Teraz już w ogóle niczego nie widziała. Mocno potarła oczy. Kiedy znów się w niego wpatrzyła, kobieta, również z zasłoniętą twarzą, wchodziła przez drzwi, trzymając w ramionach duży tobolek.

Dziecko.

Emma wyteżyła wzrok, skupiła się, by lepiej je widzieć. Nic z tego. Kobieta odwróciła się od kamery. Widać było tylko czuprynę chłopca - chyba ciemniejszą niż Ritchiego? - i małą stopę sterczącą w bok.

Spójrz w górę! - chciała krzyknąć Emma. Ritchie, jeśli to ty, to spójrz w górę.

Jednak w górę spojrziała kobieta. Choć jej twarz pokrywały kwadraciki, wydawało się, że patrzy prosto w kamerę.

I wszystko zamarło.

- Dobrze się pani czuje? - spytała Lindsay.

Emma wbijała oczy w ekran. Nie знаła tej kobiety, nawet jeśli jej rysy się zamazały. Ciemne włosy, związane z tyłu, nie zakrywały uszu. Miała na sobie workowate spodnie i bluzę z kapturem. Właściwie sportowy strój. Zupełnie nie w stylu eleganckiej amazonki z metra.

- To chyba nie ona. - Emma zaczęła obgryzać paznokcie kciuka. - Raczej nie ona była U Pana Bapa.

- Niech się pani nie spieszy - poradziła Lindsay. - Jeszcze nie widzieliśmy dziecka.

Ale Emma się podłamała. Spójrz prawdzie w oczy. To nie oni. To nie Ritchie. Powinnaś wiedzieć. Ci policjanci mogli teraz szukać Ritchiego gdzie indziej, zamiast siedzieć tu z nią. Miała ochotę wrzeszczeć z frustracji. Miała ochotę wstać i wybiec z sali. Oni wszyscy tracili czas.

Otworzyła usta, by powiedzieć to Lindsay, kiedy film wyświetlił się dalej. Twarz kobiety przesuwiała się, kwadraciki umykały drobnymi skokami. Po sekundzie odwróciła się do kamery i wszystkie jej myśli uleciały. Kobieta trzymała w ramionach chłopczyka; po raz pierwszy Emma dobrze go widziała. Silne, małe ciało, połyskliwe włosy. Poderwała głowę, poczuła, że unosi się z krzesła. Jej ciało rozpoznało go wcześniej niż umysł. Stała, wskazując palcem ekran.

- To on! - zawołała. - To Ritchie.

Ktoś wciągnął ze świstem oddech.

- Co...?

- Powiedziała, że...?

Okrzyki ucichły. Emma wznosiła się, latała po sali jak duch. Och, Ritchie, Ritchie, moje dziecko, mój skarb! Ty żyjesz. Żyjesz! Chciała dotknąć ekranu, objąć go, ująć jego główkę w dłonie. Był prawdziwy. A jednak nieprawdziwy - jak szklanka zimnej wody na pustyni, której nie czujesz w gardle. Własny oddech wypełnił jej uszy. Wszystko inne - ludzie, sala - zniknęło. Była tylko ona - oddychała szybko i patrzyła w cichy tunel, na którego końcu znajdował się jej syn. To oni. Ciemnowłosa kobieta w bluzie z kapturem i z Ritchiem w ramionach. Ritchie też miał teraz ciemne włosy i dziwnie z nimi wyglądał. Ubrany był w bluzę, której Emma nigdy nie widziała, w brązowe spodnie i brązowe traperki, w których jego stopy wydawały się ogromne. Ręce mu zwisały. Nie widziała tylko jego twarzy, odwróconej do ramienia kobiety. Opierał się o nią; najwyraźniej spał.

- Proszę pani. - Głos komisarza Hilla rozległ się w tunelu. - Emmo!

Emma miała zatkane uszy, jak przy zmianie ciśnienia. Oszołomiona spojrziała na komisarza.

- Jest pani pewna, że to on? - zapytał. - Widać tylko czubek jego głowy. I to dziecko ma brązowe włosy, nie jas...

- Grzywka - wybełkotała Emma. - Sama obcinała mu grzywkę dzień przed porwaniem. Nie chciał siedzieć spokojnie, więc prawa strona wyszła krótsza niż lewa. I teraz widziała to wyraźnie na głowie tego dziecka. Prawa strona krótsza od lewej. Dokładnie tak samo. - Ufarbowali mu włosy. Ale wiem, że to on. Wiem, jak wygląda jego ciało. Jest we Francji, tak? Zabrali go do Francji. I co teraz? Jak go tu ściągniemy?

Hill podrapał się w tył głowy.

- Nie mamy ani jednej klatki z widokiem jego twarzy? - spytał posterunkowa Gorman.

- Nie - odparła Gorman. - Na wszystkich ujęciach jest tak samo. Cały czas ma głowę na jej ramieniu.

- Ona próbuje go ukryć - oświadczyła Emma, rozdarta między nadzieją a irytacją. To przecież takie oczywiste. - Dziecko w tym wieku nie będzie spało tak długo w tak hałaśliwym miejscu jak lotnisko. A już na pewno nie Ritchie. Byłby ciekaw, co się dzieje. Próbowaliby zejść na podłogę, wszystko obejrzeć.

- Więc może to nie jest Ritchie? - zasugerował komisarz.

- Odurzyła go czymś - powiedziała ponuro Emma. - To on.

Hill otworzył usta, ale posterunkowa Gorman odezwała się pierwsza:

- Ona ma rację. Moja wnuczka jest taka sama. Musiałaby być na haju, żeby siedzieć spokojnie na lotnisku.

Śmiechy z tyłu.

- No dobrze. Sprawdzimy ich. Natychmiast się do tego bierzemy - zdecydował komisarz.

- A co zro... - zaczęła Emma, ale on wyszedł już z sali.

Zapaliły się jarzeniówki.

Emma zamrugała. Nie widziała już monitora tak wyraźnie. Film był sprzed pięciu dni.

Teraz była sobota. Pięć dni temu, kiedy ona płakała w swoim mieszkaniu i odpowiadała na tysiące pytań na temat Olivera, Ritchie znalazł się na lotnisku, ubrany w dziwną zieloną bluzę, i spał na ramieniu tej kobiety. Kiedy Emma leżała w łóżku, tuląc Żabulca, Ritchie wsiadł do samolotu i przeleciał niemal nad jej głową.

Wokół niej ludzie w granatowych swetrach ze znaczkami na ramieniu prostowali się w szarych plastikowych krzesłach. Niektórzy wciąż śmiali się z komentarza posterunkowej.

Ruszcie się! - chciała krzyknąć na nich Emma. Czas mija. Wracajcie do roboty i znajdźcie go.

Pięć dni. Ritchie mógł już być wszędzie. Znow sparałizował ją strach. Nie czuła nóg. Musiała usiąść.

Kiedy wyszła z komisariatu, wciąż nie mogła uwierzyć w to, co się działo. Czy to naprawdę był Ritchie? Próbowwała zachować spokój. Rozpięła polar, ale zrobiło jej się zimno, i natychmiast go zapięła, przestępując nerwowo z nogi na nogę. Niespokojna musiała coś robić - cokolwiek. Było po ósmej, ale wzmożony ruch nie ustał. Sobotni zakupowicze wracali do domów. Światła samochodów wyławiały z mroku drzewa w parku i na cmentarzu po drugiej stronie ulicy.

- Świetnie się pani spisała - powtarzała Lindsay. - Niesamowity przełom.

- Pani mi wierzy, prawda? Że to był on? Na pewno to sprawdzicie?

- Oczywiście, że tak. To wielki krok naprzód.

- Ale to nie znaczy, że nic mu nie jest. - Emma wciąż nie mogła się uspokoić.

- Te zdjęcia były zrobione prawie dwadzieścia cztery godziny po jego zniknięciu. I wyglądało na to, że jest cały i zdrowy. Teraz mamy o wiele większą szansę na jego odnalezienie, proszę mi zaufać.

- Nie dzięki wam. - Emmę ogarnęła nagle wściekłość. - Na co wy czekaliście? Dlaczego to tak długo trwało, nim do czegoś dotarliście? Jestem jego matką. Dlaczego nie wierzyliście mi od samego początku?

- To nie tak, że pani nie wierzyliśmy, Emmo. - Lindsay była zakłopotana. Jej twarz, jak prosto od kosmetyczki, jaśniała w światłach samochodów. - Tyle że... po tym, co powiedziała doktor Stanford... Musieliśmy wziąć pod uwagę każdą... Przyznaję, że byłoby łatwiej, gdybyśmy mieli więcej nagrań z kamer. Ale kamery na stacji Stepney Green zniszczyli wandalę. Ostatnio rozrabiały tam bandy dzieciaków. Dwa obiektywy były zamalowane. Nikt na to nie zareagował. A na ulicach koło U Pana Bapa w ogóle nie ma kamer.

- Zabawne, bo słyszałam, że w Londynie człowiek jest nagrywany na kamery przeciętnie trzysta razy dziennie - rzuciła z goryczą Emma.

- Nie zawsze przez kamery policyjne - odparła Lindsay. - Ale ma pani rację. Ja też o tym słyszałam. Niestety, tak się nieszczęśliwie złożyło, że akurat nie w tym miejscu, gdzie mogłoby nam to najbardziej pomóc. - Odwróciła się do Emmy i położyła dłonie na jej ramionach. - Ale niech mi pani wierzy. Wszystko się wyjaśniło, więc nikt nie ma żadnych wątpliwości. To, co się stało dzisiaj wieczorem, to wspaniały przełom. Naprawdę.

Emma przygryzła paznokiec.

- Co teraz zrobicie? - zapytała.

Zadawała to pytanie chyba po raz trzeci, ale Lindsay nie okazywała zniecierpliwienia.

- Przekażemy dane z paszportów tych ludzi do Interpolu - wyjaśniła. - A także kopie ich zdjęć z biura paszportowego. I francuska policja zacznie ich tam szukać.

- A jeśli posłużyli się fałszywymi paszportami?

- I tak ich znajdziemy. Na lotnisku we Francji też są kamery. Sprawdzimy, czy ktoś po nich przyjechał, jak opuścili lotnisko. Namierzemy ich. Teraz już wiemy, kogo szukamy - powiedziała Lindsay - To było najtrudniejsze. Kiedy już jesteśmy na tropie, trudno się od nas odczepić.

- Do której będą szukać? - zapytała Emma.

- Kto?

- Policja. Do której pracujecie?

- Całą noc, jeśli trzeba. - Lindsay była cierpliwa. - Przecież pani wie.

Emma wiedziała. Ale i tak musiała to usłyszeć.

- Znajdziemy go - powtórzyła Lindsay. - Hej. - Lekko potrząsnęła ramionami Emmy. - Znajdziemy!
Emma czuła, że Lindsay próbuje ją skłonić, by spojrzała jej w oczy, ale nie mogła się na to zdobyć. Nie dlatego, że nie chciała, po prostu jej oczy zdawały się poruszać bez jej kontroli, bardzo szybko: spoglądały na ulicę, na schodki, ludzi przechodzących obok, na ich torby i płaszcze. Nie potrafiła skupić wzroku na jednym punkcie. Lindsay przyciągnęła ją do siebie. Emma pozwoliła się uściskać. Lindsay poklepała ją po plecach, a ona stała bez ruchu, speszona, w jej objęciach.

- Popracujecie pani z nimi? - zapytała. - Poczuliabym się lepiej, gdyby był przy tym ktoś, kogo znam.

- A może pojedę na trochę do pani? - zaproponowała Lindsay. - Niełatwo czekać samotnie.

- Poradzę sobie. Nie chcę jeszcze wracać do domu. Chciałabym iść na spacer. Kupić parę rzeczy dla Ritchiego. Jedzenie i tak dalej.

- Może minąć sporo czasu, zanim go pani zobaczy - ostrzegła Lindsay.

Emma zeszywniała.

- Przecież jest we Francji - przypomniała jej Lindsay. - Poza tym może będzie go musiał obejrzeć lekarz. Wie pani, zbadać, czy nic mu nie dolega. - Nagle dodała: - Ale powiem pani, co by się nam przydało. Spakowałaby pani parę rzeczy dla niego? Jakieś ulubione zabawki, ubranko. Kiedy go znajdziemy, może będziemy musieli go przebrać.

Emma skinęła głową.

- Proszę zadzwonić, jak tylko się pani czegoś dowie - powiedziała błagalnym tonem.

- Zadzwonię - obiecała Lindsay.

Pożegnali się. Emma zeszła ze schodków komisariatu. „Zbadać, czy nic mu nie dolega”. Co ona mogła mieć na myśli? Powiedziała przecież, że jest mało prawdopodobne, by Ritchiemu działa się krzywda.

Szła z ręką w kieszeni, ściskając komórkę. Musiała się ruszać, musiała coś robić, nawet jeśli miała tylko trzymać telefon i czekać, aż zadzwoni. Szła szybko, nie zwracając uwagi dokąd. Skreśliła w lewo, w Fulham Road, i podążała dalej. A im dalej, tym większy robił się ruch. Chodniki były pełne ludzi w jej wieku. Sobotni wieczór. Światła, hałas i zapachy wylewały się z pubów i restauracji. Niektóre lokale miały okna otwarte na ulicę. Ludzie wokół niej żartowali, śmiali się. Przeszła na drugą, cichszą stronę ulicy, żeby iść spokojnie.

W głowie gonitwa myśli. Wyobrażała sobie spotkanie. Ritchie woła swoim dźwięcznym, cienkim głosem: „Ma! Ma!” i wyciąga ręce, a ona chwyta go, przyciska do siebie. Po czym przypominała sobie, że przecież go jeszcze nie znaleźli. Jak go odzyskają? Będą musieli się włamać do domu, w którym go trzymano? Czy ktoś użyje broni? Czy porywacze będą próbowali go zabić?

Zadzwonił telefon, wibrował jej w ręce. Podskoczyła, przerażona, i z trudem wydobyła go z kieszeni.

- Halo? Halo?

- Emma? - Znajomy głos. - Tu Rafe Townsend.

- Rafe... - Urwała, nigdy by nie przypuszczała, że właśnie z nim chciała teraz porozmawiać. - Rafe - wypaliła. - Z tym Bergerac. Widziałam nagranie z lotniska. To on. To Ritchie.

- Co? - Telefon trzeszczał.

Tłumek ludzi - mężczyźni w marynarkach i koszulkach polo, dziewczyny w obcisłych pastelowych kurtkach - wylał się nagle z kilku taksówek pod drzwiami włoskiej restauracji. Emma zatkała jedno ucho palcem. Krzyczała do telefonu:

- Ritchie był na lotnisku! Namierzą go we Francji.

- Jezu. - Rafe osłupiał. - To fantastycznie.

- Tak. - Nagle się uśmiechnęła. - Tak. To prawda.

Szef sali otworzył drzwi restauracji. Mężczyźni i dziewczęta wparowali do ciepłego pomieszczenia. Emma czuła zapach czosnku. W środku widziała na ścianach czerwone i żółte lampy.

- Jak wyglądał? - zapytał Rafe. - Wszystko z nim w porządku?

- Wyglądał, jakby dali mu coś na sen. - Emma starała się o tym nie myśleć. - Ona mu ufarbowała włosy. I ubrała go w inne ciuchy.

Najbardziej złościły Emmę właśnie te ciuchy. Przez przerwy wyobrażała sobie przecież Ritchiego w polarze ze słonikiem.

- Chyba były ciepłe - musiała przyznać. - Czyste. Wyglądał... na zadbanego.

- Nie do wiary, nie do wiary - powtarzał Rafe.

- Bałam się, że on nie żyje - wyznała cicho. - Naprawdę. Jakaś część we mnie. Nie sądziłam, że to naprawdę będzie on.

- Ale był - odparł Rafe.

Klienci weszli już do restauracji. Zamknięto drzwi. Na ulicy przycichło.

- Nie było widać jego twarzy - ciągnęła Emma. - Na tym filmie. Komisarz Hill ciągle powtarzał: „Jest pani pewna, że to on? Przecież nie widać twarzy”.

- Ale ty byłaś pewna.

- Tak. - Zalała ją fala szczęścia. - Tak. Nie mogę się doczekać, kiedy go zobaczę.

Znów stanął jej przed oczami Ritchie: próbował biec do niej, chwiejąc się zabawnie, i uśmiechał się radośnie. A jeśli będzie płakał? Czy tak się przestraszył, że w ogóle nie będzie mógł się uśmiechnąć? Czy pójdzie do szpitala? Strach ścisnął jej wnętrzności. Boże. Czy to się kiedykolwiek skończy?

- Wszystko będzie dobrze. - Rafe myślał chyba dokładnie o tym samym. - Nie poddawaj się. Niedługo go odzyskasz.

Trzymała telefon przy uchu, chciała, by te słowa uciszyły łomot jej rozpędzonego serca. Tak dobrze było je słyszeć. Wiedzieć, że on interesuje się tym, co się dzieje. Wiedzieć, że jest.

- Muszę już kończyć - powiedziała. - Mogą próbować się ze mną skontaktować.

- Dzwoń, kiedy tylko zechcesz, choćby po to, żeby pogadać. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Chociaż Lindsay mówiła, że może minąć sporo czasu, zanim zobaczy Ritchiego, Emma wpadła do Sainsbury's, żeby kupić coś dla niego. Sucharki. Mleko. Jogurt truskawkowy. Paluszki miękkiego cheddara, bo lubił je mieć przy sobie. Wybierając te konkretne produkty, uspokajała się. Jasne kolory pojemniczków z jogurtami dla dzieci w lodówce, powolne przesuwanie się kolejki, w której stała z innymi matkami - cały ten rytuał sprawiał, że powrót Ritchiego do domu wydawał się bardziej realny.

Lindsay powiedziała, że to może potrwać, ale okazało się, że tego wieczoru sprawy nabrały przyspieszenia. Lindsay dzwoniła kilka razy, coraz bardziej podekscytowana. Zdobyli adres we Francji. Włączył się Interpol. Ekipa miała natychmiast pojechać do tych ludzi. Lindsay obiecała zadzwonić, kiedy tylko brytyjska policja dowie się czegoś więcej.

Emma rozłączyła się; serce biło jej jak szalone. To już, naprawdę go zobaczy. Przez następne półtorej godziny sprzątała mieszkanie od podłogi po sufit. Pozapalała wszystkie światła i pucowała kuchnię, odkurzała wykładziny, szorowała wannę i umywalkę. Przygotowała łóżeczko dla Ritchiego - przykryła materac czystą, pachnącą pościelą i wygładziła polarowy kocyk z zielono-fioletowym Barneyem. Na wierzchu posadziła Żabulca, a wokół niego ułożyła pięć smoczków.

I wreszcie, zmęczona, siadła na brzegu swojego łóżka, wciąż trzymając dłoń na miękkiej zielonej głowie Żabulca. Oparła czoło o szczebelki łóżeczka i wyszeptała:

- Słyszałeś, Żabulec? Słyszałeś? Ritch wraca do nas.

Było już po północy, kiedy wreszcie odezwał się domofon. Emma pobiegła do przedpokoju, by otworzyć. Po chwili w progu stanęła Lindsay, ubrana o wiele mniej oficjalnie niż zwykle - w różową koszulę i dżinsy. Zdyszana, zaczerwienione policzki, potargane kosmyki włosów wokół twarzy. Było jasne, że przynosi jakieś nowiny.

- Znaleźliście go? - wykrztusiła Emma. - Byli w domu?

- Tak. Byli.

Och, dzięki ci, Boże. Emma poczuła, jak wszystkie mięśnie jej się rozluźniają, jak uchodzi z nich powietrze. Nareszcie. Nareszcie już po wszystkim.

- Więc gdzie on jest? - zapytała. - Kiedy mogę go zobaczyć?

Lindsay weszła do mieszkania. Zamknęła za sobą drzwi.

- Dlaczego pani nie odpowiada? - spytała zaskoczona Emma.

Nagle coś jej przyszło do głowy i igła lodu prześlizgnęła się w dół jej gardła.

- Coś mu się stało?

- Nie, nie o to chodzi - odparła szybko Lindsay.

- Więc o co? - Emma nic nie rozumiała.

- Może usiądziemy? - powiedziała Lindsay.

- Chce pani, żebyśmy usiadły? Jasne.

Podbiegła do kanapy i usiadła, jak na komendę. Lindsay przycupnęła obok niej z ponurą miną.

- Emmo, to nie on.

- To nie?... - Emma gapiła się na nią, osłupiała. - Przepraszam. Nie rozumiem.

- Ten chłopiec, którego widziała pani na lotnisku. To nie Ritchie.

- Ale...

- Interpol sprawdził tych ludzi. To angielska rodzina, mieszka we Francji od kilku lat. Spędzili trochę czasu za granicą i wracali przez Londyn do Francji. Wiem, że ten chłopiec wyglądał jak Ritchie, ale nie było go dobrze widać.

Emma nie wierzyła własnym uszom. Jakby dostała obuchem w głowę. Żołądek podjechał jej do gardła.

- Ale... - powtarzała stłumionym głosem, który nie brzmiał jak jej głos. - Ale...

- Tak mi przykro, Emmo.

Nie miała żadnych wątpliwości. Ta grzywka. To był on.

- To on - powiedziała. - To Ritchie. Wiem, że to Ritchie.

- Emmo, ja też miałam nadzieję, że to on. Naprawdę. Ale paszporty były prawdziwe, wszystko się zgadza. Co więcej, ta rodzina jest dobrze znana w okolicy. Dziecko urodziło się w miejscowym szpitalu. Wszyscy je znają. Rodzice ojca mieszkają w tym samym miasteczku. Sąsiedzi. Miejscowy doktor. Wszystko się zgadza.

- Nie. Nie. Pani nie rozumie. Nie obchodzi mnie, co się wam zgadza. To on. To jest Ritchie.

- Nie możemy zrobić nic więcej, Emmo. Ale niech pani posłucha... niech pani posłucha. Ciągłe mamy całe mnóstwo innych tropów. Sporo osób dzwoniło, kiedy przeczytało artykuły w gazetach. Być może widziano go w Manchesterze, sprawdzamy wszystkie...

- Błagam. Błagam. To był on. Musicie mi uwierzyć.

- Kiedy czegoś się tak bardzo pragnie, można sobie wmówić różne rzeczy. - Lindsay wydawała się szczerze zasmucona. - Przykro mi, ale nie możemy tego dalej drążyć.

- Gdzie on jest? Chcę go zobaczyć. Chcę go zobaczyć na własne oczy.

- Nie wiemy...

- W takim razie niech się pani wynosi.

- Emmo...

- Precz!

Emma się rozszlochała; kiwała się w przód i w tył, kołysząc w objęciach powietrze. nie chciała od niej wyjść. Przez następnych dwadzieścia minut usiłowała namówić Emmę, by pozwoliła jej po kogoś zadzwonić.

- Nie powinna pani być tu sama - upierała się. - Ktoś musi panią wspierać.

A Emma powtarzała nijakim głuchym głosem:

- Poradzę sobie. Niech pani idzie.

Lindsay pokręciła głową, westchnęła i wyszła do przedpokoju, żeby zadzwonić ze swojej komórki. Zamknęła za sobą drzwi, ale Emma i tak słyszała, co mówi.

- Ona chce, żebym... Wiem. Wiem. Strasznie mi jej żal, ale nie mam zamiaru... No dobrze, ale dostanę za nadgodziny?

Po kilku minutach wróciła.

- Nie mogę pani tak zostawić - powiedziała drętwą. - Naprawdę nie powinna pani być sama. Zgodzi się pani, żebym zadzwoniła do kogoś z Grupy Wsparcia Ofiar Przestępstw? To organizacja charytatywna, pomaga osobom w takich sytuacjach. Mogą przysłać tu kogoś, kto będzie z panią, póki to się nie skończy.

Rozdział 10

Lindsay

- Nikogo nie chcę.

- Emmo. - Lindsay coraz bardziej traciła cierpliwość. - Niech mnie pani posłucha. Nie myśli pani logicznie.

Emma opuszkami palców rysowała kręgi na zamkniętych powiekach. Kiedy je nacisnęła, myślała, że zemdleje.

- Zadzwoń do Rafe'a - powiedziała w końcu.

- Rafe'a?

- To on znalazł moją torbę.

- Ależ, Emmo, ledwie go pani zna. Jest pierwsza w nocy.

- Tyle że właśnie jego tu chcę.

Oczywiście nie zadzwoniłaby do niego; mówiła tak tylko, żeby Lindsay sobie poszła. Lindsay natomiast, unosząc brwi, jakby chciała zapytać, czy Emma naprawdę tego chce, sama wystukała jego numer. I po, zdawałoby się, bardzo krótkim czasie domofon znów zabrzączał. Rafe.

Lindsay go wpuściła. W przedpokoju znów rozległy się niespokojne szepty. W końcu Rafe odezwał się normalnym tonem:

- Nie ma sprawy, zostanę z nią. - Jego głos zdawał się bardzo głośny w porównaniu z szeptem.

- Naprawdę? - Lindsay najwyraźniej odetchnęła z ulgą.

Emma siedziała skulona na krześle pod oknem. Słyszała, jak drzwi zamykają się za Lindsay. Kiedy tylko Rafe wszedł do pokoju, powiedziała:

- Przepraszam, że do Ciebie zadzwoniła. Nie musisz tu tkwić. Możesz wracać do domu.

- Ale ja nie chcę - odparł. Miał na sobie niebieską wiatrówkę i dzinsy. Oczy mu się kleiły z niewyspania, włosy były przyklepane i rozczochrane, jakby właśnie wstał z łóżka. - Cieszę się, że tu jestem. Cieszę się, że do mnie zadzwoniła.

Emma nie miała siły protestować. Spuściła głowę i wydusiła:

- Nie zniosę tego. Nie dam rady. Więcej nie wytrzymam.

- Na pewno wytrzymasz - odparł z naciskiem Rafe.

- Co mam zrobić? - zapytała. - Co zrobić?

- Przede wszystkim się nie obwiniaj. Widziałem takie sytuacje na filmach. Czasem trudno na nich dobrze zobaczyć twarz.

Emma przerwała mu gestem - uniosła dłonie nad głowę i rozcapierzyła palce.

- Film... w porządku. Ja wiem, że to był Ritchie.

- Ale...

- Posłuchaj. - Odwróciła się do niego ze złością. - Zastanawiałam się nad tym. I wszystko zrozumiałam. Tych dwoje kłamie. Ci ludzie we Francji to ich krewni, więc oczywiście są za nimi.

- Policja rozmawiała też z sąsiadami. A lekarz...

- Nie obchodzą mnie ich sąsiedzi. Ani ich cholerny lekarz. Musi być jakiś sposób, żeby to udowodnić. Nie mamy czasu. Ci ludzie już wiedzą, że policja o nich wypytywała. Przeniosą się gdzieś i ich zgubimy.

- Możesz mieć rację, ale...

- Ja wiem, że mam rację - syknęła. - Jezu, myślisz, że nie znam własnego dziecka?

Rafe milczał.

- Co to za popieprzony kraj? - Emma walnęła dłońmi w stół. - Oglądam film i widzę, jak ktoś porywa moje dziecko... jak zabierają mi je sprzed nosa... a wy wszyscy wmawiacie mi, że to moje urojenia. Że to czyjeś dziecko. Pracowałeś w policji. Musisz znać jakiś sposób. Mówiłeś, że dręczy cię poczucie winy z powodu Ritchiego, więc teraz masz okazję coś zrobić. Och. - Odwróciła się sztywna z wściekłości. - Opuść sobie. Ty mi nie wierzysz.

Przez mgłę gniewu, żalu i bólu usłyszała głos Rafe'a:

- Wierzę ci.

Potrzebowała sekundy, żeby to do niej dotarło.

- Wierzysz? Wzruszył ramionami.

- Jasne. Sama to powiedziałaś: znasz swoje dziecko. Skoro twierdzisz, że to on, to musi być on.

Cóż za dziwne uczucie: po tylu dniach rozmawiać w ten sposób z człowiekiem, który chyba naprawdę wierzył w to, co mówiła, i nie uważał, że bredzi. Emma sama już się zastanawiała, czy nie zaczyna świrować, i tylko ona jedna tego nie dostrzega.

Ale co z tego? Nic jej nie przyjdzie z wiary Rafe'a. Rozgoryczona znów uderzyła w stół.

- Zresztą, co ty możesz zrobić? - zapytała.

Nie spodziewała się odpowiedzi. Ale kiedy po kilku sekundach Rafe wciąż milczał, coś kazało jej spojrzeć na niego. Mrużył oczy, zapatrzonego w przestrzeń, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Co się dzieje? - rzuciła Emma. - Co?

- Jeden mój kumpel jest gliną - odparł Rafe.

- I?

- I może czas pomyśleć o twoim prywatnym detektywie. Jeśli pogadam z tym kumplem i uda mu się zdobyć dla nas adres, pod którym jest Ritchie...

- Słucham? - Emma sądziła, że się przesłyszała. - Co ty powiedziałeś? Zdobyć adres Ritchiego?

- No tak. Muszą go gdzieś mieć, w komputerze. To tylko kwestia...

- Zaraz, zaraz. - Emma wciąż nie wierzyła własnym uszom. - Twierdzisz, że mógłbyś mi powiedzieć, gdzie jest Ritchie? Że mogłabym go zobaczyć?

- Hej - zaniepokoił się Rafe. - Tego nie powiedziałem. Nie mogę niczego obiecać. Ten kumpel może się nie zgodzić nam pomóc. A jeśli nawet zdobędziemy ten adres, to musimy zachować ostrożność. To trzeba zrobić we właściwy sposób.

- Właściwy sposób? To znaczy?

- Gdybyś go zabrała, mogliby cię aresztować.

- Myślisz, że się tym przejmuję? - Głos Emmy przeszedł w pisk. Stała teraz, ściskając dłońmi oparcie krzesła.

- Posłuchaj mnie, Emmo. - Rafe się wyprostował. Mówił bardzo stanowczo. - Zaczniemy od tego, że już samo zdobycie adresu będzie niezgodne z prawem. Kumpel wisi mi parę przysług, ale nie gwarantuję, że zechce zrobić coś takiego. Dobra, powiedzmy, że znajdziesz Ritchiego i pójdziesz go zobaczyć. A jeśli oni cię zauważą? Zabiorą Ritchiego i uciekną. I możesz go już nigdy nie znaleźć.

O tym nie pomyślała. Przez chwilę stała jak słup soli. W końcu wyszeptwała:

- Nie próbowałabym go zabrać.

- W takim razie co byś zrobiła?

- Ja... ja...

Co by zrobiła? Teraz to nieważne. Musi przekonać Rafe'a, żeby zdobył dla niej ten adres. O resztę będzie się martwić później.

- Chcę go tylko zobaczyć. Tylko udowodnić, że to on. Będą musieli mi uwierzyć, jeśli zobaczą jego twarz. Nie zabrałabym go. Przysięgam.

Rafe wciąż się wahał.

- Proszę cię - błagała Emma. - Proszę. Ja muszę to zrobić. Nie wiesz, jak bardzo chcę go zobaczyć.

Widziała, że jest poruszony. Oddychał głęboko. Drapał się w skroń. Wbiła wzrok w jego oczy. Tak dawno nie robiła czegoś takiego. Dawno nie patrzyła komuś prosto w twarz.

W końcu to Rafe pierwszy odwrócił oczy.

- Potrzebny mi numer twojej sprawy - powiedział.

- Numer?...

- Policja na pewno ci go podała. Żeby mogli sprawdzić szczegóły w komputerze, kiedy do nich zadzwonisz.

Zaraz, zaraz. Przeszukaj świstki przy telefonie, pomyślała. Prawie na samej górze była karteczka, którą zostawiła Lindsay, z jej danymi kontaktowymi. Emma nie zauważyła go wcześniej, ale rzeczywiście był tu numer sprawy, starannie wypisany pod numerem telefonu.

Rafe przepisał numer na oddzielną karteczkę.

- Muszę wykonać parę telefonów. Zadzwonię, kiedy tylko będę coś wiedział.

Zadzwoił zaraz po wschodzie słońca. Emma nie ruszyła się od stołu. Niebo było różowe. Ulice ciche. Pijani nastolatki rozbili już ostatnie butelki po piwie i poszli do domów; poranne korki jeszcze się nie zaczęły.

Zdała sobie sprawę, jak bardzo zmarzła, dopiero kiedy podnosiła słuchawkę i poczuła, że drżą jej palce.

- Halo?

Przecież nie mógł jeszcze niczego wiedzieć. Za wcześnie. Może tylko wyjaśniło się, czy jego kumpel zgodził się pomóc. Jeśli Rafe w ogóle zdążył się z nim skontaktować.

Oślupiała, kiedy Rafe oznajmił:

- Mam adres. Adres!

Wymacała krzesło i usiadła.

- Gdzie? - spytała.

Usłyszała szelest papieru.

- Z tego, co tu mam, wynika, że ci ludzie z lotniska to małżeństwo. David i Philippa Huntowie. Ich syn ma na imię... ee... Ks... Iks... - przeliterował.

- Xavier - wydusiła Emma, szarpiąc guzik koszuli pod szyją.

- Za-wi-je - powtórzył Rafe. - Okej. Zawije Hunt. Wiek: piętnaście miesięcy.

Xavier Hunt. Xavier Hunt. Emma wyobrażała sobie grzywkę Ritchiego, jego nową bluzę i spodnie. Widziała go, jak mocno śpi wtulony w ramię kobiety na lotnisku.

- Mówić dalej? - spytał Rafe.

- Proszę.

- Mieszkają w miejscowości o nazwie St-Bourdain. Mam tu na ekranie mapę, to jakieś czterdzieści kilometrów od Bergerac. Mała wioska. Każdy obcy będzie się wyróżniał, więc musimy być ostrożni.

- My?

- Będę szczerzy, Emmo. Mój kolega bardzo niechętnie udzielił mi tej informacji. Jeśli wyniknęłyby jakieś kłopoty, może stracić pracę. Podał mi adres, dopiero kiedy mu obiecałem, że pojedę z tobą. Na wszelki wypadek, na przykład gdyby ci odbiło.

- A.

- Ja wiem, że tak się nie stanie - dodał Rafe. - Tyle że musiałem obiecać mu, że pojedę.

- Chcę jechać natychmiast - oznajmiła Emma. - Ale co z twoją pracą?

- I tak miałem odejść pod koniec tygodnia. Mogę wziąć wolne na tych kilka ostatnich dni. Żaden problem.

Wciąż obawiał się, że ona spróbuje porwać Ritchiego. Ale co tam, o to się będzie martwiła później. Może wykołować Rafe'a, jeśli będzie musiała.

- Jak się tam dostaniemy? - zapytała.

- Możemy polecieć do Bergerac albo innej miejscowości w pobliżu. Choćby Bordeaux. Oby jak najszybciej. Zabukować bilety?

- Ja to zrobię. - Emma już gorączkowo przerzucała książkę telefoniczną. Szukała na oślep, więc otworzyła ją jeszcze raz, na początku, i przeszła do L, jak linie lotnicze.

Niedziela, 24 września

Dzień ósmy

Paszport - jest. W torebce. Numery rezerwacji zapisane na kartce, bezpiecznie schowanej w tylnej kieszeni. Z ciuchów zabierała tylko to, co miała na sobie: dżinsy, zwykły T-shirt, granatowy polar. Do plecaka wrzuciła dezodorant, szczoteczkę do zębów i zmianę bielizny. W oddzielnej, dużej kieszeni był Żabulec z nogami zarzuconymi za uszy.

Gotowe. Niczego więcej nie potrzebowała.

Ledwie zamknęła drzwi mieszkania, rozdzwonił się telefon w salonie.

Cholera! Emma wygrzebała klucz z torebki. Tylko niech to nie będzie Rafe, niech mi nie powie, że się spóźni. I tak było już po dwunastej. Mieli się spotkać na stacji Liverpool Street o pierwszej.

Otworzyła drzwi i wpadła do mieszkania.

- Halo?

- Emma. - Dzwoniła Lindsay. - Nie spała pani, mam nadzieję?

- Nie.

- To dobrze. Chciałam tylko powiedzieć, że wpadnę później po południu, jeśli pani się zgodzi. Muszę z panią omówić parę spraw.

- Wychodzę.

- Dokąd? - Zaskoczenie w głosie Lindsay.

- Mam przy sobie komórkę. - Emma chciała uciąć rozmowę, ale nie mogła rozłączyć się zbyt szybko, bo Lindsay mogłaby nabrać podejrzeń.

- Rozumiem. Właściwie to chciałam zapytać, co pani by powiedziała na udział w programie telewizyjnym. W konferencji prasowej. Wiem, że to brzmi poważnie, ale miałyby pani szansę zaapelować bezpośrednio do porywaczy. I do każdego, kto ich zna albo mieszka po sąsiedzku i mógłby...

- Świetny pomysł - przerwała jej Emma. - Proszę mnie zawiadomić, kiedy to się odbędzie.

Rozłączyła się i złapała plecak. Spojrzała na zegarek. Dwunasta piętnaście. Wypadła z mieszkania i zbiegła schodami, nie czekając na windę.

Hammersmith było jak zwykle szare i zimne. Emma minęła szpital Charing Cross i popędziła do podziemnego przejścia na Hammersmith Broadway. Po drugiej stronie znów na górę, na stację metra na rogu, z jej staromodnym niebieskim znakiem i wiktoriańskim zegarem, który wyglądał uroczonie, lecz kompletnie nie na miejscu wśród piętrowych autobusów i wiaduktów. Poczekała na zmianę świateł, bębniąc palcami w słupki sygnalizatora. Nim dotarła na stację, spociała się. Pociąg przyjechał, kiedy wyszła na peron.

Stacja Liverpool Street: biała, wysokie sufity i tłum, głównie ludzi w garniturach i z aktówkami. A także nastoletni turyści, obcokrajowcy w puchowych kurtkach, obciążeni gigantycznymi plecakami. Gdy zatrzymała się przy ławce, by rozejrzeć się, gdzie jest Rafe, poczuła bolesne uderzenie w kostkę. Obróciła się i zobaczyła potężnego faceta: turlał obok niej walizkę na kółkach, z irytacji mlaskając językiem.

Dostrzegła Rafe'a pod dużą tablicą ze znakiem „I”. Ubrany w niebieską wiatrówkę czytał informacje. W pewnej chwili przechylił głowę i pociągnął długi łyk wody z butelki. W dłoni trzymał pasek swojego czarnego plecaka, bardziej wypchanego niż zwykle. Napił się i zaczął wycierać usta. Wtedy dostrzegł Emmę. Uniósł butelkę na powitanie i się uśmiechnął. Emma też się uśmiechnęła. Zastanawiała się, co powiedzieć: dziwne tak się z nim spotkać nie w mieszkaniu.

- Pociąg na lotnisko odjeżdża za pięć minut - powiedział Rafe, kiedy do niego podeszła.

- Mam już bilet.

- Więc chodźmy.

Zaczęli przepychać się przez tłum; Emma szła za niebieską plamą kurtki Rafe'a. Z głośników hucały zapowiedzi: „Następny. Pociąg. Z. Peronu. Trzeciego. Odjeżdża. Za...” Ledwie do niego wsiedli, rozległ się gwizdek.

- Idealnie. - Rafe wyszczerzył zęby w uśmiechu i umieścił plecak na podłodze między swoimi nogami.

- Może to dobry znak?

W pociągu - tłok; musieli stać. Jakaś kobieta, na oko po trzydziestce, stanęła w drzwiach i pomogła wsiąść do wagonu małemu chłopcu. Trzymała go za rękę, ale sama, na peronie, rozmawiała z kimś po drugiej stronie barierki. Chłopiec miał ze dwa lata, cienkie, kręcone włoski i rumiane policzki. Był bardzo podekscytowany, że pojedzie pociągiem. Rozglądał się na wszystkie strony. Nagle znieruchomiał, widocznie dostrzegł coś bardzo interesującego w głębi zatłoczonego wagonu; Emma nie widziała co. Kobieta na peronie wciąż rozmawiała. Chłopiec zacisnął drobne ząbki, wyszarpnął rękę i ruszył w głąb wagonu, znikając w lesie nóg. Emma spojrzała szybko na matkę - ona chyba niczego nie zauważyła.

- Oczywiście - mówiła głośno do znajomej. - Jak tylko odezwie się Barbara, urządzimy...

Piip-piip-piip, rozległ się sygnał przed zamknięciem drzwi. Emmie załomotało serce. Poruszyła się niespokojnie. W ostatniej sekundzie, kiedy drzwi już się zasuwwały, kobieta odwróciła się, poprawiła na ramieniu torbę z zakupami i wskoczyła do pociągu.

- James! - zawołała. - James.

Chłopiec wystawił pulchną buzię zza walizki na kółkach.

- Tu jesteś, kochanie! Co ci mamusia mówiła? Żebyś się jej pilnował.

Emma rozluźniła się; oparła się o poręcz. Kobieta i chłopiec ruszyli na koniec wagonu.

Pociąg szarpnął; pasażerowie, którzy stali, zachwiali się i ten czy ów przydepnął sąsiadowi palce. Ale ten tłok odpowiadał Emmie: nie musiała rozmawiać z Rafe'em. Potrzebowała czasu, by się zastanowić. Kiedy peron przemknął obok, zorientowała się, że wstrzymuje oddech. A jeśli Lindsay nabrała podejrzeń i kazała ją śledzić, żeby sprawdzić, dokąd się wybiera? A jeśli policja założyła jej podsłuch w telefonie? A jeśli pociąg się zatrzyma i do wagonu wsiądzie komisarz Hill, by jej powiedzieć, że z jakiegoś powodu nie wolno jej opuszczać kraju?

Ale pociąg się nie zatrzymał. Pędził przed siebie przez północne przedmieścia Londynu. W pewnej chwili szarpnął i Rafe'a rzuciło na nią. Kostki palców mu zbieleły, na wierzchu dłoni ukazały się żyły, gdy chwycił słupek obok jej głowy i zaparł się mocno, by osłonić ją przed tłumem.

Jadąc pociągiem, Emma nie mogła przestać myśleć: Ritchie tu był. Ona nigdy nie była na tym lotnisku, ale on tak. Jej maleńki synek widział miejsce, którego ona nigdy nie widziała. Rozglądała się dookoła, starając się patrzeć jego oczami. Czy przeszli przez te drzwi, które pokazywała kamera? Czy przy tym stanowisku dokonywali odprawy? Czy któraś z tych kobiet w mundurach widziała Ritchiego tamtego dnia, zapamiętała go i zadzwoniła na policję? Czy w ogóle się obudził podczas podróży? Co sobie myślał o samolocie, o hałasie silników? Był zły? Podekscytowany? Przestraszony?

Poczuła ulgę, kiedy samolot wreszcie wystartował i nic nie wskazywało na to, że wpadnie do niego policja. Siedziała przy oknie. Kobieta obok niej starannie ułożyła pod karkiem nadmuchiwaną poduszkę pasażera i po samą brodę owinęła się kaszmirowym szalem. Oczy miała zamknięte, a głowa, przekrzywiona na bok, podskakiwała przy turbulencjach. Kobieta chyba spała. Rafe siedział kilka rzędów dalej.

Nagle Emmie przypomniały się wakacje w Grecji przed pięciu laty. Pojechały we cztery - ona, Joanne, Karen i Claire Burns. Mieszkały w ślicznym apartamencie - różowe kwiaty w koszach wisiały za oknem. Emma romansowała ze studentem inżynierii z Vancouver. Wrażliwy chłopak. Miał na imię Vernon. Któregoś popołudnia poszli ponurkować i dwóch greckich rybaków odwiozło ich z powrotem łódką. Świetnie się bawili. Emma przycisnęła czoło do okna, patrząc, jak promienie słońca rozświetlają chmury.

Nic nie znaczymy, nasz los nikogo nie obchodzi.

Co zrobi, gdy znajdzie Ritchiego? Koncentrowała się na wyobrażeniu chwili, kiedy go zobaczy, kiedy potwierdzi, że to naprawdę on. Czy jej synek będzie jeszcze w tym St-Bourdain? A jeśli porywacze pojechali dalej? Musieli się wystraszyć, kiedy policja zaczęła zadawać pytania. A jeżeli po prostu sprzedali Ritchiego albo...

Nie! Nie. Nie będzie tak myśleć. Rafe powiedział, że Antonia chciała Ritchiego dla siebie. Polubiła go i pragnęła wychować jako własne dziecko.

I Ritchie ją polubił.

Prawdę mówiąc, nawet bardzo.

Nie pozwolił Emmie wziąć się na ręce.

„Nie powinna mu pani dawać słodyczy”.

Emma zacisnęła powieki. Jak ona śmiała! Ta kobieta śmiała jej mówić, jak ma postępować ze swoim dzieckiem! Czy jednak to nie dowodziło, że Antonia zamierzała się nim opiekować? A nie skrzywdzić go? Tyle że to dziwne. Jak mogła myśleć, że taki numer przejdzie? Że tak po prostu weźmie cudze dziecko i zacznie udawać, że jest jego matką?

W Bergerac było bardziej słoneczniej niż w Londynie. Terminal lotniska - nijaki budynek z prefabrykatów - przypominał raczej dużą szopę ogrodową. Emma zeszła po schodkach z samolotu, wdychając ciepłe, inaczej pachnące powietrze. Drzewa, niebo i ziemia miały inny kolor niż w Anglii. Zupełnie jakby patrzyła na wszystko przez żółtozieloną nakładkę na obiektyw. Pasażerowie stłoczyli się wzdłuż taśmy z bagażami. Wyglądali niemal jednakowo: w sandałach i szortach albo bojówkach, z polarami zawiązanymi w pasie. Mówili głównie po angielsku.

- Jeremy, spakowałeś tenisówki George'a?

- Mamuś, powiedz Emily, żeby przestała mi to upychać w plecaku!

Emma i Rafe nie mieli żadnego bagażu, więc mogli ominąć tłum. Podeszli do stanowiska kontroli paszportowej; mężczyzna w okrągłej czapce leniwym gestem kazał im przejść za bramkę.

- Myślisz, że jakiś autobus jedzie do St-Bourdain? - zapytała Emma, rozglądając się po maleńkiej poczekalni.

- Wątpię - odparł Rafe. - Lepiej wynajmijmy samochód.

- Prawo jazdy, *madame*? - zapytał mężczyzna w wypożyczalni, wąsaty jak komisarz Hill.

Emma wpadła w popłoch.

- Nie sądziłam...

- W porządku. - Rafe pokazał laminowaną książeczkę. - Ja swoje wziąłem.

Emma zaczęła grzebać w portfelu pełnym euro. Są tyle samo warte co funty czy mniej? Miała nadzieję, że wystarczy na samochód. W ogóle się nie zastanawiała, jak dotrze do miejsca, w którym przebywał Ritchie.

- Ja sfinansuję samochód - oświadczył Rafe. - Ty płaciłaś za samolot, pamiętasz?

- Nie mogę pozwolić...

- Schowaj pieniądze. Bardzo proszę. Nie wiesz, ile ci się jeszcze przyda.

Po uregulowaniu kwestii formalnych pracownik wypożyczalni powiedział:

- Nasz parking jest na lewo od wyjścia.

A tam kurz i cisza. Słońce odbijało się w rzędach chromowanych zderzaków. Miejsce B5 zajmował srebrny peugeot hatchback. Zalatywało w nim gorącą gumą i sprejem do czyszczenia deski rozdzielczej. Rafe rozłożył mapę regionu, którą dał im facet z wypożyczalni. Okazała się bardzo niedokładna. Bergerac było najmniejszym zaznaczonym na niej miastem. Nie wskazywała, jak dojechać do tak małej wioski jak St-Bourdain.

- Powinam była zabrać porządną mapę. - Emma robiła sobie wyrzuty. Czemu o niczym nie pomyślała?

- Kupimy, nie martw się - uspokajał ją Rafe. Wyrżał przez okno. - Centrum miasta, patrz. W tę stronę. Pięć kilometrów.

Wyjeżdżając z parkingu, peugeot zgrzytnął i szarpnął do przodu, pasy napięły się na Emmie.

- Przepraszam. - Rafe zmarszczył brwi, walcząc z dźwignią biegów. - To cholerstwo się zacina.

Centrum Bergerac przypominało robotnicze miasteczko: rzędy jasnych kwadratowych budynków z pozamykanymi okiennicami, wiele domów do renowacji, nieliczne otwarte sklepy, niemal żadnego klienta. Markiza nad kawiarnią w rynku ocieniała czerwone plastikowe krzesła i stoliki na chodniku. Żywego ducha. Na pewno to nie Paryż.

Zaparkowali niedaleko rynku i po drugiej stronie ulicy znaleźli księgarnię. Brzęknął dzwonek, kiedy otworzyli drzwi. Starszy mężczyzna za ladą uniósł wzrok znad gazety.

- *Avez vous un...* - Emma zaczęła się rozglądać po półkach z książkami i czasopismami. - *Map?* - spróbowała, ale mężczyzna za ladą nie zrozumiał. Wyciągnęła szyję, by zajrzeć na wyższe półki. Komiksy, głównie dla dzieci. *Asterix. Smurfy*. Cały rząd książeczek z obrazkami przedstawiającymi łysego chłopca i białego pieska. Nagle w jej głowie rozbłysło wspomnienie. Lekcje francuskiego w niebieskim budynku z prefabrykatów. Szkoła w Brislington. Drewniane ławki, zapach sera i cebuli. Kevin Brimley, chłopak siedzący obok niej, wstaje, by przeczytać na głos wypracowanie o swoich *vacances* w Hawrze.

- *Plan* - powiedziała triumfalnie. - *Avez vous un plan?*

- *Oui. Plan* - oznajmił Rafe. - *De France* - dodał dumnie.

- *La-bas, Monsieur.* - Mężczyzna wskazał stojak poniżej lady.

W samochodzie, popijając wodę z plastikowych butelek, wpatrzyli się w składaną mapę.

- Tu jest. - Rafe wskazał maleńkie, zielone kółeczko. - St-Bourdain. Cały czas na południe, i nie możemy nie trafić.

Niemal bez problemu znaleźli właściwą trasę - dość szeroką drogę, niezbyt uczęszczaną. Nieliczne samochody, które widzieli, były brzydkie, choć praktyczne. Błyszczący mercedes czy jaguar wyglądałyby tu dziwnie i rzucałyby się w oczy.

- Jedziesz po złej stronie - ostrzegła Emma, zapierając się o deskę, kiedy wyjechali z ronda. Nagle dostrzegła inny samochód przed nimi i zdała sobie sprawę ze swojej pomyłki. - Nie. Przepraszam. Masz rację. Że też o tym pamiętasz.

- Starej krowie lepiej w rowie. - Rafe zerknął na nią z ukosa i wyszczerzył zęby. - Działa za każdym razem.

Jechali w milczeniu, w promieniach przedwieczornego słońca. Krajobraz zmieniał się stopniowo. Billboardy i warsztaty z rzędami zaparkowanych samochodów ustąpiły miejsca polom upstrzonym żółtymi i białymi kwiatami. W oddali majaczyła ściana drzew.

- Wiesz... - Rafe zerknął w lusterko - musimy ustalić jakiś plan.

Emma udała, że nie słyszy. Siedziała pochylona do okna, bacznie obserwując okolicę. Znaki z wyobrażeniem kiści winogron wskazywały wąskie polne drogi: „Château Mireille” - przeczytała. „Château de Montagne”.

- Zastanawiałas się, co zrobisz? - zapytał Rafe. - Zamierzasz siedzieć przed domem całą noc?

- Nie wiem.

Znów pola. Rzędy roślin przywiązanych do drewnianych tyczek i drutów.

- No dobrze. - Rafe jej darował. - Wymyślimy coś, kiedy będziemy na miejscu.

Jedź, myślała Emma. Po prostu jedź. Mijali wioski, a jej puls przyspieszał. Im głębiej zapuszczali się w tę okolicę, im bardziej zbliżali się do St-Bourdain, tym były piękniejsze. Domy z żółtego kamienia, jak w górach Cotswold. Za nimi długie rzędy ciemnych, liściastych krzewów, wyższych od człowieka - można by się w nich schować. Widziała farmy z kurami na podwórkach, porośnięte bluszczem ściany, zadbane warzywniki. Czy Ritchie był w takim domu? W takim ogrodzie?

Jadę do ciebie, Ritch - posłała mu tę obietnicę nad polami. Już jestem prawie na miejscu.

W odpowiedzi poczuła jego obecność, tak intensywną, jakby siedział w aucie obok niej. Wiedziała, że ma rację. Gdzieś pośród tych żółtych domów, tych gęstych drzew, jej mały synek czekał, aż ona go znajdzie i zabierze do domu.

Ritchie tu jest. Wiedziała to na pewno.

Jest tu.

Rozdział 11

Powrót z Ritchiem do domu ze szpitala okazał się trudny.

W taksówce chłopczyk wyglądał tak uroczo, ubrany w nowiutki pajacyk w błękitne i białe prążki, w wełnianej czapeczce, w której jego główka wyglądała jak jajko. Całą drogę patrzył zdumiony w okno, jak-by zobaczył tam coś cudownego, ale głowa wciąż opadała mu na jeden bok. Emma huśtała go i delikatnie pomagała ją wyprostować, by mógł patrzeć.

- Kawał osiłka, co? - powiedział z podziwem kierowca taksówki.

Emma uśmiechnęła się z dumą.

Zatrzymali się pod blokiem i kierowca pomógł jej wnieść rzeczy do windy; wjechali na piąte piętro, zamknęli za sobą drzwi mieszkania - i wtedy zostali tylko we dwójkę; siedzieli i patrzyli na siebie. Po gwarnym szpitalnym oddziale mieszkanie wydawało się ponure i ciche. Nie było tu innych płaczących dzieci, nie było innych matek w koszulach nocnych, uśmiechających się i mówiących sobie „cześć”. Nie było pielęgniarek wpadających, by porzuczyć się nad Ritchiem i stwierdzić, że kochany z niego śpioch. Nikt ich nie przywitał, nikt nie wziął Ritchiego na ręce i nie powiedział:

- Spójrz na niego. Czy to nie najpiękniejsze dziecko na świecie?

Ale teraz przynajmniej mieli już mieszkanie.

- Skąd wezmę pieniądze, żeby wynająć coś samodzielnie? - zapytała Emma niespokojnie pracownicę opieki społecznej dwa tygodnie przed wygaśnięciem umowy najmu mieszkania w Clapham. Wszystko ostatnio przekalkulowała i wstrząśnięta zdała sobie sprawę, że kiedy przestanie pracować, nie będzie jej stać na czynsz, choćby dalej płaciła go do spółki z Joanne.

- Będzie pani miała prawo do różnych świadczeń - zapewniła ją kobieta. - Jeśli jednak mama zostawiła pani jakieś oszczędności, będzie pani musiała dołożyć się do czynszu i podatku lokalnego.

Emma spodziewała się tego, martwiło ją wszakże, że tak szybko musi skorzystać z zapasów na czarną godzinę. Tyle że to była czarna godzina.

- Jak pani myśli, długo potrwa znalezienie mi jakiegoś lokum? - zapytała.

- Chcielibyśmy gdzieś panią umieścić, zanim urodzi się dziecko. - Pracownica opieki społecznej zmarszczyła brwi, patrząc w swój notes. - Niestety, z mieszkaniami ostatnio jest problem, więc nie mogę niczego zagwarantować.

- To co mam robić do tej pory? - zapytała Emma. Nie mogła się przecież nigdzie wprowadzić na parę tygodni. Trzeba podpisać umowę. Wpłacić depozyt. Dlaczego nie zainteresowała się tym wcześniej?

- Jeśli pani wyląduje pod chmurką, znajdziemy pani motel. To nie powinno trwać zbyt długo. Jako bezdomną pod szczególną ochroną wciągnęliśmy panią na priorytetową listę oczekujących - wyjaśniła kobieta.

„Bezdomna pod szczególną ochroną”. Stojąc z torbami u stóp w obskurnym pokoiku motelu koło płatnej pralni w Balham, Emma poczuła pierwsze ostre ukłucia strachu.

O bezdomnych pod szczególną ochroną mówiły reportaże w *Panoramie*. Tacy ludzie leżeli pod mostami albo wykrzykiwali do pustych siedzeń w metrze. Zemdlilo ją na widok brązowej plamy pośrodku materaca. Położyła dłoń na brzuchu. Nie ma mowy, żeby przywiozła tutaj dziecko.

Ogromnie jej ulżyło, kiedy na dziesięć dni przed porodem zaproponowano jej mieszkanie w kompleksie bloków między Hammersmith a Fulham - bardzo daleko od Joanne i Barry'ego, i od jej lekarki, doktor Rigby. Trzeba będzie zmienić przychodnię. Ale nie mogła sobie pozwolić na wybrzydzenie.

Wtedy mogła jeszcze jakoś chodzić. A raczej człapać, bo ciążył jej brzuch. Pracownica opieki społecznej, gadatliwa siwa kobieta, przysłała z nią obejrzeć mieszkanie. Znajdowało się w wysokim, brązowym wieżowcu naprzeciw identycznego bloku po drugiej stronie betonowego parkingu. Czerwone i pomarańczowe graffiti szpeciły ściany do wysokości wyciągniętej ręki. Tablica nad rzędem pojemników na śmieci głosiła: „Do wszystkich lokatorów: Prosimy umieszczać śmieci w pojemnikach, nie obok nich”.

Opiekunka społeczna wyjęła z torebki kartę magnetyczną i przeciągnęła ją przez czytnik przy drzwiach ze stali i zbrojonego szkła. Hol w środku był wysoki i ciemny, obok windy stała schnąca juka w plastikowej donicy.

Jedna winda, zauważyła Emma. W jedenastopiętrowym bloku.

- Niech się pani nie martwi. - Kobieta zerknęła na jej wielki brzuch. - Zarząd jest tutaj całkiem niezły. Jeśli coś się popsuje, zwykle naprawiają w ciągu paru dni.

Obejrzenie mieszkania nie trwało długo. Pomalowany na żółto przedpokój był tak mały, że Emma z brzuchem nie mieściła się w nim jednocześnie ze swoją przewodniczką. Pierwsze z trojga drzwi prowadziły do łazienki, wprowadzie bez okna, ale z wanną.

- To udogodnienie, kiedy ma się dziecko. - Kobieta się uśmiechnęła.

W sypialni stały: pojedyncze łóżko z czystym, pasiastym materacem, szafa z białymi drzwiami i pod oknem biurko z dwiema szufladami. Biurka trzeba by się pozbyć, jeśli miało tu stanąć łóżeczko dla dziecka. Salon był strasznie ciemny, mimo iż dochodziła dopiero trzecia po południu i zasłony na przeszklonych balkonowych drzwiach rozsunięto. W salonie stały: brązowa sztruksowa kanapa, okrągły stół ze szklanym blatem i dwa aluminiowe krzesła. W kuchni - bez okna - znajdowały się: kuchenka, lodówka, nierdzewny zlew i trzy wiszące szafki w kolorze musztardy. Białe-szare, nakrapiane linoleum miejscami zlepiono taśmą klejącą.

Natomiast balkon się Emmie spodobał - niby zwykły, betonowy prostokąt, na którym ledwie zmieściłby się leżący człowiek, ale mogła tu wstawić kwiatki, żeby ładnie wyglądał latem. Wykładziny w pokojach były wytarte, ale czyste. Nigdzie żadnych brązowych plam. Emma odetchnęła z ulgą. Nie był to Ritz, oczywiście, ale lokum o niebo lepsze niż motel. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby mieszkanie okazało się równie fatalne albo i gorsze niż tamto koszarne miejsce.

- Biorę - powiedziała pracownicy opieki społecznej.

- Nie masz chyba wyboru, co, kochana? - odparła wesoło kobieta.

Emma wprowadziła się następnego dnia. Z całym swoim dobytkiem zabrała się jednym kursem taksówką. Choć mieszkanie wyglądało na schludne, poszła do Sainsbury's na tej samej ulicy i kupiła całe pudło środków czystości, żeby je posprzątać po swojemu. W ciągu następnych dwóch dni za pieniądze z oszczędności mamy kupiła wyprawkę dla dziecka. Wózek, z którego dało się zrobić spacerówkę, łóżeczko, kocyki, butelki, sterylizator. Kubki, talerze, sztuce, pieluszki. Zieloną pluszową żabę z przyjacielskim spojrzeniem na stoisku przy Hammersmith Broadway.

W sobotę leżała w łóżku, słuchając umpf-umpf-umpf muzyki dobiegającej gdzieś z góry. Ktoś urządził imprezę. A niech się bawia, jest sobotni wieczór. Na dole usłyszała krzyki, a potem brzęk tłuczonego szkła. Położyła ręce na brzuchu - tutaj jest bezpieczna; piąte piętro, przecież nikt się tu nie wdrapie. Dostała magnetyczną kartę do ciężkich drzwi na dole i oddzielny, zwykły klucz do zamka w drzwiach jej mieszkania.

Będzie im tu dobrze, jej i dziecku. Dadzą sobie radę.

Przynajmniej przez jakiś czas.

I w końcu, osiem dni później, Ritchie przyszedł na świat i kilka kolejnych tygodni zlało się w pamięci Emmy. Cały czas i całą jej energię pochłaniało zajmowanie się nim. Musiała go karmić - niemal bez przerwy, a przynajmniej takie miała wrażenie, odpowiednio go sadzać i poklepywać po plecach, żeby beknął, tak jak pokazała jej pielęgniarka środowiskowa. Musiała go przewijać. Wyparzać jego butelki. Prac rzeczy.

I bardzo się zdziwiła, że tak szybko nabrała w tym wprawy. Martwiła się, że nie będzie wiedziała, jak się nim opiekować, bo nigdy nie знаła nikogo z dzieckiem. Ale nieprzespane noce okazały się nie takie straszne, jak się spodziewała. To było męczące, oczywiście - ciągle wstawanie z łóżka, żeby dać mu butelkę - lecz po kilku tygodniach przesypiał już całą noc, a w dzień wszystko szło utartym trybem. Pobudka o szóstej trzydziści. Butelka. Z powrotem do łóżka do dziewiątej. Po południu kolejne dwie drzemki. Do łóżka na noc między ósmą a wpół do dziewiątej. Ritchie był spokojnym dzieckiem; płakał tylko wtedy, kiedy był głodny albo miał mokro, i zwykle Emma domyślała się powodu płaczu. Z tego, co czytała o niemowlakach, był naprawdę dobry. Bywały takie maluchy, które tylko wrzeszczały i wrzeszczały, dzień i noc, i nie dawały się uspokoić. A Ritchie nie. Miała szczęście. Wyczytała też, że trzeba spać, kiedy tylko dziecko zasypia w ciągu dnia, więc stosowała się do tego. Wysypiała się, ale też sumiennie wywiązywała z obowiązków. I okazało się to nie takie trudne.

Tyle tylko, że trzeba było to robić bez przerwy.

Ciągle i ciągle, i ciągle od nowa.

Dopiero kiedy najgorsze noce były za nią, Emma uświadomiła sobie w całej pełni, jaka jest samotna. Jak trudno jest wyjść z domu z malutkim dzieckiem i jak niewielu ludzi widuje.

Ucieszyła się więc, kiedy któregoś wieczoru Joanne wpadła do niej w drodze z pracy. Ritchie miał już wtedy prawie sześć tygodni.

- Ems! - wykrzyknęła Joanne, obejmując ją, ledwie drzwi się otworzyły. Wyglądała fantastycznie. Miała na sobie bladoniebieskie spodnium i wysokie szpilki. Włosy przycięła do wysokości ramion, długa grzywka opadała jej na bok. - Przepraszam, że tak długo cię nie odwiedzałam. Urządaliśmy z Barrym mieszkanie i żyliśmy na pułdach. I dostałam awans w pracy! Jestem teraz dyrektorem regionalnym. Wariacki okres.

Często odrzucała grzywkę na bok i rozglądała się dookoła. Patrzyła na sztruksową kanapę, na pułda pieluch i chusteczek w kącie, na ręczniki i pajacyki suszące się na oparciach oraz poręczach dwóch krzeseł.

- Twoje mieszkanie jest fantastyczne - stwierdziła pogodnie.

- Siadaj. Zaparzę kawy.

Joanne obrzuciła uważnym spojrzeniem kanapę, zanim przysiadła na brzegu.

- Jaki słodki - zagruchała nad Ritchiem śpiącym w wózku. Ale stanowczo nie chciała wziąć go na ręce.

- Dzieci mnie nie lubią - zachichotała, odsuwając się. - Bałabym się, że go upuszczę.

- Och, daj spokój. Zachowuje się bardzo grzecznie, kiedy się go trzyma, serio. I wcale nie jest taki kruchy - zapewniła ją Emma.

I wyjęła Ritchiego z wózka, ciągnąc kocyk po podłodze. Ułożyła synka na kolanach przyjaciółki, chciała, żeby Joanne się z nim zapoznała. Ritchie poruszył się, skrzywił i nagle zrobił fioletowy; zaniósł się piskliwym płaczem. Joanne natychmiast uniosła ręce w powietrze.

- Mówiłam ci, że dzieci mnie nie lubią - usprawiedliwiała się, próbując przesunąć Ritchiego na kolana Emmy.

- Daj mu minutkę - upierała się Emma. - Czasem dostaje kolki. Ale to mija, kiedy się ułoży.

Nagle zdała sobie sprawę, że bardzo chce zobaczyć, jak ktoś inny oprócz niej trzyma Ritchiego na rękach. Przytula go. Kocha. Dziwne. Przez ostatnie dwa tygodnie ten maleńki różowy bobas zdołał się podstępnie wkraść do jej serca. Gdyby Joanne spróbowała wziąć go choć na minutkę, sama by się przekonała, jaki jest uroczy. Lecz nagle Ritchie otworzył usta i zwymiotował na błękitne spodnie Joanne.

- Strasznie mi przykro. Strasznie. - Emma nie mogła przestać przeproszać.

- To nic. - Joanne szybko odciągnęła brudny materiał od swojej nogi. - Ale może lepiej go już weź.

Emma uspokoiła Ritchiego, kołyszając go na kolanie; tymczasem Joanne wycierała ścierką plamę na spodniach i opowiadała Emmie o swojej nowej pracy. I o tym, jak to z Barrym przerabiali łazienkę i wyburzali ścianę między kuchnią a salonem. Można było od tego dostać zawrotów głowy. Ritchie wciąż monotonnie zawodził jak nie on, więc Joanne musiała podnosić głos, żeby Emma ją słyszała. Emma jednak nie skupiała się na tym, o czym ona mówiła, bo próbowała kłaść Ritchiego w różnych pozycjach, żeby go uspokoić.

A kiedy na chwilę ucichł, zapytała:

- Czy... widzisz czasem Olivera?

- Olivera? - Joanne zmarszczyła brwi. - Właściwie nie. Faktycznie, Barry od jakiegoś czasu się z nim nie spotyka. Chyba już nie pracują razem. Widocznie Oliver odszedł z firmy.

- O.

Ritchie znów się rozszlochał i Emma musiała się nim zająć.

- Zwykle taki nie jest - powiedziała z ulgą, kiedy Ritchie przestał wreszcie zawodzić i usnął, buzią w dół na jej kolanach, z noskiem i ustami w jej dłoni, tak że czuła jego ciepły oddech. - Niepotrzebnie go obudziłam. Kiedy przyjdiesz następnym razem, będzie uśmiechniętym słoneczkiem, zobaczysz.

- Może lepiej spotkamy się gdzieś na drinka? - zaproponowała Joanne. - Gdzieś w połowie drogi. Będziemy mogły spokojnie sobie pogadać, a tobie przyda się chwila wolnego.

Emma się zaniepokoiła.

- Ale co ja zrobię z Ritchiem?

- A. Hm. Niania?

- Jest za mały. Nie wiem, czy ktoś zgodziłby się nim zająć. A poza tym opiekunki każą sobie słono płacić.

Joanne wzruszyła ramionami.

- No trudno. Kiedy trochę podrośnie, daj mi znać. Wtedy coś zorganizujemy.

Emma była zaskoczona, że Joanne nie zwróciła uwagi, jak bardzo trzęsły jej się ręce, kiedy mówiły o Oliverze. Nie doszła do siebie jeszcze pół godziny po tym, jak się pożegnały. Upuściła dwie łyżeczki i cukierniczkę, gdy sprzątała ze stolika filiżanki do kawy. Joanne odpowiedziała na jej pytanie od niechce-
nia, jakby myślała, że Emmie już dawno Oliver wywietrzył z głowy, ale ona, choć przez ostatnie miesiące była tak zajęta, myślała o nim codziennie.

Bo Ritchie był taki do niego podobny! Takie same ciężkie powieki, takie same szerokie usta, stworzone do uśmiechu... Jego narodziny rozbudziły tyle uczuć - na owo. Czy Oliver w ogóle wie, że Ritchie już jest na świecie? Kiedy rozmawiała z nim ostatni raz, oświadczyła, że nie zamierza donosić ciąży. Widocznie nikt, a w każdym razie Joanne, nie poinformował go, że stało się inaczej.

Tak bardzo pragnęła mieć kogoś, z kim wspólnie zajmowałaby się Ritchiem. Kogoś, do kogo mogłaby powiedzieć: „Och, patrz, widziałeś, co on zrobił?” Tak bardzo się starała zapomnieć o rozstaniu i żyć dalej, ale przy Ritchiem okazało się to niemożliwe; zawsze widziała w nim Olivera. W końcu czuła już tak silną potrzebę porozmawiania z nim, że nie umiała jej zignorować.

Długo to trwało, zanim zebrała się na odwagę i zadzwoniła. Z początku wystukiwała tylko parę cyfr numeru, po czym odkładała słuchawkę. Po piątym podejściu trzasnęła słuchawką o widełki i rozkazała sobie wziąć się w garść.

- To ojciec twojego syna - zbesztła się surowo.

Żeby zapanować nad nerwami, wstała i przespacerowała się parę razy po mieszkaniu. Zaciągnęła zasłony na drzwiach balkonowych, sprawdziła, czy Ritchiemu wygodnie w wózku, wytarła szmatką jakąś plamkę na szklanym stole. Poszła nawet do łazienki i wyszczotkowała włosy. Niesamowicie urosły, sięgały

za ramiona; bardzo dawno nie była u fryzjera. Przeważnie po prostu je związywała Zaniedbany wiecheć, pomyślała.

Kiedy poczuła się gotowa, usiadła z powrotem przy stole i wybrała numer. Tym razem cały. Z łomoczącym sercem przyłożyła słuchawkę do ucha. I usłyszała kobiecy głos: „Abonent jest chwilowo poza zasięgiem”.

Przez kolejnych kilka dni Emma próbowała dzwonić jeszcze wiele razy, ale zawsze słyszała ten sam komunikat. Kiedy już zdecydowała się do niego zatelefonować, ta niemożność skontaktowania się była frustrująca. Czyżby zmienił numer? Może wyjechał gdzieś na wakacje?

Ostatecznie postanowiła zadzwonić do jego siostry. Nigdy nie rozmawiała z Sashą, ale miała jej telefon. Niedługo po tym, jak zaczęli ze sobą chodzić, spisała go sobie z tablicy w kuchni Olivera, zakładając, że przyjdzie czas, kiedy wszyscy się zaprzyjaźnią i będą bez przerwy do siebie dzwonić.

Żeby zatelefonować do Sashy, musiała od nowa zbierać się na odwagę. Niełatwo skontaktować się tak ni z gruszki, ni z pietruszki z kompletnie obcą osobą. Owszem, Sasha jest ciocią Ritchiego. Ale mimo to kimś obcym.

Żeby zagwarantować sobie ciszę na czas tej rozmowy, wybrała wieczór, kiedy Ritchie wydawał się bardzo spokojny. Nakarmiła go na noc, dodając kilkanaście mililitrów więcej do butelki, by mieć pewność, że za godzinę nie będzie chciał dokładki; stał się strasznym łakomczuchem. Chłopczyk, zachwycony, ssal butelkę, aż oczy przymknęły mu się z zadowolenia, a brzusek zrobił twardy i okrągły. Emma pogłaskała go z satysfakcją. Wykluczone, żeby szybko to przetrawił. Ułożyła go w łóżeczku i przymknęła drzwi sypialni, zostawiając tylko kilkucentymetrową szparę. Wyłączyła telewizor, wzięła notes i telefon na kanapę i wystukała numer Sashy.

Drrr. Drrr. Gdzieś w Birmingham, może na stoliku w przedpokoju, a może w kuchni, dzwonił telefon. Emma odchrząknęła. Ciekawe, jaki głos ma Sasha.

Kliknięcie w słuchawce. I głos kobiety:

- Słucham?

- Czy mówię z Sashą? - zapytała Emma.

- Tak, to ja. - Żywy, rzeczowy ton. Emma przełknęła ślinę.

- Nazywam się Emma Turner.

Czekała, ale Sashy widocznie nic to nie mówiło.

- Pani brat, Oliver, wspominał może o mnie?

- Przykro mi, ale nie - odparła Sasha. - Może pani powtórzyć nazwisko?

- Emma. Emma Turner. Kiedyś... kiedyś chodziłam z Oliverem. Jakiś czas temu.

- Och, rozumiem.

Sasha nie wydawała się szczególnie zainteresowana ani nastawiona przyjaźnie. Emma straciła cały zapał, ale brnęła dalej:

- Próbowałam się z nim skontaktować, ale chyba ma wyłączony telefon.

- Rozumiem - powtórzyła Sasha. - Chwilowo nie ma go w kraju. Wyjechał do Indonezji ze swoją dziewczyną.

Więc jednak. Oliver był z Sharmila i podróżowali razem. Emma z trudem utrzymała lekki ton.

- Nie wie pani, kiedy wróca?

- Nie mam pojęcia. Zna pani Olivera. Nie zwierza się ludziom ze swoich planów. Ale chyba wziął dłuższy urlop w pracy, więc może ich nie być dość długo. - Po chwili dodała: - Chce mu pani zostawić jakąś wiadomość?

Emma wahała się, czy powiedzieć Sashy, w jakiej sprawie dzwoni. Zaczepnęła powietrza.

- Tak - odparła. - Chcę. To znaczy, jeśli mogę. Kiedy ostatnim razem rozmawiałam z Oliverem... kiedy go widziałam ostatnio... byłam w ciąży.

Sasha milczała.

- Nie wiem, czy pani o tym mówił - ciągnęła Emma. - Zresztą, nieważne. Dzwonię, bo chciałam mu powiedzieć, że... - Musiała przerwać, by odetchnąć głębiej, ale po chwili mówiła dalej: - Chciałam mu powiedzieć... że urodziłam.

Sasha nadal milczała.

- Urodziłam dziecko, chłopczyka. - Emma się wyprostowała.

Z sypialni dobiegał cichy oddech.

A w słuchawce ciągle cisza.

- Halo? Halo? - powtórzyła Emma.

- Słyszę panią - odezwała się Sasha z daleka. Emma przycisnęła słuchawkę do ucha. - Słyszałam, co pani powiedziała. Nie rozłączyłam się.

- To musi być szok, wiem.

- Nie, skąd. Nie o to chodzi. - I Sasha dodała uprzejmie: - To cudownie. Jeśli tego pani chciała.

- Oliver pani nie powiedział. - Emma bawiła się okładką notesu.

- Nie. Przykro mi.

Okładka się rozdarła. Kawalek został Emmie w dłoni.

- W porządku. W porządku - zapewniła. - Ale teraz pani rozumie, dlaczego muszę z nim porozmawiać.

- Oczywiście, że rozumiem. I jeśli będę miała z nim kontakt, przekażę mu, że pani dzwoniła - obiecała Sasha.

Mimo całej swojej uprzejmości dawała sygnał, że to koniec rozmowy. Emma szukała jakiegoś sposobu, żeby ją przedłużyć, żeby nawiązać jakieś porozumienie, ale nie potrafiła nic wymyślić, a Sasha nie miała najmniejszej ochoty jej w tym pomóc. Po pierwszej chwili zaskoczenia wydawała się zupełnie niezainteresowana swoim bratankiem. Nie zapytała Emmy o dziecko. Jak wygląda, czy jest zdrowe. Nic. Totalny chłód, myślała Emma, wstrząśnięta, kiedy odkładała słuchawkę po rozmowie o wiele krótszej, niż się

spodziewała. Sasha była dużo bardziej podobna do Olivera niż do otwartej, szczerzej dziewczyny, którą Emma sobie wyobrażała.

Czekała i czekała na wiadomość od Olivera, ale nie odzywał się. Może Sasha jeszcze mu nie powiedziała. Przecież gdyby wiedział, że ma syna, odezwałby się, choćby z czystej ciekawości. To prawda, nie chciał Ritchiego. Emma nie mogła zapomnieć odrazy na jego twarzy, kiedy w kuchni powiedziała mu o ciąży. Ale Ritchie już przyszedł na świat. Wyobrażała sobie, że Oliver, kiedy tylko o tym usłyszy, wsiądzie w samolot albo na statek, nareszcie zdając sobie sprawę, czego brakowało w jego życiu. Czy to możliwe, żeby te wszystkie uczucia, które nie chciały zgasnąć mimo upływu czasu, były tylko w niej? Tęskniła za nim tak rozpaczliwie, szczególnie nocami; tak chciałaby móc go dotknąć w tych ciemnych godzinach, poczuć uspokajającą więź z drugą ludzką istotą.

Ale działo się coś dziwnego. Kiedy wyobrażała ich sobie razem, zawsze byli tylko oni dwoje, spacerowali w słońcu nad rzeką. Oliver nigdy nie przestąpił progę tego brzydkiego, tandetnego mieszkania, nie wziął na ręce dziecka, które płakało, chcąc, żeby je nakarmić. Nigdy nie krzątał się tu rano, nie szukał czystej koszuli przed wyjściem do pracy po kolejnej bezsennej nocy. Nie zmieniał pieluch śmierdzących zgniłymi wodorostami. Nie patrzył, jak Emma zwijała się podczas porodu, nie widział jej sflaczałego brzucha, rozciągniętej, poznaczonej rozstępami skóry. Emma nie potrafiła go sobie wyobrazić w żadnej z tych sytuacji, i wcale nie chciała. Chciała go wspominać takim, jakim był, i chciała, żeby on zapamiętał ją taką, jaka była kiedyś: jako przebojową dziewczynę, która mogła zostać, kim zechce, i robić, co zechce, kiedy świat należał do niej, a ona jeszcze nie podjęła decyzji nie do odwołania.

Długo się nad tym zastanawiała i w końcu nie wpisała nazwiska Olivera do aktu urodzenia Ritchiego. Niech Agencja do spraw Dzieci zarzuca jej, że nie ma z kogo ściągać pieniędzy, niech sobie go szuka, jeśli chce, ale ona nie będzie tą, która zmusi go do bycia ojcem wbrew jego woli.

- Wygląda na to, że jesteśmy tylko we dwójkę, kolego - powiedziała Ritchiemu z ciężkim sercem.

Ritchie przyglądał jej się poważnie z pomarańczowego bujanego krzeselka; ze swoją łysą głową wyglądał jak stary profesor, który zastanawia się, jaką jej wystawić ocenę. Małe dzieci takie są, stwierdzała często Emma. Mądre. Nie mogą poruszać się same, więc muszą siedzieć w miejscu, gdzie się je posadzi, i nie mają nic innego do roboty, jak obserwować świat. Co Ritchie o niej myśli? Jakie opinie przemykają mu przez głowę, kiedy tak na nią patrzy? Chciała, żeby miał o niej dobre zdanie, ale obawiała się, że widzi w niej tę, którą ona jest naprawdę.

Samotną matkę bez pieniędzy. Samą na świecie. Przegraną.

Z pieniędzmi było krucho. Ritchie szybko wyrastał z ubranek, dużo jadł i potrzebował pieluszek. Kiedy kupiła wszystko, co dla niego niezbędne, niewiele zostawało na coś innego. Nawet latte w Starbucks - jej dawny przysmak - kosztowała niemal tyle, ile nowe śpioszki.

Żeby nie siedzieć cały czas w domu, Emma często chodziła z Ritchiem na długie spacerunki. Pchanie wózka przez krawężniki i zatłoczone ulice nieraz ją męczyło, ale wysiłek sprawiał, że potem czuła się lepiej. Wychodziła prawie codziennie, chcąc poznać nową, nieznaną jej dotychczas dzielnicę. Fulham pod

wieloma względami było podobne do Clapham: na ulicach studenci, rodzice z dziećmi i „młodzi zawodowcy” ubrani w kolorowe koszule i modne ciemne garnitury - takie, jakie nosili do pracy koledzy Olivera z City.

Na North End Road Emma odkryła szeregi straganów z tanimi przedmiotami domowego użytku, owocami i warzywami, a nawet ubraniami. Pachniało tam świeżą rybą i jabłkami. Sprzedawcy się znali. Spotykali się po dwie, trzy osoby, żeby pogadać, ubrani w grube kurtki, wełniane czapki i rękawiczki. Niektóre kobiety nosiły pod kurtkami sari. Na jednym ze straganów Emma znalazła jasnoczerwony sportowy kombinezon dla Ritchiego - niemal za darmo. Akurat przyda mu się na zimę.

Choć miejscami niezadbana, okolica zdawała się dość przyjazna, a mieszkańcy zżyci. Grupki matek spacerowały razem, gawędząc. Rozkrzyczane dzieci biegły przodem. Wiele rodzin mieszkało w blokach takich jak blok Emmy. Inne w szeregowcach przy ulicach, co charakterystyczne dla Fulham, głównie w szarych domkach albo z jasnobrązowej cegły, z wykuszowymi oknami i ładnymi spadzistymi dachami. Najładniejsze były te w pobliżu Fulham Palace Road, nad rzeką i wokół stacji Fulham Broadway.

Ale naprawdę śliczne domy - tak piękne, że zapierało dech - widziała, idąc Fulham Road w stronę Chelsea. Tutaj, ukryte w cichych bocznych uliczkach, stały chyba najwspanialsze domy, jakie Emma w życiu widziała. Bardziej nawet imponujące niż najelegantsze domy w Bath. Z ciepłej czerwonej cegły, wysokie na trzy czy cztery piętra, z wielkimi oknami; albo wymuskane białe dwory z błyszczącymi czarnymi balustradami i schodami prowadzącymi do polerowanych drzwi pod kolumnadami. Emma przypatrywała im się, zastanawiając, kto w nich mieszka. Rzadko kogoś widywała. Te ulice były tak ciche, tak spokojne w porównaniu z wesołym gwarem Fulham. Parę razy widziała dziecko z nianią - przynajmniej zakładała, że to niania. Dziecko mówiło z brytyjskim akcentem, a kobieta z obcym. Szkolne mundurki wyglądały dziwnie. Niektóre dzieci nosiły osobliwe ubrania w stylu lat czterdziestych: rdzawe spodenki i brązowe pulowery z dekoltem w serek. Inne chodziły w rozkloszowanych płaszczykach i wełnianych czapkach z długimi ogonami zwisającymi na plecy: jak leśne elfy czy skrzaty z książek Enid Blyton. Wszystko to bardzo się różniło od granatowych spódnic i praktycznych, luźnych bluz, które ona sama wkładała, kiedy szła do szkoły.

- No i co o tym myślisz? - zapytała Ritchiego, zawracając do domu. - Chciałbyś takie spodenki?

Ritchie wydawał się znudzony. Siedział pochylony do przodu, na ile pozwalały szelki, z obiema nogami na podnóżku. Wyglądał jak ukarany niegrzeczny chłopiec.

- Co ja gadam? - mruknęła Emma. - Pewnie byś terroryzował te dzieci.

Ritchiemu zaczęły się wyrzynać ząbki; miewał czerwone i rozpalone policzki. Kiedy marudził, ruch wózka najbardziej go uspokajał. W takie dni Emma pakowała butelkę i zapasową pieluchę oraz trochę wody dla siebie do siatki pod wózkiem i wyruszała na wyjątkowo długi spacer wzdłuż rzeki. Podobało jej się Chiswick Mall z ponurymi, szarymi domostwami nad wodą, brukowanymi uliczkami i starymi latarniami, jakby żywcem przeniesionymi z powieści Dickensa. Ale najprzyjemniej spacerowało jej się po południowej stronie rzeki, na zachód, w kierunku Barnes. Była zdumiona, kiedy odkryła tę okolicę. Jak wieś

w samym środku Londynu: pola i żywopłoty, jeźdźcy na koniach między drzewami. Drogę, niekiedy błotnistą, z trudem pokonywała wózkiem, ale było warto. Taki spacer fizycznie dawał jej w kość, tłumiąc uprzążywie niepokój w sercu. Ritchie siedział spokojnie, żuł gryzak i oglądał wszystko jak w transie spod przymkniętych powiek. Od czasu do czasu wychylał się z wózka, żeby czegoś dotknąć: mijającego ich konia albo mewy na murku.

Gdy wracali do domu, szli mostem Hammersmith - on podobał się Emmie najbardziej ze wszystkich mostów na Tamizie. Kiedy przeprowadziła się do Londynu, myślała, że ten most ma jakiś związek z Harrodsem: zieleń i złoto, takie jak na reklamówkach z Harrodsa. Warto było pokonać ciemne przejście podziemne i przemknąć przez niesamowicie ruchliwe ulice w pobliżu Hammersmith Broadway, żeby tylko przyjść tutaj i zerknąć na wspaniałe, spiczaste wieże i latarnie na tle żółtawego nieba. Gdy wieczorem ktoś patrzył z odpowiedniego miejsca, słońce zachodziło niemal idealnie za mostem. Po drugiej stronie rzeki, w Castelnau, z jego staromodnymi sklepami i restauracjami, i łabędziami pływającymi po Tamizie, był kolejny odznaczający się prostotą skrawek wsi w samym środku Londynu.

A powrót przez most na północną stronę w zapadającym zmroku, kiedy światła zapalały się w starych domach i pubach nad rzeką, budził w niej tęsknotę za jakąś nieznaną, nadmorską rybacką wioską.

Czasami te niekończące się dni nieźle dawały się jej we znaki. Ileż można spacerować samemu? Kilka razy dzwoniła do Joanne, żeby się umówić, ale przyjaciółka zawsze znajdowała jakąś wymówkę: albo prowadziła ważną kampanię marketingową, albo musiała kupić nowe buty dla najlepszych menedżerów sprzedaży, albo Barry zaharowywał się na śmierć i jej potrzebował.

- Więc ja was odwiedzę - zaproponowała Emma. - Przyjadę z Ritchiem autobusem. Pokażesz nam, co zrobiliście w mieszkaniu.

- Świetny pomysł - odparła Joanne. - Tyle że Barry chwilowo pracuje w domu.

- I co? Nie będziemy mu przeszkadzać.

- Ale Ritchie chyba często płacze. I jeśli zaczniesz, i Barry się rozproszy...

- Joanne. - Emma nie mogła tego dłużej słuchać. - Barry jest technikiem komputerowym. Nie kardiochirurgiem. Świat się nie zawali, jeśli zgubi przecinek w ułamku.

Ledwie to powiedziała, zdała sobie sprawę, jak pogardliwie to zabrzmiało. Ale czuła się urażona kompletnym brakiem zainteresowania przyjaciółki i tym, jak rzadko Joanne się z nią kontaktowała, od kiedy Ritchie przyszedł na świat.

- Przepraszam. Wiesz, że nie chciałam...

- Nigdy nie miałaś najlepszego zdania o Barrym, co? - powiedziała Joanne lodowatym tonem. - Powtarzam, Ems, dzisiaj zupełnie nam nie pasuje. Odezwę się.

Emma żałowała, że tak wyraziła się o Barrym, choć nie uważała, że ten docinek był aż tak przykry, ale Joanne najwyraźniej się obraziła i skorzystała z okazji, by po raz kolejny jej odmówić. Emmę bolało, że ich przyjaźń zesłała na plan dalszy. Podobno przyjaźnie się rozpadają, kiedy jedna z kobiet urodzi dziecko, ale Emma zakładała zawsze, że to вина młodej matki, której nic nie interesuje poza dzieckiem. Ona bardzo

pragnęła podtrzymać tę znajomość, ale Joanne prowadziła teraz wspaniałe życie: ubierała się elegancko, zdobyła nowe stanowisko i Emma zeszła na dalszy plan. Może działo się tak pod wpływem Barry'ego. To prawda, że Barry i Emma nigdy za sobą nie przepadali. A Barry pewnie miał teraz o Emmie jeszcze gorsze zdanie: samotna matka porzucona przez jego kumpla. Ale to nie znaczyło, że Joanne musiała przyjąć jego punkt widzenia.

Tyle że to była cała Joanne. Zachowywała się tak już wcześniej: przyjaciele szli w odstawkę, kiedy tylko pojawiał się facet. Kiedyś w Bristolu Emma i Karen nie widziały jej przez parę miesięcy, bo zaczęła się spotykać z jakimś Andrew, studentem medycyny. Potem Andrew z nią zerwał i Joanne wróciła do nich jak gdyby nigdy nic: wyciągała Emmę i Karen w piątkowe wieczory do knajp na Corn Street albo na zabawy w Carling Academy.

Emma naprawdę nie mogła się doczekać, żeby nadrobić zaległości z Joanne: zobaczyć jej mieszkanie i pogadać jak za dawnych dobrych czasów, może nawet wypić kieliszek wina. Joanne mówiła, że mieszkanie jest fantastyczne, bo zatrudnili projektanta wnętrz. Budynek stał tuż nad wodą, miał przeszklone ściany od podłogi do sufitu. Ludzie twierdzili, że to wyjątkowe lokale, ale Emma nigdy nie rozumiała, czym się tak zachwycają. Owszem, mieszkańcy mieli widok prosto na rzekę, ale też przechodnie mieli widok na nich. Mijała ten dom któregoś wieczoru, parę miesięcy wcześniej, idąc w stronę mostu Wandsworth, i na drugim piętrze zobaczyła mężczyznę, który przy zapalonym świetle, goły jak święty turecki, oglądał sobie coś pod pachą. Ale cudownie byłoby posłuchać plotek; dowiedzieć się od Joanne, co ostatnio jest w modzie, kto z kim chodzi... Czy ktoś miał kontakt z Oliverem albo chociaż wiedział, gdzie on się podziewa. Emma była samotna. Miała wrażenie, że już od bardzo dawna nie rozmawiała z nikim w swoim wieku.

Marzyła też o tym, żeby Ritchie miał jakiegoś towarzysza zabaw. Był już całkiem duży i robił się ciekawski, we wszystko wtykał nos i gapił się na ludzi, a szczególnie na inne niemowlaki i większe dzieci. Gdziekolwiek poszli, spotykali kobiety z wózkami. Wszędzie było pełno maluchów. Dopóki się Ritchie nie urodził, Emma nie zdawała sobie sprawy, ile dzieci mieszka w Londynie. Uderzało ją, jak szczęśliwe wydają się młode matki. Spacerowały, promiennie uśmiechnięte, i radośnie paplały do swoich bobasów: „Popatrz na drzewko, kochanie!” Emma zastanawiała się, czy i ona powinna mówić do Ritchiego w taki sposób. Ale nie potrafiła zdobyć się na tak beztroski, naturalny ton. „Popatrz na drzewko” - kiedy ona to mówiła, brzmiało głupio i nijako.

Któregoś popołudnia zabrała Ritchiego do parku Ravenscourt. Karmili sucharkami szarą wiewiórkę, która podeszła bliźniutko do nich - porywała kawałki tuż spod ich stóp, siadała, trzymając okruch w łapkach, i chrupała go swoimi wiewiórczymi zębami. Ritchie, zasapany z zachwyty, rzucał się w ramionach Emmy, próbując dotknąć zwierzątko, aż w końcu wiewiórka rzuciła sucharek, odwróciła się i śmignęła między drzewa. Emma posadziła Ritchiego w wózku i zawiozła go na plac zabaw, gdzie były inne matki z dziećmi. Ale Ritchie, za mały jeszcze na kolorowe huśtawki i drabinki, wiercił się i płakał, rozglądając się za wiewiórką. Emma widziała, że jest zmęczony. Tarł oczy. Siedziała więc w chłodnym marcowym po-

wietrzy, kołysząc wózek, żeby uspokoić synka. Inne dzieci biegały, bawiły się i krzyczały. A Ritchie w swoim ciepłym czerwonym kombinezonie po prostu zasnął.

Kiedy wracali do domu, zaczęło padać. Potężne lodowate fale wody spadały na nich. Emma schowała się w kawiarni. W środku było ciepło, stały tam czerwone stoliki, a w chłodziarce miseczki z sałatkami. Ritchie, który obudził się już i nie marudził, napił się soku z butelki i siedział zadowolony w wózku, liżąc łyżeczkę. Emma piła ciemnobrązową herbatę w styropianowym kubku i przeglądała gazetę „London Lite”, którą zostawił jakiś klient.

Do Ritchiego podszedł nagle mały chłopczyk i szturchnął go palcem w pierś.

- Cześć, dzidziuś! - krzyknął.

Ritchie otworzył usta. Łyżeczka spadła mu na kolana. Zafascynowany patrzył na chłopca, który po raz drugi go szturchnął.

- Cześć! - krzyknął znów. - Cześć.

Kobieta w kremowozłotej chustce na głowie podbiegła do nich.

- Jamal - rzuciła surowo. - Tak nie wolno. Zrobisz dzidziusiowi krzywdę.

- Nic mu nie będzie - odparła Emma, widząc zachwyconą minę Ritchiego. - Pani synek nie robi nic złego.

Ritchie zaczął wierzgać z podniecenia. Kobieta objęła chłopca ramieniem.

- Przywitaj się z dzidziusiem, ale ładnie - powiedziała. Jamal spojrział na Emmę i włożył palec do buzi. Przycisnął twarz do kolana matki.

- Och, teraz się wstydzisz? - Kobieta pogłaskała go po głowie. Uśmiechnęła się do Emmy. Oczy miała wielkie i ciemne, pięknie podkreślone tuszem i brązowym linerem. Emma spróbowała odwzajemnić uśmiech, ale wyszedł dziwny: jakby rozciągnięty i gumowy. Jakby jej usta tego nie umiały.

- Ech, ci chłopcy, tacy pełni energii. Przekona się pani, kiedy pani malec zacznie chodzić. Będzie doprowadzał tatusia do szału, tak jak Jamal.

Kobieta była taka pewna siebie i życzliwa. Emma też chciała jej się wydać interesująca, ale myślała tylko o tym, jak fatalnie musi wyglądać w wiatrówce i męskim wełnianym swetrze - ten ubiór uznała za świetny na taką pogodę. Mama Jamala była szykowna i kobieca w dopasowanych dżinsach i krótkiej różowej kurtce.

- Spróbujemy jeszcze raz powiedzieć dzidziusiowi cześć? - spytała synka.

Ritchie znów zaczął wierzgać i podniecony, pisnął:

- A-ha-ha-ha-ha.

Jamal pokręcił głową, wciąż chowając twarz między kolanami matki. Kobieta spojrziała na Emmę i się roześmiała. Chyba czekała na jakąś reakcję. Emma próbowała coś wymyślić, ale nie mogła. Gapiła się tylko w swoją filiżankę.

Po kilku minutach kobieta zerknęła w stronę przeszklonych drzwi kawiarni i powiedziała do chłopczyka:

- No, Jamal. Deszcz przestał padać. Możemy iść. Wrócili do swojego stolika, by pozbierać rzeczy.
- Do widzenia - rzuciła kobieta, gdy wychodząc, mijali stół Emmy.
- Do widzenia - odparła Emma.

Drzwi kawiarni się zamknęły. Ritchie wpatrywał się w nie jak zaklęty. Przestał piszczeć i wierzcąc. Jego okrągła buzia wyrażała żal. Przez sekundę Emma chciała wybiec na dwór i zawołać Jamala i jego mamę. Stół, przy którym siedzieli przed chwilą, wydawał się teraz taki pusty.

- Jeśli nie zna pani nikogo w okolicy, może poszuka pani jakichś zajęć dla matek z dziećmi, na które mogłaby się pani zapisać? - zasugerowała pielęgniarka środowiskowa. - Informacje znajdzie pani w miejscowej bibliotece.

Pomysł chodzenia na zajęcia dla matek nie bardzo podobał się Emmie. Jej reakcja na kobietę w kawiarni wytrąciła ją z równowagi i nie miała ochoty powtarzać tego doświadczenia z grupą obcych osób. Widocznie trochę zdziwaczała. Nigdy przedtem nie miała problemów z nawiązywaniem kontaktu. Ale Ritchie tak się cieszył, kiedy myślał, że ten chłopiec, Jamal, będzie się z nim bawił. Byłby zachwycony, gdyby znalazł się w pokoju pełnym dzieci. Dla jego dobra postanowiła spróbować.

Czekając z Ritchiem na windę, usłyszała za plecami okrzyk:

- Och, jaki śliczny chłopczyk!

Odwróciła się. Kobieta o ciemnych oczach i zaróżowionych policzkach, w dzinsach i różowej koszulce w kwiaty wpatrywała się w Ritchiego ze splecionymi rękami. Emma widziała ją już kilka razy, wychodzącą i wchodzącą do mieszkania po sąsiedzku.

- Jaki wiek? - zapytała kobieta, nie odrywając oczu od malca.

- Osiem miesięcy - odparła Emma.

Sąsiadka otworzyła szeroko oczy.

- Dopiero?! A taki duży. Ja myślała, że starszy. Jest ten sam wymiar co moja córka, ale ona jeden rok.

- Chyba nie widziałam nigdy pani córki.

- O nie. - Kobieta pokręciła głową. - Jej nie widać. Jest w domu moja rodzina na Filipinach.

- Och... hm... - Emma nie wiedziała, co powiedzieć.

- Ja pracuję w Londynie - wyjaśniła kobieta. - Ja pielęgniarka w szpitalach. Chelsea i Westminster. Ale dla mojej córki lepiej w domu. Może być z moją matką, a ja i mąż pracuję. - W jej głosie brzmiała tęsknota. - Nie widziałam jej od czterech miesięcy. Tylko zdjęcia.

- Musi być pani ciężko. - Emma była wstrząśnięta. A myślała, że jej jest źle. Jak zdesperowana musiała być ta kobieta, żeby przyjechać tutaj i zostawić córkę w miejscu oddalonym o tysiące kilometrów, żeby wychowywał ją ktoś inny?

- Tak, ciężko - przyznała kobieta. - Ale tak najlepiej dla nasza rodzina. Moja matka ją kocha, a z pieniądze moja córka będzie miała dobre życie kiedyś.

Nieśmiało zwróciła się do Ritchiego:

- Jak ci na imię?

- Ritchie - odpowiedziała za niego Emma.

- No to, Ritchie, ja jestem Rosina Alcaresz i mieszkam zaraz koło ciebie. Może byś kiedyś wpadł na wizytę? Byś mi przypomniał moją córeczkę.

Rosina Alcaresz uśmiechnęła się do obojga, wychodząc z windy. Emma też się uśmiechnęła. Rosina wydawała się miła i była mniej więcej w tym samym wieku co ona. Jakie to smutne, że nie miała córeczki przy sobie. Może naprawdę wybiorą się kiedyś z Ritchiem w odwiedzinach.

Ale, nie wiedząc czemu, czuła się dziwnie obojętna. Popchnęła wózek do mieszkania.

W drodze do biblioteki zdarzyło się, że czekała na zielone światło na skrzyżowaniu; stała z dwiema innymi kobietami - dziewczyną po dwudziestce, o długich włosach zaplecionych w warkocz, i starszą panią w plisowanej spódnicy i puchowej kurtce. Między kobietami drzemało w wózku małe dziecko zawinięte jak gwiazdkowy prezent w kocik z różowymi serduszkami.

- Pozwól mi wziąć na trochę Lucy - starsza kobieta namawiała młodszą. - Mogłabyś w spokoju iść po zakupy.

- Możesz, mamó? - Twarz dziewczyny się rozpromieniła.

- Oczywiście, że mogę. - Starsza pani pogłaskała czule policzek dziecka. - Pójdziemy sobie we dwie na spacer. Będziemy się świetnie bawić.

Emma nie mogła oderwać oczu od tej trójki. Czy jej mama też by taka była, gdyby żyła? Dziewczyna uniosła dłoń, żeby poprawić kosmyk włosów, i Emma dostrzegła, że coś zalśniło na jej palcu. Obrączka. Więc dziewczyna miała też męża. Kogoś, kto myślał o niej przez cały dzień i kto spieszył się do domu po pracy, żeby zobaczyć ją i dziecko; kto bujał małą na kolanach, gdy żona opowiadała mu, jak im minął dzień. Jej matka kiwała na niego palcem, mówiąc: „Opiekuj się moimi skarbami, słyszysz?” A on odpowiadał: „Nie martw się, będę się opiekował, bo kocham je tak samo jak ty”.

W bibliotece Emma czytała ogłoszenia na tablicy, sprawdzając, czy jest coś odpowiedniego dla niej i Ritchiego. Arkusze papieru przypięte pinezkami trzepotały w przeciągu. Kluby czytelnicze. Plenery we Florencji. Wyprawa geologów do Szkocji. Wreszcie, prawie na samym dole, Emma dostrzegła to, czego szukała. Muzyczny poranek dla mam i maluchów. Tutaj, w bibliotece. To brzmiało ciekawie. Czytała dalej. Och, dziecko musi mieć powyżej roku, żeby brać w tym udział.

Westchnęła. Może to i lepiej. No bo czy na pewno chce siedzieć w pełnej przeciągów sali i słuchać, jak banda kobiet chwali się mężami i tym, jak to w weekend pojechali na cudowną wycieczkę do Kew Gardens? Może wystarczy, jak na jeden dzień, że poznała Rosinę Alcaresz. Na razie się tym zadowoli; weźmie sobie tylko coś do czytania do domu.

Ruszyła z wózkiem spod tablicy ogłoszeń do regałów. Wybrała dwie lekkie powieści - czytała je już wcześniej - i plastikową wodoodporną książeczkę dla Ritchiego, który lubił oglądać strony w kąpielni. Niosła książki do kontuaru, kiedy nagle zauważyła kobietę mówiącą coś do grupy osób pod oknem. Zatrzymała się.

W bibliotece zrobiło się ciemno. To była ta pora dnia, kiedy jeszcze nie zapala się świateł, ale już są potrzebne. Na tle bladoszarego nieba za oknem wyraźnie rysowała się sylwetka szczupłej kobiety z włosami do ramion. Stała odwrócona plecami do Emmy, ale Emma odniosła nagle wrażenie, że ta kobieta jest bardzo podobna do jej matki: zachowywała się tak jak ona i gestykulowała, kiedy mówiła. Emmie wydało się, że jeśli ta kobieta się odwróci, okaże się jej matką, i kiedy zobaczy ją i Ritchiego, uśmiechnie się radośnie.

- Co wy tu robicie? - powie. - Cudownie was widzieć.

Zostawi ludzi, z którymi była, podejdzie i weźmie Emmę za rękę.

- To są moja córka i wnuczek - oświadczy z dumą. - Co teraz porabiasz, Emmo? Może pójdziemy gdzieś tylko we trójkę i zjemy razem lunch?

Emma ścisnęła rączki wózka. Szare światło za oknem stawało się bardzo jasne. I nagle kobieta odwróciła się - to była inna twarz i światło pociemniało.

Mama Emmy nigdy nie gawędziłyby z ludźmi i nie śmiałyby się w ich towarzystwie jak ta kobieta. Mama Emmy zawsze była sama.

Czasem Ritchie gorączkował; czasem nie chciał jeść; czasem jego kupa miała dziwny kolor. Emma nieustannie się martwiła, że robi coś nie tak, że coś przegapia i nikt nie służy jej radą.

- To wszystko zmartwienia młodej mamy - zapewniła ją jej nowa lekarka, doktor Stanford. - Ritchie rozwija się bardzo dobrze. Sporo przybrał na wadze.

No tak. Przybierał na wadze. Widział. Słyszał. Zaczynał już raczkować. Ale o tyle spraw Emma nie mogła zapytać.

Czy jest szczęśliwy? Czy nie za rzadko się uśmiecha? Czy za wiele czasu spędzamy sami? Czy powinienam widywać więcej ludzi?

Czy wystarczająco mocno go kocham?

Bo niekiedy, przychodziła jej do głowy pewna myśl.

A gdyby tak Ritchiego... nie było?

Białoniebieski znak, na wpół schowany w żywopłocie: *Bienvenue à St-Bourdain*.

Rafe zjechał na pobocze. Pod oponami zachrząściły kamienie. Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zgasł.

- No to jesteśmy - oznajmił. - Mieliśmy szukać pierwszej bramy za znakiem. Moim zdaniem to tu.

Emma wychyliła się na siedzeniu i rozejrzała dookoła.

Na polach kładły się długie cienie. Po drugiej stronie drogi, kawałek przed nimi, stały dwa filary z żółtego kamienia, z wysoką żelazną bramą. Za bramą podjazd biegł łukiem pod górę. Na szczycie wzgórza, pomiędzy gęstymi koronami drzew, prześwitywał czerwony dach. Trawa na trawniku od frontu sięgała do kostek; na podjeździe rosły chwasty.

- Ogród jest zaniedbany - stwierdził Rafe. - Wygląda na to, że dość długo ich tu nie było.

Ogród może i był zaniedbany, ale i tak piękny. Drzewa kołysały się na lekkim wietrze. Sterty porąbanych polan połyskiwały pod murem. Tuż za bramą na słońcu wygrzewał się kot. Między drzewami biegały gęsi. Emma zmusiła się, by oddychać spokojnie i powoli. Teraz musiała się opanować.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Cykanie świerszczy dobiegało z pól. Rafe też wysiadł i gestem pokazał Emmie, by zamknęła drzwi jak najciszej. Obszedł samochód i stanął obok niej.

- Co chcesz zrobić? - spytał cicho.

- Nie wiem.

- Nie spieszmy się. Zastanówmy się przez chwilę. Nie wiemy, co mogą...

Nagle zrobił szybki krok do tyłu.

- Ktoś nadchodzi - syknął, schylając się i wyciągając rękę. Emma też schyliła się odruchowo, po czym znów spojrzała w stronę domu.

Na podjeździe pokazało się kilka osób; szły do bramy.

- Ostrożnie - ostrzegł Rafe, gdy Emma wysunęła się do przodu. - Cofnij się trochę.

- Jesteśmy za daleko. Nie spojrzaj tu.

Teraz rozróżniała pojedyncze osoby. Najpierw szła para starszych ludzi, opalonych i siwowłosych. Potem młodszy mężczyzna i kobieta w kremowej bluzce i spodniach. W połowie podjazdu wszyscy się zatrzymali i ją otoczyli.

To była Antonia. Bez dwóch zdań. Włosy miała ciemniejsze niż Emma zapamiętała z U Pana Bapa, ale oczywiście ufarbowała je przed podróżą. Reszta pozostała taka sama: beżowe ciuchy, energiczny krok, wyprostowane plecy.

A w jej ramionach chłopczyk z odstającymi uszami, włosami jak jasna aureola w słońcu. Widząc jego okrągłą główkę, Emma zeszytniała z tęsknoty. Antonia odchyliła się na chwilę, by starsza kobieta

mogła ucałować dziecko, i znów je przytuliła. Emma poczuła ból, patrząc na tę miłość i czułość. Dziecko, ubrane w białą koszulkę i czerwone szorty, trzymało palec w buzi i przyglądało się gęsiom pod drzewami.

- To on? - spytał Rafe.

- Tak.

Emma płakała, zasłaniając usta, żeby nikt nie usłyszał jej szlochu. Nie zdawała sobie sprawy, że znów postąpiła krok do przodu, dopóki Rafe nie położył jej dłoni na ramieniu.

- Uważaj - ostrzegł. - Nie mogą cię zobaczyć.

- Więc co? - wycodziła przez zęby. - Co mam robić?

- Chwileczkę. - Rafe wyjął komórkę. Wpatrywał się w wyświetlacz, wystukując numer kciukiem.

- Halo? - powiedział do telefonu. - Halo?

Starsi państwo znów ruszyli podjazdem ku bramie. Ale Antonia zawróciła w stronę szczytu pagórka. Jeszcze minuta i stracą Ritchiego z oczu. Zasłonią go drzewa i zniknie.

- Ritchie - wykrztusiła Emma.

Dłoń Rafe'a zacisnęła się na jej ramieniu.

- Puść mnie. - Szarpnęła się. I nagle, ogarnięta paniką, nie przejmując się, czy ktoś usłyszy, zaczęła wrzeszczeć: - Ritchie! Ritchie.

Omam się nie wyrwała, ale Rafe zdołał ją pociągnąć do tyłu. Do tej pory zachowywał spokój, ale histeria Emmy najwyraźniej wytrąciła go z równowagi. Upuścił telefon, który upadł z klekotem na asfalt. Przeklinając, schylił się, żeby go podnieść, i wtedy Emma uwolniła się z jego uścisku.

- Emma! - zawołał, gdy popędziła przez drogę.

Słyszała jego kroki, kiedy ruszył za nią, ale widocznie ktoś odebrał telefon, bo Rafe się zatrzymał.

- Policja. Proszę. Pomóżcie nam - rzucił desperacko.

Rozdział 12

Zmrok przemienił już zieleń i złoto w błękit, kiedy samochód skręcił na kamienny dziedziniec oddalony od ulicy. Budynki wokół dziedzińca wydawały się starsze i ciemniejsze niż inne domy w mieście. Długie okna błysnęły w światłach auta.

- O co chodzi? - Zaniepokojona Emma wyprostowała się na tylnym siedzeniu. - Dlaczego się zatrzymujemy?

- To musi być konsul. - Rafe patrzył w górę na szare ściany. - Tutaj miał się z nami spotkać ten facet.

- Ale... - Emma nic nie rozumiała. - Myślałam, że wracamy do ich domu. Myślałam, że wracamy po Ritchiego.

- Nie możemy, Emmo. Nie w tej chwili. Ci ludzie zadzwonili na policję jednocześnie z nami, pamiętasz? Nie pozwoliliby nam tam zostać.

Emma pamiętała. Przynajmniej fragmenty tego, co się działo. Ritchie w szortach, z palcem w buzi. Ta część była bardzo wyraźna. Reszta przeważnie się zamazywała. Pamiętała, że wyrwała się Rafe'owi, przebiegła przez drogę i przez bramę i popędziła podjazdem do Ritchiego. Ludzie przed nią też biegli. Po sekundzie zniknęli za drzewami. Emma nie rezygnowała. Okrążyła kępę drzew i podbiegła pod wielki dom. Ludzie z podjazdu tłoczyli się do drzwi. Emma dopadła ich, kiedy ostatnia osoba miała wejść do domu. To był mężczyzna, który stał z Antonią na podjeździe, wysoki, z kasztanowymi, kręconymi włosami. Emma zauważyła, że poruszał się wolniej niż inni, celowo, zerkając za siebie, jakby na nią czekał. Rzuciła się do drzwi, próbując się przepchnąć do domu, ale mężczyzna nie pozwolił jej wejść.

- Z drogi! - wrzasnęła Emma.

Spojrzała mu w twarz i zobaczyła, że i on na nią patrzy. Wytrzymała jego wzrok.

- Proszę - wydusiła. - Proszę. Macie mojego synka.

Mężczyzna się zawahał.

- Przykro mi - powiedział i zamknął drzwi.

Emma zaczęła kopać w nie i walić pięściami. I nie musiała tego pamiętać, aby wiedzieć, że to się działo naprawdę. Boki jej dłoni były spuchnięte i obolałe. Gardło też ją bolało, kompletnie zdarte; widocznie wrzeszczała. Logiczne, że się wrzeszczy, kiedy się łomocze w drzwi. W pewnej chwili dostrzegła kamień na klombie z kwiatami. Chwyciła go i rzuciła w okno. Przeleciał, tłukąc szybę. Wybite okno znajdowało się za wysoko, by go dosięgnąć, ale teraz już wiedziała, co robić. Zaczęła szukać innych kamieni. Potem usłyszała warkot silników samochodowych i pisk opon. Trzask drzwiczek i otoczyli ją mężczyźni w owalnych czapkach na głowach; krzyczeli po francusku.

W pierwszej chwili Emma pomyślała, że oni są po jej stronie. To na pewno policjanci, wezwał ich Rafe; przyjechali na pomoc. Ale ci ludzie nie zachowywali się przyjaźnie. Znów zaczęli krzyczeć, wskazując na dom, a potem na swoje ciemne samochody pod drzewami. Jeśli znali angielski, to się z tym nie

ujawnili. Nagle Emma zobaczyła broń - ciężkie, wielkie pistolety w kaburach u ich pasków, i żołądek jej się ścisnął.

Rafe kłócił się z jednym z nich. Wyglądali dokładnie tak samo - wściekli; skakali sobie do oczu, gestykulowali, wymachiwali rękami. Mówili różnymi językami, ale Rafe widocznie zdołał przekazać, o co mu chodzi, bo po minucie ten drugi uniósł ręce. Odsunął się i patrzył, jak Rafe podchodzi porozmawiać z Emmą.

- Chcą, żebyśmy pojechali na komisariat - powiedział. - Nie aresztują nas, jeśli stąd odjedziemy.

- Nie aresztują nas? - Emma nie wierzyła własnym uszom. - Dlaczego mieliby nas aresztować?

- Huntowie mogą nas oskarżyć o wtargnięcie na teren prywatny. A nawet o włamanie, bo próbowałam siłą dostać się do ich domu.

- Ale czy oni nie wiedzą?! - krzyknęła Emma. - Nie wiedzą, dlaczego próbuję tam wejść? Przecież tam jest mój syn. Nie odjadę bez niego.

Próbowała podbiec do domu, ale groźny policjant zastąpił jej drogę. Rafe chwycił ją za rękę.

- Nie masz wyboru - rzekł z naciskiem. - Jeśli nie odejdziesz z własnej woli, użyją siły.

Emma znów spojrzała na pistolety. Czarne, połyskliwe. Nigdy nie widziała prawdziwego pistoletu, a tu nagle aż tyle. Broń! A Ritchie ledwie parę metrów dalej. Ci ludzie budzili w niej strach, zupełnie niepodobni do brytyjskich policjantów z ulic Londynu, uprzejmych i kulturalnych. Ci ludzie wyglądali jak wojownicy, twardzi i źli, co to mieszkają w górach i polują z nożami w zębach.

- Z nimi lepiej nie zadzierać - stwierdził Rafe. - Im szybciej z nimi pojedziemy, tym szybciej znajdziemy kogoś, kto mówi po angielsku. Wciągniemy w sprawę brytyjski konsulat. Oni nam pomogą rozwiązać tę sytuację.

Emma pamiętała, że potem jechała samochodem krętymi drogami. Zapadał zmrok. W kremowym budynku jakiś człowiek w kraciatej koszuli podszedł do nich i powiedział po angielsku, żeby pojechali z nim innym samochodem - Emma sądziła, że z powrotem do domu Huntów.

Ale przyjechali do konsulatu.

Wysiadła z samochodu. Szare budynki otaczały ich złowrogą podkową. Rafe stał już na brukowanym dziedzińcu i rozmawiał z kierowcą w kraciatej koszuli. Emmę zalała gorąca fala niepokoju.

Co ona tu robi? Dlaczego pozwoliła tym wszystkim facetom zabrać się z miejsca, gdzie był Ritchie?

Weszła za Rafe'em i kierowcą po stopniach i przez łukowate drzwi. W wysokim holu ich obcasy stuknęły na posadzce jak krople wpadające do studni.

- Proszę poczekać - powiedział mężczyzna w kraciatej koszuli i odszedł.

W holu było zimno. Zbyt jasna żarówka bez oprawy zwisała z sufitu, ostre czarne cienie czaiły się w kątach. Na ścianach ciężkie obrazy wyobrażały starych ludzi z brodami i szyderyczym wzrokiem. A tam, w niszy, co to takiego? Emma przyjrzała się: naturalnej wielkości figura kobiety z marmuru o pustych oczach, pochylonej nad dzieckiem siedzącym na jej kolanach. Twarz kobiety była poszatkowana cieniami,

kości policzkowe wystające, policzki zapadnięte. Uniesiona brew podkreślała złośliwy wyraz twarzy. Dziecko patrzyło na nią ze strachem. Dłoń kobiety była uniesiona, jakby miała je uderzyć.

- Halo!

Emma się odwróciła.

- Brian Hodgkiss - przedstawił się zadyszany młody mężczyzna o zaczerwienionych policzkach; szedł ku nim z tylnej części holu. Powitał ich gestem ręki. - Dyżuruję w konsulacie po godzinach, w razie nagłych przypadków. Pani podobno znalazła się w trudnej sytuacji.

- Tak. - Emma wyszła mu naprzeciw. - Tak. Jestem. Chcę odzyskać syna, i to jeszcze dziś wieczorem.

- Rozumiem! - Hodgkiss wyglądał na zmartwionego. - Znam pani historię i bardzo współczuję. Problem w tym, co twierdzi rodzina: że to nie jest pani dziecko.

- To jest moje dziecko. - Emma starała się, by jej głos brzmiał jak najbardziej stanowczo.

Hodgkiss odkaslnął.

- Rozmawiałem właśnie z komisarzem Hillem z Londynu. O ile wiem, identyfikacja dziecka...

- Identyfikacja nie podlega dyskusji - warknęła Emma. - Widziałam je na własne oczy niecałą godzinę temu.

- Nie podaję tego w wątpliwość. - Hodgkiss uniósł ręce i opuścił je, jakby przyklepywał koldrę. - W żadnym razie. Jednak z tego, co mówi policja, pani w ogóle nie powinno tu być. Rodzina ma prawo oskarżyć panią o wtargnięcie na teren prywatny.

- A co innego miałam zrobić? - jęknęła Emma.

Rafe, stojący obok, dotknął jej ramienia.

- Nie da się tego w jakiś sposób rozwiązać? - zapytał. - Widzi pan, że ten problem sam nie zniknie.

Hodgkiss odwrócił się do niego zadowolony, że ma jakiegoś racjonalnego partnera do rozmowy.

- Musicie państwo zrozumieć - powiedział. - My widzimy obie strony tej historii. Rodzina dziecka również poprosiła nas o pomoc. - Znów spojrzał na Emmę. - Oni bardzo pani współczują w tym ciężkim położeniu. Szczególnie pani Hunt. Prosiła, żeby pani przekazać, jak bardzo jej przykro z powodu zaginięcia pani dziecka, ale...

- Ona kłamie! - krzyknęła Emma. Co za bezczelna baba! - Doskonale wie, dlaczego moje dziecko zaginęło. Ona je zabrała, ta kłamliwa suka.

- Przepraszam - wtrącił się Rafe. - A może zrobić test DNA?

Hodgkiss milczał.

- Wydaje mi się, że to by definitywnie rozwiązało sprawę - dodał Rafe.

Emma, zbyt zdenerwowana, nie mogła mówić. Test DNA! Dlaczego sama o tym nie pomyślała? To najbardziej oczywisty sposób udowodnienia swojej racji. Spojrzała na Briana Hodgkissa. Urzędnik otarł czoło grzbietem dłoni.

- Hm, no tak - zgodził się. - Zapewne by rozwiązało.

- Jak można to zorganizować? - zapytała Emma.

- Nie jestem prawnikiem - odparł Hodgkiss - więc nie mogę powiedzieć nic wiążącego. Ale sądzę, że musieliby się na to zgodzić państwo Huntowie.

- A jeśli się nie zgodzą?

- W takim przypadku chyba nie można przeprowadzić badania.

- Jak to nie można przeprowadzić badania? Dlaczego w ogóle o tym dyskutujemy? Dlaczego wierzycie im, a nie nam?! - krzyknęła Emma ze złością.

- To naprawdę nie zależy ode mnie. Ja bym radził wrócić tutaj z samego rana; skontaktujemy państwa z prawnikiem znającym angielski. A tymczasem - Hodgkiss pomacał kieszeń i wyjął wizytówkę - jeśli chcielibyście państwo gdzieś zanocować, tu jest kilka numerów, pod...

- Zanocować?! - wybuchnęła Emma. - Czy pan zwariował? Myśli pan, że pójde spać, kiedy Ritchie jest w tamtym domu, z tymi ludźmi? Chyba padło coś panu na głowę.

Hodgkiss wysłuchał jej w uprzejmym milczeniu. Gdy skończyła, powiedział:

- To już pani sprawa, pani Turner. - A że wciąż nie brała wizytówki, dodał: - Ale pozwolę sobie przypomnieć, że jeśli wróci pani do Huntów, może pani zostać oskarżona o wtargnięcie na teren prywatny albo nękanie. A wtedy konsulat już pani nie pomoże.

Jego chłód zaskoczył Emmę.

- Oni panu powiedzieli, tak?

- Kto?

- Angielska policja. Powiedzieli panu, co mówiła doktor Stanford. Dlatego pan nie chce mi pomóc.

- Pani Turner, naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

Wpatrywała się w niego; nie wiedziała, czy mu wierzyć.

- Chociaż wolałbym nie musieć znów ściągać policji, to naprawdę... - Hodgkiss się zawahał.

Rafe podszedł do niego.

- Ja wezmę tę wizytówkę. - Wyciągnął rękę.

Urzędnik z ulgą dał mu karteczkę.

- Porozmawiajcie z prawnikiem, dobrze? - powiedział do Rafe'a konfidencjonalnym tonem, jak facet do faceta. - I wróćcie tu rano. Około dziewiątej.

- Zgoda - odparł krótko Rafe.

- No to... dobranoc.

Hodgkiss otworzył im drzwi. Emma była tak wytrącona z równowagi, że machinalnie wyszła na dziedziniec. Nie mogła w to uwierzyć. Przyjechali tu po pomoc i zostali wyrzuceni jak dwójka pijaków z pubu. To jakiś żart. Ten Brian Hodgkiss nie może chyba być ich jedynym kontaktem z brytyjską ambasadą we Francji? Musi być ktoś inny, do kogo mogliby zadzwonić, ktoś, kto będzie lepiej zorientowany, co robić.

- Co teraz? - zapytała Rafe'a.

- Nie wiem. - Stał na schodach z wizytówką Hodgkissa, zdezorientowany. - Może powinniśmy poczekać i pogadać rano z tym prawnikiem?

- Rano? Rano Huntów tu już nie będzie. Zabiorą Ritchiego i uciekną. Pewnie właśnie wyjeżdżają. - Emma znów zaczęła panikować. - Dlaczego go tam zostawiliśmy? Byłam tuż przy nim, na wyciągnięcie ręki, i go zostawiłam, Jezu! Musimy tam wrócić. Natychmiast.

Rafe próbował protestować, ale odwróciła się od niego. Wezmę samochód, myślała, i... ale nie, nie mogę. Wynajęty samochód stoi pod domem Huntów! O Boże, co robić? Ulicą nie przejeżdżało ani jedno auto. Całe miasto było jak wymarłe, prawie żadnych świateł. Nie знаła żadnych francuskich numerów telefonicznych, żeby zadzwonić z komórki. Po taksówkę. Do informacji. Nic.

Gdzieś w pobliżu zamknęły się drzwi. Ledwie ciche kliknięcie, ale odbiło się echem od wysokich murów. Brian Hodgkiss. Zamknął skórzaną brązową torbę. Jego buty zazgrzytały na kamieniach. Przeszedł obok i ich nie zauważył. Emma patrzyła, jak idzie w stronę ulicy, z marynarką przewieszoną przez ramię i torbą na ramieniu.

Zacząła biec.

- Chwileczkę!

Nie mogła pozwolić mu odejść. Na nic się im nie przyda, ale mają tylko jego.

- Niech pan zaczeka!

Brian odwrócił się nieufnie. Łokcie sterczały mu sztywno na boki, jakby chciał się bronić. Światło księżycy połyskiwało na jego policzkach, nosie, czole i na kamieniach. Emma dopadła go, zrzucając plecak z ramion.

- Niech pan popatrz - wydusiła, otwierając drżącymi rękami klapę. - Mam zdjęcia Ritchiego. - Zaczęła grzebać w plecaku, szukając koperty, którą przywiozła ze sobą. - Widzi pan? - Podetknęła Brianowi fotografię pod nos. - Niech pan powie francuskim policjantom, żeby porównali dziecko z tym na zdjęciach. Jeśli pan na nie spojrzy, zobaczy pan, że to mój syn. Muszą zrobić ten test DNA. Muszą. Niech ich pan zmusi.

Brian próbował odwrócić wzrok od zdjęcia Ritchiego w pizamie, z włosami szczesnymi na bok i komicznie ulizanymi, ale Emma nie odpuszczała, wciąż mu je podsuwając.

- Powtarzam pani - powiedział. - Nie mogę wpływać na działania policji. Nie mam żadnej podstawy prawnej.

- Tylko na tyle pana stać? - Emma, wściekła, machała przed nim zdjęciem. - Cokolwiek panu mówimy, pan powtarza: „Nie jestem prawnikiem. Nie jestem prawnikiem”. To jedyne zdanie, jakie pan potrafi...

- Panie Hodgkiss. - Rafe odchrząknął za jej plecami. - Ma pan dzieci?

- Słucham?

- Ma pan dzieci?

Hodgkiss uniósł brew.

- Tak się składa, że mam, ale...

- W jakim wieku?

Urzędnik się zawahał.

- Dwa i cztery lata.

- I rozpoznałby je pan? Gdyby ktoś je porwał i oświadczył, że to jego dzieci? Czy potrafiłby pan stwierdzić, że to pańskie?

Brian Hodgkiss oblizał wargi. Jego czoło lśniło od potu. Włosy miał rzadkie, zakola na głowie. Mimo łysiny wyglądał bardzo młodo. Bardziej jak uczeń niż ojciec dwójki dzieci. Nie był już taki nadęty jak w holu konsulatu. Tutaj, w ciemnościach, gdy byli tylko we trójkę, wydawał się dobrym człowiekiem. Uczciwym, co to chce postąpić przyzwoicie.

- Posłuchajcie państwo - powiedział. - Chodzi o to, że jeden z pracowników naszego konsulatu jest przyjacielem lekarza Huntów, doktora Ridgewaya, o ile pamiętam nazwisko.

- I to stawia Huntów poza wszelkimi podejrzeniami? - Rafe zaczął się niecierpliwić.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale doktor Ridgeway mieszka tu od ponad dwudziestu lat, wszyscy w okolicy doskonale go znają i bardzo szanują. Jest Brytyjczykiem, więc żywo się interesuje naszymi ekspatriantami. A akurat ta rodzina miała dość szczególne problemy... - Urwał. - Po chwili mówił dalej: - Może nie powinienem wam tego zdradzać, ale nie wiem, w czym by to miało zaszkodzić. O ile mi wiadomo, synek Huntów był ciężko chory od urodzenia. Prawdopodobnie jakaś wada genetyczna. Problemy z osłonką nerwów czy coś w tym rodzaju. Badali go najróżniejsi specjaliści, rodzice stawali na głowie, możecie sobie państwo wyobrazić, a doktor Ridgeway opiekował się chłopcem tu, we Francji. Więc rozumiecie, że poznał i rodziców, i dziecko bardzo dobrze.

- Chce nam pan powiedzieć, że ten chłopiec jest chory? - spytał Rafe. - Bo muszę zauważyć, chociaż oczywiście nie jestem lekarzem, że mnie raczej wyglądał na zdrowego.

- No właśnie - odparł Hodgkiss. - To ciekawa sprawa. Huntowie usłyszeli o jakiejś nowej terapii w Indiach. Jakaś psychiczna kuracja, nie znam szczegółów. W każdym razie doktor Ridgeway sądził, że to nie pomoże, i nie był zachwycony, że tam jadą, ale próbowali już wszystkiego innego, więc w końcu wywieźli tam syna na parę miesięcy i... no cóż. - Rozłożył ręce. - Zdziałało. Dziecko jest wyleczone.

Zrozpaczona Emma zawołała:

- Ale my mówimy o zupełnie innym dziecku! Dziecko, które widziałam dzisiaj i które przebywa teraz w ich domu, to mój syn.

- Pani Turner...

Emma krzyknęła do Rafe'a:

- Wracajmy tam! Marnujemy tu czas. Powinnam była go zabrać, kiedy miałam szansę. - Zawróciła w stronę ulicy. - Oni go zabiorą - łkała. Co ona tu robi? Jak mogła, na litość boską, pozwolić, żeby Ritchie zniknął jej z oczu choć na sekundę, kiedy już go znalazła?

Dzwonek komórki. I głos Hodgkissa:

- Halo?

Emma szła dalej. Cholerny palant, odbiera telefon w takiej chwili. Nagle urzędnik powiedział głośno:

- Co?

Co znowu? Emma odwróciła głowę. Hodgkiss podniósł rękę, dając jej znak, żeby zaczekała.

- To wspaniale! - zawołał do telefonu. - Tak. Myślę, że tak. Prawdę mówiąc, właśnie rozmawialiśmy... tak, tak. Oddzwonię do pani.

Rozłączył się.

- No proszę! - krzyknął.

Policzki mu pałały. Zmienił się na twarzy. Był teraz uśmiechniętym, dobrotliwym Świętym Mikołajem z uroczym prezentem dla nich obojga.

Rafe i Emma patrzyli na niego.

- Dzwoniła Philippa Hunt - wyjaśnił. - Jak już wspomniałem, Huntowie bardzo pani współczują. Chcą pomóc, choćby tylko oczyszczając samych siebie z podejrzeń, co pozwoli pani skoncentrować się na czymś innym.

- Czyli? Co to właściwie znaczy? - zapytał Rafe. Brian wypiął pierś.

- Pani Hunt sama zaproponowała, by zrobić test DNA.

Pensjonat, do którego Brian Hodgkiss skierował ich na nocleg, był tuż za rogiem - domek w szeregowej zabudowie przy bocznej uliczce. Okna były ciemne, ale najwyraźniej się ich tu spodziewano. Kiedy tam podeszli, skrzypnęły drzwi i na progu stanęła otyła starsza pani w szlafroku w kwiaty.

- *Ćśś*. - Kobieta przyłożyła palec do ust, po czym gestem zaprosiła Emmę i Rafe'a do ciemnego, pachnącego ciastem przedpokoju i zamknęła za nimi drzwi na zamek. Wciąż ich uciszając, poprowadziła ich po schodach wyłożonych brązowym, wzorzystym chodnikiem. Na górze otworzyła drzwi z prawej strony i przycisnęła włącznik.

Emma i Rafe zamrugali na widok wielkiego łóża, zajmującego większą część pokoju, nakrytego błyszczącą różową narzutą przypominającą ogromny język.

- *Voilà*. - Kobieta, wydawała się bardzo zadowolona z siebie.

Emma była zbyt oszołomiona, by coś powiedzieć.

- Ten pokój - wydusił Rafe, zakłopotany - jest dla... - Wskazał siebie i Emmę. - Dla nas obojga?

Kobieta zrobiła oburzoną minę i z wyrzutem pokręciła głową.

- *Deus chambres*. - Pokazała dwa palce. Zamknęła pokój i otworzyła drugie drzwi. Emma dostrzegła błysk kafelków, białą wannę i umywalkę. Za wanną kolejne drzwi prowadziły do pokoju po drugiej stronie.

- A - ucieszył się Rafe. - *Merci*.

Kobieta kiwnęła głową, wskazała poskładane ręczniki na krzesło i wyszła.

Emma, wciąż oszołomiona, opadła na brzeg łóżka.

- Jak dokładne są testy DNA? - zapytała.

- O ile wiem, dość dokładne.

- Czy taki test może dać fałszywy wynik i pokazać, że Ritchie jest dzieckiem kogoś innego?

- Nie.

Zastanowiła się.

- Jak to zrobią? Będą musieli wbijać Ritchiemu jakieś igły?

- Nie. Chyba nie. Użyją pałeczki z watą, żeby pobrać trochę śliny z jego ust.

- Kto ją pobierze?

- Lekarz. A może policjant. I to samo z Huntami. Pobiorą wszystkie próbki jednocześnie i wyślą razem do laboratorium, żeby sprawdzić zgodność.

- To takie proste - szepnęła Emma. Roztrzęsiona czuła się tak, jakby w samą porę ktoś odciągnął ją od krawędzi urwiska. Pogubiła się. Jak niewiele brakowało, żeby to wszystko - odnalezienie Ritchiego, zorganizowanie testu - w ogóle się nie stało. Jak mało brakowało, by straciła synka na zawsze.

- Dzięki Bogu. Dzięki Bogu, że tu przyjechaliśmy. Inaczej nigdy by tego nie zrobili - wybełkotała.

Rafe nie odpowiedział.

- Co? - zapytała Emma. - Co znowu?

- Jak myślisz, dlaczego zgodzili się na ten test?

Emma zmarszczyła brwi. Na ścianie naprzeciw niej wisiał obraz w ramie przedstawiający dwa konie, dorosłego i źrebaka, dotykające się nosami na podwórzu przed stajnią.

- Nie wiem - odparła. - Może gryzie ich sumienie? - Przypomniała sobie, w jaki sposób ten mężczyzna powiedział: „Przykro mi”, nim zamknął jej drzwi przed nosem.

- A może nie zdają sobie sprawy, że ten test rozstrzygnie problem - oświadczyła. - Nie wiem. Wiem tylko, że jeśli go zrobią, i naprawdę jest taki dokładny, jak mówisz, to wykaże, że Ritchie nie jest ich dzieckiem.

Rafe skinął głową.

- Prawda? - Nagle straciła pewność siebie. - A co ty o tym myślisz? Myślisz, że kiedy my siedzimy sobie tutaj i czekamy na test, oni po prostu spokojnie sobie uciekną? - Zerwała się łóżka. - O Boże. Powinniśmy tam wrócić. Powinniśmy wrócić i obserwować dom.

- Hodgkiss zadzwonił tam jeszcze raz; policja się stamtąd nie wyniosła. On nie uważa, że Huntowie dokądkolwiek się wybierają.

- A ty mu wierzysz?

- Dlaczego miałby kłamać?

- Bo nie jest po naszej stronie. On nie wierzy, że Ritchie to mój syn.

- Emmo. - Rafe próbował ją uspokoić. - On nie wie, komu wierzyć. On tylko wykonuje swoją pracę.

- Podrapał się po głowie zirytowany sam na siebie. - Żałuję, że to powiedziałem. Nie wiem, dlaczego wy-

gaduję takie rzeczy. Ale jedno jest pewne: że jeśli tam wrócimy i Huntowie nas zobaczą, mogą zmienić zdanie w sprawie testu.

Zmienić zdanie! Emma zamarła.

- Jesteś wykończona. - Rafe dotknął jej dłoni. - Spróbuj się przespać. Popatrz. - Wskazał okno. - Prawie świta. Test już za parę godzin. Na razie nic więcej nie możemy zrobić.

Kiedy wyszedł, Emma zerknęła na różowe łożo. Spróbuj się przespać! Równie dobrze mogła spróbować przepłynąć Atlantyk. Wyciągnęła Żabulca z bocznej kieszeni plecaka. Cały pomięty, nogi miał po wykręcane w różne strony. Emma mu je wyprostowała. A potem stała, trzymając go przy twarzy.

Ten ból; znów została z nim sam na sam. Cierpienie nigdy nie osłabło ani na chwilę, ale musiała widocznie do niego przywyknąć. Teraz jednak nagle wróciło ze zwiokrotnioną siłą, po tym dniu, kiedy była tak blisko niego, że mogła go dotknąć, pogłaskać jego małą jasną główkę. Tak bardzo za nim tęskniła. Czy powinna czekać w tym pokoju, kiedy Ritchie był tak niedaleko, z tymi ludźmi? To dziwne - mieć go tak blisko i nie mieć przy sobie. Źle się działo. Gdyby tylko wiedziała, jak się zachować. Gdyby pojawiła się jakaś wskazówka z napisem: zrób to i to. Cokolwiek by to było, nie wahałaby się ani sekundy. Czy powinna sama wrócić pod ich dom? Siedzieć pod bramą i pilnować, żeby nie próbowali nigdzie wywieźć Ritchiego? Rozwalić drzwi albo okno, zabrać go i nikomu nie oddać?

Niespokojna podeszła z Żabulcem do okna, żadnych samochodów, nigdzie żadnych świateł. Tylko niskie domy przycupnięte w księżycowej poświacie. Sceneria? Z każdej epoki, sprzed stu, dwustu lat. Emma kilka razy schylała się, wkładała buty, po czym rozmyślała się i je zdejmowała. Jeśli tam pójdzie, a oni zrezygnują z testu... W końcu, wyczerpana, poddała się. Zdjęła buty ostatni raz, zgasiła światło i wsunęła się pod śliską narzutę, nie ściągając nawet wełnianego koca pod nią. Leżała tak z Żabulcem i czuła, że niewidzialne igielki kłują ją w głowę. Usiadła i podłożyła sobie poduszki pod plecy. Objęła rękami kolana. Nie mogła spać. Ciężkie zasłony nie były szczelnie zaciągnięte. Przez szparę sączyła się poświata.

Ritchie tak dobrze wyglądał - malutki, słodki i śliczny. Nic dziwnego, że Antonia wciąż go przytulała, chroniąc nawet przed członkami własnej rodziny. Dbała o niego. Emma nawet z daleka widziała, że jego ubranka są nowe i drogie. Nie działa mu się żadna krzywda. Nie cierpiał. Sama się o tym przekonała i wielki ciężar spadł z jej serca - od kiedy się to wszystko zaczęło, nie czuła takiej ulgi.

Z korytarza dobiegało, jak bicie serca, tykanie zegara.

Czy za nią tęsknił? Czy w ogóle o niej myślał?

Małe dzieci kocha się tak bardzo, tak mocno, że nawet nie sposób wyrazić tego słowami. Ale z dziećmi jest inaczej. Żyją z dnia na dzień. Zapominają, jak nigdy nie potrafią zapomnieć dorośli. I oczywiście Ritchiego ma tyle wrażeń, tyle wokół siebie osób, i każdy chce go tulić, chce go kochać.

I taki piękny dom. Naprawdę, prześliczne miejsce. Tak śliczne, że człowieka aż ściska w gardle. Te gęsi pod drzewami. Kot w słońcu. Pola wysokiej dorodnej kukurydzy.

Być małym chłopcem i dorastać w takim otoczeniu. Księżyc zbladł. Świtało. Emma ułożyła poduszki na płask i przekręciła się na bok. Zwój kolczastego drutu w jej żołądku zniknął; pozostała poraniona, bolesna pustka.

Rozdział 13

Poniedziałek, 25 września

Dzień dziewiąty

Z samego rana Emma zadzwoniła do Briana Hodgkissa.

- Ciągłe są u siebie w domu, tak? - zapytała, kiedy tylko odebrał. - Nigdzie nie wywieźli Ritchiego?

- Są u siebie w domu - uspokoił ją. - Rozmawiałem z panią Hunt niecałe pięć minut temu.

Emma przestała ścisnąć aparat w dłoni. Nie miała pojęcia, dlaczego Huntowie są tacy chętni do współpracy, ale skoro tak, jej to odpowiadało.

- Kiedy będzie test? - zapytała.

- Dziś przed południem. Pani Hunt o dziesiątej przywiezie Ritchiego do gabinetu ich lekarza rodzinnego. Pan Hunt nie podda się testowi. Nie uważa, aby to było konieczne. Ale to nie powinno w niczym przeszkodzić, bo chociaż formalnie powinno się przebadać oboje rodziców, dla naszych celów wystarczy matka...

Emma mu przerwała:

- Długo będziemy czekać na wyniki?

- Minimum dwadzieścia cztery godziny. Jeśli uda nam się uzyskać cito w laboratorium.

- I jest pan absolutnie pewien, że w tym czasie oni z nim nie uciekną?

Hodgkiss nie tracił cierpliwości:

- To bardzo mało prawdopodobne. Ktoś z naszego personelu będzie się regularnie z nimi kontaktował, dopóki nie przyjdą wyniki. Huntowie nie mają nic przeciwko temu. To powinno panią uspokoić.

Emma nie wiedziała, co jeszcze powiedzieć.

- Czy mógłbym porozmawiać z panem Townsendem? - spytał urzędnik.

Kiedy Rafe z nim rozmawiał, głos Hodgkissa dobiegał ze słuchawki. Emma słyszała wszystko, co mówił.

- Wie pan, że ona nie może się do nich zbliżać. A już z pewnością nie w takim stanie psychicznym. Trafi do aresztu, jeśli spróbuje ich znowu nachodzić. Huntowie boją się o dziecko. To oni poprosili, żebyśmy byli z nimi w kontakcie, dopóki nie przyjdą wyniki testu, i szczerze mówiąc, wcale im się nie dziwię.

- Rozumiem.

- Więc i dla jej, i dla ich dobra, niech ją pan trzyma z daleka od nich, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

- W porządku - odparł Rafe.

Ktoś przyprowadził ich samochód z St-Bourdain z powrotem do Bergerac i zostawił pod pensjonatem. Rafe zaproponował, żeby wybrali się na przejażdżkę. Skreślił z głównej drogi i jeździł na ślepo bocznymi traktami - gdziekolwiek, byle jechać. Świeże powietrze o poranku, wąskie drogi, zupełnie puste. Wieżyczki zamków na zboczach wzgórz między drzewami - jak w bajce.

- Co się teraz dzieje? - zapytała Emma po raz piętnasty. Rafe spojrzął na zegarek na desce rozdzielczej.

- Właśnie minęła dziesiąta - odparł. - Pewnie w tej chwili pobierają próbki.

Emma zastanawiała się, co Ritchie sobie o tym wszystkim pomyśli. Nie lubił lekarzy. Kiedy zabrała go do przychodni, żeby doktor Stanford obejrzała jego uszy, przywarł do niej całym ciałem, podejrzliwy, doskonale wiedząc, że dzieje się coś dziwnego. Zaczął wyc na sam widok latareczki świecącej przy jego twarzy. Emma wyobrażała go sobie teraz, jak nie chce, żeby wsadzano mu coś do buzi, jak próbuje to pochwycić.

- Uwielbia kwaśne rzeczy - powiedziała ni z gruszki, ni z pietruszki. - Na przykład cytryny. Krzywi się przy tym strasznie, ale i tak upiera się, żeby je jeść.

- Cholerni faceci. - Rafe wyszczerzył do niej zęby. - Niereformowalni, co?

- Fakt - rzuciła z przejściem Emma. - On jest prawdziwym małym facetem. Przekonasz się, jak go poznasz. Kiedyś przyciął sobie palec w drzwiach i chociaż paznokieć mu zsiniał, nawet nie zapłakał. Przyszedł tylko do mnie, jeszcze na czworakach, zrobił bolesną minę i wyciągnął palec, żeby mi go pokazać. I uczył się kopać piłkę. Już prawie umiał.

Nie mogła przestać paplać. Co się dzieje? Czy już po teście? Czy doktor był miły dla Ritchiego?

Po chwili słowa zamarły jej w gardle i jechali dalej w milczeniu. Mijali winnice, a potem trafili na drogę ocienioną po obu stronach drzewami, których korony stykały się nad jezdnią. Samochód zalewało światło, potem wkradał się cień i znów światło. Światło, cień, światło... Nagle Emma zorientowała się, że w suchych ustach czuje gorycz i że siedzi pochylona, a jej czoło obija się o szybę.

Wyprostowała się, zdziwiona. Zesztywniał jej kark. Widok za szybą zupełnie się zmienił. Jechali o wiele szerszą drogą, ruchliwą, zatłoczoną autostradą. Rafe, skupiony, mrużył oczy w jaskrawym świetle lejającym się z nieba.

- Zasnęłam? - spytała.

Rafe wyszczerzył zęby, nie odrywając oczu od wielkiej, zamkniętej na kłódkę naczepy przed sobą.

- No, zdrzemnęłaś się chwilę.

Nie do wiary. Emma nie zdawała sobie sprawy, jak jest zmęczona. Zegarek na desce rozdzielczej pokazywał jedenastą trzydzieści. Rozmasowała bok szyi.

- Gdzie jesteśmy? - spytała.

- Właśnie dojeżdżamy do Bordeaux. - Rafe ruchem głowy wskazał zieloną tablicę. Spojrzął na Emmę. - Co robimy? Przerwa czy jedziemy dalej?

- Jedź dalej, jeśli możesz. - Emma nie była w nastroju na zwiedzanie miasta.

- Okej.

Na następnym rondzie zjechał w drogę nieoznaczoną drogowskazami do Bordeaux. Ruch powoli zaczął słabnąć. Ciężarówek było coraz mniej, choć wciąż sporo samochodów osobowych. Na poboczach rosły wysokie drzewa - pola i winnice zostały w tyle. Słońce mocno już prażyło. Temperatura w aucie zaczęła rosnąć.

Emma, całkiem rozbudzona, zastanawiała się. Może przyśniło się jej coś niepokojącego, co spowodowało te myśli, ale teraz coś ją gryzło. W kawiarni U Pana Bapa Antonia powiedziała, że ma dziecko. Synka. Później Emma założyła, że ta kobieta kłamała. Ale z tego, co mówił pan Hodgkiss, wynikało, że Antonia naprawdę ma syna. Więc gdzie on jest? Na nagraniu z lotniska widać było, że Huntowie wywożą z Londynu tylko Ritchiego. A wczoraj, na podjeździe, Emma nie zauważyła żadnego innego dziecka poza Ritchiem. Jeśli Huntowie mieli własnego synka, to co z nim zrobili, na Boga?

Gdy dojechali do skrzyżowania ze skretem tylko w prawo albo w lewo, Rafe musiał się zatrzymać. Przed nimi traktor ciągnął przyczepę z jakimiś maszynami i próbował skrócić w prawo przy narożniku wysokiego kamiennego muru. Młody pasażer wysiadł, żeby pomóc kierowcy. Słońce paliło niemiłosiernie. Wnętrze, gdy auto stało, rozgrzało się jeszcze bardziej. Powietrze wpadające przez okna było suche i gęste od kurzu. U stóp muru czarny pasek cienia odcinał się ostro od zalanej słońcem przestrzeni.

Emma zmarszczyła brwi. No właśnie, dlaczego Huntowie zgodzili się na test DNA? Dziwne, dziwne, dziwne. Rafe skomentował to wczoraj w nocy i miał rację. To bez sensu - porwać dziecko, a potem siedzieć w domu, nawet po dwukrotnej kontroli policji. Antonia musiała dzisiaj przywieźć Ritchiego na test; gdyby było inaczej, konsul na pewno by ich zawiadomił. Ale to nie znaczy, że oni zamierzają grzecznie siedzieć i czekać na wynik.

Emma odwróciła się do Rafe'a.

- Wracajmy. Wracajmy pod ich dom.

- Emmo...

- To droga publiczna. Nikt nie może nam zabronić jazdy ani parkowania w publicznym miejscu.

- Cóż, zgadzam się z tobą. Ale policja zapewne będzie to widziała inaczej.

- Oni go wywiozą - upierała się Emma. - Tylko czekają, aż pomyślimy, że wszystko gra, i wyjadą.

- Emmo, zastanów się. - Koszulka Rafe'a była wilgotna. Poczzerwieniał i ociekał potem. - W czym pomoże siedzenie pod ich domem? Jeśli Huntowie zechcą wyjechać, jest mnóstwo innych dróg, z których mogą skorzystać. Mieszkają na farmie, wśród pól, wiele tam wiejskich drózek. Jeśli zechcą się wymknąć, w żaden sposób ich nie powstrzymamy.

- Na litość boską. - Emma miała już dość słuchania tych bzdur. - W twoich ustach to brzmi jak jakieś harcerskie podchody, z zasadami, których trzeba przestrzegać. Mówimy o moim synu. Nie obchodzi mnie, czy jestem za głupia, żeby zrozumieć, jak się takie rzeczy normalnie załatwia. Ja nie chcę grać w te wasze cholerne gierki. Chcę tam tylko wejść i go odzyskać.

- Wiem, jak się czujesz. - Rafe był sfrustrowany. - I chciałbym ci pomóc. Ale ja wiem, jak ci ludzie pracują. Dla nich to rzeczywiście pieprzone harcerskie podchody. Musisz przestrzegać zasad, bo inaczej nie kiwną palcem w twojej sprawie.

- Przestrzegać zasad? - Emma denerwowała się coraz bardziej. - Przestrzegać zasad? I kto to mówi. Wątpię, czy przez całe swoje życie przestrzegałeś chociaż jednej zasady. Nawet w policji nie wytrzymałeś dłużej niż parę miesięcy; odszedłeś, bo cię poniosło, więc od kiedy to jesteś takim ekspertem od zasad?

- Cóż, może gdybym ich przestrzegał, moje życie nie byłoby takie do dupy, co? - odciął się Rafe.

Emma osunęła się na fotel. Przycisnęła dłonie do oczu. Przez cały czas, przez calutki czas, z każdym krokiem przepychała się przez jakąś gigantyczną lepką pajęczynę i z każdym krokiem pajęczyna odrastała i odrzucała ją do punktu wyjścia.

Po chwili Rafe powiedział:

- Przepraszam. Naprawdę mi przykro. Nie wiem, jak ci pomóc. Nie chcę, żebyś pogorszyła swoją sytuację. Mogłbym ci poradzić, żebyś po prostu stąd wyjechała i żyła dalej po swojemu, tak jak ja to zrobiłem. Ale ty nie możesz, prawda? Ty nie masz wyboru.

Milczała. Żadne z nich się nie odezwało. Siedzieli tak, przygnębieni i godni współczucia, przylepieni do przepoconych siedzeń. Traktor na drodze terkotał. Emma czuła przez okno smród benzyny i gorącej smoły. Kolejny dzień w pajęczynie. Ale przecież dotarła aż tu. Da radę. Przycisnęła oczy kciukiem i palcem wskazującym. Podchody, tak? Dobra. Choć to śmieszne, zagra w to. Przetrwa. Nie podda się. Będzie dalej siedzieć tutaj, wciągać i wypuszczać powietrze, aż do chwili, gdy przyjdą wyniki testu DNA i wszystko to się skończy.

Przynajmniej wiedziała, że Ritchie ma się dobrze. Widziała to na własne oczy. W tej chwili - jeśli oczywiście Huntowie go nie wywieźli - pewnie śpi w łóżeczku. Akurat jego pora drzemki. A może porządek dnia się zmienił? Czy Antonia zauważyłaby, że jest zmęczony? Czy nie pozwala mu zasnąć, czy daje mu odpocząć, kiedy tego potrzebuje?

I nie miał tu Żabulca. Nigdy nie chodził spać bez Żabulca. Tęsknił za nim? A może dostał nowego? Nowego, bardziej puchatego, ładniejszego Żabulca? Żabulca, który ładnie pachnie?

Emma odrzuciła te myśli. Czekanie i bezczynność ją dobijały. Ale musiała zaufać Rafe'owi; nic lepszego nie można w tej chwili zrobić. Gdyby nie on, w ogóle nie zobaczyłaby Ritchiego.

Dzięki Bogu znów ruszyli. Traktor nareszcie objechał mur. Młody człowiek pomachał Rafe'owi i wskoczył na swoje siedzenie. Rafe nie pojechał za traktorem - skręcił w lewo, w pustą drogę. Dojeżdżali do jakiegoś miasta, chyba na wybrzeżu. Świeża bryza zwiała jej włosy z oczu. Między jasnymi domami Emma dostrzegła morze, a w oddali żaglówki; niebieskoszara woda była usiana białymi, lśniącoymi trójkątami. W mieście ludzie w klapkach i szortach tłoczyli się na chodnikach. Dzieci podskakiwały przed rodzicami, ciągnąc ręczniki i siatki na ryby.

- Miasteczko Arcachon - poinformował Rafe. - Chyba powinniśmy się tu zatrzymać. Rozprostować nogi. Gdzieś w pobliżu jest słynna Wydma Piłata. Czytałem o niej, kiedy oglądałem mapę. Podobno największa wydma w Europie. Moglibyśmy się na nią wdrapać, jeśli chcesz. Trochę się rozruszać.

Jakby wypowiedział hasło, za drzewami wyrosła potężna żółta ściana.

- To wydma? - powątpiewała Emma. Na zboczu zauważyła czarne punkty. Ludzie, stwierdziła.

- Robi wrażenie, co? Chodź. - Rafe włączył kierunkowskaz i zjechał na parking. - Spróbujmy się odprężyć.

Z ulgą wysiedli z samochodu. Siedzieli w nim jak w piekarniku. Między drzewami przedarli się przez gęste poszycie i leżące na ziemi gałęzie; wreszcie dotarli do wydmy. Emma zadarła głowę, żeby spojrzeć na szczyt. Ależ stromo!

- Nie wydaje mi się... - zaczęła.

Rafe już się wspinał.

- Chodź! - krzyknął. - Z góry będzie świetny widok.

Emma bez przekonania ruszyła za nim. Po chwili dostała zadyszki. Jej stopy tonęły w piasku, osuwały się z każdym krokiem. Plecak z przodu zasłaniał jej drogę. Miała wrażenie, że tkwi w miejscu.

- No jak tam?! - zawołał Rafe.

Zatrzymał się i na nią czekał.

Emma wyprostowała się i odgarnęła włosy z twarzy. Koszulka przykleiła jej się do ciała. To jakieś szaleństwo. Wspina się na kupę piasku, gdy jej dziecko jest uwięzione w domu wariatki. Co ona wyprawia?

- Nie idę dalej - powiedziała. - Ty idź, jeśli chcesz. Poczekaam tutaj.

Rafe zjechał do niej po zboczu.

- Zdejmij buty - poradził. - Popatrz na nich. - Pokazał palcem. Kilkaset metrów dalej grupa nastolatków wspinała się na wydmy na czworakach.

- Ani myślę. - Emma się uparła.

- Dlaczego nie?

- Bo nie chcę. To bez sensu.

- Daj mi plecak i buty. - Rafe nie odpuszczał. - Będziesz miała wolne ręce.

Naprawdę zaczynał ją irytować.

- Nie potrzebuję twojej pomocy! - wybuchnęła. - Doskonale potrafię...

- Wiem, że potrafisz. - Nagle Rafe też się zirytował. - Ale dźwigasz więcej niż ja. A ja tylko próbuję ci pomóc.

Patrzyli na siebie ze złością. Nagle, choć ją to zaskoczyło, schyliła się i zdjęła buty. Jeden po drugim wcisnęła je w dłonie Rafe'a.

- Zadowolony? - spytała.

Położyła mu plecak na wyciągniętych rękach. I odwróciła się. Wbiła stopy w piasek i na czworakach zaczęła się wspinać.

Teraz, bez plecaka i butów, poruszała się znacznie szybciej. Krople potu spod pach wsiąkały w koszulkę, a język przylepił się do podniebienia, ale nie odpuszczała. Im wyżej się wspinała, tym bardziej stromy był stok, tyle że to już nie miało znaczenia. Choć paliły ją płuca, na nic nie zważała, chciała tylko dotrzeć na szczyt.

I nagle się tam znalazła. A przed nią rozciągał się szary ocean - Atlantyck.

- Och.

Otoczała ją biel. Wiatr smagał jej twarz, targał włosy. Jakby ktoś uniósł pokrywkę wielkiego garnka i cała zawartość świata wyparowywała porwana wiatrem. Została tylko czysta przyjemność: jestem tutaj, na górze, i nie muszę się już wspinać. Nogi się pod nią ugięły, ale wiedziała, że wszystko się ułoży. Wszystko będzie dobrze.

- Brawo! - zawołał Rafe. Dotarł na szczyt przed nią i siedział po turecku na piasku.

Emma, zbyt zdyszana, żeby odpowiedzieć. Osunęła się na piasek i położyła na plecach, z wyciągniętymi na boki rękami. Patrzyła w niebo. Wiatr chłodził jej czoło i szyję, podnosił brzeg koszulki. Zamknęła oczy, słuchając fal i dalekich krzyków mew, podobnych do płaczu niemowląt. Oddychała spokojnie, już się nie trzęsła.

Chwilę później usiadła. Rafe nie próżnował. Wznosił się przed nim wysoki do kolan zamek z piasku, udekorowany kamyczkami. W środku stała wieża z odciskami palców na ścianach, a z jej szczytu sterczał w niebo patyczek po lodach.

- Forteca Helnowy Jar - wyjaśnił Rafe, kiedy zorientował się, na co patrzy Emma. - Niezdobyta przez siły ciemności.

Wiatr się wzmógł. Helnowy Jar zadrżał i zawalił się. Rafe mruknął coś do siebie, a potem:

- No więc? - zwrócił się do Emmy. - Jak się teraz czujesz?

- Lepiej - przyznała. Zaczęła strzepywać piasek z koszulki.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Gdzie jest twoja rodzina?

Emma znieruchomiała. Oczywiście. Przecież nie wiedział. Grała na czas, odgarniając włosy za uszy.

Po czym krótko i szybko opowiedziała mu o śmierci matki.

- Przykro mi. - Rafe spojrział na nią. - Umarła tuż przed narodzinami Ritchiego.

- A ojciec odszedł, gdy miałam trzy lata. Przeprowadził się do Swindon i zamieszkał z jakąś Jackie.

Teraz znasz historię mojej rodziny.

- Widujesz się z ojcem?

Emma pokręciła głową.

- Umarł, kiedy miałam dziewięć lat. Ale właściwie nigdy go nie znałam. Mało się nami interesował, gdy od nas odszedł.

- Twojej mamie musiało być ciężko.

- I to bardzo. Ojciec zostawił mnóstwo długów. Mama musiała pracować na dwa etaty, żeby nas utrzymać. Ale jakoś sobie radziła. Czasem po prostu nie ma wyjścia, czyż nie?

Rafe umilkł. Emma niemal słyszała następne, nieuchronne pytanie: „A ojciec Ritchiego?”

Nie miała ochoty wdawać się teraz w dyskusję o tym. Nie w tej chwili. Zmieniła więc temat:

- A twoja rodzina? Jesteś londyńczykiem?

- Wychowałem się w Lewisham. Mama nadal tam mieszka, z moim ojczymem. Mój biologiczny ojciec wyniósł się, kiedy byłem mały. - Skrzywił się. - Tak jak twój.

Ojciec Ritchiego też nas zostawił, pomyślała z bólem. Czy z nami wszystkimi jest coś nie tak? Żadne z nas nie miało ojca, który patrzyłby, jak dorastamy...

- Utrzymujesz z nim kontakt? - zapytała z grzeczności.

- Sporadycznie. Kilka lat temu wyjechał do Hiszpanii. Prawie sześćdziesiątka na karku, a on próbuje odnaleźć siebie. Gra na gitarze w zespole w Maladze, wyobrażasz sobie? I przygruchał sobie dwudziestotrzyletnią dziewczynę.

Uśmiech zgasł na jego twarzy. Rafe wziął patyczek od lodu i zaczął mieszać rozsypaną kupkę piasku.

- Od kiedy odszedłem z policji - powiedział - widzę, jak coraz bardziej go przypominam. Kręcę się bez celu. Szukam siebie.

- Moim zdaniem byłbyś dobrym policjantem. - Emma naprawdę tak myślała.

- Tak, pewnie tak. Wyrastałem w nieciekawej dzielnicy i nieźle dawałem mamie w kość po odejściu ojca. Ja i kilku kumpli zaczęliśmy kraść samochody i ganialiśmy się z glinami po całym osiedlu. Na szczęście nigdy nikogo nie zabiliśmy. I siebie, jak się tak zastanowić, chociaż pewnie nie byłaby to wielka strata. Przeważnie policja nas dopadała. Po jakimś czasie przestało mi to imponować. Pomyślałem, że to bez sensu tak się szlajać i kraść, co popadnie, kiedy mógłbym spróbować zrobić coś pożytecznego ze swoim życiem.

- Bez problemu dostałeś pracę w policji? - zainteresowała się Emma. - Po tych kradzieżach samochodów?

- Nie bardzo. Kiedy miałem jakieś czternaście lat, poszedłem na miejscowy posterunek, wszyscy mnie tam już znali, i oświadczyłem, że chcę zostać gliną, a facet za biurkiem uznał, że to najzabawniejsza rzecz, jaką w życiu słyszał. Śmiali się ze mnie i śmiali, w końcu jeden z nich potraktował mnie poważnie. Poradził, bym nie pakował się w kłopoty, wrócił do szkoły i uczył się, a wtedy kto wie, może... - Rafe uśmiechnął się na to wspomnienie. - Mama była zachwycona.

- Lubieś to, co? Być gliną.

- Tak. - Rozpromienił się. - Lubilem.

Mrużył oczy, bo oślepiało go światło. Sprawiał wrażenie człowieka aktywnego, pełnego energii, takiego, co to lubi otwartą przestrzeń. Emma wyobrażała go sobie, jak bez problemu przesadza jednym susem płoty i mury, zeskakuje z mostu, żeby dopaść przestępcę i wziąć go na muszkę. Ale tę gotowość do działania równoważyło coś, czego większość policjantów nie miała albo co gdzieś straciła: życzliwość i współczucie, które okazał, kiedy wpadł do jej mieszkania zapytać, jak się miewa.

- W głowie mi się nie mieściło, że pracuję dla nich i jeszcze mi za to płacą - wyznał. - Robiłbym to za darmo.

Przynajmniej na początku. Ale potem... - Wzruszył lekko ramionami. - Znasz ciąg dalszy. Naiwnie wierzyłem, że mogę zrobić coś dobrego. Tak to wygląda. Ale wszyscy byli tacy zakłamanii. Nie chciałem brać w tym udziału.

- Kolejny powód, żeby zostać - powiedziała Emma. - Ludzie, którym na czymś zależy, są potrzebni wszędzie.

Patrzyła na dziecko, które turlało się po zboczu wydmy, a za nim kobieta; śmiała się i krzyczała. Dziecko miało jasne, cienkie włosy. Wydało jej się, że Rafe na nią patrzy, ale kiedy się do niego odwróciła, zobaczyła, że obserwuje coś po drugiej stronie wydmy.

- Pokibicujmy tej parce - poderwał się. - Chyba przydałaby im się pomoc.

Na wydmę wspinali się mężczyzna i kobieta, na oko po siedemdziesiątce. Mężczyzna, zdyszany i fioletowy na twarzy, próbował popychać swoją korpulentną towarzyszkę. A ona w końcu zrezygnowała i wyciągnęła się na piasku, twarzą w dół, ledwie kilka metrów od szczytu.

- Śmiało! - zawołał Rafe. - Już prawie się udało.

- Ciągle jej to powtarzam - wysapał mężczyzna.

Miał amerykański akcent.

- Gadaj zdrów - odparła kobieta. Uniosła głowę i spojrzała na niego z ironią. - Dobra wymówka, a jakże, żeby odpocząć.

Ale dźwignęła się na kolana i znów zaczęła się wspinać. Teraz już kilka osób im się przyglądało. Grupa nastolatek, które siedziały w kółku, chrupały chipsy i paplały po francusku, zerwała się i ustawiła rzędem wzdłuż szczytu.

- Brawo! - krzyczały po angielsku z francuskim akcentem, osłaniając usta dłońmi. - Dacie radę!

Kiedy para wreszcie dotarła na szczyt, dziewczyny - długonogie, chude, w dzinsowych szortach - zaczęły piszczeć, klaskać i podskakiwać. Emma też klaskała, zaskoczona, że tak zareagowała.

- Ojej! - Starsza pani klęczała w piasku; oddychała szybko i wachlowała się dłonią. - Jak to miło z państwa strony. Naprawdę myślałam, że nie dam rady.

- Czemu miałyby pani nie dać rady? - zdziwił się Rafe.

Emma zauważyła, że młode Francuzki zerkają na niego. Opalił się dzisiaj - choć i tak śniady, mógł uchodzić za Francuza. Wyglądał jak duży dzieciak, kiedy tak baraszkował na wydmie i żartował z amerykańską parą. Ale było w nim też coś z dorosłego, jakaś twardość - ot, ktoś, kto potrafi o siebie zadbać, jeśli

musi. Jak to mówi się o kimś takim? Cwaniak z miasta. Spojrzał na nią, więc uśmiechnęła się do niego. Zaskoczony po sekundzie odpowiedział jej uśmiechem. Ale wyobraźnia została pobudzona: Emma znów myślała o małym chłopcu turlającym się z piskiem po zboczu. Objęła się ramionami. Przywiezie tutaj Ritchiego. Właściwie nigdy nie bawili się razem, tak naprawdę. Teraz będą mieli okazję.

W drodze powrotnej do Bergerac zatrzymali się w jednej z wiosek z żółtego kamienia, żeby coś zjeść. Ściany w restauracji były z surowej cegły, na stolikach stały świece w butelkach po winie. Kelnerzy w kamizelkach i białych fartuchach uwijali się z wiaderkami lodu i kartami z menu.

Mury budynku były grube. Emma musiała wyjść na dwór, żeby złapać sygnał w komórce. Wody płynącej rzeki marszczyły się wokół łuków mostu. W miejscach, gdzie powierzchnia była wzburzona, migotały niebieskie plamki księżycowego światła. Emma jeszcze raz wybrała numer Briana Hodgkissa i czekała na połączenie w cieniu murów, które musiały widzieć niejedno pokolenie takich matek jak ona.

- Wszystko w porządku - powiedział Brian Hodgkiss, kiedy usłyszał jej głos. - Próbki zostały pobrane. Niedawno rozmawiałem z Huntami. Nigdzie nie wyjechali.

Och, co za ulga. Wciąż nie wiedziała, w co grają Huntowie, ale cokolwiek to było, Ritchiemu wciąż nic nie zagrażało.

- Zastanawiałam się, czy mogłabym zobaczyć go dziś wieczorem?

- Raczej nie - odparł Brian takim tonem, jakby ją przeproszał.

- Nawet króciutkie spotkanie? - błagała Emma. - W obecności innych ludzi? Nawet w jej obecności, wszystko mi jedno...

- To niemożliwe - powtórzył Brian. - Chyba że oni wyrażą zgodę, ale to chyba wykluczone. Przykro mi. - Powiedział to, jakby naprawdę było mu przykro. Dodał łagodniejszym tonem: - Wkrótce wszystko się wyjaśni. Wyniki powinny być jutro.

Wydawał się dużo bardziej przyjazny niż wcześniej, jakby nareszcie ją zrozumiał.

Emma streściła rozmowę Rafe'owi.

- Może niedługo będzie już ze mną - powiedziała drżącym głosem.

Rafe milczał. Dobry nastrój sprzed kilku godzin minął bez śladu. Przy ich stoliku zjawił się kelner z rzędem talerzy na ręce. Piramidy szynki, sera i pomidorów, kawałki ciepłej bagietki. Emma spróbowała wszystkiego - od wielu dni nie czuła takiego głodu - ale Rafe zjadł bardzo niewiele. Pewnie był zmęczony po wspinaczkach. A na dodatek cały dzień za kierownicą. Wiedziała, jak wiele mu zawdzięcza.

Pensjonat był zamknięty i cichy, kiedy wrócili do Bergerac. Otworzyli sobie frontowe drzwi, uważając, żeby nie dzwonić kluczami, nie narobić hałasu. Emma weszła za Rafe'em na górę na palcach, wytykając wzrok w półmroku rozjaśnianym poświatą z okna.

Do pokoju Rafe'a prowadziły oddzielne drzwi, kawałek dalej w korytarzu. Rafe zatrzymał się przed drzwiami Emmy, żeby powiedzieć „dobranoc”.

- Dziękuję ci za dzisiejszy dzień - szepnęła Emma, żeby nie obudzić gospodyni. - Bardzo mi to pomogło. Pozwoliło nie myśleć za wiele.

To prawda. Była spokojniejsza, mniej spięta i mniej zrozpaczona. Wszystko pójdzie dobrze. Po prostu to czuła.

- Mnie też podobała się ta wycieczka - powiedział Rafe. - Cieszę się, że ci pomogła.

- Tak wiele ci zawdzięczamy - ciągnęła Emma. - Ritchie i ja. Zdobyłeś dla mnie adres. Gdyby nie ty...

Rafe stał z rękami u boków. Emma ujęła jego dłonie.

- Dlaczego to dla nas zrobiłeś? - zapytała. - Ledwie nas znasz.

Rafe zaczerpnął powietrza, jakby chciał coś powiedzieć. Ale nie powiedział.

- Cóż, bez względu na powód - Emma się uśmiechnęła - cieszę się, że cię poznałam.

Podeszła, by pocałować go na dobranoc. Ale nagle cmoknięcie w policzek wydało jej się niewystarczające. Pod wpływem impulsu puściła jego dłonie i go objęła.

- Dziękuję.

Rafe też otoczył ją ramionami i uściśnął równie mocno, jak ona jego. Policzkami, kościstymi i nieogolonymi, przywarł do jej policzka. Pachniał potem i morzem, i jakimś kosmetykiem o zapachu jabłka.

- Cieszę się, że mogłem coś zrobić.

Przytulali się tak przez chwilę. Rafe pierwszy się odsunął.

- Powinniśmy się przespać - stwierdził. - Jutro może dużo się wydarzyć.

- Mam nadzieję - odparła Emma.

Ale kiedy znalazła się w pokoju, wiedziała, że nie zaśnie. Zdjęła dzinsy i na dywan posypał się piasek. Skarpetki przylegały jej do stóp. Pomyślała, że może kąpiel ją uspokoi i sprawi, że uda jej się zasnąć.

Weszła do łazienki. Po cichu, żeby nie przeszkadzać Rafe'owi, ściągnęła koszulkę i przewiesiła ją przez wieszak na ręczniki. Sięgnęła za plecy, żeby rozpiąć biustonosz. W lustrze nad umywalką zobaczyła rozstępy na brzuchu, fałdy rozciągniętej skóry. Na nogach uwidoczniły się niebieskie żyły, których wcześniej tam nie było. Poród. Kiedy zobaczyła je po raz pierwszy, trochę panikowała, ale teraz już do nich przywykła.

Pochyliła się nad wanną, żeby odkręcić kurki, kiedy drugie drzwi otworzyły się i do łazienki wszedł Rafe ze szczoteczką do zębów. Kiedy ją zobaczył, cofnął się gwałtownie.

- Cholera. - Emma spanikowała. Ręcznik, szybko, gdzie? Złapała koszulkę i zasłoniła się nią.

- Przepraszam. Przepraszam. Drzwi nie były zamknięte. Nie przeszkadzaj sobie.

Emma znów zobaczyła się w lustrze i się skrzywiła. Co za wstyd. Musiała wyglądać beznadziejnie, a ten facet ledwie ją znał. Co to ona mu powiedziała tego dnia, kiedy wpadł do niej i chciał jej ugotować kolację? O co go oskarżyła? Teraz wydawało jej się to śmieszne. Gdyby wtedy wiedziała, jakie dziewczyny na niego lecą - nastoletnie Francuzki smukłe jak brzozy. Pewnie sobie pomyślał: Chyba śnisz, kochanie, ale był zbyt miły, żeby to powiedzieć.

- Żaden problem! - zawołała. Po co komplikować i tak skomplikowaną sytuację. - Umyj zęby. Zaczekam u siebie.

Ale jego już nie było. Porcelanowa mydelniczka chybotła się na brzegu wanny i w końcu spadła, rozbijając się z trzaskiem na kawałki. Widocznie zaczepił o nią, kiedy wychodził.

Ritchie siedział na kolanach Emmy. Czują na nogach jego ciepły ciężar; jego rzęsy rzucały cień na puciołowate policzki. Trzymając go tak, kroićła dla niego muffinkę.

- Uwielbia muffinki - wyjaśniła Antonii, która siedziała naprzeciw niej. - Zwłaszcza czekoladowe.

- Nie wiedziałam - odparła Antonia.

Ritchie uśmiechnął się radośnie i wyciągnął ręce. Złapał muffinkę i wepchnął sobie do buzi.

- Widzisz? - Emma pocałowała go. - Mówiłam ci. Mówiłam ci, że jest mój.

Antonia spochmurniała; złapała kubek i zaczęła tłuc nim o stół.

Łup, łup, łup.

- Przestań. - Emma, przerażona, zasłoniła Ritchiemu uszy. - Co ty wyprawiasz? Wystraszysz go.

Łup, łup.

- Emma.

- Łup.

- Emma! Obudź się!

Leżała na czymś śliskim i różowym. Wokół zasłon światło.

Ktoś łomotał w drzwi.

- Emma! - To był Rafe. - Zadzwonili. Mamy przyjść do konsulatu.

Poderwała się. Dlaczego nie zatelefonowali do niej? Może nie usłyszała swojej komórki. Ubrała się, szamocząc z dzinsami. Wbiła nogi w adidas i wypadła z pokoju.

Nie rozmawiali. Emma cały czas biegła przed Rafe'em. Konsulat był tuż za rogiem.

Ktoś czekał przy bocznym wejściu i wprowadził ich do biura. Nowoczesny typowy gabinet: obrotowe krzesło, biurko i komputer; bardzo różnił się od bogato zdobionego holu, do którego weszli dwa dni temu. Brian Hodgkiss czekał na nich, stojąc przed biurkiem.

- Dzień dobry - powiedział.

- Dzień dobry - odparła zadyszana Emma, rozglądając się niecierpliwie.

Obok Briana stał mężczyzna, który wyglądał jak jego bliźniak. Takie same beżowe spodnie, takie samo wysokie czoło i ten prążkowany krawat pod swetrem z okrągłym dekoltem. Trzymał w dłoniach rozdartą brązową kopertę i złożony arkusz papieru. Emma spojrzała na kartkę i od razu zorientowała się, co to jest.

- Przyszły wyniki testu DNA - wyjaśnił Brian. Emma zrobiła krok naprzód; wyciągnęła rękę, by odebrać wynik od mężczyzny. A on się cofnął.

- Widzę, że pani się niecierpliwi - powiedział. - Więc nie będę tego przedłużał.

Rozłożył kartkę. Patrzył na nią przez chwilę. Odchrząknął.

- Opis jest dość szczegółowy - oznajmił. - Więc spróbuję przekazać główne... - Przebiegł wzrokiem po arkusiku. Jego głos brzęczał monotennie - ...test przeprowadzony zgodnie z... hm... dziecka o nazwi-

sku... tak... nazwisko matki... prawdopodobieństwo błędu... A. Tu jest. - Znów odchrząknął. - No więc, podsumowując. Wynik testu wskazuje z prawdopodobieństwem 99,999 procent, że matką rzezonego dziecka jest...

Spojrzał na Emmę. Wygiął wargi, jakby przepraszał.

- Pani Philippa Hunt.

Rozdział 14

Wtorek, 26 września

Dzień dziesiąty

Lodowata dłoń szarpnęła jej wnętrzności. Emma się zachwiała. Podłoga się przechyliła. Pokój rozbrzmiał i zawirował.

- Nie rozumiem - wydusiła. Jej wargi były jak sztywne, plastikowe usta maski. Odwróciła się do Rafe'a. - Twierdziłeś, że ten test jest wiarygodny.

- Tak myślałem. - Rafe był bladej jak ściana.

- Bo jest - wtrącił bliźniak Briana.

- On nie jest jej dzieckiem - rzuciła błagalnie Emma. - Gdzieś powstał błąd. Przecież na pewno da się coś zrobić.

Brian Hodgkiss kręcił głową.

- Jestem obywatelką brytyjską! - krzyknęła Emma. - Musicie mi pomóc.

- Przykro mi. - Hodgkiss był chłodny i sztywny. Jakby angażując się w tę sprawę, narobił sobie kłopotów. - Przykro mi. Nic nie możemy zrobić. Proszę jechać do domu. Zapomnieć o St-Bourdain. Może w Anglii czekają na panią wiadomości o dziecku.

- A nie dałoby się przeprowadzić testu z moim DNA? A jeśli to zbieg okoliczności? Przypadek?

- Nie sądzę, żeby to działało w ten sposób.

- Nie wyjadę stąd bez niego.

- Muszę panią ostrzec. Jeśli będzie pani dłużej nękać tę rodzinę, zostanie pani aresztowana.

- Więc mnie aresztujcie! Nie wyjadę. Porwę go, jeśli będę musiała.

Brian wymienił spojrzenie z kolegą.

- Nie radzę, pani Turner - powiedział. - Tak się składa, że rodzina dla bezpieczeństwa wyjechała do przyjaciół. Zamierzają na stałe opuścić tę okolicę. Ich dom wystawiono na sprzedaż.

- Wyprowadzają się stąd? - Emma zadrżała. - Dokąd? Brian milczał.

- Dokąd?! - Emma huknęła pięściami w biurko, aż podskoczyły długopisy i spinacze. Kątem oka dostrzegła, że kolega Hodgkissa szybko wyszedł z gabinetu. Większą część biurka zajmował duży pękaty monitor komputerowy. Emma położyła na nim ręce i zaczęła go ciągnąć.

- Roztrzaskam to o podłogę - ostrzegła. - Mówię całkiem poważnie. Wytłukę tu wszystkie okna. Nie wyjdę, dopóki mi pan nie powie.

Brian przyskoczył do niej, żeby przesunąć monitor na miejsce.

- Ściągniemy tu policję. Uprzedzam. Każę panią aresztować.

Kiedy Emma znów szarpnęła komputer, krzyknął:

- Pani Turner!

Spokojny głos Rafe'a dobiegł gdzieś z tyłu:

- Emma. Emma, posłuchaj.

- Daj mi spokój.

- Nic tu nie wskóramy. Chodź ze mną. Porozmawiamy o tym, coś wymyślimy.

- Daj mi spokój - powtórzyła Emma i się rozplakała. - Nie powinnam go była tam zostawiać, ale ty mnie zmusiłeś. Gdyby nie ty, już bym go odzyskała.

Rafe próbował wziąć ją za rękę. Puściła monitor, odwróciła się na pięcie i pchnęła go z całej siły w pierś.

- Zostaw mnie! - wrzasnęła. - Zostaw, zostaw, zostaw!

Pchnęła go jeszcze raz i zatoczyła się do tyłu, na biurko. W ostatniej chwili przytrzymała się, żeby nie upaść na podłogę.

- Panie Townsend, będę zmuszony... - wtrącił się Hodgkiss.

- Niech nam pan da minutkę! - zawołał Rafe. - Proszę.

I nagle, jakby nigdy nic, cała energia Emmy się wyczerpała, była jak ostatnie krople wody wyciśnięte z gąbki. Koniec, pomyślała Emma zaskoczona, że jej ulżyło. Jakby gąbka znów się rozprężyła, sucha i lekka. Już po wszystkim. A w niej pozostała tylko twarda kula - świadomość, że według nich ona kłamie albo oszalała, albo po prostu mają to gdzieś, bo na tym świecie jedni ludzie się liczą, a inni nie. Jedni mają władzę, a inni nie. Nie wiedziała, skąd się tę władzę bierze, i tego ktoś taki jak ona nigdy się nie dowie. Była nikim. Zawiodła Ritchiego. Teraz to do niej dotarło. Opadła na biurko, podpierając się rękami, ciężkimi jak wory piasku.

- Już dobrze - szepnęła. - Już dobrze.

- Wychodzisz? - zapytał Rafe.

- Tak.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie. Do środka wpadło paru rosnących mężczyzn; przyskoczyli do Emmy. Rafe uniósł rękę.

- Pani właśnie wychodzi - oświadczył zimno. - Dajcie spokój, co?

Brian widocznie dał im jakiś znak, bo się odsunęli.

- Okej, Emmo? - Rafe wyciągnął do niej rękę. Musiała się na niej oprzeć, by móc iść.

- To chyba pańska wina, że ona tu w ogóle jest - powiedział Hodgkiss do Rafe'a, kiedy go mijali. - W Londynie będzie się pan gęsto tłumaczył. - Podniósł głos: - Nie bez powodu pewne informacje są poufne, wie pan. Inaczej dzieją się takie rzeczy.

- Taaa - mruknął Rafe.

Ich samochód stał przed motelem. Rafe otworzył drzwi od strony pasażera i pomógł Emmie wsiąść.

- Poczekaj tu - rzucił, zamknął drzwi i wbiegł do motelu.

Emma pochylała się do przodu, aż dotknęła czołem deski rozdzielczej. Szary, chropowaty plastik rozmazał jej się przed oczami. Kilka minut później Rafe wrócił z ich bagażami. Czują, że zajrzał niespokojnie do auta, jakby się bał, że zniknęła, ale ona siedziała zgarbiona na fotelu, bezwładna i bezsilna. Wyjechali z miasta.

- Co chcesz teraz zrobić? - spytał miękko Rafe. - Jeśli zostać, zostanę z tobą. Ale nie wiem, co jeszcze moglibyśmy tutaj wskórać.

Słoneczniki, całe pola słoneczników. Ich nisko pochylone żółte głowy.

- Może pojedźmy na lotnisko - powiedział. - Wrócmy do domu. I zaangażujmy w to Ministerstwo Spraw Zagranicznych.

- Powiedziałam doktor Stanford, że chciałabym, żeby nie żył.

- Wiem. Opowiadałaś mi.

- Ale to nie wszystko. Było coś jeszcze gorszego...

- Ludzie mówią rzeczy...

- Powiedziałam jej, że chciałam zrobić Ritchiemu coś złego.

- Ale to nie było na poważnie.

- Jak najbardziej na poważnie. - Głos jej drżał. - Całkiem na poważnie.

- Poszłaś do swojej lekarki prosić o pomoc. - Zdenerwowany Rafe tłukł pięścią w kierownicę. - To normalne.

- Ja nie prosiłam o pomoc - odparła Emma. Zaczęła płakać, wijąc się na siedzeniu. - Ja zamierzałam go zabić.

- Ma - powiedział Ritchie tego dnia, kiedy zaczął chodzić.

Przeszedł niepewnie przez cały salon, wyciągając rączki, żeby utrzymać równowagę. Przydreptał do Emmy i objął ją.

- Ty bystrzaku! - Emma złapała go i zasypała pocałunkami jego puciołowatą buzię. - Jesteś najmądrzejszym chłopczykiem na całym wielkim świecie. - Ucałowała jego skronie, potem oczy, uszy, i w końcu ulubione miejsce tuż pod uchem. Ciągłe się do siebie uśmiechali.

Czasem jednak nadal raczkował - poruszał się wtedy szybciej.

Wszedł do kuchni i wcisnął sobie plastikową żółtą miskę na głowę.

- Aloo?! - krzyknął. - Aloo?

Uwielbiał sprzątać. Chował klocki do pudełka, sapiąc i stękając z wysiłku, jakim było ciągle otwieranie i zamykanie wieczka.

- Zostaw wieczko otwarte - poradziła mu Emma. Bywał naprawdę zabawny.

Niekiedy jednak ją wykańczał. Miała z nim pełne ręce roboty. Wiecznie był przy niej, wiecznie jej szukał i wybuchał płaczem, jeśli wyszła z pokoju choćby na sekundę. Kiedy była w toalecie, stał pod drzwiami i wołał: „Ma, ma”, dopóki nie wyszła. To bezustanne zawodzenie ją drażniło. Częściej się na niego złościła, nawet pokrzykiwała, aż w końcu przestawał jęczeć i patrzył na nią zdziwiony.

Przy wyrzynaniu zębów zaczęły się infekcje ucha, jedna po drugiej. Często budził się w nocy z płaczem i Emma musiała brać go do swojego łóżka, gdzie długo pochlipywał i się do niej tulił. Więc zabierała go znów do doktor Stanford, która mówiła, że to tylko wirus i że nie potrzeba innych leków. Emma się z nią nie zgadzała. Była pewna, że musi się dziać coś poważniejszego. Bo dlaczego tak marudził i do niej lgnął? Doktor Stanford się niecierpliwiła.

- Znowu tutaj, Emmo? - mówiła, ilekroć Emma siadała na krześle naprzeciw jej biurka. - Co tym razem?

Emma stwierdziła, że nie wiadomo dlaczego jest coraz bardziej zmęczona. Przestała zabierać Ritchiego na długie spacerzy; po prostu nie miała siły. Często spała w ciągu dnia, a Ritchie raczkował po pokoju, śmiejąc się do siebie. Nawet jego śmiech ją drażnił. Martwiła się, że jest taka zmęczona. Czasami, kiedy coś robiła - jadła kolację albo kołysała Ritchiego w wózku - załamywała się. Nie mogła wykonać żadnego ruchu. Dosłownie jakby przygniatał ją jakiś ciężar. Zastanawiała się nawet, czy nie jest chora. Urodzenie Ritchiego odbiło się na jej zdrowiu bardziej, niż się spodziewała. Był dużym dzieckiem, a ona - drobna. Przez ostatnie miesiące pojawiły się najróżniejsze problemy zdrowotne, jakich nie miała nigdy wcześniej: infekcje pęcherza, anemia, ból pleców. Nigdy nie przejmowała się szczególnie własnym zdrowiem, bo nie musiała. Ale, Jezu! Gdyby teraz się rozchorowała? Co by zrobiła z Ritchiem, na miłość boską?

Wpadła w obsesję na punkcie właściwego odżywiania się. Ona i Ritchie dostawali darmowe mleko, a ona zapełniała lodówkę puszkami fasolki, bo słyszała, że to zdrowe. Ziemniaki też - tylko je upiec. Kupowała chleb tostowy za czterdzieści sześć pensów, a wystarczał na cały tydzień. W przychodni dawano jej za darmo witaminy - starała się brać jedną pastylkę co rano. A jednak złapała infekcję gardła, która tak się nasiliła w ciągu kilku dni, że Emma ledwie mogła zwlec się z łóżka. W końcu wyzdrowiała, ale co się wy-denerwowała, to się wydenerwowała. Gdyby musiała iść do szpitala, co by się stało z Ritchiem?

Nie potrafiła przestać o tym myśleć.

A jeśli - aż jej się zimno robiło! - jeśli się przewróci, na przykład w łazience, złamie nogę i nie będzie mogła wstać? Kto zauważy, że się nie pokazuje, i przyjdzie sprawdzić, co się dzieje? Ritchie mógłby umrzeć tu z głodu, zanim ktokolwiek by się nimi zainteresował.

Dwudziesty ósmy sierpnia. Pierwsze urodziny Ritchiego. Słońce wlewało się do pokoju przez balkonowe drzwi. Emma ubrała synka w szorty i niebieską koszulkę z napisem „Super Surfer”. Ritchie krążył

przez jakiś czas po mieszkaniu, płacząc jej się pod nogami ze swoimi zabawkami, aż w końcu Emma posadziła go w wózku - niech się prześpi - i poszła sprzątać kuchnię.

Po chwili wyjrzała zza drzwi, żeby na niego popatrzeć. Spał; słońce oświetlało mu dolną połowę twarzy. Emma stała, ze ścierką w dłoni, i się mu przyglądała. Skończył dzisiaj rok! Kto by pomyślał? Głowa opadła mu do tyłu, chrapał cicho i sapał przez nos. Nawet teraz był taki śliczny. Podeszła i pogłaskała go leciutko po policzku, żeby się nie obudził.

- Wszystkiego najlepszego - wyszeptwała. - Moje prześliczne małe kochanie. - Postanowiła, że przynajmniej dzisiaj się zmobilizuje. - Pójdziemy kupić ci prezent. Coś naprawdę ładnego.

Po lunchu wsiedli do autobusu jadącego na King's Road; Emma nigdy nie robiła tam zakupów ze względu na wysokie ceny. Ritchie zawsze nosił tanie ciuszki ze straganów albo supermarketów. Dzisiaj, chociaż raz, kupi mu coś naprawdę porządnego.

Wysiedli z autobusu na Sloane Square i ruszyli King's Road na zachód. Emma dawno tu nie była. Wciąż się rozglądała, zdumiona. Jakie tu wszystko śliczne, kolorowe, czyste. Przechodnie tacy elegancy i piękni. Nastoletnie dziewczyny w szyfonowych bluzkach, ze sznurami koralu do pasa, odrzucały do tyłu lśniące włosy. Starsze kobiety - niektóre chyba trochę zwariowane - chodziły ulicą w gigantycznych ciemnych okularach, nosząc w torebkach maleńkie pieski. Starszy pan w mundurze obwieszonym medalami jechał chodnikiem na elektrycznym wózku inwalidzkim. Ludzie siedzieli przy fontannach na Duke of York Square, pili kawę, czytali, gawędzili. A sklepy! Boże, zapomniała o sklepach. Wszędzie gdzie spojrzała, fantastyczne, eleganckie ubrania, buty, biżuteria, torebki. Kiedyś traciłaby głowę na widok torebek. Ona i Joanne czytywały z nabożnym zachwytem plotki o takich, co to bili się między sobą, żeby dostać się na listy zamówień torebek za tysiące funtów. Teraz wydawało jej się to dziwactwem. Tyle pieniędzy za torebkę! To wręcz niemoralne.

No i sklepy z ubrankami dla dzieci! Czego tu nie mieli! Coś pięknego. W jednej z witryn, na wyściełanych wieszakach, wisiał rząd maleńkich pajacyków z białego kaszmiru. Emmę zaskoczył ich rozmiar. Czy Ritchie naprawdę kiedyś mieścił się w coś takiego? Teraz nie wcisnąłby w to nawet dużego palca u nogi. Spojrzała na ceny i znów przeżyła wstrząs. Kto, na Boga, dałby tyle pieniędzy za śpiochy? Na coś, co dziecko będzie nosić najwyżej miesiąc? Aż w końcu, na jednej z wystaw, na gigantycznym klocku z literkami zobaczyła śliczny błękitny polar na suwak. Zatrzymała się. Jak słodko Ritchie by w nim wyglądał. Obok suwaka był naszyty filcowy słonik o dużych, miłych oczach. Stał nad sadzawką i z uśmiechem polewał się wodą. Ritchie będzie zachwycony! Ale polar był już za ciepły na tę porę roku. Emma się zastanowiła. Biorąc pod uwagę cenę, polar będzie o wiele lepszym nabytkiem niż letnie ubranka. Przecież Ritchie tak często nosił tej zimy swój czerwony kombinezon. Właściwie z niego nie wychodził. Gdyby kupiła polar w trochę większym rozmiarze - na przykład na osiemnaście miesięcy, a nie na dwanaście - wystarczyłby mu na całą zimę. Nosiłby go praktycznie bez przerwy. Taki wydatek miałby sens.

W sklepie wyjęła Ritchiego z wózka, żeby przymierzyć polar. Uśmiechnął się do niej spod kapturka, który spadał mu na oko.

- Ślicznie wygląda - zagruchała wysoka wyperfumowana sprzedawczyni. One zawsze tak mówią, żeby skłonić klientki do zakupów, ale w tym przypadku dziewczyna miała rację. Ritchie wyglądał uroczo.

- Teraz jest na niego za duży - powiedziała dziewczyna - ale kiedy przyjdą chłody, będzie w sam raz. - Uśmiechnęła się do Emmy. Miała na sobie długą jedwabną bluzkę wypuszczoną na lniane spodnie, a jasne, prawie białe włosy sięgały jej do pasa. Na plakietce na piersi widniało imię „Ilona”. Emma odwróciła oczy. Wiedziała, że powinna odwzajemnić uśmiech, ale czuła się, jakby dwie niewidzialne dłonie na policzkach ciągnęły jej twarz w dół. Kiedy ktoś się do niej odzywał, doznawała wręcz wstrząsu i musiała brać się w garść, żeby odpowiedzieć. A gdy odpowiadała, jej głos brzmiał dziwnie nisko. Widziała, jak ludzie na nią patrzą. Łatwiej było nie wdawać się w rozmowy, nie nawiązywać żadnego kontaktu.

Kiedy dziewczyna pakowała polar w błękitną bibułę, Emma czekała przy ladzie i patrzyła, jak Ritchie krąży po sklepie, oglądając zabawki. Chodzenie wciąż było świeżą umiejętnością; trzymał się na nogach trochę niepewnie i często przewracał. Stanął przed czerwoną plastikową ciężarówką z czarnymi kołami i siedzeniem pośrodku. Chwycił rączkę z tyłu auta i popchnął je. Pojechało.

- Ma! - Odwrócił się zachwycony, żeby sprawdzić, czy to widziała.

- Jest śliczna - powiedziała do niego Emma.

Ekspedientka wiązała właśnie niebieską kokardę na paczce z polarem. - Ale musimy już iść.

Ritchie nie słuchał. Pchnął ciężarówkę jeszcze raz.

- Podoba ci się, co?! - zawołała do niego ekspedientka.

- Chodź, Ritch. - Emma wzięła go za rękę.

Ritchie zawył, próbując się wyrwać. Rozpaczliwym gestem wyciągnął drugą rękę do ciężarówki i jęknął.

- Biedactwo - rozculiła się Ilona. - On się chce tylko pobawić.

Emma się nie odezwała. Jeszcze raz szarpnęła Ritchiego za rękę i posadziła w wózku. Wzięła paczkę z lady, otworzyła drzwi sklepu i wytoczyła wózek na ulicę. Szła przed siebie, wściekła na ekspedientkę i na synka.

- Dlaczego się tak zachowywałaś? - rzuciła ostro.

Nigdy przedtem się nie zdarzyło, żeby nie zrobił tego, co mu kazała.

Ritchie milczał; siedział smutny, z wypiekami na buzi. Emma szła, nie zwracając uwagi, że kogoś potrąci wózkiem. Och, ta zadufana krowa w sklepie, ze swoimi jedwabnymi ciuchami i długimi kudłami.

Pokonała całą King's Road. W końcu, kiedy się uspokoiła, zawróciła do sklepu.

- Proszę nie pakować - burknęła, kiedy ekspedientka brała kolejny wielki arkusz bibułki, żeby owinać ciężarówkę.

Na dworze Emma przywiązała ciężarówkę do wózka kawałkiem sznurka i ciągnęła ją całą drogę na przystanek. O tej porze z nieba lał się skwar; autobus buchnął jej spalinami prosto w twarz. Emma była zmęczona i chciała już tylko się położyć.

Zanim dotarli do domu, Ritchie całkiem zapomniał o ciężarówce. Kiedy znów ją zobaczył, w windzie, buzia mu pojaśniała.

- A-ha-ha-ha! - zawołał. - A-ha-ha-ha!

W salonie popychał ciężarówkę za rączkę, drepcząc za nią chwiejnie. Emma pokazała mu, jak w niej usiąść. Sprawilo mu to taką przyjemność, że znenawidziła samą siebie na wspomnienie sceny w sklepie. Jak mogła nie chcieć mu kupić autka? Poszła po aparat fotograficzny.

- Uśmiechnij się do mamusi - powiedziała.

Uśmiechnął się. Znów byli przyjaciółmi. Siedział w ciężarówce i śmiał się do niej tym swoim uśmiechem Olivera. Emma pstryknęła zdjęcie.

Kilka dni później obudziła się przed świtem, jak jej się to często zdarzało, i zagapiła posepnie na długie pęknięcie na suficie. Czy ona i Ritchie już zawsze będą tutaj mieszkać? Chciała tu zostać krótko, dopóki się nie zorganizuje, ale oto minął rok, a oni się stąd nie wyprowadzili. Czy tutaj będzie wychowywać Ritchiego? Czy jego wspomnieniami z dzieciństwa będą te pomazane graffiti ściany, ten ponury widok z okna?

Nie cierpiała tego miejsca. To okropne żyć z zasiłków, musieć mieszkać tam, gdzie człowiekowi każą. Nie mieć wyboru, nic do powiedzenia, żadnych możliwości. Nie mogła winić o to pracowników opieki społecznej; byli bardzo pomocni, ale wiedziała, co na pewno sobie myślą: ot, kolejna samotna matka oskubująca system. Własna matka by się jej wstydziła. Ona nigdy nie wzięła ani grosza od państwa, tak jak i babcia, zanim przeszła na emeryturę.

Ale jeśli znajdzie pracę, stać ją będzie na opiekę dla dziecka? A jeżeli zacznie tak dobrze zarabiać, żeby przeprowadzić się do ładniejszego mieszkania, a potem się rozchoruje i nie będzie mogła pracować? Z czego opłaci czynsz? Tu przynajmniej było tanio. Ale brzydziła ją myśl, że miałyby tu mieszkać już zawsze.

W pokoju robiło się jasno. Ritchie niedługo się obudzi. A ona tyle spraw ma na głowie. Musi ubrać i nakarmić Ritchiego. Zrobić pranie, czyli pójść do wspólnej pralni w piwnicy, z ciuchami i proszkiem do prania. Załadować pralkę. Wrócić za godzinę i przełożyć wszystko do suszarki. Zabrać rzeczy i przynieść je z powrotem do mieszkania. Dać Ritchiemu lunch. Wybrać się do sklepu po pieluchy, mleko, płatki śniadaniowe i banany. Umyć gary. Sprzątnąć kuchnię.

Leżała dalej, z bolesnym pulsowaniem w skroniach.

Ritchie obudził się o siódmej i ze śmiechem zawisł na szczebelkach łóżeczka. Emma westchnęła i wstała, żeby go wziąć. Gdyby tego nie zrobiła, zaraz by się rozplakał.

Boże, ależ była strasznie zmęczona. Czula się fatalnie. Po prostu fatalnie. Nakarmiła Ritchiego, wkładając mu płatki do buzi jedną ręką, a drugą podpierając podbródek. Zagapiła się na okruchy na podłodze. Przydałoby się poodkurzać. Wszystkie ciuszki Ritchiego były w worku na pranie, więc ubrała go w spodnie z plamą szpinakowej zapiekanki na nogawce. Nie chciał dać sobie włożyć bluzy.

- Graaagh. - Wyjątkowo dziś rozrabiał, potrzebował mnóstwo uwagi.

Emma przytrzymała go między kolanami i siłą wciągnęła mu bluzę.

- A teraz się ucisz - nakazała - i pozwól mi się ubrać.

Nie będzie się teraz kąpać. Musiałaby wsadzić Ritchiego z powrotem do łóżeczka, a on stałby tam i wrzeszczał przez cały czas. A poza tym, kto ją będzie oglądał? Pójdzie tylko do Sainsbury's. Wciągnęła na dres wełniany sweter i związała włosy frotką. Wsunęła stopy w klapki. No. Wygląda okej.

W windzie przekonała się, że jest inaczej. W lustrze zobaczyła, że ma łupież we włosach i żółte zęby. Kiedy drzwi się zamykały, wysoki głos zawołał:

- Zaraz! Zaraz.

Drzwi rozsunęły się i do windy wbiegła sąsiadka, Rosina Alcaez, świeża i schludna w błękitnym stroju pielęgniarki.

- Dziękuję, dziękuję - wydyszała. - Bardzo przepraszam.

Uśmiechnęła się do Ritchiego.

- Jak się miewasz? - zapytała. - Nie odwiedziłeś mnie.

Emma zamierzała do niej pójść, ale Rosina ciężko pracowała. Emma nie chciała wpaść w nieodpowiedniej chwili, kiedy Rosina czułaby się zobowiązana ich przyjąć, chociaż wcale by jej to nie pasowało. A zresztą im więcej czasu mijało, tym trudniej przychodziło Emmie rozmawiać z kimś obcym.

Rosina patrzyła na nią jakoś dziwnie. Emma odwróciła głowę, skrępowana swoimi nieumytymi włosami. Rosina gapiła się dalej. Emma wolałaby, żeby dała jej spokój i pilnowała własnego nosa.

- Dobrze się pani czuje? - spytała Rosina nieśmiało.

- Tak - odparła krótko Emma.

Winda podskoczyła, zatrzymując się na parterze. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, Emma przepchnęła wózek przez próg i szybko odeszła.

Nim znalazła się na ulicy, nie czuła już kuli w gardle.

W Sainsbury's nie podnosiła wzroku, żeby uniknąć rozmowy z gadatliwym hinduskim kasjerem. W drodze do domu przystanęła przy bankomacie, aby sprawdzić stan konta.

Jej portfela nie było w torebce.

Emma przeszukała ją jeszcze raz, żeby się upewnić. Przegrzebała kieszenie, wózek i wszystkie reklamówki z zakupami.

- No świetnie - jęknęła.

Widocznie zostawiła portfel w Sainsbury's. Wróciła więc do sklepu.

- Nie zostawiłam tu portfela? - spytała kasjera.

Obsługiwał inną klientkę, kobietę w różowym poncho; spojrzała ze złością na Emmę.

- Portfela, proszę pani?

- Tak. - Emma była zbyt zaniepokojona, żeby silić się na grzeczność. - Mój portfel. Miałam go w rękach, kiedy płaciłam tu za zakupy. Niecałe piętnaście minut temu.

- Zaraz sprawdzę. - Kasjer przeszukał całe stanowisko i podłogę. - Nie znalazłem - powiedział, wynurzając się spod blatu. - Przykro mi.

Cholera. Miała tam czterdzieści funtów w gotówce. Tydzień jedzenia dla niej i dla Ritchiego. Może upuściła go na ulicy. Wróciła tą samą drogą do bankomatu, rozglądając się po chodniku. Nic. Jeszcze raz przekopala wszystkie torby i kieszenie. W końcu wyjęła komórkę. Trzeba zablokować zgubioną kartę.

- Witamy w biurze obsługi klientów, witamy w biurze obsługi klientów, witamy w biurze obsługi klientów - wyrecytował głos w słuchawce.

- Eee... trzy... - Emma się zawahała. - Nie, zaraz... - Trzy czy osiem? Przecież znała ten cholerny numer na pamięć. Dlaczego nagle nie umiała go odtworzyć?

- Nie mogę sobie w tej chwili przypomnieć.

- W takim razie nie mogę pani pomóc, przykro mi - powiedział śpiewnie głos.

- Ale ja muszę zablokować kartę - zaprotestowała Emma. - Chyba została skradziona.

- Muszę znać numer.

- Podam pani nazwisko. I adres mojego oddziału w Bath. Klekot klawiatury w słuchawce, i:

- Przykro mi. Taki oddział nie figuruje w naszej bazie danych.

- Ależ musi być. - Co za nonsens; Emma omal się nie roześmiała. - Mam tam konto od piętnastego roku życia.

- Jaki jest kod bankowy?

- Nie wiem. Dobrze, proszę mnie połączyć z moim oddziałem; załatwię to bezpośrednio z nimi.

- Nie łączymy rozmów, proszę pani. A poza tym taki oddział u nas nie figuruje.

Emma przycisnęła guzik „rozłącz”. Głupia krowa. Postanowiła, że pójdzie do oddziału na High Street i załatwi to z żywym człowiekiem.

W banku podeszła do stanowiska obsługi klienta, przy którym dziewczyna o egzotycznej urodzie zdejmowała sobie jakieś paproszki z rękawa kostiumu.

- W czym mogę pomóc? - Obejrzała paproszek między palcem wskazującym a kciukiem.

- Chcę zgłosić kradzież karty bankomatowej - powiedziała Emma.

- Próbowała pani przez infolinię?

- Tak, próbowałam. Bezskutecznie. Dlatego przyszedłam tutaj.

Dziewczyna głęboko westchnęła i sięgnęła do klawiatury.

- Numer konta?

- Nie pamiętam - odparła Emma. - Ale mogę podać adres mojego oddziału, mój własny adres, datę urodzenia i wszystkie hasła, dać też wzór podpisu...

- Musimy znać numer konta.

- Niech pani posłucha. - Emma z trudem panowała nad sobą. - Gdybym wiedziała, że zginie mi dzisiaj karta, miałabym numer przy sobie, tak? Ale że go nie mam i nie chcę, żeby ktoś inny użył mojej karty, robię wszystko co w mojej mocy, żeby ją zablokować. Tyle że nikt z was nie jest w najmniejszym stopniu

zainteresowany udzieleniem mi w tym pomocy. Nie. Znam. Numeru. Konta - wycodziła. - Niech pani to załatwi. Od tego pani jest.

Mówiła coraz bardziej podniesionym głosem. Nagle pojawiło się dwóch mięśniaków w niebieskich koszulkach i ustawiło po obu bokach dziewczyny.

- Wszystko w porządku? - zapytał jeden z nich.

W kolejce do kasy odwracały się głowy. Ritchie zaczął pociągać nosem.

Emma, roztrzęsiona, popchnęła wózek i wyszła z banku.

Wiedziała, że powinna wrócić do mieszkania i sprawdzić numer, ale była jeszcze zbyt wściekła, żeby z kimkolwiek rozmawiać. Skierowała się więc ku rzece - musi się uspokoić.

Pod mostem Hammersmith kilku nastoletnich chłopaków w szkolnych strojach popychało się nawzajem na mur i głośno śmiało. Ścieżką nad rzeką w stronę Emmy szedł jakiś facet. Nawet z tej odległości widziała, że coś jest nie tak z jego twarzą. Jedno oko było niżej niż drugie, skóra na policzku czerwona jak wielka blizna.

Kiedy zbliżał się do chłopców, zaczęli szturchać się łokciami i ucichli. Coś złego wisiało w powietrzu. Mężczyzna doszedł do mostu, a wtedy jeden z grupki, chłopak z niskim czołem pochylił się i mruknął do kolegów coś, czego Emma nie usłyszała. Zaczęli chichotać.

- Przepraszam - odezwał się grzecznie mężczyzna. - Ale nie rozumiem, czemu używacie takich słów.

- Coś ty powiedział? - Chłopak z niskim czołem się wyprostował. Podszedł do tego człowieka i spojrzał mu w twarz. - Ty mutancie. Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Mężczyzna szybko się oddalił.

- Pieprzony mongol! - krzyknął za nim chłopak. - Tacy jak ty nie powini pokazywać się na ulicy.

Mężczyzna udał, że tego nie usłyszał. Z godnością szedł dalej, aż skręcił za róg. Ale Emma poczuła nagły przypływ furii i nienawiści, tak gwałtownych, że aż zacisnęła szczęki. Chciała pobiec tam i wałnąć chłopaka w twarz. Naprawdę go stłuc; złamać mu nos; pchnąć go przez mur do rzeki i oby się nadział na jakiś zardzewiały pręt.

Zawróciła jednak, wtoczyła wózek po rampie na ulicę i skierowała się w lewo, byle odejść stąd jak najszybciej. Przestań, Emmo! Co się z tobą dzieje, na Boga? Lecz gniew przybierał na sile, puchł w niej, w końcu dostała mdłości. Czy w takim świecie ma dorastać Ritchie? Czy takich ludzi spotka na swojej drodze? A może któregoś dnia sam taki się stanie?

Na środku mostu próbowała ochłonać. Położyła dłoń na poręczy. Rzeka kłębiła się wokół niej. Emmie zakręciło się w głowie.

- Nie liczysz się - usłyszała. - Jesteś niczym.

Podskoczyła i się rozejrzała. Kto to powiedział? Chodnik był pusty. Wyjrzała przez barierkę. Tamizę siekł drobny deszcz. Miliony małych kręgów prześlizgiwało się pod nią, niesionych po powierzchni, czarnej i oleistej.

Emma patrzyła na wodę; owładnęło ją dziwne przeczucie. Bardzo silne. Wszyscy umrzemy.

Nie tylko ona, ale wszyscy. Wszyscy w Londynie. Nawet Ritchie, jej najdroższy na świecie skarb. To było równie pewne jak to, że tutaj stała. To piękne, wielkie, zachłanne miasto legnie w gruzach, jak legło w gruzach Imperium Rzymskie. Wybuchnie nienawiść, wrzaski i rzeź, a potem pozostaną tylko cisza i nieskończona woda.

Złowroga obecność, niezwykle wyraźna, zakradła się ku niej po moście. Otoczyła ją, gęstniejąc jak dym. Przerazona Emma odepchnęła od siebie wózek z Ritchiem, jakby chciała uchronić go przed złem.

Znów ten głęboki głos:

- Jesteś do niczego. Zawiedziesz go.

- Kto to mówi?! - wrzasnęła Emma. - Gdzie jesteś?

- Wynoś się stąd - wysyczał głos.

Emma złapała wózek i popędziła przed siebie po płytach. Kiedy oddaliła się od rzeki, poczucie złej obecności osłabło, ale strach przed nią nie. Trzęsła się tak bardzo, że wózek klekotał, gdy go pchała.

Tego wieczoru Ritchie nie chciał jeść swojego purée z makaronu i pomidorów. Emma nie próbowała go zmuszać. Siedziała otępią na kanapie, z talerzem fasolki na kolanach. Malec był w świetnym humorze. Uparcie próbował wciągnąć Emmę do zabawy swoim zestawem plastikowych narzędzi. Prosił, żeby mu pokazała, jak przepchnąć młotkiem kulkę przez dziurę. Kiedy kulka przechodziła, zabawka dzwoniła, ding, ding, ding. Uwielbiał to.

- Cicho bądź! - wybuchnęła Emma.

Serce wciąż biło jej bardzo szybko; czuła się tak, jakby w piersi miała tysiąc palców, które usiłują się przebić na zewnątrz. Nie mogła przestać myśleć o rzece. O chłopakach, którzy szydzili z mężczyzny z poparzoną twarzą. O tym dziwnym głosie na moście. O przeczuciu zła. Wciąż czytuje się w gazetach o terrorystach, o globalnym ociepleniu, o grypie. Gdyby coś takiego się wydarzyło, przetrwałyby właśnie takie indywidua jak ci chłopacy. Nie ona czy Ritchie, ale ludzie silni, twardzi i bezwzględni.

Ritchie stanął obok niej. Uśmiechnięty wcisnął jej swój zestaw narzędzi na kolana. Talerz się przechylił i fasolka wylądowała na wykładzinie. Emma zerwała się z kanapy.

- Odczep się! - krzyknęła.

Pchnęła go, i to naprawdę mocno. Przez sekundę czuła ślełą furję. Myślała o nim, na litość boską. O tym, co z nim będzie, jeśli coś jej się stanie. Czy nie powinien być za to choć trochę wdzięczny?

Ritchie poleciał do tyłu i wylądował na pupie. - Nic sobie nie zrobił? Spojrzała, żeby się upewnić. Siedział z otwartą buzią i wybaluszonymi oczami, zaskoczony i przestraszony.

Emma odwróciła się. Uklękła i zaczęła zgarniać widelcem fasolkę na talerz. Po kilku sekundach, kiedy Ritchie wciąż nie wydał z siebie żadnego dźwięku, żadnego pisku oburzenia, znów na niego popatrzyła. Miał wysuniętą dolną wargę. I płakał. Nie głośno, jak zwykle, ale w milczeniu. Łzy płynęły mu po policzkach.

- Och, Ritchie. - Emmie omal serce nie pękło. - Chodź tutaj.

Wyciągnęła do niego rękę, ale nawet się nie poruszył. Łzy popłynęły szybciej. To do niego niepodobne. Zaniepokojona Emma zostawiła fasolkę i podeszła, żeby wziąć go na ręce. Był sztywny w jej ramionach, tarł oczy piąstkami, wykręcając głowę, jak najdalej od niej.

- Ritchie. Przepraszam. Co się z nami dzieje? Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?

Później, kiedy już spał, zajrzała do niego. Żółte światło z przedpokoju padało na jego łóżeczko. Oparła się na poręcz i obserwowała go. Leżał na plecach, z jedną pulchną rączką odrzuconą za głowę. Jego oddech drżał od płaczu. Policzki miał mokre. Wydawał się taki nieszczęśliwy.

Emma poczuła ból w piersi.

Co się z nią dzieje? Co to za harpia, w którą się zmieniła? Nigdy się tak nie zachowywała. Miała przyjaciół. Była normalna. A teraz? Nikogo nie obchodziło, czy żyje, czy umarła. Bezwartościowa nieudacznica. Okropna dla swojego małego synka.

Rozebrała się i wyciągnęła na łóżku, ale nie mogła spokojnie leżeć. W każdej pozycji było jej niewygodnie. Wierciła się i kręciła; czuła się dziwnie, jakby oblaży ją muchy. Przeciągała dłońmi w górę i w dół po skórze, próbując to z siebie zgarnąć - tę odpowiedzialność.

- Pomocy! - wrzasnęła. - Pomóżcie mi!

Krzyk odbił się echem od ścian i zatracił w ciszy. Emma, wstrząśnięta, przycisnęła ręce do ust.

Ritchie poruszył się w łóżeczku.

Emma leżała, wciąż z dłońmi na ustach, przerażona.

Wtorek, 26 września

Dzień dziesiąty

Mieszkanie było zimne i nieprzyjemnie w nim pachniało. Emma rzuciła paszport i klucze na stół. Stała, nie zdejmując polaru, z opuszczonymi rękami.

- Poradzisz sobie? - zapytał Rafe.

Wyciągnął krzesło spod stołu. Podsunął jej i zaczekał, aż usiadła.

- Jemu jest lepiej beze mnie - powiedziała głucho. - Nie zasługuję, żeby być jego matką.

- Oczywiście że zasługujesz. Oceniasz się zbyt surowo, Emmo. Walczyłaś z tyłoma przeciwnościami.

- Nie zasługuję na niego - powtórzyła. - Nie chciałam tej odpowiedzialności. Tak czy owak, już po wszystkim.

Nie musiała się już o niego martwić. Teraz nareszcie ktoś zadba o jej synka. Będzie mu dobrze. Rafe kucnął przy niej.

- Nie poddawaj się. Możesz jeszcze mnóstwo zrobić. Są jeszcze inne tropy.

- Jakie inne tropy?

- Policja wspominała chyba, że ktoś go widział w Manchesterze, tak? Że ktoś widział chłopca podobnego do Ritchiego? Ciągłe to sprawdzają, zgadza się?

Potrzebowała paru sekund, żeby zrozumieć. To osobliwe uczucie, kiedy człowiek myśli, że dotarł już na sam dół schodów, ale został jeszcze jeden stopień, którego nie zauważył, i gdy robi krok, trafia w pustkę.

Wyprostowała się.

- Ty nie wierzysz, że on jest mój - wydusiła.

Rafe nie patrzył jej w oczy.

- Ty mi nie wierzysz. - Emma była w szoku. W ciężkim szoku. Kiedy wracali do domu, Rafe niemal się nie odzywał. Sądziła, że to reakcja na jej historię o wizycie u doktor Stanford. Mimo to wciąż była przekonana, że on stoi po jej stronie. Ale teraz stało się jasne, że nawet dla Rafe'a, takiego wyrozumiałego i życzliwego, istniały pewne granice, i ona, mówiąc mu, co powiedziała doktor Stanford, je przekroczyła.

Rafe się spieszył.

- Nie chodzi o to, że ci nie wierzę. Wiem, ty myślisz, że to on. Wiem, że jesteś o tym przekonana. Tyle że... - Westchnął. - Ten test DNA... Trudno go kwestionować. Może powinniśmy spojrzeć w oczy faktom.

Emma nie wierzyła własnym uszom. Myślała, że jest trochę bystrzejszy. Przecież musiał sobie zdawać sprawę, co się stało?

- Ona sfalszowała ten test - oświadczyła. - Udało jej się podmienić próbki.

Rafe pokręcił głową.

- Widziałem, jak się robi takie testy. To bardzo ścisła procedura. Kiedy próbki zostaną pobrane, wkłada się je od razu do torebki, pieczętuje i wysyła do laboratorium. Postępuje się tak właśnie po to, żeby nikt nie mógł ich podmienić.

Emma też kręciła głową.

- Czy to możliwe - nalegał Rafe - że ten chłopczyk jest tylko podobny do Ritchiego? Że mogłaś pomyśleć, że to on, bo tak bardzo chciałaś, żeby to był on?

- Nie - odparła Emma. - Wykluczone.

Rafe westchnął.

- Za parę dni mam samolot do La Paz - powiedział.

- Wsiądź do niego. Nie rezygnuj przeze mnie.

- Nie o to mi chodziło.

I nagle powiedział coś dziwnego.

- Może polecisz ze mną?

- Słucham? - Emma wybałuszyła oczy.

- No cóż - ciągnął Rafe, jakby się usprawiedliwiał. - Jeśli ten chłopiec we Francji to Ritchie, to wiesz, że jest bezpieczny. Twierdziłaś, że twoim zdaniem na niego nie zasługujesz, bo odpowiedzialność

cię przerosła. Teraz masz szansę odpocząć. Pojedź ze mną na jakiś czas. A kiedy wrócisz, spróbujesz na nowo.

- Spróbujesz... - Emma nie mogła uwierzyć w to, co słyszy. Co on pieprzy? Ma z nim jechać na wakacje? Czy on zwariował? Spojrzała na niego jeszcze raz ze skamieniałym sercem i zobaczyła to, co powinna była zobaczyć od początku: młodego, wolnego, obcego faceta w niebieskiej wiatrówce, który chce zwiedzić z plecakiem świat. To, co się działo... Jakaż to musiała być dla niego przygoda. Prawdziwy dramat, jakby poszedł do kina na thriller. Przerwa w jego codziennym... jak on to określił? Szukaniu siebie. Otworzyła się między nimi niezmiernie przepaść - był już tylko kropką po drugiej stronie. Wielka szkoda. Emma dziwiła się, że jeszcze w ogóle coś czuje, ale czuła; i to bolało - kolejna lodowata, bolesna strata.

- Przykro mi - odparła zimno. - Ale nie mogę sobie jechać na wakacje, kiedy mojego synka porwano. Nie mogę „odpocząć” od niego, zacząć nowego życia, w którym jego nie będzie... Nie zrobię tego... Nigdy bym...

Głos jej się załamał. W tej chwili nie potrafiła nawet zachować racjonalnego dystansu. Zostało tylko to, co czuła: głęboka rozpacz, że wszystko, wszystko potoczyło się tak fatalnie.

Rafe kiwał głową z dziwnym wyrazem twarzy.

- Okej - powiedział. - Okej.

Nie próbował jej więcej namawiać. Wychodząc, cicho zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 15

Środa, 27 września

Dzień jedenasty

- Zmiana planów. Wyjeżdżam jutro - oświadczył Rafe.

Emma miała spuchnięte i obolałe powieki. Musiała wyjść z łóżka, żeby odebrać telefon. Mrużąc oczy, spojrzała na zegarek. Po szóstej. Głosy ludzi i szum samochodów na ulicy. Więc chyba szósta wieczorem, a nie rano.

- Przykro mi - odparła ochryłym nosowym głosem, jakby była przeziębiona. O czym to oni rozmawiali? - Co powiedziałaś?

- Wyjeżdżam jutro rano - powtórzył Rafe. - Mam samolot o siódmej. Wcześniej niż się spodziewałem, ale trafiła mi się robota za granicą i nie mogłem odmówić.

Emma milczała.

- Wygląda na to, że już się chyba nie zobaczymy przed moim wyjazdem.

- Nie.

- Poradzisz sobie? - zapytał.

- Tak. Dziękuję.

- Odezwę się - obiecał.

- Uhm.

Wczołgała się z powrotem do łóżka. Nie odezwie się. I nie miała mu tego za złe. Ritchie nie był jej dzieckiem. Pora, żeby Rafe zaczął żyć własnym życiem.

Lindsay rozmawiała z Emmą o jej wyjeździe do Francji.

- Skąd pani wzięła adres Huntów? - zapytała. Emma nie odpowiedziała.

- Wie pani, że nie wolno pani znów tego zrobić - ostrzegła Lindsay. - Może pani ściągnąć na siebie poważne kłopoty.

Emma ignorowała ją. Siedziała z głową opartą o kanapę i patrzyła w sufit. Teraz mogli z nią zrobić, co chcieli. Już jej to nie obchodziło.

W ciągu następnych kilku dni przez mieszkanie przewinęło się trochę ludzi. Była pracownica opieki społecznej, Ziba - czy jakoś tak - cała ubrana na czarno, jakby wybierała się na pogrzeb. Niejaki doktor Hughes w granatowym garniturze w prążki. Doktor w kółko pytał ją, jak się czuje, a ona powtarzała, że jest bardzo zmęczona, ale nie może spać. Powiedział, że da jej coś bardzo łagodnego, co pomoże na bezsenność.

- Zgodziłaby się pani pójść do szpitala? - zapytał. - Tylko na trochę? Żeby odpocząć?

- Jak pan uważa.

Zapisał coś na kartce. Znowu notatki. U lekarzy i na policji nazbierało się już niemało jej akt.

- Porozmawiamy o tym jeszcze - uprzedził.

Ktoś zapukał do drzwi mieszkania. Kiedy Emma otworzyła, zobaczyła pielęgniarkę w niebieskim uniformie. Spała, dopóki nie obudziło jej pukanie, i przez chwilę nie bardzo wiedziała, gdzie jest. Więc jednak w szpitalu? Ale pielęgniarką była Rosina Alcares; trzymała w rękach plastikowy pojemnik pachnący przyprawami.

- Przepraszam - powiedziała speszona. - Mam nadzieję, że pani nie gniewać się, że przyszedłam. Idę do pracy, na nocna zmiana; przyniosłam pani coś do jedzenia.

Wyciągnęła pojemnik w stronę Emmy.

- Ryba. Z ryżem i imbirem. Bardzo ładne. I niezwykle pożywne.

- Dziękuję. Ale nie jestem głodna - oświadczyła Emma.

- To filipiński jedzenie - wyjaśniła Rosina. - Nie wszystkie to lubią. Jeśli pani woli, przynieść coś po angielsku?

- Nie. Naprawdę. Dziękuję.

- Okej. - Rosina kiwnęła głową. - Przepraszam, że panią niepokoję. Już sobie iść. - I odwróciła się.

Emma najbardziej na świecie chciała zamknąć drzwi i znów położyć się do łóżka. Ale ugodowość Rosiny, która przecież, nieproszona, z troski przygotowała posiłek, ją rozbroiła.

Z wysiłkiem powiedziała do pleców Rosiny:

- Jak się miewa pani córeczka?

Rosina spojrzała na nią i jej okrągłą twarz rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze - powiedziała z radością. - Urosła taka duża. Mam kilka zdjęć, co mi przysłali ostatnio...

Urwała i spuściła wzrok.

- Wszystko w porządku - zapewniła Emma. - Sama zapytałam. Chętnie o niej posłucham.

Rosina poprawiła pasek torebki na ramieniu i wpatrywała się w pojemnik.

- Ma pani jakieś zdjęcia przy sobie? - spytała Emma.

- Jedno. Ale nie szkodzi, jak pani...

- Proszę. - Emma otworzyła szerzej drzwi. - Proszę. Chciałabym je zobaczyć.

Rosina usiadła na kanapie, poszukała zdjęcia w torebce i podała je Emmie. Z fotografii uśmiechnęło się do niej dziecko, mniej więcej półtoraroczne. Dziewczynka. Miała ciemne oczy i okrągłe, rumiane policzki. Była ubrana w białą bluzkę lub sukienkę, w każdym razie coś białego okalało jej szyję. Wyglądała jak rudzik na śniegu.

- Jest śliczna. - Łzy popłynęły Emmie po twarzy. - Naprawdę śliczna.

Rosina się zdenerwowała.

- Nie powinna pani pokazać.

- Nie, nie. - Emma otarła dłonią policzki. - Cieszę się, że pani to zrobiła.

Ale Rosina była coraz bardziej poruszona.

- Powiedziała im, powiedziała, że pani powinna iść na szpital - oświadczyła z przejęciem. - Pani nie powinna tu siedzieć sama. Policja mówi, och, to zależy od ten i ten, zawsze na innej osoby zależy, żeby co zorganizować. Ten doktor Hughes, co tu był, ja go znam ze szpitala. Spotkałam go na korytarzu i mówię mu, proszę, niech pan wróci i jeszcze ją zobaczy. Ona taka nieszczęśliwa. A on: Och, więc teraz ty doktor, i będziesz mi mówić, co robić.

Emma słuchała, zdumiona, że Rosina tak bardzo interesowała się jej losem. Ta nieśmiała cicha sąsiadka próbowała tyle dla niej zrobić, nie spodziewając się ani podziękowań, ani uznania.

- Jest pani naprawdę bardzo miła - powiedziała. Jeszcze raz wytarła twarz. - Że tak bardzo chce mi pani pomóc. Ale nic mi nie będzie.

- Pani pewna?

- Tak.

Emma poczuła się bardzo zmęczona. Dotknęła policzka dziewczynki na zdjęciu i wyszeptała:

- Nie pytałam nawet, jak ma na imię.

- Estela.

- Estela. Ślicznie.

- To znaczy Gwiazda. - Rosina się zawahała. - Jak pani chce, mogę zostawić to zdjęcie pani. - Jej oczy znów były niespokojne, znów bała się, że może zrobiła czy powiedziała coś nie tak. - Ale tylko jak pani chce.

- W takim razie zatrzymam je z przyjemnością.

Postawiła zdjęcie Esteli na niskim stoliku telewizyjnym, obok zdjęcia Ritchiego. Dwa maluchy uśmiechały się do siebie.

- Któryś dzień się spotkają. Wiem to. - Teraz i Rosina miała łzy w oczach. Przysunęła się bliżej i jej ramię otarło się o ramię Emmy. Emma się nie odsunęła.

Niebo nad balkonem było ciemne. Na wschodzie, nad wieżowcem, błyszcząły gwiazdy. Dwie matki siedziały, dotykając się łokciami, i patrzyły w milczeniu na swoje dzieci.

Któregoś dnia, kiedy Emma obudziła się, w mieszkaniu panowała niczym niezmacona cisza. Żadnych sąsiadów. Żadnych głosów. Nikogo w całym bloku.

Leżała; unosiła się, z rękami i nogami rozrzuconymi na łóżku. Dryfowała w nicości, w wielkiej białej kuli próżni. Bolała ją głowa - tyle czasu w łóżku. Ale nie chciała wstać. Ani spać. Ani zostać tu, gdzie była. Ani być sama. Ani z kimś.

Wyciągnęła rękę i jej palce dotknęły czegoś na szafce przy łóżku. Zmarszczyła brwi. Wzięła to coś i znów się położyła, trzymając dłoń nad twarzą, żeby zobaczyć, co to jest. Mała, brązowa, plastikowa buteleczka. Z pigułkami, które dał jej doktor Hughes na sen.

Emma podparła się na łokciu i przyjrzała kapsułkom wielkości mniej więcej dużego ziarnka dmuchanego ryżu. Jedna połowa każdej kapsułki była czerwona, druga zielona. Emma otworzyła buteleczkę i wytrząsnęła pigułkę. Obracała ją w palcach na wszystkie strony. Na boku był napis, jakiś numer. Wrzuciła pigułkę do ust. Bez smaku. Przełknęła. Musiała spróbować kilka razy, bo w ustach miała sucho, ale w końcu jej się udało.

Wyjęła następną. Tym razem, zamiast ją połknąć, rozdzieliła dwie połówki osłonki. Białawy proszek rozsypał się po pościeli. Emma wzięła trzecią i rozgryzła ją. Smak był tak obrzydliwy, że natychmiast ją wypluła.

Chciała wytrząsnąć, ale nie było ich więcej. Odwróciła buteleczkę do góry dnem. Pusta. Zostawili jej tylko trzy kapsułki. Pierwsza wciąż tkwiła w jej gardle. Emma przełknęła jeszcze raz i nic. Czują, jak pigułka pali ją w przełyku.

Jakiś czas potem wstała z łóżka. Poszła do lodówki, żeby się czegoś napić. Ale lodówka była pusta. Ktoś ją wyczyścił, wyłączył i podparł otwarte drzwi zmiotką.

Zastanawiała się chwilę. W końcu włożyła adidasy, wzięła torebkę i poszła do Sainsbury's. Zamknięte.

Za wcześnie? - pomyślała.

Co teraz? Stała na ulicy zdezorientowana. Mogła wrócić do domu. Ale nie musiała. Nikt na nią nie czekał. Nikogo nie trzeba było karmić, przewijać, zabawiać. Mogła pójść, dokąd chciała. Więc czemu nie skorzystać z takiej okazji? Przecież tego właśnie pragnęła.

Poszła na stację Hammersmith i wsiadła do pierwszego pociągu, jaki zatrzymał się przy peronie. Linia District na wschód. Emma usiadła w kącie, przy drzwiach między wagonami. Jechało z nią trzech mężczyzn, wszyscy w garniturach. Czytali „Metro”. Pewnie jadą do pracy, do centrum. A ona dokąd?

Spojrzała na mapę nad oknem. Mogła sobie urządzić wycieczkę poza Londyn. Jeszcze kilka przystanków i dworzec Victoria. Wiedziała, że wszystkie pociągi z Victorii jadą na południe. Na wybrzeże.

Nagle zapragnęła znów być nad morzem.

Chłopczyk z cienkimi kosmykami włosów, radośnie turlający się z wydmy.

Kiedy wyszła ze stacji w Brighton, miasto wydało jej się bardzo blade. Wszystko pomalowane na kremowo lub beżowo, czy na inne pastelowe kolory. Biel nieba powiedziała jej, w którą stronę jest morze. Prosto w dół wzgórza, za centrum. Wszędzie byli ludzie. Sklepy, restauracje, przystań. Nie tego się spodziewała. Nie takiego morza szukała.

- Trzeba pojechać autobusem na wschód, kochana - powiedziała jej miła kobieta myjąca podłogę w pubie. - Tam jest spokojniej. Chyba tego pani szuka.

No właśnie. Siedząc w autobusie i patrząc, jak wielkie miasto się kończy, a zaczynają się wioski, Emma czuła ogromną ulgę. Wreszcie autobus zajeżdżał na ostatni przystanek przed samotnym pubem w szczerym polu. Na parkingu dwa samochody. Żywego ducha. Nie sezon na turystów. Kiedy wysiadła, krople deszczu spłynęły po jej policzkach.

Zapach morza. Wiatr niósł go spoza linii trawiastych wzniesień, podobnych do wydmy we Francji. Prowadziła przez nią ścieżka, a raczej rowek w piasku. Emma ruszyła nią, walcząc z wiatrem.

Nie zauważyła, że się wspina, więc kiedy dotarła na szczyt, była zaskoczona, jak wysoko znalazła się nad morzem. Tutaj na plażę nie opadał łagodny stok, ale wznosił się wysoki pionowy klif.

Podeszła do samej krawędzi i wyjrzała: oślepiająco białe ściany klifu, morze błękitne - to nie był zwykły błękit nieba, ale niesamowity żywy turkus. Zahipnotyzowana Emma patrzyła w dół. Barwy wydawały się zbyt jaskrawe, by mogły być rzeczywiste. Były jak kolory kredek, jak kolory dziecięcego pokoju.

Przypłynęło wspomnienie samej siebie: jest bardzo mała, bawi się w białym pokoju lalką w jasnoniebieskiej sukience. Gdzie? Nie wie; może u sąsiadów albo na urodzinach jakiegoś innego dziecka. Bawi się, nucąc sobie. Jest szczęśliwa.

Gdyby chciała, mogła znów się tam znaleźć.

Ritchiemu będzie dobrze bez niej. Zapomni. Mogła go zostawić - zapomnieć o jego miękkim ciałku, jego ramionach, które obejmowały ją tak radośnie. Przecież i tak nie obejmowałyby jej zawsze. Ramiona zsunęły się; ból w piersi, i synek zniknął. Kiedy znów stanął jej przed oczami, biegł po plaży, goniąc coś - latawiec czy psa. Był starszy - może dziesięcioletni - silny, zdrowy i szczęśliwy. Włosy mu ściemniały, ale uśmiech Olivera pozostał. Ritchie był wysoki i mówił stanowczo językiem, którego nie rozumiała. Niebo pociemniało; Ritchie przebiegł obok, ale nie poznał jej, i pomknął do domu, do miejsca, którego nie знаła.

Niebo stawało się coraz ciemniejsze. Wiatr się wzmacniał. Emma nie widziała już fal, ale słyszała je - rozbijały się o skały. Czuła się jak zwierzę przed burzą. Jakby elektrony przenikały jej ciało, budząc ją do życia. Jej umysł był ostry i jasny jak przejrzyste szkło.

- Między twoją matką a szczęściem wznosi się mur - powiedziała jej kiedyś babcia. - Stoi tam od tak dawna, że potrzeba by wielkiej siły, żeby go zburzyć.

Emma dotknęła blizny na policzku.

Radosne dziecko, biegnie do mamy. Szok, kiedy mama ją odpycha. Strach - przede wszystkim strach - gdy uderza główką w kominek.

Matka, biała na twarzy, zrywa się z fotela.

- Emma. Emma, nic ci nie jest?

Jej głos, taki dziwny, wysoki. Podbiega do Emmy i chwytą ją na ręce. Trzyma ją w ramionach, mocno przytula i kołysze.

- Przepraszam. Przepraszam - powtarza w kółko z ustami w jej włosach. - Nie wiem, co się ze mną dzieje. Kocham cię, skarbie. Kocham cię, nawet nie wiesz, jak bardzo.

Emma nie pamiętała dokładnie słów, ale pamiętała ich znaczenie. Pamiętała bardzo wyraźnie, jak mocno mama ją tuliła. Wtedy była przestraszona, nie przywykła do takiej czułości; ale była też zachwycona, bo przypominało jej to reklamę proszku do prania, w której mama podnosi dziewczynkę i robi jej karuzelę w powietrzu. Emma uwielbiała tę reklamę.

Jej matka była teraz z nią, stała obok niej - wiatr targał jej włosy, takiego koloru jak włosy Emmy.

- Potrzebowałam pomocy, ale byłam zbyt dumna. Przepraszam, kochanie. Powinna być bardziej o ciebie walczyć.

- W porządku, mamó. Ja wiem. Zawsze wiedziałam. Wiatr przycichł. Fale przetaczały się łagodniej, nie rozbijały się już o klify.

Będzie walczyć o Ritchiego. Żeby znał swoją mamę, gdy dorośnie. Nie wiedziała, jak go odzyska, ale odzyska. Miała przynajmniej coś na początek, prawda? Wiedziała, że on żyje i z kim jest. Rodzice niektórych zaginionych dzieci nawet tego nie wiedzieli. Przecież nie wypróbowała jeszcze wszystkich sposobów. Nie próbowała prawie niczego. Bo musi być sposób, i ona go znajdzie za wszelką cenę - nie podda się, dopóki nie znajdzie jakiejś drogi.

Za kwadrans północ. Bez najmniejszego sensu o tej godzinie czekać na autobus.

Emma zeszła z zalanej deszczem wydmy i podążyła drogą wiodącą do wioski. Na jednym z domów zobaczyła tablicę z napisem: „Wolne pokoje”.

Kobieta, która otworzyła drzwi, długo przyglądała się Emmie w świetle lampy na ganku, aż w końcu niechętnie przyznała, że owszem, ma pokój. Emma podejrzewała, że nieufność budzi jej przemoczone ubranie. Albo brak bagażu, albo późna pora. Kobieta poprowadziła ją przez czyściutką kuchnię z sosnowymi szafkami i długim stołem pośrodku, nakrytym białym obrusem, z przygotowaną już zastawą śniadaniową. Zapisała dane Emmy w notesie z marmurkową okładką. W końcu wzięła klucze i weszła z nią do sypialni w korytarzyku za kuchnią.

Emma stała chwilę przy kaloryferze, chcąc się rozgrzać. Nie zdawała sobie sprawy, jak zimny był wiatr na urwisku.

Dziwne, że tak silnie odczuła tam obecność mamy. Kiedy mama umarła, Emma po prostu... żyła dalej. Nie zachowywała się tak, jak zwykle zachowują się ludzie, kiedy umiera najbliższy członek rodziny. Nie płakała, nie wachała jej perfum, nie odwiedziła jej grobu. Właściwie nie wiedziała dlaczego. Ta śmierć utkwiała w niej jak kamień. Oliver złagodził jego ciężar, ale kiedy odszedł, kamień jeszcze bardziej ją przygniatał. Tyle że tym razem nie zdawała sobie z tego sprawy, bo miała Ritchiego.

- Dlaczego ona ciągle tu wydzwania? - powiedziała kiedyś do Joanne, kiedy znalazła na sekretarce wiadomość od matki.

Teraz wiedziała dlaczego. Dlatego że jej mama nigdy się nie poddała.

Szyby brzęczały od wiatru, łagodniejszego z każdym powiewem. Tutaj obecność mamy była mniej odczuwalna niż na klifie. Stamtąd, z góry, było widać ten dom. I Francję, kiedy spojrzano się za morze.

- Jeśli go widzisz, powiedz mu, że po niego przyjadę. Powiedz mu, żeby się trzymał - poprosiła Emma matkę.

Potem rozebrała się i powiesiła ubranie na krzesło, żeby wyschło. Położyła się do łóżka. Zasnęła, gdy tylko przykryła się kołdrą. Nic jej się nie śniło.

Kiedy się obudziła, w pokoju było bardzo jasno - nie zaciągnęła na noc czerwonych kretonowych zasłon. Na parapecie stał wazon z suszonymi kwiatami. Widziała przez okno gałąź drzewa i kawałek sznurka na pranie z niebieską męską koszulą i kilkoma ręcznikami. Gdzieś ktoś przybijał coś młotkiem. Duży pies szczekał basowo. Słyszała głosy dzieci:

- Jesteś...

- Nie, to ty jesteś...

Kiedy Emma zorientowała się, że głosy nie zbliżają się i że dzieci nie zajrzą przez okno, rozluźniła się i wyprostowała nogi na łóżku. Była dziwnie obolała. Jej mięśnie wydawały się twarde i rozciągnięte, jakby przebiegła maraton albo podnosiła ciężary. I była głodna. Z korytarza sączył się zapach tostów z masłem. Która to godzina? Uniosła głowę. Nie widziała nigdzie zegara. Co zrobiła z torebką? Może sprawdzić czas na komórce.

Torebka leżała pod krzesłem. Wciąż owinięta kołdrą, Emma wychyliła się z łóżka, żeby ją przyciągnąć. Zaczęła grzebać w środku, odrzucając na bok klucze i długopisy, aż w końcu na samym dnie wymacała komórkę. Położyła się z powrotem i uniosła aparat, żeby spojrzeć na wyświetlacz.

Spojrzała jeszcze raz i zamrugła. Dwadzieścia osiem nieodebranych połączeń. Zmarszczyła brwi i usiadła. W tej samej chwili telefon znów zadzwonił.

- Halo?

- Emma!

To Rafe.

- Emma. Gdzieś ty była? Próbuję się dodzwonić przez całą noc. Po prostu zniknęłaś. Dzwoniłem na policję, dzwoniłem do wszystkich. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś - wyrzucił z siebie potok słów.

Emma osłupiała. Dzwonił całą noc? Z Peru, z Boliwii czy gdzie tam był?

- Wszystko w porządku. Nie zrobiłam niczego...
- Mam dla ciebie wiadomość - przerwał jej.
- Od kogo? - zdziwiła się.
- Od twojego syna.

Rozdział 16

Poniedziałek, 2 października

Dzień szesnasty

Pociąg z Brighton wjechał na dworzec Victoria dwie i pół minuty przed czasem. Wyrwana z transu przez komunikat maszynisty Emma podniosła wzrok po raz pierwszy od godziny. Południowy Londyn przemknął obok zupełnie niezauważony. Za oknem gołąb z okruchem w dziobie odleciał spłoszony i podfrunął pod brudny szklany strop.

Rafe w swojej niebieskiej wiatrówce czekał na nią w głównej hali. Przywitała się z nim, wciąż zszokowana.

- Nie wierzę w to - oświadczyła. - Powiedz mi, że nie uroiłam sobie tego, co mi powiedziałeś.
- Nie uroiłaś sobie.

Zaciągnął ją do najbliższej kawiarni i posadził przy stoliku pod oknem. Zanim poszedł do lady, wyjął z kieszeni coś owiniętego w foliową torebkę i wcisnął jej w dłoń.

Emma siedziała, gapiąc się na ten przedmiot i obracając go w palcach.

- Konam z głodu - oznajmił Rafe, wracając do stolika z tacą pełną jedzenia. - Powrotny lot miałem za wcześnie, żeby zjeść śniadanie.

Usiadł naprzeciw Emmy, postawił przed nią styropianowy kubek z kawą i zaczął zrywać opakowanie z wielkiej bułki z sałatką.

- Daj mi minutkę, zjem szybko - poprosił. - Potem zdecydujemy, co dalej.

Emma próbowała dać mu zjeść w spokoju, ale tysiąc pytań cisnęło jej się na usta. Tylu rzeczy chciała się dowiedzieć. Co powinna teraz zrobić? Ale musiała jeszcze wyjaśnić wiele spraw, zanim cokolwiek zdecyduje.

- Jak zdobyłeś ich numer telefonu? - To pytanie pierwsze przyszło jej do głowy.

- Był... - Rafe urwał, machając ręką. Przeżuł kęs jedzenia, przełknął i dokończył: - Był razem z adresem, który przysłał mi ten mój kumpel, Mike.

- Więc to tam byłeś przez cały czas - nie mogła się nadziwić Emma. - Nie w żadnej Boliwii.

- Właściwie nigdy ci nie powiedziałem, dokąd jadę - zauważył Rafe. - Tylko że trafiła mi się za granicą robota, której nie mogłem nie wziąć.

- Zanedbany ogród - dodała powoli Emma - przy domu, który nagle wystawiono na sprzedaż.

- Właśnie - odparł Rafe. - Dokładnie coś dla mnie, prawda?

Wypił łyk kawy.

- Nie powiedziałem, dokąd jadę, bo nie chciałem ci robić nadziei. Właściwie nie miałem pojęcia, co zrobię. Równie dobrze mogło się to okazać kompletną stratą czasu.

- Skąd wiedziałeś, że cię przyjmą? - spytała Emma.

- Powiedziałem Davidowi Huntowi, że mieszkam we Francji i świadczę usługi ogrodnicze anglojęzycznym właścicielom, w tym również przygotowuję ogrody na sprzedaż.

- A gdyby zapytał, skąd masz jego numer?

- Zaryzykowałbym i powiedział, że znam agenta nieruchomości. Na szczęście nie spytał.

Prawdę mówiąc David Hunt nie był szczególnie zainteresowany stanem swojego ogrodu.

- Przydałoby się go trochę uporządkować - przyznał wymijająco, kiedy Rafe zapytał, czy jego ogród dobrze wygląda.

- Dwa dni roboty - oświadczył Rafe stanowczo. - Strzyżenie trawników i żywopłotów, pielenie, tego rodzaju rzeczy. Przekona się pan, że szanse na sprzedaż wzrosną. Potencjalni nabywcy zawsze najpierw zwracają uwagę na ogród.

- Może i racja - odparł David Hunt. - Ale tak się składa, że mamy ogrodnika.

- Ach tak. - Cholera.

- No właśnie. Nie bardzo wiem, dlaczego od tak dawna się nie pojawia. Zwykle jest bardzo sumienny. Nie było nas, więc ogród jest zapuszczony. Ma pan rację. Chyba powinniśmy do niego zadzwonić.

- Słusznie. - Rafe próbował wymyślić jakiś inny sposób wproszczenia się do domu. Nic mu nie przyszło do głowy. - Słusznie. Ale czy mogę panu mimo wszystko zostawić moje dane kontaktowe? Tak na wszelki wypadek.

- Oczywiście - odparł David Hunt.

Rafe wyrecytował numer i Hunt go powtórzył, ale czy faktycznie go zapisał?

- Dziękuję, że pan zadzwonił - powiedział.

- Nie ma za co.

Klik. Koniec rozmowy.

Ale godzinę później David Hunt się odezwał.

- Nie uwierz pan. Nasz ogrodnik miał operację. Nie będzie mógł pracować przez sześć tygodni. A skoro pan już podsunął mi ten pomysł, to chyba skorzystamy z pańskich usług.

- Bogowie nam sprzyjali - powiedział Rafe.

Ugryzł kolejny kęs bułki.

- Nie miałeś żadnego planu? - zapytała Emma. - Żadnego pomysłu, co zrobisz?

- Chryste, nie. Wiedziałem tylko, że nawet jeśli pozwolą mi być blisko domu, to na pewno ani na sekundę nie spuszczą Ritchiego z oka. Jeśli w ogóle jeszcze tam będzie.

Emma znów spojrzała na torebkę w dłoni. Wyglądziła przejrzysty plastik. Żaden brylant nie był tak cenny.

- Myślałam, że mi nie wierzysz. Że to mój syn.

- Chciałem ci wierzyć. - Rafe, przejęty, pochylił się do przodu. - Wiedziałem, że ty wierzysz. Nie rozumiałem tylko, jak to się miało do tego testu DNA. Myślałem, że może sobie wmawiasz, że to on. No wiesz, dlatego że tak bardzo cierpisz. Zdaję sobie sprawę, że to było trochę... - Umilkł.

- Nie szkodzi - zapewniła go Emma.

- Przepraszam. Nie chciałem cię...

- Nic nie szkodzi - powtórzyła.

Znowu rzut oka na torebkę na kolanach. Kiedyś o tym porozmawiają.

Tak więc dopiero później dowiedziała się od Rafe'a, jakie myśli tłukły mu się po głowie, kiedy czekał na lotnisku z plecakiem u stóp. Policjanci go ostrzegli: „Ledwie pan zna tę kobietę. Niech pan nie łamie dla niej prawa”. A w kieszeni miał dwa bilety lotnicze do dwóch różnych krajów.

Próbuj dalej. Albo odpuść sobie. Jeszcze nie za późno na decyzję.

Dlaczego to robił? Dlaczego tak wkraczał w życie tej kobiety? Na początku czuł się winny i żał mu było Emmy, która wydała mu się zdruzgotana i zrozpaczona, ale teraz wyglądało, że zaangażował się w tę sprawę o wiele głębiej, niż zamierzał. Jakim cudem ten dzieciak we Francji mógł być Ritchiem? Wszystko wskazywało, że nie. Zwłaszcza DNA. Trzeba być półgłówkiem, żeby nie widzieć, jak to mało prawdopodobne.

A poza tym co on sobie wyobrażał, kiedy zaproponował Emmie, żeby jechała z nim do Ameryki Południowej? Spodziewał się, że mu powie, gdzie sobie może wsadzić tę propozycję, i powiedziała. Na swoją obronę miał to, że w ten niezdarny sposób chciał ją tylko zapewnić, że jest - dobrą matką, cokolwiek o sobie mówiła.

No bo jak ona mówiła o Ritchiem! Znała każdy szczegół, każdy drobiazg. To nie była nieodpowiedzialna, nieudolna, agresywna matka. I nie była głupia. Na pewno nie. Przecież jej zdanie należałoby brać pod uwagę?

Opowiedziała mu historię o tym, jak poszła do swojej lekarki i przyznała się, że zamierza zabić Ritchiego. Mocne słowa, nie da się zaprzeczyć. Ale słowa to nie czyny. Mówienie o czymś i robienie czegoś to nie to samo. No i ta lekarka poleciała z tym na policję i stwierdziła, że jej zdaniem Emma sobie nie radzi. Głupi babsztyl. Skoro tak myślała, to dlaczego w porę nie zrobiła tego, co powinna, i nie spróbowała pomóc? A poza tym czy przysięga Hipokratesa nie zakazuje lekarzom ujawniać, co mówią im pacjenci w gabinetach? Czy może dotyczy to tylko księży?

A gliniarze cieszyli się, że oto mają odpowiedź podaną na tacy. I trudno ich winić. Taka jest ludzka natura. Iść po linii najmniejszego oporu.

- Komisarz Hill to dupek - powiedział mu jego kumpel, Mike. - Odwala godziny, odfajkowuje robotę i tyle. Nigdy się nie wysila. Twoja znajoma ma pecha. Niewiele osób jest chyba po jej stronie, co?

- Niewiele - przyznał Rafe.

- A dlaczego ty się tym tak przejmujesz?

Rafe milczał przez chwilę.

- Hm, pewnie przez kurczaki.

Właśnie tak. Cały czas czuł się winny z powodu tych kurczaków. Rzucił szkolenie, bo policja bez żadnych zastrzeżeń przyjęła dokumenty stwierdzające, że kurczaki są właściwie traktowane - europejskie dyrektywy, liczba ptaków na metr kwadratowy itepe, itede. Stłumili protest obrońców praw zwierząt i odmówili dalszego śledztwa. Więc ta ferma dalej była otwarta i minął kolejny rok, zanim ktoś nareszcie przemyślił tam kamerę i sfilmował pracowników podczas przerwy na lunch, jak grali w piłkę kurczakami, jak rzucali rozpaczliwe trzepoczące się ptaki o ścianę i kopali bez litości na betonowej podłodze.

Odszedł, żeby coś udowodnić. Problem jednak w tym, że może właśnie gdyby został, mógłby w jakiś sposób pomóc.

Pieprzyć to. Może to wcale nie Ritchie. Ale wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki się nie dowie. Zresztą w jego życiu akurat niewiele się działo. Ostatnio najbardziej absorbowało go wynajdywanie pretekstów, żeby nie siedzieć w tak zwanym mieszkaniu - zapchlonej dziurze nad arabskim barem, które dzielił z Neilem, poetą i miłośnikiem trawki. Dni wydawały mu się strasznie długie. Wiedział, że wytrzyma tylko dlatego, że wkrótce wyruszy w podróż. Ale co robić, kiedy się czeka? Jeździć na rowerze. Rozwiązywać sudoku. Wskoczyć z kumplem na piwko. Tyle że kiedy był dzieciakiem, myślał, że na tym etapie życia będzie robił coś więcej.

Więc tak. Pojedzie do Francji. Zobaczy to dziecko jeszcze raz na własne oczy. A jeśli się okaże, że to nie Ritchie, powie sobie, że zrobił wszystko, co mógł, i podąży dalej.

Ameryka Południowa. Namioty w dżungli. Pustynia widziana z końskiego grzbietu. Wodospad Iguazu. Czymś to życie trzeba wypełnić, nadać mu jakąś wartość. Będzie wędrował po górach i lasach deszczowych, obserwował świat, a kiedy się znudzi, będzie jeździł do miast i tarzał się w rozpuście, jeśli przyjdzie mu na to ochota. Zahartuje swój umysł. To miała być podróż jego życia.

Dotarł do St-Bourdain po południu. Wjechał przez wysoką żelazną bramę na wzgórze, za kępę drzew, i aż gwizdnął na widok domu Huntów. Był tu już wcześniej, ale wtedy absorbowało go co innego. Tym razem... cóż, bez dwóch zdań, to okazały budynek. Dwa piętra z takiego samego jasnego kamienia jak filary bramy. Okna obramowane jasnoniebieskimi okiennicami, z szybami czarnymi w świetle. Rdzawy dach lśnił w słońcu.

Zaparkował przed domem i wyłączył silnik. Cisza spadła na niego jak ciężki zielony koc. Taką ciszę można kupić tylko za grube pieniądze - bez żadnych odgłosów, przerywaną tylko bzyczeniem owadów. Rafe miał nadzieję, że nie oznacza ona, iż przyjechał za późno. Wysiadł z auta. Trzy kamienne schodki prowadzące do drewnianych drzwi były ocienione drzewkami pomarańczowymi w kwadratowych, drewnianych donicach. Obok drzwi, pod bluszczem, znajdował się guzik dzwonka. Rafe wcisnął go i usłyszał dość zwyczajne ding-dong, zamierające w głębi domu. I znów zielona cisza. Stał na schodku i rozglądał

się. Na podjeździe widział tylko swój samochód. Przed domem wierzba osłaniała wykładany kamieniem dziedziniec z białym stołem i krzesłami z kutego żelaza. Brakowało tylko dzbanka lemoniady i dziewczyny z falbaniastą parasolką.

Wciąż nikt nie odpowiadał na dzwonek. Gdzie oni się podzieli? Pojechali po zakupy? Na wycieczkę? Zabrali dzieciaka i uciekli do Australii? Nagle w domu rozległy się kroki i drzwi otworzyła wysoka szczupła kobieta w białych spodniach i seledynowej koszuli. Spojrzała na niego uważnie.

- Dzień dobry. - Rafe starał się uśmiechnąć jowialnie, jak to ogrodnik. - Jestem Rafe Townsend. Rozmawiałem przedwczoraj z panem Huntem o państwa ogrodzie.

- Mąż coś wspominał.

Pani Hunt - Philippa, bo tak chyba miała na imię - wyglądała nieźle jak na swój wiek, jakoś po czterdziestce. Bardzo dobrze zakonserwowana. Wyskubane brwi i tak dalej. Wydawała się też dużo bardziej podejrzliwa niż jej mąż.

- Bardzo mi przykro, ale muszę pana poinformować, że zwykle wymagamy referencji, zanim kogoś zatrudnimy. Byliśmy ostatnio zajęci i niestety mąż całkiem zapomniał o panu. Dopiero dzisiaj rano powiedział mi, że się z panem umówił.

Okej. Gdyby to był namiot cyrkowy, to teraz przyszłaby pora na linoskoczka i tym linoskoczkiem był Rafe. Wciąż się uśmiechał.

- Rozumiem. W tych czasach lepiej być ostrożnym. - Spojrzał, niby niechcący, na kępę pokrzyw wśród kamieni na dolnym stopniu. - Oczywiście, jeśli potrzebuje pani referencji, z przyjemnością je okażę.

Pani Hunt też popatrzyła na pokrzywy. A potem na bramę, gdzie wisiała drewniana tablica biura nieruchomości. Przez chwilę się wahała, po czym spojrzała na Rafe'a.

- Gdzie pan mieszka?

- W Domme - skłamał Rafe; wybrał tę nazwę na chybił trafił z mapy. Wieś była na tyle oddalona, że Philippa raczej nikogo tam nie знаła i nie wypytywałaby o nazwę ulicy. Przynajmniej taką miał nadzieję.

- Domme - powtórzyła i się zamyśliła. - Czy to nie tam jest ten wspinały targ na wzgórzu?

- Właśnie tam - potwierdził Rafe. - Świetne warzywa. Zaopatruję się tam co sobotę.

- Tak? - Pani Hunt się zdziwiła. - Myślałam, że targ odbywa się tylko w czwartki.

- Nie... Teraz się zmieniło.

- Hm. No proszę.

Pani Hunt przyjrzała się uważnie ubraniu Rafe'a. Miał na nogach brązowe robocze buty, wciąż jeszcze oblepione błotem po ostatnich pracach w ogrodzie.

- Jeśli mam pana zatrudnić, chciałabym sprawdzić te referencje - oświadczyła.

Udało się! Łyknęła jego bajeczkę.

- Żaden problem - powiedział.

Philippa Hunt znów wahała się chwilę, po czym szerzej otworzyła drzwi. Rafe, kiedy tylko wszedł, zaczął się uważnie rozglądać, starając się zapamiętać jak najwięcej. Hol był bardzo wysoki, podłogę wyłożono błękitnymi płytkami. Z sufitu na długim łańcuchu zwisał żelazny świecznik z woskowymi świecami, tak nisko, że niemal dało się go dotknąć. Pod olbrzymim lustrem w złoczonej ramie stał marmurowy stolik o rzeźbionych, złoczonych nogach. Inne meble były z ciemnego drewna: wieszak na kapelusze i komoda, a pod jedną ze ścian coś, co wyglądem przypominało kościelną ławę.

- Mogę prosić numer telefonu do osoby polecającej? - Philippa stała przed nim z długopisem. Rafe podał numer firmy, w której pracował w Anglii. Miał nadzieję, że Philippa się tym zadowoli i nie będzie prosić o referencje z Francji.

Jak się spodziewał, najpierw zadzwoniła do informacji i potwierdziła, że numer zgadza się z podanym przez niego adresem. Potem wyszła do pokoju, by zadzwonić do firmy. Rafe skorzystał z okazji i bacznie przyjrzał się holowi. Było w nim pięćdziesiąt drzwi, włącznie z tymi, przez które właśnie wyszła Philippa. Na piętro prowadziły schody z polerowanego kamienia, z żelazną poręczą. W połowie wysokości skręcały w prawo, więc Rafe nie widział ich do samej góry. Nigdzie nie dostrzegł ani nie usłyszał dziecka. Nie było też żadnych zdjęć. I nagle, kiedy stukały już kroki wracającej Philippy, spojrzał pod marmurowy stolik i zauważył parę malutkich czerwonych kaloszy umazanych błotem.

- Pańskie referencje są zadowalające - oświadczyła Philippa. - Kiedy będzie pan mógł zacząć?

- Dzisiaj, jeśli pani sobie życzy.

- Świetnie. - Wysunęła szufladę i wyjęła pęk kluczy. - Pokażę panu, gdzie trzymamy narzędzia ogrodnicze.

Wyprowadziła go przez frontowe drzwi.

- Widzę, że macie państwo dzieci. - Rafe wskazał kalosze pod stolikiem.

- Tak, mamy.

Philippa zamknęła za nimi drzwi. Rafe ruszył za nią po schodkach; na razie nie potrafił wymyślić, jak pociągnąć temat dzieci, nie okazując się wścibskim.

Obeszli dom z boku, mijając trawiasty, odgrodzony płotem teren - jak wybieg dla psów - z drzewem na niewielkiej górze pośrodku. Potem przecięli brukowane tylne podwórko i skierowali się do niskiego białego budynku.

- Tutaj Frank - Philippa wymawiała to „Frrak” - trzyma swój sprzęt ogrodniczy.

Otworzyła kluczami dwa zamki. W środku znajdowała się długa biała izba; całą jedną ścianę zajmowały półki. Frank wyglądał na bardzo zorganizowanego gościa. Zestaw sekatorów wisiał na kołkach, od największego do najmniejszego. Wszystkie błyszczące i czyste. Pod ścianą stały w szeregu motyki i grabie. Na półkach - pojemniki ze środkiem chwastobójczym i z nawozem. Poniżej leżały węże; Rafe dostrzegł kątem oka ciemnozielone zwoje.

- Tam jest kuchenka i toaleta. - Philippa wskazała drzwi w głębi. - Żaden luksus, ale w kuchni znajdzie pan mikrofalówkę, gdyby chciał pan sobie coś podgrzać.

Innymi słowy nie ma powodu, żeby przychodził do domu.

- Co trzeba zrobić? - zapytał Rafe.

- Frank przeważnie trzyma się listy. - Philippa pokazała mu zapisaną kartkę na ścianie. - Zwykle zaczyna od tego, co najpilniejsze, ale była spora przerwa, więc może się okazać, że właściwie należy zadbać o wszystko.

Lista była po francusku. Rafe kiwał głową z mądrą miną, skrzyżował ręce i patrzył na kartkę. Nie rozumiał ani słowa.

- Jak pan widzi - ciągnęła Philippa - trzeba głównie skosić i odchwaścić trawniki wokół domu, no i zadbać o warzywnik od tyłu. Za tymi drzewami jest gęsia ferma; to już oczywiście nie teren Franka. - Spojrzała na niego. - Mąż mówił, że pana zdaniem dwa dni powinny wystarczyć.

- Zgadza się. Powiedzmy, że skończę do poniedziałku.

- Świetnie.

Philippa ruszyła do drzwi.

- Kiedy państwo planujecie wyprowadzkę? - zapytał Rafe, chcąc podtrzymać rozmowę.

Przystanąła.

- Za dwa tygodnie.

- W jakieś ładne miejsce?

Pani Hunt spojrzała na półki.

- Kosiarki są w oddzielnej komórce, z tyłu - poinformowała. - Traktorek się ostatnio psuł, ale Frank chyba go naprawił. Gdyby były jakieś problemy, proszę dać mi znać.

Energicznie stukając obcasami, przeszła przez podwórko i zniknęła w domu.

- Tak jest, pszepani. Jak pani sobie życzy.

Rafe jeszcze raz rozejrzał się po domku. Nie wiedział, czego właściwie szuka. Może jakichś rzeczy po dziecku, starych wózków czy łóżeczek. Pudeł ze zdjęciami. Ale widział tylko pojemniki z nawozami i konewki.

Były jeszcze jedne drzwi, obok tych prowadzących do toalety i kuchni. Zajrzał za nie i zobaczył spore pomieszczenie z półkami i ladą pod ścianą. Na półkach stało mnóstwo pustych słoików i plastikowych pojemników pokrytych warstwą kurzu. Folia przykrywała coś na ladzie. Uniósł jej róg: to coś to sklepowa kasa. Widocznie kiedyś to miejsce służyło za sklep. Na wielu pojemnikach widniały etykiety: „Ferme des Chasseurs: Huile de Noix”. „Ferme des Chasseurs: Foie Gras”.

Foie Gras. No tak, to wyjaśniało, skąd te gęsi. Biedne ptaki. Ale mała wiejska ferma nie mogła być źródłem takich pieniędzy, jakie ewidentnie mieli Huntowie. Może David był kimś ważnym w mieście, a tutaj Philippa sobie dorabiała.

Nieważne. Czas mijał. Lepiej zacząć udawać, że się coś robi. Wyciągnął kosiarkę; na razie zadba o teren za domem. Za trawnikiem rosły orzechy i jabłonie, a dalej rozpościerały się pola kukurydzy. Nigdzie

nie zauważył żadnych dziecięcych zabawek: zjeżdżalni, huśtawek, ciężarówek, piłek. Nic. Jakby nigdy nie mieszkało tu dziecko. A może po prostu wszystko już spakowali.

Kiedy przystrzygł trawę, zaciągnął wąż do otoczonego murkiem warzywnika. Kolejne dowody imponującej pedanterii Franka. Marchewki w rzędach jak żołnierze na paradzie. Niestety, pomidory spadły z krzaków i przejrzałe gniły na ziemi. Dynie prezentowały się lepiej, ale przydałoby się je znów podeprzeć i zebrać. Rafe nie zamierzał nazbyt się w to angażować. Jego zadanie? Sprawić, żeby wszystko dobrze wyglądało. Powyrywał chwasty i zebrał gnijące owoce, po czym zwiózł wszystko do kompostownika koło ogrodowej szopy. Za każdym razem, kiedy przejeżdżał taczkami obok domu, wybierał inną drogę, żeby zajrzeć w jak najwięcej okien. Z początku tylko w nie zerkał, odwracając niby od niechcienia głowę. Ale potem, gdy wszystkie pokoje wyglądały na puste, podszedł bliżej i bezczelnie zajrzał do środka. Gdzie oni wszyscy się podziewają? Dom wydawał się pusty. Przecież przynajmniej Philippa musi gdzieś być. Albo na górze, albo w środku w pomieszczeniu bez okien; a może wyszła, tylko on tego nie zauważył?

Wieczorem - a pracował tak długo, na ile się dało bez wzbudzania podejrzeń - odłożył wąż, odsta-
wił taczki i zadzwonił do drzwi, żeby powiedzieć Huntom, że na dziś skończył. Nikt nie otworzył. Ale czy się chowali, czy ich nie było, nie mógł już ryzykować i zostawać tu dłużej, skoro po sobie posprzątał. Zresztą umierał z głodu. Przez cały dzień nic nie jadł.

Pojechał do wioski oddalonej o dobrych trzydzieści kilometrów, dla bezpieczeństwa. Zarezerwował sobie pokój w pensjonacie pod murami starego zamku. W pizzerii pod kamiennymi arkadami zjadł zachłannie dwie porcje pieczywa czosnkowego i wielką pizzę z podwójnymi dodatkami. Na deser zamówił piwo i przeniósł się do stolika na tarasie, z widokiem na pola. Słońce zachodziło za dalekimi drzewami, zalewając zamek pomarańczowym światłem.

No dobra. Co on tu robi, do licha?

Nawet jeśli zobaczy tego malca, to skąd będzie wiedział, czy to synek Huntów, czy Emmy? Nie miał zdjęcia Ritchiego, chociaż widział ich kilka. Teraz wydało mu się głupotą, że nie wziął żadnego. Emma wspominała, że mały jest podobny do jej eks, którego oczywiście Rafe nie widział. I mimo swoich naiwnych nadziei nie wyglądało na to, by miał być świadkiem jakichś obciążających rozmów Philippy z jej mężem - ale niby czego się spodziewał? Że zobaczy, jak odrzucają głowy do tyłu i krzyczą: „Bua-ha-ha, nareszcie nam się udało”? Ta para była wyjątkowo skryta.

Przecież każdy by był, gdyby właśnie porwał dziecko; ale to mogła też być charakterystyczna rezerwa bogatych angoli, którzy zawsze chodzą ze skwaszonymi minami, jakby ktoś im wsadził w tyłek klamerkę do bielizny.

Zamyślony Rafe powoli napił się piwa.

Emma. Emma Turner. Co takiego jest w tej kobiecie? Dlaczego wierzył jej, a nie tym wszystkim ludziom tutaj? Nie Huntom w ich kamiennym cichym domu, nie ich rodzinie, sąsiadom, policji? Nawet testowi DNA, na litość boską! Emmie, takiej niechętniej i podejrzliwej wobec całego świata, tak agresywnej, drażliwej i zbuntowanej. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że przywożąc ją tutaj, może wcale nie

wyświadczył jej przysługi. Może niepotrzebnie tak ją zachęcał, by przywiązała wagę do słowa „Bergerac”. A jeśli źle usłyszała? Philippa w kawiarni mogła mówić coś zupełnie innego, jeżeli to w ogóle była Philippa.

Kronenberg sęczył mu się do gardła. Rafe przechylił głowę do tyłu. Ramiona bolały go po wysiłku fizycznym. Przyłapał się na tym, że patrzy w niebo. Niebieski atrament i pomarańcze. Bez księżyca.

Tamten dzień, kiedy byli na wydmie... Wieczorem odwiózł ją do Bergerac; stali w świetle księżyca na korytarzu przed jej pokojem. Pamiętał tych kilka sekund, kiedy jej wrogość zniknęła, i przez tę krótką chwilę widział... Kogoś tak dzielnego i delikatnego, wrażliwego i słodkiego, że...

Podniósł głowę. Wypił jeszcze jeden łyk piwa.

No dobrze. Jeśli chce to ciągnąć, powinien spróbować wejść do domu. Trochę powęszyć. Może udałoby się dowiedzieć, dokąd Huntowie się wyprowadzają. Powiedzieć na przykład, że niechcący przeciął jakąś rurę i postanowił sprawdzić, czy w domu leci woda. Albo że kosiarka poraziła go prądem i czuje się tak, jakby miał zawał.

Mógł też rzucić wszystko w cholerę i wsiąść w samolot do La Paz.

Kolejny łyk piwa. Spojrzał na butelkę. Gdzie oni to produkują? Pił to piwo w Londynie, ale nigdy tak wspaniale nie smakowało. Zorza na murach zamku lśniła głęboką czerwienią.

Nie. Jeszcze nie jest gotów stąd wyjechać. Zostanie i wyjaśni tę sprawę.

Następnego ranka był u Huntów o siódmej. Zajął się pochyłym trawnikiem od frontu; siedział na traktorku i dyskretnie obserwował dom. Wciąż ani śladu ludzi. Leżeli w łóżkach czy może dawno wyszli? Kto ich tam wie.

Został mu już tylko jeden dzień. Frustracja zaczynała dawać się we znaki. Wszystko wskazywało na to, że Ritchiego - jeśli to był Ritchie - tu nie ma. Jak tak dalej pójdzie, to może już nawet nie zobaczyć Philippy ani Davida. Zaraz, zaraz musi się jeszcze z nimi spotkać, żeby odebrać zapłatę, ale pewnie tylko wręczą mu kopertę i powiedzą do widzenia. Na pewno istnieje jakiś sposób, żeby wciągnąć ich w rozmowę. Uzyskać jakieś konkretne informacje, ale zadawać pytania tak, żeby nie wydawały się nie na miejscu czy podejrzone.

Kręcić się wokół domu, jeśli nikogo w nim nie ma? Bez sensu zjechał kosiarką do bramy i zaczął obcinać największe gałęzie zwisające za mur, obserwując, czy ktoś nie wyjeżdża z domu albo do niego nie wraca. Zastanawiał się intensywnie. Które z tej dwójki lepiej podpytać? Philippę czy Davida? Po rozmowie telefonicznej odniósł wrażenie, że Davida chyba łatwiej można by podejść i prędzej by coś zdradził. Ale jak na razie poznał osobiście tylko Philippę.

Mógł też zwyczajnie włamać się do domu. Ale co by mu to dało? Pewnie dopadliby go żandarmi.

Było po jedenastej. Słońce prażyło. Rafe'a drapało w gardle od kurzu. Wyłączył mechaniczne nożyce i ruszył podjazdem do domku ogrodowego, żeby napić się wody.

Gdy tam dotarł, najpierw zaczął wyciągać drzazgę z kciuka. Uniósł głowę, dopiero kiedy minął narożnik. Nagle cofnął się gwałtownie.

Na trawie pod drzewem siedział Ritchie ze smoczkiem w buzi.

- Mało nie dostałem zawału - powiedział Rafe Emmie. - Tak intensywnie przez cały ranek myślałem o berbeciach, że kiedy w końcu jednego zobaczyłem, to jakby piorun we mnie strzelił.

- Jak wyglądał? - wyszeptała Emma.

Rafe tak doskonale odmalował tę scenę, że Emma była tam, nie tutaj, w pachnącej jajecznicą na boczku kawiarni koło dworca Victoria, wśród turystów i syku ekspresu ciśnieniowego - ale w ogrodzie we Francji.

- Świetnie. I dodał: - Dokładnie tak jak ty.

Emma mówiła, że jest podobny do jej eks, ale był podobny do niej. Jasnowłosa miniaturka Emmy. Takie same oczy: ciemnoniebieskie, z odrobiną opadającymi kącikami. Takie same usta - dolna warga pełniejsza niż górna.

Kiedy był tu z Emmą, ramiona Philippy Hunt zasłaniały malca i Rafe nie widział jego twarzy. Tym razem miał go jak na dłoni. Patrzył, jak chłopczyk bawi się czymś w trawie, i wszelkie jego wątpliwości zniknęły.

To był on. To było dziecko Emmy.

Rafe odkaslnął, bo kurz wciąż tak drapał go w gardle, że aż łzawiły mu oczy. Dziwnie się czuł, patrząc na tego malca. Wiedział, jak wielką krzywdę wyrządzono Emmie i jak wiele by dała, by móc być tutaj i też na niego patrzeć. Znów odchrząknął.

Co teraz?

Trawnik otaczał płotek. Prowadziła tam furtka z cienkich deseczek. Rafe patrzył na Ritchiego przez szpary. Mały wciąż skubał trawę, raczej odruchowo - po prostu sobie siedział. Z wyciągniętymi przed siebie nóżkami i pochyloną główką. Wydawał się głęboko zamyślony, jak ktoś dorosły, a nie dziecko w tym wieku. Powinien raczej brykać roześmiany po trawie.

Porwać go? Pot spływał Rafe'owi po plecach. Ale co potem? Jak go przemyci do Londynu?

Poszedł bliżej. Wokół żywego ducha, ale tylne drzwi domu, ledwie parę metrów dalej, były uchylone. Rafe otworzył furtkę i wszedł na trawnik. Chłopczyk zainteresował się czymś, co leżało przed nim. Zerkając na drzwi domu, Rafe pomachał, by przyciągnąć jego uwagę.

- Ritchie - szepnął. - Ritchie.

Ritchie natychmiast uniósł głowę zdumiony. Rany, Emma jak żywa! Bez cienia wątpliwości. Nawet jedna jego brew opadała niżej niż druga, tak jak u jego mamy, kiedy się nad czymś zastanawiała.

- Tutaj, kolego. Tutaj.

Ritchie uśmiechnął się, policzki wydeły mu się wokół smoczka, jak u wiewiórki. Uniósł rączkę i pokazał coś palcem, spoglądając za plecy Rafe'a, jakby widział coś za nim. Rafe obejrzał się szybko. Nic prócz drewnianej furtki.

- Hej - odwrócił się. - Na kogo patrzysz?

Przykucnął, by jego twarz była niżej; chciał ściągnąć uwagę Ritchiego na siebie.

- Tutaj, kolego. Nikogo tu nie ma oprócz mnie.

Ritchie wciąż wskazywał furtkę i się uśmiechał. Nagle spojrzał na Rafe'a i wyciągnął drugą rączkę. Coś w niej było - ścisnął coś w pulchnej piąstce. Rafe nie widział, co to jest. Przysunął się bliżej z zachęcającym uśmiechem; miał nadzieję, że malec nie przestraszy się go nagle i nie zacznie płakać. Nagle skrzyknęły drzwi i z domu wyszła Philippa Hunt.

Rafe natychmiast opadł na kolana i zaczął poklepywać ziemię - szukał kretów? Skinął Philippie głową na przywitanie. Ona obrzuciła go spojrzeniem, po czym podeszła prosto do Ritchiego, podniosła go i posadziła sobie na biodrze.

- Chodź - powiedziała.

I odeszła szybko, tak że Rafe zobaczył tylko tył jej koszuli.

Jeszcze dwie sekundy. Dwie sekundy i... co? Mógł zdobyć... Mógł zdobyć jakąś inną próbkę DNA. Na przykład włos. Cholera, dlaczego w porę o tym nie pomyślał? Taka szansa już się nie powtórzy.

Philippa zatrzymała się przy furtce.

Rafe usłyszał, jak pyta Ritchiego:

- Co to jest? Co ty tam masz?

Wyjęła coś z jego rączki; to, co Ritchie pokazywał Rafe'owi. Zaczekała z dezaprobatą.

- Fuj. - Skrzywiła się. - Fuj.

Rzuciła to coś na trawę i poszła z Ritchiem do domu. Drzwi zatrzęsły się za nią. Rafe usłyszał szcęk zamka.

Tupnął w ziemię. Co za oferra z niego! Rozum mu odjęło czy co? Powinien był go zabrać, kiedy miał okazję. Tupnął znów. I co teraz? Kosić dalej trawę? Rozejrzał się. Postanowił przyciąć podkaszarką trawę wokół orzecha na niewielkim wzniesieniu, niemal pagórku. Zielone orzechy, jeszcze niedojrzałe, wisiały na gałęziach jak ciemne śliwki.

Rafe wbił w nie wzrok.

„On uwielbia kwaśne rzeczy”.

Znów kucnął i zaczął przeszukiwać wysoką trawę w miejscu, gdzie Philippa rzuciła to coś, co zabrała Ritchiemu. W końcu znalazł to, czego szukał, i podniósł z ziemi.

Ciemnozielony orzech ze śladami zębów.

Rafe uniósł głowę. Tylne drzwi wciąż były zamknięte.

Wyprostował się, trzymając w dłoni orzech.

Błyszczący od śliny.

Rozdział 17

Emmie napłynęły łzy do oczu. Mnóstwo pytań cisnęło jej się na usta. Co jeszcze Antonia powiedziała do Ritchiego? Czy była na niego zła? Jak wyglądał, kiedy się uśmiechał?

Ale popatrzyła na orzech w plastikowej torebce na kanapki, z dużym śladem zębów na skórce, i wydusiła tylko:

- Musimy powiedzieć policji.

Lindsay odebrała po drugim dzwonku.

- Emma! - krzyknęła. - Gdzie się pani podziewała? Wszyscy się tak martwiliśmy. Nie było pani w domu, a pani telefon...

- Nic mi nie jest - przerwała jej Emma bez ceregieli. - Muszę pani coś powiedzieć.

- Tak?

- Mamy dowód.

- Dowód?

- Że ten chłopiec we Francji to Ritchie. Że w domu tej kobiety jest mój syn.

Cisza w słuchawce. Po chwili Lindsay zapytała:

- Emmo... co pani robiła?

- Proszę posłuchać - odparła Emma. - Powiem pani. - Starła się jak najspokojniej streścić całą historię, ale młynek do kawy na barze dudnił jak młot pneumatyczny, a kobiety przy stoliku obok zanosily się piskliwym śmiechem. Hałas ją stresował. Zaplątała się, mówiła coraz szybciej zamiast głośniej, i słowa zaczęły się zlewać.

Lindsay musiała jej przerwać.

- Emmo... Emmo, spokojnie. Nie zrozumiałam wszystkiego, co pani mówiła. Co to było na końcu? Powiedziała pani, że ma próbkę DNA tego chłopca z Francji?

- Tak. - Emma zaczerpnęła powietrza. - Przekonywałam was. przekonywałam, że to jest on. Wiedziałałam, że ta kobieta podmieniła próbki DNA. Wiedziałałam.

- Ale jak...

- Musicie porównać tę próbkę z moim DNA. Wtedy zobaczycie, że to mój syn. Że to naprawdę Ritchie.

- I to DNA jest na owocu? - spytała Lindsay.

- Tak. Na orzechu.

Znów cisza.

- Emmo...

- Co wam to szkodzi? Ciągłe powtarzacie, że chcecie mi pomóc. Skoro tak, to zróbcie to! - wybuchnęła Emma.

- Ja naprawdę chcę pomóc.

- Więc w czym problem?

- Proszę przyjechać. Proszę przyjechać i spotkać się ze mną w komisariacie. Porozmawiamy.

- Ale zrobicie test? - upierała się Emma.

Lindsay wahała się chwilę.

- Najpierw muszę porozmawiać z komisarzem - oświadczyła. - Zanim podpiszę się pod czymś takim.

Zaproponowała godzinę spotkania w komisariacie w Fulham Palace. Emma rozłączyła się sfrustrowana. Nadal nie wiedziała, czy sprawa posunie się naprzód.

- Nie sądzę, żeby to się spodobało komisarzowi Hillowi - zauważyła.

- Bałem się, że tak się stanie. - Rafe siedział przygarbiony, mieszając resztkę kawy łyżeczką. - Nie wiele wiem o DNA, ale wiem jednak, że oni nie mają dowodu, skąd wzięłem ten orzech ani kto go gryzł. Poza tym jest zanieczyszczony. Ja go dotykałem i ta cała Philippa. Chociaż, szczerze mówiąc, pewnie żadne z nas nie dotykało tej zaślinionej części, którą gryzł Ritchie. Mimo to może być trudno przekonać policję.

- W takim razie - krzyknęła Emma - nie będziemy czekać, aż się zdecydują! Zlecimy własny test.

- Może - odparł Rafe. Odchylił się na krześle, obracając łyżeczkę w palcach. - Ale myślę, że będziemy potrzebować dodatkowego wsparcia. Chyba powinienem jeszcze raz zadzwonić do Mike'a.

- Mike'a? To ten przyjaciel, który zdobył dla ciebie adres?

- Tak. Mike to takie dziecko szczęścia. W styczniu awansował na sierżanta, pracuje w Brygadzie Antynarkotykowej. To przyzwoity facet. Przynajmniej za nas zaręczy. Wykona parę telefonów w naszej sprawie.

- Więc dzwoń do niego - ponagliła Emma.

Rafe wyjął telefon z tylnej kieszeni dżinsów. Była pora lunchu i kolejka do kasy ciągnęła się aż pod drzwi. Klienci musieli wykrzykiwać zamówienia. Rafe wyszedł z telefonem na dwór, żeby porozmawiać w spokoju. Emma czekała, wyglądając torebkę na kolanach; głaskała pogryziony orzech w środku.

No, orzeszku. Teraz wszystko zależy od ciebie. Nie zawieź nas.

Emma sądziła, że tylko Lindsay spotka się z nimi w komisariacie, ale ku jej zaskoczeniu, kiedy weszła z Rafe'em do sali, w której kiedyś oglądała nagranie z lotniska, byli tu też komisarz Hill i jeszcze dwaj ludzie, których nie знаła. Jeden z nich, wysoki, nieporządnie ubrany mężczyzna o bardzo jasnych włosach i brwiach, skinął przyjaźnie głową do Rafe'a.

- Mike! - Rafe, zaskoczony, ucieszył się.

Natomiast komisarz Hill nie wyglądał ani trochę przyjaźnie. Stał oparty biodrem o stół, z założonymi rękami, a jego wylupiaste niebieskie oczy były zimniejsze niż zwykle.

- Powiedziała komisarzowi Hillowi, co się stało - wyjaśniła Lindsay.

Pięć par oczu wbiło w nią wzrok. Emma nie traciła czasu.

- Na tym - powiedziała, unosząc torebkę z orzechem - jest ślina Ritchiego. Ślina dziecka z Francji, prosto od niego. Jeśli porównacie DNA z próbką ode mnie, uzyskacie niezbity dowód, że jestem jego matką.

Dłoń jej zadrżała. Torebka zaszeleściła. Emma chwyciła ją mocniej i podsunęła niemal pod nos komisarzowi Hillowi. Ale on wciąż stał z założonymi rękami i gładził wąsy.

- Dobrze. Dobrze. Na razie nie będziemy się wdawać w kwestię, w jaki sposób zdobył pan - spojrział na Rafe'a - ten przedmiot. Ale moje pytanie brzmi: Czy mamy powtarzać testy DNA tego francuskiego dziecka, dopóki pani nie uzyska wyniku, który panią zadowoli?

Lindsay spojrzała ze współczuciem na Emmę.

- Chcę go powtórzyć tylko raz - oświadczyła Emma. - Tamten pierwszy test był błędny. Co wam szkodzi to zrobić? Przekonacie się, że wynik wskaże na mnie.

- Niewykluczone - przyznał komisarz - ale przeprowadziliśmy już jeden test, który wskazał na kogoś innego. Potrzebne są solidne podstawy, by zlecić powtórkę. A poza tym, z całym szacunkiem, skąd wiemy, że ten... co, orzech?... gryzło to dziecko we Francji? Że to nie jest coś, co Ritchie wkładał do buzi tutaj, w Londynie, zanim zaginął?

- Orzechy włoskie nie rosną w Anglii - zauważył Rafe.

Zapadło milczenie.

Drugi policjant, chudzielec z wielkim nosem, wtrącił swoje trzy grosze:

- Tak się składa, że rosną. Moja ciotka ma sad w...

- Wątpię, żeby Ritchie był w ogrodzie pańskiej ciotki - wypalił Rafe.

- Dobrze, orzechy rosną w Anglii! - wybuchnęła Emma. - I co z tego? Jeśli o mnie chodzi, mogą sobie rosnać w całym Londynie. Ale ile w moim mieszkaniu? A nawet gdyby Ritchie znalazł gdzieś orzech, zanim został porwany, to po co, na litość boską, miałabym go trzymać?

Potrząsnęła torebką w wyciągniętej ręce, żeby wszyscy widzieli, co jest w środku.

- Niech pan spojrzy. Przecież widać, że dopiero zaczął dojrzewać. A Ritchiego nie ma od ponad dwóch tygodni. Poza tym, jeśliby ten orzech tak długo leżał w mieszkaniu, to nie sądzi pan, że już by zgnił?

Czekała, aż chudy policjant powie, że orzechy w ogóle nie gniją albo coś w tym stylu. Ale nie powiedział. Przez chwilę nikt się nie odzywał.

W końcu komisarz Hill zwrócił się do Mike'a i Rafe'a:

- Mogę prosić na słówko?

- Oczywiście.

Hill odepchnął się od stołu. Szeleszcząc płaszczem, wyszedł z pokoju. Rafe spojrział Emmie w oczy i komicznie wygiął w dół kąciki ust. Podążył za komisarzem i Mike'em na korytarz. Lindsay i mężczyzna, którego ciotka miała sad, spojrzeli na siebie i również wyszli.

Emma została sama. W sali pachniało nieprzyjemnie: chipsami i jakąś chemią. Obok stołu, na stojaku, umieszczona była zabazgrana tablica, jakby ktoś prowadził tu wykład. Napis: „Publiczne postrzeganie oficera ds. kontaktów z ludnością” zakreślono kółkiem. Z kółka odchodziły na zewnątrz strzałki. Na końcu jednej z nich narysowany człowieczek przeżył mięśnie i wymachiwał pistoletem. Pod nim ktoś nabazgrał: „Rambo”.

Długo ich nie było. O czym rozmawiali? Przecież chodziło o proste „tak” albo „nie”? Nagle dotarło do niej, że to, co zrobił Rafe, kiedy udawał ogrodnika, mogło być sprzeczne z prawem. No, cudownie. Po prostu wspaniale. Czy na dodatek aresztują go?

Drzwi otworzyły się i do sali weszła Lindsay. Zamknęła je za sobą.

- Podjęliśmy decyzję - oznajmiła.

Emma czekała.

Lindsay spojrzała w dół, rozkładając palce obu dłoni na stole, jakby chciała grać na pianinie.

- Najpierw - zaczęła - muszę coś wyjaśnić. Sprawdzamy kilka innych tropów. Po pierwsze, chodzi o to dziecko w Manchesterze, o którym pani mówiliśmy. Mamy numer rejestracyjny auta i...

- Sprawdzanie tego tropu - przerwała jej twardo Emma - to strata czasu.

Lindsay westchnęła.

- Emmo, zrobimy ten test.

Chwała Bogu!

- Komisarz Hill się denerwuje - ciągnęła Lindsay. - Naprawdę nie powinna pani była wracać do tego domu. Ani pan Townsend. I musi pani wiedzieć jeszcze jedno: komisarz przedyskutował sprawę z jednym z naszych kolegów, ekspertem od DNA; niewykluczone że na orzechu nic się nie znajdzie. Kwas niemal na pewno zniszczył DNA, które na nim było. A że orzecha dotykali różni ludzie, nie będzie łatwo go zbadać. To może potrwać wiele dni. Nawet parę tygodni.

- Ale ja...

Lindsay uniosła rękę.

- Sierżant Evans - powiedziała - zapewnił nas, że pani przyjaciel, Rafe, nie zrobiłby tego wszystkiego, gdyby nie był głęboko przekonany, że ma dobry powód. Więc zdecydowaliśmy się zbadać ten orzech.

Emma odetchnęła.

- Dziękuję. Bardzo dziękuję.

- Musi pani też wiedzieć - ciągnęła Lindsay - że jeśli DNA Ritchiego znajdzie się na orzechu, to uzyskamy tylko podstawę do powtórzenia testu. Sam orzech nie wystarczy, żebyśmy mogli pojechać do Francji i zabrać chłopca. Czy pani to rozumie?

- Tak.

- W porządku. - Lindsay kiwnęła głową i dodała: - My cały czas go szukaliśmy. Wiem, że pani myśli inaczej, ale szukaliśmy.

Jak na surową policjantkę, była wzruszona.

- Bardzo bym chciała, żeby ten test wykazał, że to Ritchie - oświadczyła.

- Ja też - odparła Emma.

Nie chciała tracić więcej czasu na gadanie, lecz działać dalej. Zrobić kolejny krok.

- Co teraz? - zapytała, gotowa jechać gdziekolwiek, by oddać próbkę DNA. Do laboratorium, do przychodni czy szpitala. Tam, dokąd ją skierują.

- Porównamy DNA z orzecha z próbkami DNA Ritchiego z pani mieszkania - tłumaczyła Lindsay. - Od pani też pobierzemy próbkę i od pana Townsenda, żeby laboratorium mogło odróżnić jego DNA. To zrobimy dzisiaj. Technik jest już w drodze.

A kiedy przyjechał, zapisał dane Emmy w formularzu: nazwisko, datę urodzenia, adres. Potem wyjął pałeczkę z kulką waty na końcu, coś jakby duży patyczek do czyszczenia uszu.

- Proszę otworzyć usta - polecił.

Było jak u dentysty. Emma usiadła na szarym plastikowym krześle i otworzyła szeroko usta. Poczowała, jak pałeczka mocno pociera wewnątrz jej policzka. Trochę to łaskotało. Więc coś takiego czuł też Ritchie. I na pewno próbował ugryźć pałeczkę.

Szpatułka wysunęła się z jej ust. Emma oblizwała suche wargi i od środka policzek. Technik potarł kulką waty prostokątny kartonik, zagiął go i schował do plastikowej torebki razem z formularzem z danymi Emmy.

- Gotowe - oświadczył. - To wszystko.

Uradowana wyszła z sali. Nareszcie. Teraz orzech Ritchiego trafi do laboratorium. Ale gdzie się podział Rafe? Nigdy by się na to nie zgodzili, gdyby nie on. I gdyby nie on, w ogóle nie miałyby próbki, ostatecznego dowodu. Nie mogła się doczekać, żeby z nim porozmawiać.

Przed komisariatem stał kolega Rafe'a, Mike; z rękami w kieszeniach kołysał się na piętach i spoglądał na ulicę. Był dużym facetem, wysokim i barczystym jak komisarz Hill, ale miał miłszą twarz i kurze łapki wokół przymrużonych oczu. Kiedy usłyszał, że drzwi się otwierają, natychmiast się odwrócił.

- Emmo. - Podeszedł, żeby uścisnąć jej rękę. - Mike Evans. Miło panią poznać.

- Dziękuję za wsparcie - powiedziała speszona rozmową z przyjacielem Rafe'a.

Nie podziękowała mu za adres we Francji, bo przecież mogło się okazać, że lepiej, aby nie wiedziała, skąd Rafe go wziął.

- Nie ma za co - odparł Mike. - Sporo zawdzięczam Rafe'owi. Razem odbywaliśmy szkolenie w Brixton; nieraz wyciągał mnie z kłopotów. Dobrze się sprawdza w sytuacjach kryzysowych.

- Gdzie on jest?

- Gawędzi sobie z naczelnikiem. Pewnie dostaje po łapach za to, co zmalował.

- Dostaje po łapach? - spytała zaniepokojona.

- Proszę się nie martwić. Nic mu nie będzie. Jeśli tylko znowu przed wyjazdem do Ameryki Południowej się w coś nie wpakuje, bo wtedy Juliet osobiście urwie mu głowę.

- Juliet?

- Jego dziewczyna.

Emma osłupiała. Rafe ma dziewczynę, Juliet?

- Przepraszam. - Mike zabawnie plasnął się dłonią w czoło. - Zapomniałem, że pani i Rafe nie znacie się zbyt dobrze. Prawdę mówiąc, ja sam dość dawno nie widziałem Juliet, ale byli ze sobą przez... ile? Dwa lata? Z tego, co wiem, zamierzała odpocząć po studiach i pojechać po świecie z Rafe'em.

- Och. Rozumiem. - Emma wciąż nie mogła się otrząsnąć. Rafe nigdy nie wspominał o żadnej dziewczynie. Ale przecież nie musiał...

Drzwi komisariatu otwarły się z kłopotem. Na schodkach stanął Rafe.

- Brr - powiedział, teatralnym gestem zacierając ręce. - Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę, że już nie mam do czynienia z tym bagnem.

- Wiesz, stary, nie powinieneś być odchodzić z roboty - oświadczył Mike.

- Owszem, powinienem. To była najszluszniejsza decyzja w moim życiu.

- Nie sądzę. - Mike popatrzył mu w oczy. - Dla nas to duża strata.

Rafe nie odpowiedział. Spojrzał na Emmę.

- Chcieliśmy pójść coś zjeść. Przyłączysz się do nas? Nad rzeką jest parę przyzwoitych knajpek.

Emma pokręciła głową.

- Nie pogniewacie się, jeśli pójde na samotny spacer? - zapytała. - Jestem wam wdzięczna. Bardzo wdzięczna. Ale w tej chwili muszę uporządkować myśli i pobyć trochę sama.

Kiedy tylko ją zostawili, poszła prosto do domu. Z tekturowego pudełka na szafie wyjęła kartę kredytową na czarną godzinę i swoje prawo jazdy. Wytarła je rękawem z kurzu. Ostatni raz jeździła samochodem, kiedy jako osiemnastolatka zdawała egzamin w Bristolu. Zdała za pierwszym razem. Jej paszport wciąż był w plecaku, razem z mapą Francji, którą kupili z Rafe'em. Wrzuciła jeszcze parę rzeczy i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Na stacji Liverpool Street pobrała gotówkę z bankomatu, tyle ile jednorazowo mogła. Najbliższy pociąg do Stansted odjeżdżał za dwie minuty. Pobieгла, by na niego zdążyć.

Kiedy siedziała już przy oknie, wysłała Rafe'owi SMS.

„Jestem zmęczona. Połóżę się wcześniej. Nie dzwoń”.

I schowała komórkę do plecaka.

Czuła się winna, że okłamuje Rafe'a po tym wszystkim, co dla niej zrobił. Ale nie chciała tracić energii na kłótnie. Ani ściągnąć na niego jeszcze więcej kłopotów.

Usadowiła się wygodniej i odgarnęła włosy z oczu.

Nauczyła się postrzegać Rafe'a jako swego rodzaju przedłużenie siebie i Ritchiego. Pojawił się w jej życiu niemal w tym samym momencie, kiedy zniknął Ritchie. Ritchie był jedynym tematem ich poważniejszych rozmów; on wypełniał jej myśli i, tak zakładała, także myśli Rafe'a, który odłożył nawet swoją podróż, żeby jej pomóc.

Ale Rafe miał własne życie, oczywiście. Że też wcześniej tego nie dostrzegła. Kiedy pojawił się Mike, a teraz jeszcze ta Juliet, okazało się, że Rafe zbudował sobie własny świat, o którym ona nic nie wiedziała.

Juliet. To imię budziło w niej mieszane uczucia. Śliczne imię. Klasyczne i romantyczne. Pewnie była też bardzo piękna. Rafe nie zadowoliliby się byle czym. I zasługiwał na to. Tylko dziwne, że nigdy o niej nie wspomniał. Ale z drugiej strony, przecież nie musiał. I w żadnym momencie nie zachował się niewłaściwie. Był tylko dobrym przyjacielem jej i Ritchiego, kiedy najbardziej tego potrzebowali.

Wyjrzała przez okno. Londyn pozostał w tyle. Obok torów rozciągały się porośnięte krzakami ugory. Za nimi drzewa strzelały w niebo - jak czarne, kolczaste rysunki ołówkiem na różowym tle. Do Stansted zostało niecałe piętnaście minut drogi. Ostatni przystanek przed Francją.

Emma poczuła przypływ determinacji. Była tam - i wróciła bez niego. To się więcej nie powtórzy.

Kiedy dotarła na lotnisko, była jeszcze bardziej podniecona.

- Najbliższy lot do Bergerac, poproszę - powiedziała zdyszana, podając paszport dziewczynie na stanowisku rezerwacji. Czekala, stukając niecierpliwie nogą, aż dziewczyna zapisze co trzeba w komputerze.

- Przykro mi. - Dziewczyna skrzywiła się z zalem. - Właśnie jeden odleciał.

Emma kiwnęła głową.

- Trudno. Polecę następnym.

- Dziś nie ma już lotów do Bergerac.

Emma nie mogła w to uwierzyć. Owszem, Bergerac nie było dużym miastem, ale nie przyszło jej do głowy, że może nie być już dzisiaj więcej lotów. Co teraz zrobić? Czekać jeszcze jedną całą noc, zanim wróci do Ritchiego?

Dziewczyna wcisnęła kilka klawiszy.

- Jest samolot jutro z samego rana - poinformowała. - Siódma piętnaście. Czy to dla pani za wcześnie?

- Nie. Nie, skąd. Poproszę. Dziękuję.

Lepsze to niż nic. Emma podała jej kartę kredytową i odebrała drogocenny bilet na samolot. Włożyła go do paszportu i zasunęła starannie w kieszeni plecaka. Po czym stanęła bezradnie i rozejrzała się po hali. Co teraz? Nie może przecież sterczeć tu całą noc. Ale nie chciało jej się też wracać do Londynu.

Kupiła kanapkę w jednym z kawiarnianych stoisk i usiadła na końcu pustego rzędu krzeseł, żeby ją zjeść. Było tu spokojnie i ciepło, pewnie usiadła przy grzejniku. Przez cały czas, kiedy jadła kanapkę, nikt nie usiadł obok niej ani nawet nie przeszedł. Emma wstała, by wyrzucić opakowanie do kosza. Kilkanaście metrów dalej szedł samotny pasażer, jego kroki niosły się echem. Lotnisko najwyraźniej wyciszało się na noc.

Ktoś zostawił na pokrywie kosza złożony na pół „Evening Standard”. Emma wzięła gazetę. Rozłożyła ją na siedzeniu, żeby nie pobrudzić go butami, po czym ułożyła się wygodnie na boku, z plecakiem zamiast poduszki.

Leżała przez chwilę, czekając, czy ktoś nie przyjdzie i nie powie jej, że tu nie wolno spać. Ale nikt nie przyszedł. Słyszała tylko przyciszone ding-dong, zapowiadające komunikaty dla pasażerów, i same komunikaty, niezrozumiałe z tej odległości, ale wypowiedane kojącym tonem, jak to zawsze na lotniskach. Było tu spokojnie. Wygodnie. Po prostu dobrze. W pewien sposób bliżej do Francji niż do Londynu. Zamknęła oczy.

Następnego ranka pierwsza weszła na pokład. Potem samolot wypełnił się parami i rodzinami, dziećmi w sandałach, spodenkach i swetrach, bo przecież byli jeszcze w Anglii. Okna były kwadratami białego, wodnistego światła. Powiew świeżego powietrza od drzwi przyjemnie chłodził.

Samolot wystartował pięć minut przed czasem. Emma poczuła się ważna. Tym razem siedziała koło przejścia. Stewardesa kilka razy uderzyła ją, dosyć boleśnie, swoim aluminiowym wózkiem. Kobieta z przeciwnej strony zapytała Emmę, czy może pożyczyć od niej gazetę. Mężczyzna obok niej zrzucił laptopem na podłogę stertę papierów ze swojego stolika. Emma schyliła się, żeby pomóc mu je pozbierać. Kiedy się siedzi przy przejściu, trzeba uczestniczyć w tym, co się dzieje dookoła; nie było się tylko muszką szybującą samotnie w chmurach.

Wszyscy ci ludzie, w samolocie przez jakiś czas zaprzestali gonitwy za swoimi celami.

A ona była wśród ich też ze swoim celem.

Bardzo spokojna.

Teraz już wiem, co robię.

W wypożyczalni samochodów w Bergerac wyjęła prawo jazdy i pieniądze, zanim pracownik zdążył ją o to poprosić.

Samochód był podobny do tego, którym jeździli z Rafe'em poprzednim razem. Z przyzwyczajenia Emma podeszła do drzwi od strony pasażera. Siedziała już w środku, zanim przypomniała sobie, że powinna siedzieć po drugiej stronie. Przesunęła się; przez kilka minut ustawiała lusterka i zapoznawała się z samochodem. Złożyła odpowiednio mapę i zlokalizowała zieloną, krętą kreskę drogi do St-Bourdain. W końcu zapięła pasy i zapaliła silnik.

- Starej krowie lepiej w rowie - powtórzyła nerwowo kilka razy, żeby zapamiętać, po której stronie drogi jechać. Centrum Bergerac wydawało się bardziej ruchliwe niż wtedy, kiedy była tu poprzednim razem. Więcej ludzi w sklepach i na chodnikach, więcej samochodów na placu i na ulicach. No tak, to wtorek, a nie niedziela. Emma prowadziła ostrożnie - utknęła tylko raz na zakręcie w lewo - i wkrótce znalazła się na drodze do St-Bourdain.

Tym razem pogoda kaprysiła, nad polami wisiały niskie szare chmury. Teraz, gdy była już tutaj, i to tak blisko synka, nie mogła się doczekać, kiedy dojedzie na miejsce. Odrzucała myśl, że Huntowie się wyprowadzili. Antonia powiedziała Rafe'owi, że zrobią to dopiero za tydzień czy dwa, ale istniało duże

prawdopodobieństwo, że kłamała. Mimo pozytywnego dla nich wyniku testu państwu Huntom ziemia paliła się pod nogami. Wiedzieli, że Emma nie odpuszczy. Że wróci. No już, gdzie ten dom? Zielonożółte pola umykały do tyłu. Opony mruczały i świszczwały na jezdni. W plecaku Emmy na siedzeniu obok niej zaczął dzwonić telefon.

Nie odrywając oczu od drogi, jedną ręką zaczęła szukać komórki. Dzwonek brzmiał to głośniejsze, to ciszsze, gdy przerzucała przykrywające aparat ciuchy. Wyciągnęła go, zanim dzwonienie się urwało, i przełożyła do lewej ręki, żeby móc trzymać kierownicę prawą.

- Halo?

- Emma! - To był Rafe.

- Co się dzieje? - Emma się zdenerwowała. - Wynik już jest?

- Jeśli nawet, to ja bym o tym nie wiedział - odparł spokojnie. - Policja dzwoniłaby do ciebie.

- No tak.

- Chociaż pewnie by się nie dodzwoniła - dodał. - Ja próbowałem już wcześniej. Twój telefon ciągle powtarzał: „Poza zasięgiem”.

- Ee... tak?

Chwila ciszy.

- Jesteś tam, prawda? Jesteś we Francji.

- Jak się domyśliłeś? - Emma bezwiednie uśmiechnęła się do telefonu.

Rafe coś powiedział, chyba zaklął, ale nie usłyszała dobrze. Pomyślała, że może i on się uśmiecha. Ale kiedy znów się odezwał, jego ton był śmiertelnie poważny.

- Emma, co ty wyprawiasz?

Wąski zakręt drogi. Emma skupiła się.

- Wiem tylko tyle - oznajmiła, kiedy auto wyjechało na prostą - że muszę być blisko niego. Nie setki kilometrów od niego, w innym kraju.

- Nie prowokuj ich, Emmo. Musisz poczekać na wynik testu. Wtedy zdobędziesz o wiele mocniejsze argumenty. Będziesz miała policję po swojej stronie. Nie daj im pretekstu do ucieczki.

- A jeśli już uciekli? Zamyślił się, wyczuła to.

- Kiedy tam byłem, nie wyglądało na to, żeby im się gdzieś spieszyło.

- No cóż, wątpię, czy wtajemniczyli cię w swoje plany.

Dotarła na miejsce. Oto pochylona w stronę żywopłotu tablica St-Bourdain. Za nią drzewa na wzgórzu. A nad nimi czerwony dach. Emma zwolniła w pobliżu bramy. Zatrzymała samochód w zatoczce pod żywopłotem. Czy Huntowie jeszcze tu są? Trudno to stwierdzić, patrząc tylko na dach. Przecież jeśli odjechali, to nie zostawili za sobą tumanów kurzu.

- Gdzie jesteś teraz? - zapytał Rafe.

- Przy bramie.

- Niech to szlag. - Znów zaklął.

Emma zaciągnęła ręczny hamulec. Silnik pracował na jałowym biegu. Przekręciła kluczyk i warkot umilkł.

- Muszę go zobaczyć - powiedziała. - Bez dyskusji. Muszę być przy nim.

- Nie wybije ci tego z głowy?

- A co innego mogę zrobić? - spytała. Długa chwila ciszy.

- Nic - przyznał w końcu Rafe. - Nic.

- No widzisz.

- Taa. - Długie, ciężkie westchnienie. - No widzę. I rozumiem. Więc niech ci będzie, powodzenia.

Ale, Emmo, proszę, staraj się im nie pokazywać. Nie stawiaj im czoła sama.

- Okej.

Kiedy się rozłączyła, pozostało jej tylko siedzieć i czekać. Na niebie wśród chmur pojawiały się prześwity. Promienie słońca przebijały się przez nie świetlistymi, prostymi kreskami, jak rampy prowadzące z nieba na pola.

Jeśli Huntowie tu są, to prędzej czy później muszą się pokazać. Zamierzała tu czekać aż do skutku. Jeszcze jeden rzut oka na niego. A potem, kiedy go już zobaczy... hm. Co wtedy zrobi? Zapali silnik. I odjedzie. Potem gdzieś się zatrzyma. Będzie wykręcać palce i czekać, aż policja wreszcie raczy do niej zadzwonić.

Rafe powiedział, że trzeba przestrzegać zasad. Ona musi, bo nie ma innego wyjścia. Więc zrobiła, jak jej radził, i grała w ich grę; ostatecznie jednak nic na tym nie zyskała. Rafe się mylił.

Słońce na dobre wyjrzało zza chmur. W aucie zrobiło się gorąco. Emma ociekała potem. Opuściła szybę i odsunęła fotel od kierownicy, żeby mieć więcej miejsca.

Jeśli Huntowie są gdzieś poza domem, muszą w końcu wrócić. A jeśli w domu, będą musieli wyjechać. Jeśli przejadą obok jej samochodu, może być jej trudno dobrze przyjrzeć się Ritchiemu. Ale gdyby zabrali go na spacer? Chociażby tylko na podjazd? Za każdym razem, kiedy na drodze słyszała warkot silnika, przyglądała się, czy to nie oni, ale zawsze okazywało się, że to jakiś traktor albo turystyczny bus z dziećmi i namiotami. Czekała.

Po bardzo długim, jak się jej zdawało, czasie, coś poruszyło się u szczytu podjazdu. Emma uniosła się w fotelu. Jakiś mężczyzna przemykał między drzewami, niosąc coś w ramionach. Mąż Antonii? Emma pochyliła się do przodu i zmrużyła oczy. Za daleko, żeby zobaczyć twarz. Ale dźwigał jakieś pudło. Ciężkie. Musiał podtrzymywać je obiema rękami. Podszedł do samochodu od tyłu i uderzył w bagażnik łokciem. Kłapa się uniosła. Mężczyzna wsunął pudło do bagażnika.

Emma myślała intensywnie. Jeśli to mąż Antonii, to dlaczego pakuje jakieś rzeczy do samochodu? Obserwowała mężczyznę. Nie odrywała wzroku od gałęzi, za którymi zniknął; czekała. Nikt inny się nie pojawił.

Auto się nagrzało. Uda swędziały Emmę i kleiły się do dżinsów. Opuściła szybę na sam dół. Powietrze pachniało trawą. Grzywacz odzywał się gdzieś w polu.

I znów ten mężczyzna. Emma zeszywniała. Szedł do samochodu na podjeździe. Tym razem z walizką.

A potem kobieta. Z dzieckiem na rękach.

Emma wciągnęła ze świstem powietrze. Dziecko! Ritchie! To musi być on. Och, dzięki ci, Boże. Na szczęście ciągle jest tutaj. Ale co oni teraz robią? Jezu, przydałaby się lornetka. Pochyliła się do przodu. Mężczyzna włożył ciężką walizkę do bagażnika, a kobieta podeszła do bocznych drzwi. Otworzyła je i schyliła się do środka, ciągle z dzieckiem w ramionach. Po paru minutach wyprostowała się. Ręce miała puste.

Ritchie był teraz w samochodzie.

W samochodzie z tymi wszystkimi pudłami i walizami.

Emma miała złe przeczucia. Na drodze za nią zgrzytnęły kamienie. Jakiś samochód zwalniał. Odwróciła się i mu przyjrzała. Czarny džip objechał ją ostrożnie, wrzucając kierunkowskaz, po czym znów przyspieszył i śmignął w górę wzgórza. Jasna cholera. Choćby wyniki testu przyszły w tej chwili, minęłyby całe wieki, zanim dotarłaby tu policja. Najpierw telefony między Anglią i Francją, rozmowy łamanym językiem. To mogło trwać całe godziny. A poza tym, czy policja potraktowałaby sprawę na tyle poważnie, żeby przysłać tu odpowiednio dużo ludzi i aut? A jeśli tylko jakiegoś młodego posterunkowego, który zadałby parę pytań, kiedy już zje na śniadanie croissanta?

Kolejny samochód. Nie policja.

Ritchie był tu. Był tu w tej chwili. Ale jeśli ona czegoś nie zrobi, i to szybko, to już go tu nie będzie.

Otworzyła drzwi samochodu. Wysiadła w pachnący trawą poranek, tak świeży po gęstym upale kabiny. Powietrze ją orzeźwiło. Zamknęła drzwi, ale nie na zamek. Przemknęła przez drogę, za bramę. Ruzyła podjazdem, z początku skradała się, a potem, zupełnie nagle, przestała się przejmować. I co z tego, że ją usłyszą? Pora z tym skończyć.

W kieszeni zaczął jej dzwonić telefon. Wcisnęła czerwony guzik i szła dalej.

U szczytu podjazdu Antonia znów stała nachylona do samochodu, zwrócona plecami do Emmy; poprawiała coś na siedzeniu. Wokół auta stało więcej pudeł. Jej męża nigdzie nie było widać. Gdzieś zagadał ptak, turlu-turlu, przez korony drzew sączyło się słońce. Cienie gałęzi pstrzyły świetlistymi i ciemnymi plamami złotawe ściany domu. Ritchie siedział w samochodzie, przypięty w foteliku. Patrzył w drugą stronę. Emma widziała czubek jego głowy.

- Witam - powiedziała.

Antonia próbowała jednocześnie odwrócić się i uskoczyć. Uderzyła głową o drzwi. Kiedy zobaczyła, kto do niej mówi, usta jej się otworzyły. Zbladła i zatoczyła się do tyłu.

- Chcę odzyskać swoje dziecko, natychmiast! - krzyknęła Emma.

- David! - zapiszczała Antonia. - David! - I do Emmy: - Czego pani tu znowu szuka? Tego już za wiele. Zaraz wezwiemy policję.

- Wzywajcie - wycodziła Emma.

Patrzyła nad ramieniem Antonii, usiłując dojrzeć Ritchiego. Na kamieniach zachrząściły kroki. Emma się odwróciła. Zza domu wyszedł wysoki mężczyzna w szortach. Poznała go natychmiast. To on powiedział, że mu przykro, i zamknął jej drzwi przed nosem.

- Pip? - zawołał. - Pip, wszystko w po...

Nagle zobaczył Emmę i zwolnił.

- Och - wyrwało mu się. - Och.

Jego twarz niczego nie zdradzała. Podeszedł i zatrzymał się blisko samochodu.

Emma odwróciła się do Antonii.

- Zabieram go - oświadczyła.

Zrobiła krok w stronę auta. Antonia zareagowała błyskawicznie. Zatrzasnęła drzwi i zasłoniła je własnym ciałem.

- Ej, ej. Nie tak szybko. Proszę zostawić mojego syna w spokoju.

- To nie jest twój syn! - wrzasnęła Emma.

Nie odrywała oczu od samochodu. Dziecko wciąż siedziało odwrócone od nich, a przez przyciemniane szyby widziała tylko jego włosy. Bardzo chciała zawołać chłopczyka, chciała, żeby się odwrócił, chciała zobaczyć szeroki uśmiech na jego okrągłej buzi, kiedy rozpromieni się na jej widok. Ale nie chciała go wystraszyć, tylko być przy nim, kiedy ją zauważy.

Ale najpierw musiała poradzić sobie z Antonią. Po raz pierwszy dokładnie się jej przyjrzała - trzeba przyznać tej suce: dba o siebie. Włosy świeżo umyte i gładkie, nienaganna fryzura. Koszula i spodnie wyprasowane i odpowiednio dobrane kolorystycznie. Kremowe, oczywiście. Szminka - matowy róż - doskonale nałożona.

- Rozumiem. - Emma starała się nad sobą panować. - Rozumiem, dlaczego go chcesz. Nie zamierzam pozbawić cię kontaktu z nim. Będziesz mogła go widywać. Dogadamy się jakoś.

- Pani oszalała - prychnęła Antonia. - Potrzebuje pani pomocy. Dlaczego tak się pani uczepiła naszej rodziny? Wiem, że pani syn zaginął, ale dlaczego w takim razie go pani nie szuka? Dlaczego musiała się pani zawniać na nasze dziecko?

- Jak możesz tak kłamać? - oburzyła się Emma. - Doskonale wiesz, że to nie jest twoje dziecko. Zabrałaś mi go na stacji metra.

- Od lat nie byłam w metrze. - W głosie Antonii brzmiała desperacja. - Jedyne przestępstwo, jakie popełniliśmy z Davidem, to takie, że zachciało nam się wracać z wakacji przez Londyn. I nagle jesteśmy wplątani w tę historię. Na litość boską. - Głos jej drżał. - Okazaliśmy pani sympatię i współczucie. Zgodziliśmy się nawet na test DNA, co raczej nie należy do przyjemności, ale zrobiliśmy to, żeby pani pomóc. Pomóc! Ale już tego dość. Dość. Proszę odejść i zostawić nas w spokoju.

Emma osłupiała. Co jest grane? Antonia zachowywała się tak, jakby mikrofon nagrywał każde jej słowo. Jaki sens miały te bzdurne zaprzeczenia? Przecież wiedziała, że Emma wie, jak było. Równie dobrze mogłaby próbować okłamać samą siebie.

Emma przyjrzała jej się jeszcze raz. Nie miała urojeń. To była Antonia. Kobieta, która siedziała z nią U Pana Bapa, a potem zniknęła z Ritchiem. Wtedy jej włosy były jaśniejsze, ale cała reszta - taka sama. Gdyby się bardzo uprzeć, owszem, można by dostrzec różnicę: z bliska skóra pod oczami wydawała się starsza, niż Emma to zapamiętała. Rozciągnięta i sina. Miejscami żółtawa.

Głos Rafe'a w głowie: „Widziałem, jak się robi takie testy. Nie da się podmienić próbek”.

To jakiś obłąd. Obłąd. Przecież w samochodzie siedzi Ritchie. No dobrze, nie widzi go dokładnie akurat teraz, ale widziała go na nagraniu z lotniska i tutaj, na tym podjeździe. Jego włosy. Zgoda, ciemniejsze, ale przecież Antonia je ufarbowała. To są jego uszy. Wie, że to on. Wystarczy tylko odepchnąć Antonię, znaleźć się przy nim, i...

Kroki za plecami. Emma obróciła się i stanęła twarzą w twarz z Davidem Huntem. Ale on nie patrzył na nią.

- Pippa - powiedział. - Pip.

- Dzwon po policję! - wrzasnęła Antonia.

- Pip - powtórzył David i wyciągnął rękę. - Daj już spokój, Pip.

- O czym ty mówisz? - wyszczała Antonia.

- To się nie mogło udać. Moja matka zadawała setki pytań, od kiedy go tu przywieźliśmy, i nie ona jedna...

- Zamknij się! - wybuchnęła Antonia. - Zamknij się, głupcze. Chcesz, żeby zabrali Xaviera?

Brwi Davida Hunta opadły. Jego twarz skurczyła się jak papierowa torba zgnieciona w garści.

- Xavier nie żyje - wydusił.

- Co takiego? - Głos Antonii zmienił się w piskliwy skrzek.

- On nie żyje! - krzyknął David. Zaciskał zęby, naprężyły mu się ścięgna na szyi. - Słyszysz mnie?

Umarł i już nie wróci.

- Zamknij się! Zamknij. - Antonia cofnęła się, zakrywając twarz dłońmi.

Telefon dzwonił Emmie w kieszeni, ale prawie go nie słyszała. Z samochodu dobiegł cichy płacz przestraszonego dziecka.

- Nasz syn... - David spojrzał na Emmę. - Nasz syn zmarł. W Indiach, cztery miesiące temu.

- Nieprawda! - wrzasnęła Antonia. - Nieprawda.

- Prawda.

Ritchie głośno, żałośnie zawodził. Emma chciała do niego doskoczyć. Zrobiła kolejny krok, ale Antonia wciąż stała między nią a samochodem.

- Nie pozwalala mi nikomu powiedzieć - szepnął David, kręcąc obrączkę na serdecznym palcu. - Mówiła, że jeśli nikt nie dowie, to będzie tak, jakby to się nie wydarzyło. Zgodziłem się. Była taka... Nie mogłem jej zmusić, żeby wróciła do domu. Nie chciała go zostawić w Indiach. A potem, kiedy w końcu namówiłem ją na podróż do Londynu, spotkała panią i stwierdziła, że nie potrafi się pani opiekować swoim dzieckiem; błagała mnie, żebyśmy je wzięli ze sobą, i... Boże, zmiłuj się, ja...

Antonia syknęła do Emmy:

- Nie nadajesz się na matkę. Na litość boską, pozwoliłaś, żeby został sam w pociągu. Kiedy cię zobaczyłam na tej stacji, byłaś wrakiem. Brudna, niechlujna, zagubiona. Sprawiałaś wrażenie nienormalnej. Musiałam go zabrać.

- Nie tobie o tym decydować! - wrzasnęła Emma.

Zapomniała, że powinna mówić cicho, aby nie straszyć Ritchiego. Płacz w samochodzie ucichł tak nagle, jakby ktoś pstryknął wyłącznikiem. Po chwili Ritchie się rozkrzyczał:

- Ma! - pisał. - Ma!

Emmę poniosły nerwy.

- Ritchie. Och, Ritchie, skarbie. Jestem tutaj.

Przyskoczyła do samochodu. Chłopczyk wił się i szarpał, usiłując wydostać się z fotelika.

- Zjeżdżaj! - zawyła Antonia.

Emma jak przez mgłę pamiętała, co się wydarzyło potem. Antonia sięgnęła gdzieś - do samochodu? do pudła? - ale po ułamku sekundy znów stała prosto, z wyciągniętą ręką, a w jej dłoni błyszczało coś długiego i ostrego.

- Zjeżdżaj - powtórzyła.

W odruchu obronnym Emma cofnęła się, jeszcze zanim uświadomiła sobie, co tak błyszczy. Nagle zrozumiała i zamarła. Nóż! Antonia groziła jej nożem.

- Pippa - zaniepokoił się David. - Pip, co ty robisz?

- Nie dotykaj mnie! - ryknęła Antonia. David, który próbował ją powstrzymać, szybko odskoczył. - Ciebie też dźgnę - ostrzegła. - Nie myśl, że nie. Chciałam stąd wyjechać dawno temu, ale ty mówiłeś, że trzeba czekać. Co się z tobą dzieje? Gdyby nie ja, w ogóle byśmy się stąd nie ruszyli. Ty chyba chciałeś, żeby zabrali Xaviera... Powiedziałam: zjeżdżaj!

To do Emmy, która znów próbowała niepostrzeżenie doskoczyć do samochodu. Antonia zamachnęła się na nią nożem. Jej włosy, które kilka razy przeczesała palcami, nie wyglądały już tak schludnie. Prawdę mówiąc, przypominały gniazdo nietoperzy. Oczy nabiegły jej krwią. Emma nawet nie drgnęła. Teraz żaden nóż nie mógł jej powstrzymać. Ani nóż, ani pistolet, ani nawet stado rozszalałych słoni.

- Philippa - powiedziała. Omal nie nazwała jej Antonią. - Philippa, proszę. Nie możemy o tym porozmawiać?

- Z tobą o niczym nie zamierzam rozmawiać - odparła Antonia. Emma wyraźnie już widziała nóż - długie, szerokie, kuchenne ostrze, do siekania mięsa albo warzyw. - Trzymaj się z daleka od mojego syna. Ostrzegam cię.

- Ma! - pisał Ritchie, wciąż się szamocząc.

- Pomogłaś mi wtedy. - Emma musiała bardzo się zmobilizować, żeby zachować spokój. - Wtedy, w pociągu, pamiętasz? Uratowałaś Ritchiego, dzięki tobie się nie zgubił. Gdyby nie ty, nie wiadomo gdzie by się znalazł. Proszę, nie myśl, że nie jestem ci za to wdzięczna.

Antonia z wyciągniętym nożem obchodziła tyłem samochód, zmierzając do drzwi kierowcy. Ale w ten sposób oddalała się od Ritchiego. Emma zaryzykowała. Rzuciła się do samochodu i wtedy poczuła uderzenie w ramię, powyżej łokcia. Zachwiała się, ale drugą ręką chwyciła krawędź drzwi. Poczowała coś dziwnego - kłujące mrowienie w całej ręce, jakby dotknęła przewodu pod prądem. Trwało to krótko. Gdzieś z daleka David wołał:

- Philippa! Philippa! Przestań!

Emma widziała tylko drzwi od strony Ritchiego. Już miała do nich doskoczyć, kiedy coś ją powstrzymało.

Antonia. Przechylała się z przedniego siedzenia ku Ritchiemu, celując w niego nożem.

- Jemu też mam to zrobić? - wycharczała.

Emma się cofnęła. Czubek noża był tak blisko okrągłej twarzyczki bezbronnego dziecka, że serce podeszło jej do gardła.

- Nie... - wydusiła.

- Nie będę powtarzać. Odsuń się od samochodu.

- Już. Już. - Emma cofnęła się. - Błagam. Tylko odrzuć ten nóż. Odrzuć nóż.

Antonia zmierzyła ją dzikim wzrokiem.

- Nie zabierzesz Xaviera. Nie zabierzesz mojego dziecka. Cokolwiek się stanie. To jedno mogę ci obiecać - syknęła.

I nagle odwróciła się, i osunęła na fotel kierowcy. W tej samej sekundzie Emma dopadła do drzwi, żeby wyjąć synka z fotelika. Uderzyła w klamkę, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa. Widziała klamkę, widziała dłoń, lecz nie mogła wyprostować palców.

- Ritchie! - wrzasnęła.

David, po stronie kierowcy, też krzyczał. Emma dostrzegła zamazaną plamę, potem przerażoną buzię Ritchiego w oknie, i nagle silnik obudził się z rykiem. Samochód skoczył do przodu, wystrzelując spod opon kurz i kamienie, i pomknął podjazdem w kierunku drogi. David pognął za nim. Zniknęli za drzewami.

Cholera, cholera, cholera! Emma zaczęła się szamotać z telefonem. Miała go w prawej kieszeni dzinsów, jednak nie udało jej się go wyciągnąć. Uprzytomniła sobie dlaczego. Jej palce były całe czerwone. Kapała z nich krew, tworząc na drodze kropelki. Ryk samochodu cichł w oddali.

- Jasna cholera! - krzyknęła Emma. Sięgnęła do kieszeni lewą ręką, wykręcając ramię i łokieć, żeby wyciągnąć komórkę.

David wypadł zza drzew, zdyszany i spocony. Zobaczył rękę Emmy, stanął jak wryty i zbladł.

- O Chryste! - wydusił. - Zrobiła to. Naprawdę dźgnęła cię nożem.

- Pomóż mi - poprosiła Emma. - Pomóż mi wyjąć telefon.

- Moja żona nie odpowiada za siebie - szepnął David. - Jest chora.

- Ach tak? I ma mojego syna.

Telefon wreszcie znalazł się w ręce Emmy.

- Jaki tu jest numer na policję? - wyrzuciła z siebie.

- Ja... eee...

Podskoczyli oboje, gdy telefon zadzwonił. Na wyświetlaczu pokazało się imię Rafe'a. Emma odebrała i przycisnęła komórkę do ucha.

- Zabrała go! - krzyknęła.

- Co?

- Ma nóż. Zabrała Ritchiego i ma nóż.

- Cholera. - Głos przycichł. Słyszała, że Rafe z kimś rozmawia. Po chwili rzucił do słuchawki: - Zostań tam, Emmo. Czekaj. Policja już jest w drodze.

- Pospieszcie się. Błagam.

Kiedy się rozłączyła, David patrzył na nią z rozpaczą. Prawie zapomniała o jego obecności. Twarz znaczyły mu głębokie zmarszczki, od oczu aż do kątek ust. Dla niego ostatnie tygodnie też nie były łatwe.

- Należało poszukać pomocy - powiedział. - Gdybyśmy o nią poprosili, nie doszłoby do tego.

- Dlaczego mi go zabraliście?! - krzyknęła Emma. - Dbaliście chociaż o niego? Czy wręcz przeciwnie?

- Przysięgam. - David przyłożył dłoń do piersi. - Kochaliśmy go jak własne dziecko. Opiekowaliśmy się nim najlepiej jak potrafiliśmy, robiliśmy dla niego wszystko.

- Jak wam się to udało? Jak wasi krewni mogli tak kłamać? Nie widzieć, że to nie jest wasz syn?

- Nie widzieli go od miesiący. - Twarz Davida poszarzała. - Powiedzieliśmy im, że jeśli wygląda inaczej, to dlatego że jest zdrowy. Tak powinno wyglądać zdrowe dziecko.

Emma od tak dawna czekała, żeby spojrzeć tym ludziom w oczy. Przeżywała tę chwilę tysiące razy, przygotowała sobie milion pytań. A one tylko czyhały, by wylać się z niej jak rzeka. Ale teraz, kiedy tu była i David Hunt stał przed nią, okazało się, że już nie chce ich zadawać. Odwróciła się, żeby odejść, ale David jeszcze nie skończył.

- Niczego by mu nie brakowało! Niczego! Byłby szczęśliwy.

Emma okręciła się na pięcie i spojrzała na niego.

- Ona by go zraniła tym nożem. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - spytała.

- Nie. Nie zrobiłaby tego.

- Owszem. Zrobiłaby. - Emma pokazała mu swoje ramię.

- Nie znałaś jej. - David kręcił głową. - Dawna Philippa nigdy by... moja Pippa... ona...

Nogi się pod nim ugięły. Jedną ręką zakrywał twarz, drugą próbował oprzeć się o ścianę domu.

- Mój syn - wybełkotał. - Mój syn... - I Emma nie wiedziała, które dziecko miał na myśli: Ritchiego czy własnego, zmarłego w Indiach synka.

Spojrzała w dół wzgórza. Daleko, za łukiem podjazdu, droga dzieliła się między polami, i znów, i znów, na coraz cieńsze kreseczki. Którędy jechała Antonia? Czy gdzieś wciąż widać mgiełkę kurzu wzbijaną przez jej samochód? Emma próbowała ją dostrzec i śledzić wzrokiem, by móc wskazać policji, ale kurz migotał i rozpraszał się. Chmury wyginały się w dół, jakby chciały go ukryć, a krople krwi kapały jej pod nogi.

Rozdział 18

- Porucznik Eric Perrine - przedstawił się mężczyzna w brązowej sztruksowej marynarce. - Z francuskiej policji.

Wyciągnął rękę do Emmy, nim zdał sobie sprawę, że ona nie może jej uścisnąć. Leżała na szpitalnym wózku otoczona ludźmi, a mężczyzna w białym kitlu bardzo delikatnie rozcinał jej rękaw nożyczkami.

- Widzieliście ich? - Emma próbowała podnieść głowę z poduszki. - Znaleźliście ich?

- Nie, *madame*. Ale znajdziemy.

- Wiecie, że ona ma nóż? Ścigacie ich? Zablokowaliście drogi?

- Robimy wszystko co w naszej mocy - odparł porucznik Perrine miłym głosem. Krótkie ciemne włosy siewały mu na skroniach. - Proszę mi zaufać, *madame*. Mamy opis pojazdu, szuka ich wielu funkcjonariuszy. I znajdziemy ich.

Jakiś człowiek w niebieskim papierowym czepku podszedł do Emmy i zaczął obmacywać jej ramię.

- Czuje pani? - zapytał. - A to?

Nie czuła niczego. Ręka była drętwa. Choć wciąż połączona z barkiem, nie należała do niej, nie była już częścią jej ciała. Mężczyzna w czepku powiedział coś do porucznika Perrine'a; ten kiwnął głową.

- Na razie muszę pozwolić lekarzom zająć się panią. Doznała pani poważnego urazu ręki. Chirurg mówi, że konieczna jest operacja - oznajmił.

- Operacja?

- Tak. Jak najszybciej.

Emma nie panowała nad sobą.

- Nie mogę. Nie mogę mieć operacji. Nie teraz, kiedy Ritchie jest gdzieś tam, z nią.

Porucznik Perrine wysłuchał lekarza i przetłumaczył:

- Naczynia krwionośne i nerwy pani ręki zostały poważnie uszkodzone - powiedział. - Bez natychmiastowej interwencji chirurgów pani ręka może obumrzeć.

- Mam to gdzieś.

- To trudna sprawa. Musi pani myśleć o synku. Proszę, pani Turner. - Oczy porucznika Perrine'a przypominały jej kogoś znajomego. - To i tak dla nas wszystkich skomplikowana sytuacja. Proszę nie pogarszać jej jeszcze bardziej.

Jego życzliwość sprawiła, że głos uwiązał jej w gardle.

- Zrobiła dziś pani bardzo wiele dla swojego syna, pani Turner. Rozmawialiśmy z panem Huntem. Dziś po południu mieli wyjechać do Włoch. I wyjechaliby, gdyby nie pani.

Pielęgniarka w bieli zakładała opatrunek na jej ramię.

- Pójdę już - powiedział porucznik Perrine - i sprawdzę, co się dzieje. Kiedy tylko będą jakieś nowe wiadomości, skontaktuję się z panią.

- Zrobi pan wszystko? - Zabrzmiało to jak szloch. - Wszystko, co pan może?

- Tak - zapewnił. - Ma pani moje słowo honoru, *madame*.

I odszedł. Chirurg i ludzie w bieli też gdzieś sobie poszli. Emma ledwie to zauważyła. Raziło ją światło. Roztrzęsiona, przekręciła się na bok, twarzą do ściany. Ta kobieta miała nóż. Celowała nim w Ritchiego. Zraniła ją, tak po prostu. To psychopatka. A teraz Ritchie jest w jej samochodzie. Emma ścisnęła w garści róg prześcieradła. Nie powinna tu leżeć. Powinna być w policyjnym wozie przeszukującym drogi; być tam, kiedy go znajdą, żeby ją pierwszą zobaczył. Wołał ją: „Ma! Ma!” Aaach! Przycisnęła dłoń do piersi. Wiedział, że tam była. Teraz się pewnie zastanawia, dlaczego do niego nie podeszła, dlaczego znów zniknęła i go zostawiła.

- Ja nie chciałam... - Musi mu to powiedzieć. - Nie chciałam...

Dźwignęła się z trudem. Wykluczone, żeby miała tu tak leżeć. Operacji podda się kiedy indziej. A teraz musi znaleźć porucznika Perrine'a i wymóc na nim, żeby zabrał ją któryś z radiowozów. Próbowała usiąść bardziej prosto, ale prawa ręka wisiała za nią, bezwładna, jak złamane skrzydło ptaka czy nietoperza. Opatrunek przysechł do skóry i teraz rozerwał na nowo ranę powyżej łokcia, tak, że Emma widziała różową masę mięśni. Czerwone strużki pociekły w stronę nadgarstka. Jej ręka wyglądała jak biało-czerwona mapa drogowa. Zrobiło jej się słabo, więc odwróciła wzrok.

Pielęgniarka zjawiała się przy jej łóżku.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Nic mi nie jest. - Emma rozglądała się wokoło, szukając ręcznika czy gazy. - Potrzebuję tylko czegoś do...

Spojrzała jeszcze raz na swoją rękę i osunęła się na wózek, pokonana. Nie była na tyle nieprzytomna, żeby nie widzieć, w jakim jest stanie. Nie mogła nic zrobić, nigdzie pójść z taką raną. Pielęgniarka też spojrzała na rękę i zmarszczyła brwi.

- Zdecydowała już pani? - spytała. - Zgodzi się pani na operację?

Emma myślała szybko.

- Jeśli się zgodzę, to kiedy będę mogła stąd wyjść? Od razu?

- Jeżeli operacja się uda, to zapewne tak. Ale powinna się jej pani poddać natychmiast. Nóż wyrządził poważne szkody. Nie ma pani krążenia w ręce. To dlatego pani nic nie czuje.

- Zrobią to szybko? Bo widzi pani, ja nie mam czasu. Muszę być przytomna. Ja... mój syn... - Emma się zająknęła.

- Rozumiem - powiedziała pielęgniarka i położyła dłoń na jej ramieniu. - Oczywiście, że rozumiem. Postaramy się zrobić to tak szybko, jak się da.

Kiedy tylko pielęgniarka zawiadomiła kogo trzeba, że Emma godzi się na operację, jej wózek znów otoczyli ludzie. Emma szukała wśród nich porucznika Perrine'a. Chciała, aby jej obiecał, że policja nie przestanie szukać Ritchiego, kiedy ona będzie leżeć w sali operacyjnej.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzała. Podniosła głos. - Muszę się jeszcze raz widzieć z tym policjantem. Z tym, który... Czy nikt mnie nie słucha?

Wrócił mężczyzna w błękitnym czepku i wydawał polecenia swojemu zespołowi.

- *Tout de suite* - rzucił.

Emma zrozumiała: „natychmiast”. Po kilku sekundach jej wózek jechał już korytarzem. Czowała na twarzy powiew. Potem znalazła się w sali pełnej sprzętu. Chemiczny zapach, dziwnie znajomy. Lakier do paznokci? Kolejni ludzie w fartuchach, tym razem niebieskich. Wszyscy coś robili. Otwierali i zamykali szafki. Wieszali jakieś rzeczy na tyczkach. Prysкали płynem z igieł strzykawek.

Jakaś kobieta zadawała jej pytania i zaznaczała odpowiedzi w formularzu:

- Kiedy pani ostatnio jadła? Czy miała już pani narkozę?

Emma wiedziała, że im lepiej będzie współpracować, tym szybciej lekarze przeprowadzą operację. Odpowiedziała na wszystkie pytania. Długopis kobiety śmigał po formularzu. Mężczyzna w papierowym czepku i masce zawiązał coś wokół zdrowego bicepsa Emmy.

- Żeby było widać żyłę - wyjaśnił. Postukał palcami spód jej nadgarstka. - Proszę poruszać dłonią.

Emma nie wiedziała, co to znaczy. Poruszać dłonią? Wygięła nadgarstek do przodu i do tyłu. Kobieta z formularzem zorientowała się, że Emma nie rozumie, i wróciła do wózka, żeby pomóc.

- Proszę zamykać i otwierać dłoń. - Pokazała. - O tak. Jakby pani chciała coś złapać.

Emma otworzyła i zamknęła lewą dłoń. Nagle coś ukuło ją w nadgarstek. Po kilku sekundach sala zawirowała. Emma próbowała chwycić się brzegu wózka, ale lewą dłoń wciąż ktoś trzymał, a prawa była w ogóle bez życia.

- Proszę - wyszeptała, nie wiedząc, o co właściwie prosi. - Proszę.

Głosy w tle. Pojawiła się przy niej Antonia w niebieskim czepku i masce. Emma widziała tylko jej oczy. Antonia trzymała nóż i dotykała palcem jego czubka.

- Słyszałaś o Salomonie? - zapytała. Jej głos był niski, zimny i suchy. - To król, który rozkazał przeciąć dziecko na pół.

Emma próbowała wyrwać rękę temu komuś, kto ją trzymał.

- Puszczajcie! - krzyknęła. - Rozmyśliłam się.

Ale ten krzyk musiał rozbrzmiewać tylko w jej głowie, bo francuskie głosy nadal mruczały w tle. Emma zaczęła wykręcać rękę, aż poczuła czyjeś palce i ścisnęła je.

- Już dobrze - odezwał się inny głos. - Jestem tutaj.

- Teraz pani zaśnie - powiedział lekarz.

Jej dłoń była wolna. Unosiła się u jej boku jak na wodzie. Coś było na jej twarzy, uciskało oczy, aż wszystko dookoła pociemniało. Chłód wpłynął jej do nosa. Zapach lakieru do paznokci stał się bardziej intensywny.

Gdzieś z daleka głos kobiety:

- Nie musi już pani poruszać dłonią.

Emma zdała sobie sprawę, że znów zaciska i otwiera pięść.

Coś złapać. Jestem tutaj.

Przestraszona otworzyła oczy. Coś nie pozwalało jej ruszać dłonią. Odepchnęła to coś i sięgnęła tak daleko, jak zdołała. Nagle ogarnęła ją ciemność. Jej dłoń upadła na prześcieradło. Palce podwinęły się, nieruchomiejąc, po czym się zacisnęły.

Wszystko wirowało. Światło przesywało jej powieki. Żołądek podchodził do gardła.

- Dzień dobry - usłyszała Emma.

Otworzyła oczy. Wirowanie ustało. Dziewczyna w bieli odsuwała zasłony w oknie.

Emma zamrugała, przyzwyczajając oczy do światła. Rozejrzała się. To nie była sala operacyjna, lecz zwykły pokój, z białą szafą i szafką, i telewizorem w rogu pod sufitem. Jej prawa ręka, gruba od bandażu, leżała na poduszce.

- Już po? - spytała oszołomiona. - Miałam tę operację?

- Tak.

Zdziwiła się. Ostatnim, co pamiętała, była kobieta z formularzem, która pokazywała jej, jak poruszać dłonią.

- Operacja trwała bardzo długo - mówiła pielęgniarka. - Siedem godzin. Nie wiemy jeszcze, czy... Siedem godzin?

Emma poderwała się na łóżku.

- Która jest godzina? - zapytała.

- Dochodzi ósma rano.

- Ósma rano? - Spała całą noc! Gdyby wiedziała, że operacja tyle potrwa, nigdy, przenigdy by się na nią nie zgodziła. - Znaleźli go? Znaleźli Ritchiego?

- Przykro mi, *madame*. - Pielęgniarka odwróciła oczy.

Emma wpadła w popłoch.

- Dlaczego? - Leżąc, czuła gwałtowne mdłości. Żołądek pchał jej się do gardła. - Dlaczego? Powiedzieli, że ona nie zajędzie daleko. Powiedzieli...

Pielęgniarka uniosła dłoń.

- Na korytarzu czeka pani z brytyjskiej ambasady - poinformowała. - Prosiła o rozmowę z panią, kiedy tylko się pani obudzi.

- Tak. Tak, oczywiście.

Pielęgniarka wyszła z pokoju. Po kilku sekundach wróciła w towarzystwie kobiety z jasnymi, krótkimi włosami, w spódnicy do kolan.

- Tamsin Wagstaff - przedstawiła się. - Z konsulatu.

- Co się dzieje? - zapytała błagalnie Emma. - Dlaczego nie znaleźli Ritchiego?

- Niestety, okazało się, że to nie takie proste - odparła Tamsin Wagstaff. - St-Bourdain to bardzo odosobnione miejsce. Nie ma tam kamer, jeździ bardzo niewiele samochodów. Nawet mimo tak szybkiej reakcji trudno było stwierdzić, którą drogą mogli pojechać. Policja bardzo się stara.

- Co teraz? Co zrobią?

- Zawiadomiono jednostki w całym kraju. Także posterunki graniczne. Wszyscy ich szukają. Mąż Philippy Hunt mówi, że o ile wie, żona miała przy sobie bardzo niewiele pieniędzy. Więc jeśli zechce coś kupić, musi użyć karty, a to nam powie, gdzie jest.

- A jeśli nie będzie musiała niczego kupować?

- Będzie musiała, prędzej czy później. Chociażby benzynę.

Benzyna! Ile może się mieścić w baku? Na jak długo wystarczy, jeśli jest pełny? Na godziny? Dni? A jeśli Antonia postanowi po prostu ukraść inny samochód?

- Policja jest pełna nadziei - mówiła Tamsin. - Znajdą ich. Na pewno. A tymczasem, jeśli mogę w jakikolwiek sposób pomóc, wystarczy powiedzieć.

Kiedy wyszła, pielęgniarka próbowała namówić Emmę, żeby zjadła śniadanie.

- Potrzebuje pani jedzenia po narkozie - tłumaczyła. - Poziom płynów u pani jest bardzo niski.

Emma posłusznie wzięła prostokącik masła w złotej folii; rozpląnęło jej się w palcach. W pokoju panował straszny upał. Słońce lało się przez okno. Żar płynął falami od kaloryfera. Zapach roztopionego masła sprawił, że zaczęła się dławić. Osa brzęczała słabo na parapecie.

Cała noc, a Ritchie się nie znalazł. Co się z nim dzieje? Gdzie oni są, na Boga?

Ten nóż przy jego twarzy.

Emma rzuciła folię na talerz.

„Nie zabierzesz mojego dziecka”.

Rafe zadzwonił z Londynu.

- Są już wyniki testu DNA - oznajmił. - Nie ma wątpliwości. To Ritchie.

Emma niczego nie widziała. Słońce załamywało się przez skałę w szybie, padając prosto na jej twarz.

- Wiem - powiedziała.

Odwróciła głowę, by słońce nie raziło jej w oczy.

- Próbowałem się kilkakrotnie do ciebie dodzwonić wczoraj - ciągnął Rafe. - Nie odbierałaś, więc domyśliłem się, że coś się musiało stać. Mike obdzwonił kogoś się dało, laboratorium zostało przyciśnięte, aby pospieszyć się z testem. Przepraszam, że nie zdążyliśmy na czas.

- Ona kompletnie oszalała. - Emma rozplakała się. - Kompletnie jej odbiło. I miała nóż. Celowała w niego. Celowała w jego twarz.

- Ćśś. Ćśś.

- A jeśli zrobiła mu krzywdę, jeśli...

- Przylatuję do ciebie - oświadczył Rafe. - Właśnie rezerwuję bilet na samolot.

Emma pociągnęła nosem. Westchnęła głęboko. Przycisnęła telefon do policzka. Wspaniale byłoby mieć tu Rafe'a. Widzieć jego ciepłe oczy, czuć jego siłę, pewność, że zawsze może na nim polegać, a on sprawi, że wszystko będzie dobrze.

- Nie trzeba.

- To nie problem. Przyjadę bardzo chętnie.

- Znów odsuniesz swoją podróż.

- To bez znaczenia.

- Dlaczego to robisz? Dlaczego nie liczy się dla ciebie twoje życie? To niemądre. Dlaczego ciągle chcesz być w to zaangażowany?

Jej słowa zabrzmiały tak ostro, że Rafe umilkł. Odpowiedziała za niego, już łagodniej:

- Bo czujesz się winny, że go nie uratowałeś. A przecież zrobiłeś w tamtej chwili wszystko, co mogłeś. I potem też. Teraz ludzie mnie słuchają, i to dzięki tobie.

- Emmo, nie musisz się z tym wszystkim borykać sama. Wierz albo nie, ale są tacy, co się o ciebie troszczą.

- Bo im za to płacą. To ich praca.

- Mnie za to nie płacą.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

- Ja chcę tam być - ciągnął. - Chcę być przy tobie. Emma odparła zimno:

- Myślisz, że mi to pomaga? Myślisz, że taka rozmowa jest w tej chwili na miejscu?

- Ja... - Rafe zaciął się przestraszony. - Ja nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało.

- Do widzenia - powiedziała miękko.

Rozłączyła się. Telefon był ciepły. Jeszcze mocniej przycisnęła go do policzka, jakby był dłonią Rafe'a.

Rafe sobie na to nie zasłużył. Nie po tym wszystkim, co dla nich zrobił. Ale przecież on ma swoje życie. Swoją Juliet. Gdyby wierzyła choć przez sekundę, że Rafe może jeszcze w jakiś sposób pomóc Ritchiemu, natychmiast by go tu ściągnęła. Lecz nic już nie mógł. Teraz w sprawę wkroczyła policja - wreszcie. Emma wiedziała, że kiedy Ritchie wróci, ona musi być silna, dla niego. Nie może polegać na kimś, na kim polegać nie ma prawa. Kiedy Ritchie wróci.

Wtedy wszystko będzie inaczej, niż było. To się nie może więcej powtórzyć - to ich osamotnienie, sytuacja, że gdy dzieje się coś złego, nie ma im kto pomóc. Teraz przekonała się, jak to wygląda. Ona sama mogła sobie radzić bez niczyjej pomocy, nie potrzebowała nikogo. Ale Ritchie tak. Ritchie potrzebował

ludzi. Dla niego będzie musiała wyjść z tego dołka, przestać uważać się nad sobą i uciekać przed światem. Są przyzwoici ludzie, ludzie, którzy zaopiekują się Ritchiem i będą dla niego dobrzy. Ludzie tacy jak... hm. Tacy jak Rafe. Ale przecież i inni. Rosina Alcares. Pani Cornes. Oni istnieją, trzeba tylko otworzyć oczy i ich poszukać.

A jeśli go nie odzyska?

Niespokojna odrzuciła tę mroczną pustkę, która czaiła się na obrzeżach jej myśli. Nie była jeszcze gotowa stawić jej czoło. Ale sprawi, jeśli będzie musiała. Jeśli tylko to jej pozostanie.

Tamsin Wagstaff w wąskiej spódnicy i z zaczesanymi do tyłu włosami wyglądała jak Francuzka, ale okazało się, że jest z Taunton w Somerset.

- Jesteśmy właściwie sąsiadkami - powiedziała z uśmiechem, kiedy dowiedziała się, że Emma pochodzi z Bath.

Emma nie była w nastroju na pogaduszki i Tamsin chyba to wyczuła, bo nie próbowała zmuszać jej do rozmowy. Starła się służyć pomocą jako tłumaczka, kiedy pielęgniarka czy lekarz nie mówili po angielsku. Udało jej się nawet namówić jedną z sióstr, żeby otworzyła okno i wpuściła trochę powietrza do dusznego pokoju. Policjanci obiecali Emmie, że będą dzwonić, jeśli tylko czegoś się dowiedzą, ale Tamsin zignorowała to i sama dzwoniła do nich co godzinę po aktualny raport.

Ritchie nareszcie był znany. Mówili o nim w telewizji, w jednym z tych kanałów informacyjnych, które przez całą dobę prezentują w kółko te same historie. Ritchie pojawiał się na ekranie niemal co dwadzieścia minut: jego zdjęcie na czerwonej ciężarówce, w koszulce „Supersurfer”, uśmiechniętego do aparatu.

- Śliczny chłopczyk - stwierdziła Tamsin, patrząc w telewizor. Przyłożyła palce do ust. - Naprawdę piękne dziecko. Uznanie dla pani.

- Dziękuję. - Jego widok tak strasznie Emmę bolał.

Nie mogła na niego patrzeć ani też odwrócić oczu.

- Chciałabym wiedzieć, w jaki sposób Philippa Hunt sfalszowała test DNA - powiedziała Tamsin. - Okazuje się, że próbki pobierał ich lekarz rodzinny. Policja z nim rozmawiała. Wygląda na to, że od Ritchiego pobrał wymaz osobiście, ale w tym czasie Philippa poskarżyła się, że się źle czuje, poszła do łazienki, a kiedy wróciła, jej wymaz był już gotowy i oznaczony. Doktor Ridgeway nie powinien był go przyjąć, ale to zrobił, bo przecież dobrze ich znał. Teraz jest oczywiście jasne, że musiała coś zrobić z pałeczką, kiedy była w łazience, ale...

- Jeśli zadała sobie dla niego aż tyle trudu - odparła ponuro Emma - to nie odda go tak łatwo.

„Nie zabierzesz mojego dziecka”.

Gdyby miała już nigdy nie zobaczyć Ritchiego, jednym z jego ostatnich wspomnień o niej byłaby ta chwila, kiedy krzyknęła i go odepchnęła. A był takim uroczym dzieckiem. Takim kochającym, wesołym, grzecznym chłopczykiem. Chciał od niej tak niewiele - tylko być z nią i mieć jej miłość. A jak mu się odwdzięczyła? Zabrała go, dzień po tym, jak go skrzywdziła, na tę koszmarną wizytę u doktor Stanford.

O Boże. Emma poruszyła się w łóżku. To, co powiedziała o nim wtedy, było ohydne. Naprawdę ohydne. Czy to słyszał? Czy rozumiał? Przecież siedział tuż obok niej.

„Ludzie mówią rzeczy, których nie myślą naprawdę”, pocieszał ją Rafe.

Ale Ritchie o tym nie wiedział. Nie wiedział.

Emma wciąż była senna po narkozie. Szpitalny pokój pojawiał się i znikał. Wiedziała, że jest we Francji, ale czasem, kiedy otwierała oczy, nie rozumiała, dlaczego pokój jest biały, a nie różowo-brązowy, jak w pensjonacie. Ludzie dzwonili na policję z całego kraju, twierdząc, że widzieli Ritchiego i Antonię. A policja dzwoniła do Tamsin, która regularnie przekazywała Emmie wiadomości. Emma próbowała zapamiętywać te telefony, ale ciągle zapominała ich treść. Zadawała Tamsin pytania, by po usłyszeniu odpowiedzi zdać sobie sprawę, że pytała o to już wcześniej.

- Ktoś widział samochód Philippy - poinformowała podekscytowana Tamsin po jednym z takich telefonów. - Piętnaście minut temu. Na A20, na północ od Limoges.

Ale pół godziny później z policji zadzwonili znów i powiedzieli, że ten samochód, prowadzony przez Francuza w średnim wieku, miał inny numer rejestracyjny.

Potem późnym popołudniem:

- Ktoś widział kobietę i małe dziecko - relacjonowała Tamsin. - Na stacji benzynowej niedaleko włoskiej granicy. Dziecko chyba nie chciało być z tą kobietą. Płakało i próbowało uciec z samochodu. Natychmiast wysyłają tam swoich ludzi. - Tamsin przycisnęła komórkę do piersi. - To może być to, Emmo. To naprawdę może być to. Mam przeczucie.

Ale niedługo potem telefon znów zadzwonił.

- Rozumiem. - Tamsin westchnęła. - Szwajcarski. Mama z dzieckiem. Rudą dziewczynką. Pięcioletnią. Cóż, dzięki mimo wszystko.

Zatrzasnęła klapkę telefonu.

- Wiem, że ludzie próbują pomóc, a przynajmniej tak zakładam, ale dlaczego robią coś takiego, na litość boską? Dlaczego wariaci, którzy chcą ściągnąć na siebie uwagę, muszą zadzwonić, bo widzieli... coś tam? To takie marnowanie czasu policji. Nie mówiąc już o stresie dla pani.

Wieczorem przyszła ekipa lekarzy, by zbadać rękę Emmy. Stanęli kręgiem wokół jej łóżka.

- To była trudna operacja - oświadczył jeden z nich. - Musimy czekać, aż się okaże, czy rękę udało się uratować. Tętnica pachowa przy rozgałęzieniu z podobojczykową...

Emma nie słuchała. Patrzyła na telewizor nad jego głową. Znów pokazywali Ritchiego - uśmiechał się do niej ze swojej ciężarówki. Ktoś dotknął ramienia lekarza, który natychmiast umilkł. Wszyscy wyszli gęsiego z pokoju.

W nocy nareszcie się ochłodziło. Wciąż żadnych oczekiwanych wieści. A potem zaczęło padać. Pielęgniarka zaciągnęła zasłony, ale monotony stukot kropli w szyby nie ucichł.

O trzeciej nad ranem, nie mogąc spać, Emma zwlokła się z łóżka i podeszła do okna. Zrobiło się zimno mimo włączonego grzejnika. Deszcz przybrał na sile. Pod latarniami na parkingu wirowały na wietrze żółte stożki kropel.

Drzwi pokoju się otworzyły. Weszła Tamsin; oczy miała zapuchnięte z niewyspania.

- Znaleźli samochód. Emma się odwróciła.

- Tym razem ten poszukiwany - dodała Tamsin. - To żaden fałszywy alarm.

- Czy?... - wydusiła Emma. - Był?...

- Niestety, Emmo, Ritchiego i Philippy nie było w samochodzie - odparła Tamsin. - Został porzucony. W baku prawie zabrakło benzyny, pewnie dlatego go zostawiła.

- Gdzie? - zapytała Emma.

- Za pustym domem, na bocznej drodze w Alzacji. Niedaleko szwajcarskiej granicy.

- Dawno? Kiedy go porzuciła?

- Policja ocenia, że przynajmniej dwadzieścia cztery godziny temu.

- Dwadzieścia... - Emma gapiała się na nią. - Ależ to całe wieki. Teraz mogą już być wszędzie.

- Mogą. Jednak według policji to mało prawdopodobne, jeśli idzie z dzieckiem pieszo. Daleko nie zajdzie.

- Ktoś mógł ich podwieźć.

- Tak. Ale Ritchie zostałby rozpoznany. Trąbią o nim w wiadomościach.

- Nie każdy musiał oglądać wiadomości.

- To bardzo głośna sprawa. - Tamsin starała się przekonać Emmę, by spojrzała na to wszystko jej oczami. - Mnóstwo ludzi słyszało już o Ritchiem. Moim zdaniem Philippa jest zbyt inteligentna, żeby ryzykować łapanie okazji. Najprawdopodobniej idzie pieszo i nie oddaliła się zbytnio. Policja ściągnęła tam psy. Przeszukują całą okolicę.

Tamsin mówiła niemal błagalnym tonem; chciała, by Emma uwierzyła, że to dobra wiadomość, że chora umysłowo kobieta z dzieckiem nie ma samochodu i w środku deszczowej nocy została bez dachu nad głową i jedzenia.

Szwajcarska granica! Czy to czasem nie tam są Alpy? Jeśli tu jest taka fatalna pogoda, to jaka musi być w górach?

Deszcz przeszedł niemal w ulewę. Szpital mieścił się w starym budynku. Ramy okien były spaczne, stare, szyby pojedyncze. Przez szpary wiało lodowate powietrze.

Dwa dni.

Serce Emmy ścisnął tępy ból. To już zbyt długo. Ritchie jest za mały. To koniec mimo tych wszystkich starań. Na pewno nie znajdą go w porę.

Spojrzała na swoją komórkę.

- Bateria mi się zaraz skończy - powiedziała. - Nie wzięłam ładowarki.

- Niech się pani nie martwi - uspokajała ją Tamsin. - Jest przecież mnóstwo innych telefonów.

Ale Emma się bała. Miała złe przeczucie. Na parkingu pod latarniami, żółte kręgi wirowały szybko.

- Proszę, przestań padać! - zawołała do deszczu. - Proszę, przestań, proszę, proszę...

I umilkła. Tamsin podeszła do okna. Była tak pełna nadziei. A Emma tak bardzo jej potrzebowała, bo już ją właściwie straciła.

Oparła się o Tamsin. Przyłgnęła do niej i poczuła, że nadzieja wlewa się w nią na nowo. Zapłakała i płakała, płakała, płakała.

O świcie deszcz ustał. Tamsin powiedziała do Emmy:

- Potrzebuje pani świeżego powietrza. Dowiem się, czy nie udałoby się pani stąd na chwilę porwać.

Poszła porozmawiać z pielęgniarką i wynegocjować dla Emmy przepustkę.

- Wszystko załatwione - oznajmiła po powrocie. - Opatrunek zmienią pani dopiero jutro. Nie ma powodu, żeby pani cały dzień tu siedziała.

Pielęgniarki przygotowywały innych pacjentów do śniadania. Szósta rano, a one już goliły pacjenta w sąsiednim pokoju. Wyglądały na zadowolone, że będą miały jedną pacjentkę mniej do mycia i karmienia. Jedna z siostr przyszła pomóc Emmie ubrać się i założyć temblak. Emma wzięła z szafki telefon. Bateria była już tak wyladowana, że pikał co dwie minuty.

Ritchie znów był w wiadomościach - w dyżurce pielęgniarek grał telewizor. Parę osób z personelu stało wokół i patrzyło. Kiedy Emma wyszła z pokoju, odwracały się i mruczały coś pod nosem. Widziała współczucie w ich oczach, tych wypoczętych przed dzienną zmianą i tych zmęczonych po nocnym dyżurze.

- Moi przyjaciele mają winnicę - powiedziała Tamsin, kiedy szły przez szpitalny parking do jej samochodu. - Wyjechali na kilka dni. Możemy tam pospacerować. Nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Długo pani pracuje - zauważyła Emma, która uświadomiła sobie, że Tamsin była przy niej prawie całą noc i teraz pojawiła się znów, żeby zabrać ją na wycieczkę.

- Mam dzisiaj wolne - odparła Tamsin. - Przyjechałam, bo nie chciałam pani zostawiać.

Podjechały przed bungalow z pozamykanymi okiennicami. Wokół rozciągały się pola z rzędami ciemnych krzewów. Lekki wiatr poruszał liśćmi, odsłaniając błyszczące, zielone i fioletowe kiście winogron. Emma i Tamsin dotarły do długiego kamiennego muru. Za nim rozciągał się widok na całą okolicę; tu i ówdzie widniały skupiska białych i żółtych domów, które wtapiały się w krajobraz.

Słońce wspinało się po niebie. Wilgotna trawa ocierała się o kostki Emmy.

Ritchie leży gdzieś w polu. Błagam, Boże.

Po prostu to czuła. Jeśli nie dotrą do niego w porę, jeśli bateria się wyczerpie i nikt jej nie zawiadomi...

Szły przez łąkę.

I nagle telefon Emmy zadzwonił. Spojrzała na wyświetlacz.

- Francuski numer - powiedziała i jej serce zaczęło dudnić jak bęben w czarnej czeluści.

Do tej pory policja zawsze dzwoniła na telefon Tamsin. Miała francuską sieć, znała język. To było logiczne. Emma i Tamsin spojrzały na komórkę i na siebie, i nawet Tamsin zbladła.

Emma się odwróciła. Trzymając w dłoni dzwoniący telefon, odeszła kawalek, aż znalazła się sama za kępą drzew. Wszystko zdawało jej się wyjątkowo wyraźne, trawa i bladożółte niebo, drzewo przed nią w dziwnym zbliżeniu - wilgotne konary, mniejsze gałęzie z drżącymi liśćmi. Każdy szczegół aż kłuł w oczy.

Wcisnęła guzik.

- Halo - powiedziała.

Piip. Ostrzeżenie o wyczerpanej baterii.

- Pani Turner?

- Tak.

- Mówi Eric Perrine.

Piip.

- Dzwonię, żeby panią poinformować, że piętnaście minut temu pani Philippa Hunt została odnaleziona...

Piip. Piip.

- ...gdy usiłowała przekroczyć granicę w...

Emma nie mogła dłużej czekać.

- Ritchie - wydusiła. Czuła się, jakby opadł na nią ciemny worek. Okrywał jej głowę, pogrążając ją w mroku, odcinając dopływ tlenu. - Co z Ritchiem?

Piip. Piip. Piip.

Głos porucznika Perrine'a się nie zmienił. Pozostał niezwykle łagodny. Kojący. Bardzo przyjazny. Emma nie zdawała sobie sprawy, co to sprawiło - czy jego słowa, czy jego ton - i skąd to wiedziała, zanim odpowiedział, ale w jednej chwili oddychała w worku bez powietrza, a w następnej worek wybuchnął wokół jej głowy i otworzyło się nad nią niebo. Miękki głos - choć telefon już milczał - wciąż brzmiał jej w uszach:

- Jest bezpieczny, *madame*. Chłopiec jest bezpieczny. Jest z naszymi żandarmami.

Rozdział 19

Czwartek, 4 października

Dzień dziewiętnasty

Czekała w sali konsulatu, z ozdobnymi fotelami pod ścianą, ze szklaną gablotą wypełnioną zastawą stołową i ze stojącym zegarem w kącie.

Tamsin Wagstaff weszła do sali, zaczesując palcami swoje gładkie włosy za uszy.

- Jeszcze najwyżej dwie godziny. Są w Clermont-Ferrand - wyjaśniła.

- Jak on się czuje? - zapytała Emma. Pytała o to co parę minut od tamtego telefonu. - Wszystko dobrze? - Wyobrażała sobie Ritchiego w radiowozie mknącym przez Francję; jego zaczerwienioną buzię i główkę podskakującą na tylnym siedzeniu.

- Jak najbardziej - odparła Tamsin. - Został nakarmiony i ciepło ubrany. Policjanci mówią, że to spokojny i opanowany młodzieniec. Mają nadzieję go zwerbować.

Emma się uśmiechnęła.

Głos porucznika Perrine'a: „Jest bezpieczny, *madame*. Chłopiec. Jest. Bezpieczny”. W duchu znów klęczała pod drzewem w winnicy, wydając z siebie tak nieartykułowane krzyki i bełkot, że minęło kilka minut, zanim przerażona Tamsin zrozumiała, o co chodzi. To było jak sen, jak sen. Nie chciała uwierzyć, że to prawda, dopóki nie zobaczy Ritchiego i go nie dotknie.

- Philippa Hunt jest w fatalnym stanie - powiedziała Tamsin. - Kiedy ją znaleźli, była wyczerpana. Domyślała się, że policja będzie jej szukać w Szwajcarii, więc poszła dalej na północ, do Niemiec. Przeszła pięćdziesiąt kilometrów polami i bocznymi traktami. Całą drogę niosła Ritchiego.

Emma wyobraziła ich sobie, jak wloką się, walcząc z lodowatym wiatrem. Ritchie nie miał butelki. Nic do jedzenia. Pieluszki nie zmieniano mu od wielu godzin. Może nawet przez te wszystkie dni.

- Szła prawie całą noc - ciągnęła Tamsin - więc pewnie minie sporo czasu, zanim będzie ją można przesłuchać. Ja wciąż chcę się dowiedzieć, jak sfałszowała test DNA. Ktoś zasugerował, że podmieniła próbkę pani DNA i swojego, ale to oczywiście śmieszne. Skąd miałyby próbkę pani DNA?

- Miała - odparła Emma. Miała mnóstwo czasu, żeby to wykombinować.

- Tak?

- Miała chusteczkę. Z moją krwią.

- Naprawdę?

Ten dzień na stacji metra. Antonia - Emma wciąż ją tak nazywała - tak pomocna i troskliwa. „Chce pani chusteczkę? Proszę mi dać tę zużytą”. Czy zabrała krew Emmy z rozmysłem? Już wtedy przewidziała sytuację, wiedząc, co zamierza zrobić? Czy choć przez chwilę kierowała nią zwykła życzliwość dla drugiej matki w trudnym położeniu?

- Boże święty. Nie do wiary! - zawołała Tamsin. - Policja to oczywiście sprawdzi. Ta kobieta będzie zeznawać, niech się pani nie martwi.

- To tylko prawdopodobne. - Emma wzruszyła ramionami. - Mogła to zrobić jakoś inaczej. Teraz to bez znaczenia.

Tamsin przyglądała jej się z ciekawością.

- Pewnie jej pani nienawidzi - powiedziała. Antonia w kawiarni odwracająca wzrok. „Tak, mamy Małego synka”.

Tego wszystkiego, czego doświadczyła Emma, doświadczyła też Antonia. Koszmarny ból porodu. Utrata młodości i wolności. Utrata siebie. Teraz stała się już tylko glebą, nie kwiatem. Borykanie się z samotnością i zmartwieniami. I nie ma powrotu. Można tylko iść naprzód, brnąć dalej, a jedyną nagrodą jest nadzieja na przyszłość, cud małej twarzy przytulonej do twojej.

Tamsin wciąż na nią patrzyła. Emma pokręciła głową.

- Nie nienawidzę jej - odparła. - Rozumiem ją.

- Prywatny telefon do ciebie! - zawołała od progu jakaś dziewczyna, patrząc na Tamsin, która wstała i przyglądała jasnopopielatą spódnice.

- Będę w gabinecie, gdyby mnie pani potrzebowała - powiedziała do Emmy.

I wyszła. W sali słychać już było tylko tykanie wielkiego zegara w kącie: klak, klak, klak.

Emmie nagle spocły się dłonie. Miała nadzieję, że Tamsin nie wyszła na długo. Miała nadzieję, że zostanie z nią, dopóki nie przyjedzie Ritchie. Że będzie z nią, gdy on się tu zjawi. Musiała wyglądać okropnie, chuda, blada i w bandażach. Z tą dziwną, ciężką ręką. Ritchie może się wystraszyć, kiedy ją zobaczy.

Klak, klak, klak.

Nie mogła tak tu siedzieć. Tamsin zostawiła otwarte drzwi. Emma poprawiła temblak na ramieniu i wstała. Wyszła do holu. Kiedy znalazła się tu z Rafe'em, była noc. Teraz stożek słońca wpadał przez okrągły świetlik w suficie. Wokół niego polatywał kurz. Emma miała wrażenie, że idzie na palcach. Wisi w powietrzu jak jeden z tych pyłków kurzu unoszących się wokół jej głowy. Czuła mrowienie w ramionach, tułowi, ustach i twarzy, nerwy się napinały. Ale jeszcze nie czas, jeszcze nie, czekaj, już to przeżywałaś.

„Nie nadawałaś się na matkę”.

A jeśli Ritchie ją zapomniał? Albo nie zechce już z nią być? A jeżeli wolałby zostać z Antonią? Antonia była dla niego dobra. Polubił ją od razu na stacji metra; obchodziła się z nim, jakby go znała. Ubierała go w piękne ciuszki, tuliła z taką miłością w swoim ogrodzie i niosła go przez całą noc w deszczu. A ona...

„Nie nadawałaś się”.

Kiedy Emma otworzyła drzwi przychodni doktor Stanford, deszcz wślizgnął się za nią z ulicy. Podłoga była mokra. Zatłoczona poczekalnia cuchnęła ropną wydzieliną i nieświeżymi oddechami.

- To pilna sprawa - powiedziała Emma. Recepcjonistka obrzuciła ją spojrzeniem od stóp do głów.

Ritchie siedział w wózku, marudząc, bo nie jadł lunchu.

- Nie jest pani umówiona. Może pani jutro przyjść do zastępcy - poradziła.

Emma pokręciła głową.

- Muszę z kimś porozmawiać - oświadczyła. - I to dzisiaj.

Nie myśl o tym teraz. Dlaczego o tym myślisz?

Doktor Stanford uśmiechnęła się kwaśno.

- Witam, Emmo. Znowu. Co panią dziś sprowadza? - Spoglądała w kartę na biurku. - Byłyśmy umówione za dwa tygodnie? Na ostatnią kontrolę ucha Ritchiego?

- Tak.

- Więc co takiego nie mogło poczekać?

Emma myślała, że jest przygotowana, że wie, co mówić. Ale siedziała jak kołek, patrząc na doktor Stanford, i ani jedno słowo nie wydobyło się z jej ust.

Uśmiech doktor Stanford skwaśniał jeszcze bardziej.

- Powiedziała pani, że to pilna sprawa. Dzisiaj wyjeżdżam na cały tydzień. Widzi pani, że poczekalnia jest pełna.

To powinien być najpiękniejszy dzień twojego życia. Nie psuj go. Emma stała w stożku słonecznego światła, pod okrągłym świetlikiem w wysokim suficie i z całej mocy starała się odepchnąć wspomnienie gabinetu doktor Stanford, ale ono ciągle wracało. Męczyło ją. Jak uparte dziecko wciskające w ręce zabawkę.

- Chodzi o to, że nie mogę zostawić Ritchiego samego - oświadczyła.

- Oczywiście, że nie.

Ritchie w wózku zanosił się płaczem, chrypiąc jak zdarta płyta.

- To może być męczące, rzeczywiście - przyznała doktor Stanford. - Malutkie dziecko. I pogoda taka okropna od paru dni, że nie można wyjść z domu.

Ritchie wciąż płakał.

- Niech pani posłucha. - Doktor Stanford spojrzała na zegar na ścianie. - To chyba nie najlepsza pora na rozmowę. Może poproszę Alison, naszą pielęgniarkę środowiskową, żeby wpadała do pani przez parę dni? Zna pani Alison? Nie było jej, ale ma wrócić w przyszłym tygodniu. Jest bardzo miła. Bardzo otwarta. Będziecie sobie mogli porządnie pogadać. Dobrze?

Zrobiła notatkę i spojrzała na Emmę.

- Dobrze? - powtórzyła, trochę zniecierpliwiona.

Hałas, który robił Ritchie, dźgał Emmę w uszy jak szpile. Chłopczyk płakał tak długo, że prawie stracił głos i podbródek opadł mu ze zmęczenia, ale nie przestawał. Nigdy go nie widziała w takim stanie. I nie potrafiła go w żaden sposób uspokoić, bo sama tonęła. Pozwoliła mu, żeby płakał za nią, bo ona nie miała już łez.

Doktor Stanford zapytała:

- Coś jeszcze?

W holu konsulatu stała duża marmurowa rzeźba, której Emma nie pamiętała z ostatniej wizyty. A jednak wyglądała jakoś znajomo. Błada kobieta w sukni pochylona nad dzieckiem na jej kolanach. Fałdy sukni połyskiwały w słońcu. Dziecko z lekkim uśmiechem wyciągało w górę pulchne rączki. Kobieta miała uniesioną dłoń, jakby głaskała powietrze nad głową dziecka, strzegąc je i chroniąc, a jej twarz, gdy na nie patrzyła, wyrażała czułość i zachwyt.

Musi znaleźć jakiś sposób, szybko. Myślała o tym w kółko. Taki sposób, żeby nie cierpiał. Bo kochała go bardziej niż kogokolwiek czy cokolwiek na świecie. Nigdy nie sądziła, że człowiek może tak mocno kogoś kochać. Ale musiała natychmiast coś wymyślić, bo się kurczyła, znikająca we własnym ubraniu. Zimny, usychający robak w ciemności.

Wiedziała tylko, że nie chce, żeby cierpiał.

- Rzucę Ritchiego pod pociąg - powiedziała do doktor Stanford.

Kiedy przyjechał, było już po piątej. Emma i Tamsin siedziały w sali z wielkim zegarem. Ktoś przyniósł tacę z kawą i filiżankami.

- Wiadomość dla ciebie. - Do sali zajrzała jakaś dziewczyna.

Tamsin wstała.

- Kolejna wiadomość - powiedziała do Emmy. - Jestem dzisiaj rozchwytywana. Proszę na mnie nie czekać, niech się pani napije kawy, zanim wystygnie.

Dzbanek był ciężki, Emma z trudem utrzymywała go jedną ręką. Skupiła się na nalewaniu kawy i wtedy wydało jej się, że coś usłyszała: piskliwe, słodkie gaworzenie w oddali. Zmarszczyła brwi, odstawiła dzbanek i zaczęła nasłuchiwać. Nic. Znow podniosła dzbanek. Usłyszała kroki przed drzwiami i nagle znow odstawiała dzbanek, szybko, by go nie upuścić, bo wszystko zaczęło dziać się naraz: kroki, szcęk klamki, jasny, ostry prostokąt światła. I głos Tamsin:

- Emmo, Emmo, już jest.

Emma wstała oszołomiona. Postacie w holu, promienie słońca oświetlające je z tyłu. Przez sekundę światło raziło ją w oczy i nic nie widziała. Kiedy wzrok jej się przyzwyczaił, spojrzała w drzwi, a w drzwiach stał Ritchie.

Coś w niej wybuchło, gdy go zobaczyła. Miał na sobie niebieską bluzę i tenisówki z prawdziwymi sznurówkami, z paskami po bokach. Jego oczy były wielkie i bardzo jasne; ścisnął dłoń kobiety i coś tam paplał, jak zawsze, kiedy był zmęczony; potem zaczynało się marudzenie. Nagle zobaczył Emmę i ucichł.

Wciąż trzymał dłoń kobiety. Gapił się na Emmę osłupiały, jakby nie wierzył własnym oczom. Emma poczuła ucisk w klatce piersiowej, z trudem łapała powietrze, jakby właśnie wynurzyła się z wody.

- Ma - powiedział Ritchie.

Wskazał Emmę palcem, spoglądając niepewnie na kobietę obok niego.

A ona powiedziała:

- Tak, Ritchie. To jest twoja mama.

Ritchie odwrócił głowę i znów się zagapił. Kobieta wysunęła dłoń z jego palców i się cofnęła. A on stał dalej, zapatrzony w Emmę, z ręką ciągle uniesioną.

Och, jaki był maleńki i rozkoszny, kiedy tak stał całkiem sam. Jaki zdumiony i zdezorientowany. Emma oddychała ciężko. Nie zauważyła, że klęczy.

- Cześć - szepnęła.

Buzia Ritchiego była zaróżowiona. Drżała mu dolna warga. Oczy miał wielkie jak postać z kre-skówki. Bała się go dotknąć. Wyciągnęła rękę i musnęła jego rękaw. Nagle zrobiło się tu cicho, dziwnie cicho. Gdzie się podzieli wszyscy ci ludzie? Byli tylko we dwoje - ona i jej dziecko. Emma śmieiej pogła-skała jego rękaw, a kiedy Ritchie się nie cofnął, przesunęła dłoń, bardzo powoli, w górę po jego rękę, na ramię, i nareszcie...

...nareszcie...

Ritchie podszedł bliżej.

- Ma - powiedział.

Nie miał pojęcia, co się dzieje, widziała to. Spojrzał jej w twarz i w jego wielkich poważnych oczach wyczytała pytanie: Mamusiu, dlaczego do mnie nie mówisz? Dlaczego masz na ręce to białe coś? Dlaczego wyglądasz tak dziwnie?

Dlaczego drżysz?

I w końcu ją objął. Wcisnął się w nią swoim ciepłym, miękkim, pachnącym ciałkiem, swoimi pyza-tymi policzkami.

- Ma - powtórzył, owiewając jej twarz oddechem.

Chciała coś powiedzieć, ale to coś było takie wielkie, puchło w niej, aż się wylało.

- Jestem tu - szepnęła i te słowa popłynęły wprost z jej serca do jego serduszka. - Oboje tu jesteśmy.

Epilog

*Sierpień
Kornwalia*

Czwarta po południu. Emma stała w drzwiach pubu Pie and Lobster w Polbraith, wdychając zapach ciepłego piwa i morza.

- Koniec na dzisiaj? - zapytała Susan, jej kierowniczką.

- Tak.

- To do jutra, Emmo.

- Do jutra.

Ruszyła główną ulicą. Przed sklepem z pamiątkami stały jeszcze metalowe stojaki pełne wiader, łopatek i pocztówek z Kornwalii, z koźmi w blasku słońca i rybakami w wełnianych czapkach naprawiającymi sieci na przystani. Obok sklepu był gabinet doktor Rudd, z mosiężną plakietką na drzwiach, dalej rząd szeregowców, jeszcze dalej sklep ze sprzętem do surfingu, a na końcu ulicy wybielony słonym wiatrem domek z drewnianą tabliczką przy drzwiach: „Przedszkole U Delfinka: 0-5 lat”. Pod napisem widniał wesoły błękitny delfin wyskakujący z fali.

Jess, miła dziewczyna, kierowniczka przedszkola, otworzyła drzwi.

- Cześć, Emmo. - Uśmiechnęła się. - Zapraszam. Ritchie jest w ogrodzie.

Poszły wąskim korytarzykiem. Jess odsuwała pod ściany maleńkie krzeselka ozdobione malunkami Kubusia Puchatka i plakatem z wielkim uśmiechem, i napisem „Bądź miły dla swoich ząbków”.

- Był grzeczny? - zapytała Emma.

- On zawsze jest grzeczny - zapewniła Jess. - Przez całe popołudnie opowiadał o duchach. Musiałam założyć ręcznik na głowę i wołać: u-hu!

- Oj, biedna. - Emma nie mogła się nie roześmiać. - Uwielbia duchy. Dwa tygodnie temu zobaczył jednego w telewizji i od tamtej pory nie ma innego tematu.

Rozmawiały w kuchni. Drzwi do ogrodu były otwarte.

- Tam go masz - powiedziała Jess.

Emma zauważyła go już wcześniej. Kuczał przy piaskownicy, a jego jasne włoski lśniły w słońcu. Z wysuniętym językiem wyjmował klocki z wiaderka. Obok niego inny mały chłopiec zakopywał w piasku plastikowego dinozaura. Nagle Ritchie uniósł głowę i zobaczył ją. Rzucił wiaderko i przybiegł do niej pędem. Emma uklękła, by się z nim przywitać.

- Buziak? - zapytała.

Mokre usta Ritchiego cmoknęły ją mocno w policzek.

- Mmmua!

- Co dzisiaj robiłeś w przedszkolu?

- Nie. - Pokręcił gwałtownie głową.

- No opowiedz. Musiałeś coś robić.

- Nie. Nie. - Znów pokręcił głową. Bardzo chciał już stąd iść. Podbiegł do drzwi prowadzących na korytarz i zawisł na klamce.

- Dzisiaj dzieci mają chyba jakoś łatwiej niż za moich czasów - powiedziała Emma do Jess. Roześmiały się i pożegnały.

„Juliet to tylko przyjaciółka. Już od dawna tak jest. Zamierzaliśmy się spotkać, kiedy przyjedzie do Ameryki Południowej, ale jak na razie nasze drogi się nie skrzyżowały. I nie sądzę, żeby się miały kiedyś skrzyżować”.

Ritchie bardzo się cieszył, że są już z powrotem w ich domku na klifie. Popędził do swojej czerwonej ciężarówki na środku salonu i chciał pojechać w niej do kuchni, ale pod przednim kołem leżał Bob Budowniczy.

Emma patrzyła, jak próbuje przejechać Boba.

- Pamiętasz Rafe'a? - spytała.

Ritchie dostrzegł nieruchome ciało Boba.

- O-o - powiedział.

Wysiadł z ciężarówki, żeby go wyciągnąć.

- Rafe wrócił z Ameryki Południowej - mówiła dalej Emma. - Jutro do nas przyjedzie. Na weekend.

Ritchie uniósł na chwilę głowę, ale tylko na chwilę, gdyż Bob na dobre utknął pod osi. Wydobyć go? Ciężka praca. Sapiąc z wysiłku, Ritchie się do niej zabrał.

Później, kiedy już spał przytulony do Żabulca w swoim małym pokoiku koło kuchni, Emma usiadła na schodku przed domem, by posłuchać szumu przyływu. Wyciągnęła prawą rękę i zaczęła zamykać i otwierać dłoń, jak nauczyła ją fizjoterapeutka. Było dzisiaj sporo roboty. Ona, Susan i inni pracownicy sprzątnęli zaplecze pubu. Wynieśli wszystkie meble i całe tony starych pudeł, książek oraz gazet. Wyszorowali do czysta podłogi, olma, ściany, nawet sufit. Trochę się pośmiali. Przyjemnie było widzieć, jak zapuszczona nora zmienia się w jasną przestrzeń, którą teraz można już malować.

To doktor Rudd z przychodni zaproponowała, żeby Emma podjęła pracę w Pie and Lobster.

- Przejęli go moi znajomi - wyjaśniła. - Chcą rozbudować pub, zmienić wystrój i otworzyć restaurację, nie zamykając przy tym części barowej. Jeśli pani ma ochotę popracować przez następnych kilka tygodni, to chętnie przyjmą dodatkowy personel do pomocy.

Doktor Rudd była bardzo miła dla Emmy i Ritchiego, od kiedy przenieśli się do Polbraith. Przyjechali tu tylko na lato, ale musieli się zarejestrować w przychodni ze względu na Ritchiego i fizjoterapię Emmy.

Przyjechali tu po sprawie sądowej, która odbyła się w maju. Emma musiała stawić się w sądzie tylko raz, żeby złożyć zeznania, ale przedtem kilka razy spotykała się z Lindsay i komisarzem Hillem, aby zaświadczyć, w jaki sposób porwanie wpłynęło na nią i na Ritchiego. Komisarz, wciąż w swojej beżowej

marynarce, niemal nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Emma opisała, jak koszmarne przeżyła zniknięcie Ritchiego, jak nieznośny był jej strach i ból. Mówiła o swojej okaleczonej ręce, która powoli odzyskiwała swoje funkcje, ale dopiero po trzech operacjach i wielu miesiącach fizjoterapii. Emma jednak była też na tyle uczciwa, by opowiedzieć, jak wyglądało jej życie, zanim Ritchie zaginął. Że leczy się teraz, by nie czuć się tak, jak wtedy, i że choć wciąż nie wie, co przyniesie przyszłość, ma nadzieję, że za sprawą Huntów już nigdy tak się nie poczuje.

Ostatecznie David Hunt dostał trzy lata więzienia, Philippa - cztery, ale nie zaczęła ich jeszcze odsiadywać. Z sądu trafiła prosto do szpitala i, o ile Emma wiedziała, wciąż tam przebywała.

Tego dnia, w sądzie, widziała Huntów. Siedzieli z tyłu: David Hunt w szarym garniturze, wpatrzony w przestrzeń; Philippa w czerni, ze spuszczoną głową, bez ruchu. Kobieta obok niej obejmowała ją ramieniem. Emma zdążyła tylko zerknąć na nich, zanim adwokat zaczął przesłuchanie i musiała się skupić na jego pytaniach. Ale później, kiedy już wychodziła, zauważyła Davida Hunta - stał z grupką mężczyzn w holu.

Gdy nagle zobaczyła go z tak bliska, zszokowana przystanęła. Lindsay zasugerowała, żeby posiedziały w poczekalni, dopóki David sobie nie pójdzie. Ale David odwrócił się i też ją dostrzegł. Wydawał się starszy, włosy miał przerzedzone. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Stracił wszystko. Pracę. Swoją piękną dom we Francji. Żonę - pod każdym ważnym względem, nawet gdyby zostali razem. I oczywiście stracił syna.

Emma patrzyła na niego, a on na nią. Nie zmienił się wyraz ich twarzy. Nie było uśmiechów, to oczywiste. Ale nie było też gniewu ani nienawiści. Gdyby mogła, chyba nawet porozmawiałaby z nim, choć pewnie nie od razu znalazłaby właściwe słowa.

Lindsay położyła jej dłoń na ramieniu i wyszły razem na ulicę.

Przy wejściu na stację St Paul's Lindsay bardzo serdecznie uściskała Emmę.

- Gratuluję, Emmo - powiedziała.

- To ja pani gratuluję. - Emma się uśmiechnęła.

Na serdecznym palcu Lindsay błyszczał owalny brylant.

- Nie chce pani, żeby panią podwieźć? - zapytała Lindsay. - Mój samochód stoi niedaleko.

Emma pokręciła głową.

- Metrem będzie szybciej - odparła. - Sąsiadka zajmuje się Ritchiem i nie chcę jej absorbować zbyt długo.

- No dobrze.

Przez chwilę patrzyły na siebie. Obie otworzyły usta w tym samym momencie. Roześmiały się. Uściskały się jeszcze raz i życzyły sobie szczęścia. Lindsay odeszła - jej ciemny płaszcz i kształtny, błyszczący kok szybko zniknęły w tłumie. Emma stała na ruchomych schodach i analizowała samą siebie, kiedy zjeżdżała na peron. Doznawała różnych uczuć jednocześnie. Ale głównie spokoju i ulgi. Już po wszystkim. Nigdy więcej nie zobaczy nikogo z tych ludzi.

Przyjaciółka pani Cornes miała w Kornwalii dwa domki na wynajem.

- Potrzebujesz wakacji po tej sprawie sądowej - stwierdziła pani Cornes. - Twoja mama jako dziecko spędzała wakacje w Polbraith. Często mówiła, że bardzo jej się tam podobało. Ten domek to tylko ma-
lutki trzypokojowy szeregowiec, ale moja przyjaciółka, pani Castle, wynajmie ci go bardzo tanio na tak
długo, jak zechcesz.

- Skorzystamy z przyjemnością. Ale tylko pod warunkiem że pani nas tam odwiedzi - odparła Em-
ma.

Wszyscy byli tacy mili. Rosina, cała w skowronkach, wpadła, żeby powiedzieć, że jedzie na Filipi-
ny aż na trzy miesiące. Zapytała, czy Emma i Ritchie chcieliby z nią pojechać i pomieszkać nad morzem z
jej rodziną. Emma pomyślała, że podróż może być za długa dla Ritchiego, ale Rosina zapewniła ją, że za-
proszenie będzie zawsze aktualne, dopóki mały nie podrośnie. Nawet obcy ludzie dokładali wszelkich sta-
rań, żeby pomóc: doktor Rudd i Mary, i Tom, właściciele Pie and Lobster, którzy ją zatrudnili... Emma i
Ritchie przez wiele tygodni byli gwiazdami w gazetach, ich zdjęcia eksponowano w każdym stoisku pra-
sowym i kiosku. W pewnym momencie wydawało się, że wszyscy ich znają i chcą coś zrobić, żeby okazać
życzliwość. Ale ostatnio rozpoznawało ich dwójkę coraz mniej osób. Zdjęcia w gazetach stały się nieaktu-
alne; ona i Ritchie się zmienili. Ritchie nie był już niemowlakiem w czerwonej ciężarówce. Bardzo urósł.
Ludzie myśleli, że ma trzy lata, nie dwa. Uczył się pływać. Był już małym chłopcem, nie dzidziusiem. A
kiedy gazety wydrukowały sprawozdania z rozprawy sądowej, Emma zdziwiła się na widok zdjęcia, które
wykorzystano. Zrobiła je pielęgniarka środowiskowa na kilka miesięcy przed porwaniem: Emma trzymała
na ręku Ritchiego, mniej więcej pięciomiesięcznego. Ona sama była chuda, miała sińce pod oczami, zły,
wrogi wyraz twarzy, głowę opuszczoną i włosy mocno ściągnięte do tyłu. Czy naprawdę kiedyś tak wy-
glądała?

Teraz życie też nie było idealne. Emma wciąż nie wiedziała, co stanie się z nimi, kiedy lato się
skończy. Wrócą do mieszkania w Hammersmith? Może poproszą o większe, skoro Ritchie potrzebował już
własnego pokoju?

Dwa razy widziała się w Londynie z Joanne. Ona i Barry rozstali się wkrótce po świętach. Któregoś
dnia Joanne wróciła wcześniej do domu i przyłapała go w łóżku z koleżanką z pracy.

- Już dawno o nim zapomniałam - powiedziała Joanne przy kawie u Emmy. - Był taki zaborczy.
Chciał się spotykać tylko ze swoimi znajomymi, nigdy z moimi. - Położyła niepewnie dłoń na ręce Emmy.
- Tak mi przykro, że straciłyśmy kontakt, Ems. Teraz powinniśmy się widywać częściej. Nie możemy
pozwolić, żeby to się powtórzyło.

Ale czy tego chciała Emma? Życ dalej w socjalnym mieszkaniu, choćby nawet większym, w któ-
rym Ritchie miałby swój pokój? Spotykać się z Joanne na kawie i udawać, że ich przyjaźń przetrwała?

I oczywiście wciąż problemem były pieniądze. Bardzo jej się podobała koleżeńska atmosfera w Pie
and Lobster, ale to była tylko praca na lato. Kiedy się skończy, znów będzie musiała sięgać do oszczędno-
ści.

Czasami w nocy gryzła się tym wszystkim.

Ale przedwczoraj, kiedy wracała z Ritchiem z plaży, gdzie oboje pływali w morzu i gdzie uśmieła się serdecznie z miny Ritchiego na widok kraba, popołudnie było tak urocze, że przyłapała się na nuceniu piosenki, którą słyszała wcześniej w radiu.

Szum przyływu. Emma wyciągnęła rękę, zamykając i otwierając dłoń.

Jutro wieczorem przyjedzie tu Rafe. Jak przebiegnie spotkanie? Czy będą się ze sobą dobrze dogadywać? Czy skończą im się tematy? Minał prawie rok, od kiedy widziała go ostatnio. Cały ten czas przebywał w Ameryce Południowej. Przesyłał jej e-mailem zdjęcia: bar, w którym pracował w Rio de Janeiro, obóz w pobliżu lodowca w Chile, canoe, którym spłynął przez sam środek wodospadu. „Czułem się jak Indiana Jones”. Życie jej i Ritchiego pewnie wyda mu się bardzo nudne. Ale co tam, miała nadzieję, że przynajmniej spędzi przyjemnie weekend. Chciała mu pokazać, jak Ritchie pływa, i klify, i miejsca surfarów. Cieszyłaby się, gdyby pozostali przyjaciółmi.

„Jeśli poważnie myślisz o powrocie do policji - napisała mu - możesz umieścić mnie i Ritchiego w CV”.

Trzy miesiące. A ona ciągle była w Polbraith. Nie myślała, że zostanie tu tak długo. Rozumiała, dlaczego jej mamie tak bardzo się tu podobało - bo ludzie troszczyli się o siebie nawzajem. Cudownie byłoby wychowywać tutaj dziecko.

Kilka wieczorów wcześniej Ritchie wpadł do niej do kuchni.

- Ma. - Pociągnął ją za rękaw, wskazując salon. - Ma.

- O co chodzi? Co się dzieje?

- Och. Och. - Aż się zasapał, tak bardzo chciał jej powiedzieć.

Zaciągnął ją do schludnego saloniku pani Castle i wdrapał się na ławę pod oknem. Zapadał zmrok. Kwiaty na krzaku pod domkiem różowiały. Linia, gdzie niebo spotykało się z morzem, także pałała różem; reszta nieba była granatowa.

- HUU - powtarzał Ritchie. - U-huu.

- Duch? - Emma wyjrzała na dwór. - Gdzie?

Ritchie energicznie wskazywał ogródek, ale oczywiście sam nie bardzo wiedział gdzie. Rozglądał się gorączkowo. Nagle ukląkł na ławie i znów pokazał palcem, zachłystując się powietrzem.

- Och, teraz widzę - powiedziała Emma.

I widziała. Para jasnych sów płomykówek śmignęła w ciemności nad krzakiem. W śledzących je oczach zafascynowanego Ritchiego odbijało się różowe światło zachodu.

- Naprawdę piękne duchy - zachwyciła się Emma.

Spojrzała na niego - na jego wystające kości policzkowe, na wysokie czoło i pomyślała znów, po raz nie wiadomo który, że to szczęście mieć takiego syna.

Sowy znów przeleciały nad ogródkiem, odbijając się w szybce zdjęcia na parapecie. Była to fotografia Emmy z mamą i babcią zrobiona w dniu urodzin babci. Mama i babcia siedziały na kanapie, uśmiechając się do aparatu. Po ich twarzach przemykały odbicia dwóch jasnych sów szybujących nad domem.

Ritchie pokazał widmowe kształty w szybce.

- HUU - powiedział. - U-huu.

W piątek, w pracy, Susan spytała Emmę:

- Co to się stało? Czemu jesteś taka wystrojona?

- Nie jestem.

- Właśnie że jesteś. - Susan wyszła zza baru i wzięła się pod boki. - Bez dwóch zdań. - Przyjrzała się Emmie. - Nowa bluzka?

- A nie nosiłam jej wcześniej?

- Nie.

- Niech ci będzie. - Emma wytarła z baru smugę pyłu z orzeszków.

Przez tych kilka tygodni ona i Susan się zaprzyjaźniły. Susan miała córeczkę o rok starszą od Ritchiego, która też chodziła do Delfinka. Emma nie wiedziała, dlaczego nagle poczuła się teraz taka skrępowana.

- Znajomy przyjeżdża z wizytą. Dzisiaj, po pracy - wyjaśniła.

- Znajomy, co? - Susan uśmiechnęła się porozumiewawczo. - W każdym razie wyglądasz świetnie.

Po pracy Emma poszła po Ritchiego do przedszkola. Przywłókł się z ogrodu z wystawionym językiem, skupiony na zgniecionym żółtym kwiatku, który trzymał w garści. Podszedł do Emmy i ją nim obdarował. Wzięła kwiatek, nie bez problemu, bo płatki przylepiły się do jego palców.

- Ach. - Jess przekrzywiła głowę. - Czy to nie słodkie?

- Jest śliczny. Dziękuję. - Emma spróbowała pocałować synka, ale on skupił się na wycieraniu ręki o przód koszulki.

- Brudne - powiedział.

Emma schowała zmasakrowany kwiatek do torebki.

- Pójdziemy do domu ścieżką nad klifem - zaproponowała.

„Mój ostatni tydzień w Ameryce Południowej. Wylatuję we wtorek z Limy. W tej chwili jestem w Andach, maszerujemy od świtu. Godzinę temu doszliśmy do wioski. Widoki są niesamowite, ale na razie nie potrafię się z nich cieszyć, bo jest mi gorąco, nogi mi odpadają, a mózg się lasuje na tej wysokości.

I tutaj, na tym maleńkim rynku, na końcu świata, znajduję wiadomość od Ciebie.

Wspaniale, że o mnie pamiętasz, Emmo. Naprawdę nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Was oboje".

Droga do domu z przedszkola prowadziła pod górę. Gdy dotarli na szczyt, zostało już tylko morze, migotliwe w oddali i ciemnobłękitne bliżej łądu. Szuuuu, mówiło, biegnąc do brzegu, a gdy się cofało, grzechotało kamieniami. Szli ścieżką nad urwiskiem, zabezpieczoną drewnianą poręczą, za którą kręte ka-

mienne schody wiodły w dół na długą piaszczystą plażę. Dalej na klifie sterczała w niebo stara wieża kopalni miedzi, obrośnięta dzikim winem.

Ritchie biegł przodem, trzymając długą spiralną muszelkę. Nagle zatrzymał się i wskazał coś na ścieżce.

- Pan - powiedział.

Rzeczywiście, na ścieżce stał „pan”. Opierał się o ogrodzenie na wprost ich domu. Przed nim na ziemi leżał czarny plecak, a błękitna koszulka pasowała barwą do koloru morza. On też ich dostrzegł. Wyprostował się, osłaniając oczy. Potem uniósł rękę na powitanie. Emma mu pomachała. Uśmiech pojawił się w jej oczach, potem na ustach i wreszcie w niej całe - wszystko się w niej uśmiechało. Pomachała jeszcze raz, stając na palcach, by na pewno ją zobaczyć. Mężczyzna wyszedł na środek ścieżki i czekał. Serce Emmy biło szybciej. No pewnie, przecież wspinali się od wioski, a wieczór był bardzo ciepły.

- Chodź, Ritch - powiedziała.

Ritchie musiał najpierw zająć się muszelką. Kucnął, by ostrożnie ułożyć ją na trawie, a że mu się nie udało, umieścił ją w szarym zagłębieniu kamienia. W końcu wstał i wziął Emmę za rękę.

Razem ruszyli ścieżką w dół.

TLR